

MIESZKO • ZAGAŃCZYK



Fabryka Słów

Czarna Ikona



tom II

Mieszko Zagańczyk

Czarna Ikona

Tom II

**NOT FOR
PUBLIC RELEASE**

Rozdział 1

Głód. Głód, głód, głód.

Płody... Płodów nie ma. Nie ma brzuchatych matek z bachorami w środku. Nie ma. Nie, nie, nie.

Nie ma płodów, są wątroby. Wątroby złe, ale dobre. Złe, kiedy są płody. Kiedy nie ma płodów, wątroby dobre.

Teraz wątroby dobre. Dużo wątrób, żywych i świeżych.

Głód.

Dwugłowy demon Purrhos rzucał wściekle spojrzenia. Mały łebek, na którym osadzone były oczy, nerwowo kręcił się na prawo i lewo. Pysk wystający z drugiej, większej głowy gniewnie dyszał, rozsiewając wokół smród zgniłych ryb.

Nie, czerwonoskóry Purrhos nie jadł ryb. Tylko płody i wątroby. Płodów nie było, a wątroby... Wątroby kłębiły się w ciasnej gromadzie skryte pod daszkami ze szmat. Demon sapał wściekle. Pośród bezbronnych wątrób były też wątroby zbrojne w miecze. Szło od nich zapachem stali i pewnością siebie. Szło od nich nienawiścią i żądzą krwi. Było ich wiele. Nazbyt wiele.

Purrhos się wahał. Ciasno, dużo wątrób ze stałą, a do tego ogień. Nie, teraz nie mógł iść na łowy. Za jasno, za duży hałas, zbyt wielki tłum.

Więc tylko sapał gniewnie.

A pośród wątrób jest on! Pan, którego trzeba chronić. Osłaniać. Trzymać przy życiu. Tak długo, dopóki nie zdradzi. Pokąd się nie cofnie.

Powtórzywszy to sobie po raz kolejny, Purrhos zeskoczył ze skały. Szedł niżej, sadząc wielkimi susami. Chwytał skały łopatomowymi łapskami, by nie stracić równowagi. Dwie głowy osadzone na wężowych ruchliwych szyjach ciągnęły go w dół.

Znalazł skalny zakamarek, gdzie nie docierało słońce. Przyczajony w cieniu zamarł ze wzrokiem utkwionym tam, gdzie kłębiły się wątroby.

* * *

–Ej, kuternoga! Chodźże tu!

Zawołany obrócił się z marsową miną.

Ja ci dam kuternogę, koproskilo! – zaklął w myśli. – Obaczysz, ty eunuchu bez jajec, co to znaczy igrać z Nicetasem! Ty psi odbycie zafajdany!

Jednak gdy ujrzał Kaliksta, na jego sinej gębie wykwitł szeroki uśmiech.

–Belzebub? Ty tutaj?!

Pokuśtykał, dzwoniąc źle zapiętym pasem z niedbale przytroczonym długim mieczem spatha. Huknął druha w ramię łapą wielką jak bochen, wyrównał z drugiej strony, po czym objął go w czułym uścisku.

–No, no, tylko bez takich! Nie przytulaj się tak do mnie! Co ci jest, kuternoga? Co z twoim kulasem? Możesz normalnie chodzić?

Wielka Pięść zmarkotniał i opuścił ramiona.

–Koń mnie przygniótł. Zgruchotał mi kolano. Pierwej to powiadali, że gira potrzaskana jak suchy patyk, a do tego zgniła i odjąć trza. No, ale mają tu medyka Saracena, musi jakiegoś maga, bo mi ją odczarował. Tyle że zginać nie mogę, bo kolano w łubkach. Mówi, że tak do końca, to już nigdy nie wyzdrowieję i zawsze będę chromy. Że zawsze będzie kulas jako kloc drewna. Skata! Utrapienie.

–Co? Podkowy żeś koniom kradł, he, he, czy jak?

Nicetas popatrzył dziwnie.

–Nie, Kalikst. Myśmy ciebie szukali. Za tobą jechali.

Belzebub przestał się bawić nożem, schował go za pas i zbliżył twarz do gęby osiłka.

–No, no – rzekł zimnym głosem. – A to mi nowina! A gdzieżeś ty mnie szukał? Szukaliście? Kto? I po co, ha?

Dryblas wzruszył ramionami.

–No mistrz kazali.

–Znaczy Atanazy.

–No, Atanazy.

Kalikst odruchowo sięgnął po puginał. Wyrwał go na powrót zza pasa i jął nim wywijać przed nosem przyjaciela.

–Nawijaj! Nawijaj, jak to było!

Jąkając się i urywając, pocziwe drabisko zaczęło niechętnie opowiadać o wyprawie i ciężących na Belzebubie podejrzaniach gildii. Ten szybko przerwał jego gadkę.

–Co? I ty w to wierzysz? Daj spokój!

–No co? – mruknął Nicetas.

–Jak to co? Myślisz, że mógłbym zdradzić gildię i mistrza? Że zajmąłem i ruszyłem na robotę?

–No... – Wielka Pięść wzruszył ramionami. – Na mieście gadają. Mistrz też nie rzekł, żeby było inaczej.

–Nie... Mylisz się! – twardo zaprzeczył Kalikst.

Po obozie szwendały się grupki najemników, jakieś cwane dziarmagi rzucające złe spojrzenia, wreszcie zbrojni z armii autokratora. Nie było tu jak spokojnie pogadać.

–A ci tam? – wskazał głową. – Te rude przygłupy i ten Saracen? Czy mi się zdaje, czy ich gdzieś widziałem w Konstantynopolu?

–To moi. Z nimi jechałem, żeby ciebie szukać.

Belzebub patrzył, jak rudy krótko ostrzyżony klaruje coś rudemu kudłatemu. Obaj krzywili gęby, spluwając na pokaz. Widać nie byli radzi, że Nicetas brata się ze zdrajcą. Albo przynajmniej chcieli, by na to wyglądało.

–Dawaj za mną – rzucił Kalikst. – Pójdziemy na bok, bo tu różni uchają, lipią, a nam świadków nie trza!

Ruszyli między namioty, tam gdzie gawiedzi było już mniej. Obóz

leżał w dolinie z rzadka porośniętej skarłałymi drzewkami. Tu i ówdzie sterczały szarobiałe skały rzeźbione przez wiatr i słońce w wulkanicznym tufie na kształt pogrążonych w modlitwie mnichów. Jakiś czas lawirowali między tymi cudacznymi tworami natury, szukając dogodnego miejsca do rozmowy. To jednak nie było takie proste – wszędy pętali się najemnicy, łypiąc oczami niczym hieny za padliną.

Belzebub pociągnął kompana na sam skraj obozu. Łagodne wzniesienie nieopodal, osłonięte szerokimi ramionami cyprysa, pozwalało w dyskrecji omówić ważne sprawy.

–Gdzie tu, zafajdańce?! Zawracać! Bo jak zajmę obuchem po łbach...!

Niczym spod ziemi wyrósł przed nimi strażnik. Tylko jeden, ale solidnie uzbrojony w perski topór o szerokim ostrzu. A że był to wielki dragal, kawał chłopca, przy którym nawet Nicetas wyglądał jak dzieciak, wycofali się bez słowa.

Tak, z obozu nie szło się wymknąć. Nie byli w nim więźniami, jednak obowiązywała ich dyscyplina. Żadnego szlajania się po okolicy.

–Gamoto! Coraz mniej mi się to podoba.

Wreszcie, korzystając z nieuwagi strażnika, znaleźli sobie miejsce odległe o jakieś pięć dziesiątek kroków od najbliższych uszu. Zalegli między głazami.

–Słuchaj, Nicetas, ta cała bujda o tym, że zajmuję Atanazemu papiery, to tylko dla picu. Prawda jest taka, że mistrz wysłał mnie z misją. Bo widzisz, Atanazy ma wizję. Chce naszą gildię ukochaną przerobić tak, że będzie teraz najmocniejsza w całym cesarstwie. Ten fant, który mieliśmy zdobyć z monastynu Czarnego Mnicha, ma wielką moc. Ta moc pozwoli zapanować nam, złodziejom z Konstantynopola, nie tylko nad miastem, ale też nad wszystkimi ziemiami, gdzie tylko sięgniesz wzrokiem, a nawet dużo dalej. Anatolia, Kapadocja, Paflagonia, Armenia, Grecja, Italia, Sycylia,

Bułgaria, a z czasem, kto wie, może nawet Syria. To wszystko dzięki mocy Ikony Upadłego Anioła, czy jak też mówią, Ikony Satanaela. Taka ona potężna.

Kalikst przerwał, bo w ich kierunku maszerowało dwóch łapserdaków najwyraźniej szukających zaczepki. Mordy im się cieszyły, że będzie heca. Jednak nie mieli szczęścia. Strażnik z wielkim toporem dostrzegł ich, a że miał kompanów w odwodzie, teraz wszyscy wyszli, błyskając ostrzami.

–Problem jest w tym, że Eutymiusz to zdrajca – ciągnął Belzebub, nie zważając na dobiegające ich wrzaski i przekleństwa. – Chce przejąć władzę w gildii, więc znalazł najprostszy sposób: szkodzić, żeby było na Atanazego. I, rozumiesz, ten zdrajca zamierował od samego początku tak zrobić, żeby wyprawa do monastynu po Ikonę nie doszła do skutku. Tak macił wodę, tak cwaniakował, tyle kłód rzucał pod nogi naszego mistrza, że w końcu sprawa się ryła. Tedy wezwał mnie Atanazy, mój ojciec przybrany, jak by nie patrzeć, i tak mi rzekł: Kalikst, synu! Mam dla ciebie misję. Jednym słowem kazał mi jechać i wykraść ikonę samemu.

Osilek ściągnął brwi ze zdziwienia, w jego oczach zamigotały złe ogniki. Nie bierze tego – pomyślał Belzebub i mówił dalej:

–Atanazy dał mi wszystkie dokumenta. To, że je ukradłem, to tylko bujda na pokaz. Mistrz musiał być poza podejrzeniem, bo Eutymiusz każdą okazję wykorzystał tak, że wyjdzie na jego, a przeciw Atanazemu. Dał mi więc mistrz wszelkie mapy i wskazówki i kazał jechać do monastynu. Nikomu innemu nie mógł zaufać, tylko mnie.

Spojrzał kątem oka na kompana. Jego skrzywiona mina mówiła, że wciąż nie dowierza. Wiem, co go przekona – uznał Kalikst.

–Rzekłem nawet do mistrza: Niech Nicetas jedzie ze mną, pomoże mi w robocie. Przecież ja sam nie dam rady, a mój najlepszy druh nie opuści mnie w biedzie. A mistrz na to: Wiem, że Wielka Pięść to dobry złodziej i oddany przyjaciel, jednak twoja misja polega nie na sile, lecz na sprycie. Musisz poradzić sobie sam, a Nicetas będzie

mi potrzebny tu, na miejscu.

–Ale... W końcu i mnie mistrz posłał za tobą. Czyli wyszło jednak na twoje. Jakbym ci pomógł od początku, pewnie byś się tu nie znalazł.

Łyka to – zarechotał w duchu Kalikst. – Jest dobrze. Jest już mój, poczciwy głupol.

–No ale... – ciągnęło drabisko. – Jakżeś właściwie tutaj się dostał? Nas zbrojni zgarnęli za mordobicie z jakimiś łachami, co nas ostrzelali na trakcie.

–No, no, właśnie. Ja tak samo. To znaczy musiał ktoś sypnąć. Ktoś się rozpruł, co i jak, bo ten mnich już na mnie czekał. Wiedział, że będę chciał podjumać jego cudowną ikonę. Przyskrzynili mnie, trochę siedziałem... No a teraz tu jestem. Tak to w skrócie wyglądało.

–To sprawka Eutymiusza?

–No pewnie! To do niego podobne... No bo kto inszy dał cynk klesze? Rozumiesz więc, że moja misja musiała być tajna od początku do samego końca. Tyle że to na nic się nie zdało...

Wyjrzeli ostrożnie z ukrycia – w pobliżu nikogo nie było. Przysiedli wygodniej na skalnej ławie. Nicetas wyciągnął nogę, z wyraźną ulgą zdejmując z niej ciężar ciała.

–No a teraz co zamierujesz?

–Nie jest dobrze. Idziemy na wojnę i jak widać po tych typach z toporami, nie ma jak stąd prysnąć. Ja to i tak chcę nawiać, ale mówią też, że za udział w wojnie wymażą wszystkie przewiny. Sam już nie wiem... Na razie trzeba tańczyć, jak oni grają. A później się zobaczy. I tobie też tak radzę: nie ma co wiać, póki nie wiemy, co się kroi. Najpierw trza baczyć, co i jak, potem czekać na okazję.

–Teraz może być najlepsza okazja – przytomnie zauważył Wielka

Pięść. – Widziałeś? Wokół obozu budują ogrodzenie i przybywa zbrojnych. Mają nas szkolić do walk z Seldżukami. Później pójdziemy do Syrii na wojnę. Mniej będzie okazji do ucieczki. No i powiadają, że za nami będzie szedł sam basileus. Razem z silną armią. Żeby dać wsparcie w razie niepowodzeń i coby rżnąć tych, którzy dają nogę. Więc teraz albo nigdy.

Rzeczywiście – w oddali, po drugiej stronie obozu grupa robotników wznosiła jakąś konstrukcję. Muszę popatrzeć na to bliżej – pomyślał Belzebub – i wykombinować coś, żeby gruby nie nawiał.

–Jasne. Racja, bracie. Wiesz co? Idź do tamtych fajfusów, tych tam twoich ryżych kompanów. Ufasz im? Godni, żeby im powierzyć naszą tajemnicę?

–To przecie moi. Znam ich. Się nie rozprują, nawet jakby ich kołem łamali.

–Dobra! Powiedz im, co i jak. Możesz zdradzić to, co ci powiedziałem. Czyli że Atanazy wysłał mnie z misją. I że to była bujda z tym jumanem, żeby się Eutymiusz i jego zbiry nie zwiedziały. Powiedz im, jak sprawy wyglądają, a ja sobie tymczasem polipię na obóz i na strażę.

Nicetas pokiwał głową, po czym bez słowa pokuśtykał w stronę namiotów.

Łyknał czy jeszcze nie dowierza? – myślał Kalikst. – Nie był nigdy zbyt cwany, ale teraz to już sam nie wiem. Byle nie nawiał za wcześnie, bo będzie jeszcze potrzebny.

–Ej, Belzebub! – postłyszał nagle za sobą.

Odwrócił się z niechęcią.

–A co z Zoe? – zapytał Wielka Pięść, z wysiłkiem przerzucając ciężar na zdrową nogę. – Też pojechała za tobą...

–Zoe? Nie, nie widziałem Zoe od dnia, gdy opuściłem

Konstantynopol. A co z nią?

–Myślałem, że ty wiesz. Ruszyła twoim śladem trzy dni później.

–Nie widziałem jej. Pewnie jest już z powrotem w Konstantynopolu.

–Może i tak, choć ona by nie ustąpiła... Byś zmiarkował, że ktoś za tobą jedzie, nie?

–Bym zmiarkował. Nikt nie jechał – skłamał po raz trzeci zniecierpliwiony Belzebub.

* * *

Kalikst ruszył na obchód obozu. Dla niego było to nowe miejsce, ale inni tkwili tu już od dłuższego czasu. Teren – dosyć sporą dolinę położoną między wulkanicznymi, postrzępionymi grzbietami – pokrywały regularne kwadraty tworzące poszczególne części obozowiska. W każdym kwadracie stały cztery namioty mieszczące po dwie dziesiątki i pięciu ludzi. Namioty... To było zbyt dumne określenie. Płachty żaglowego płótna natarte cuchnącą mieszanką popiołu i tłuszczu. Od frontu dostępu do obozu broniła szeroka brama, od której szło w bok ogrodzenie: wał ziemi nabity skalnymi okruchami. Od wewnątrz, jak i po zewnętrznej stronie tej konstrukcji, ciągnęły się rowy wykopane na głębokość człowieka – to stąd brano budulec. Fosę wypełniały kamieniste stożki zwrócone ostrymi końcami na zewnątrz.

Belzebub zaśmiał się pod nosem. Dla niego taka przeszkoda była błahostką. Wystarczyłaby lina i jakieś solidne ostrze. Ale też wał nie był murem więzienia, nie po to go wzniesiono. To jeno odgródzenie obozu od świata, by ustrzec najemników i rekrutów od pokus zewnętrznego życia. Owszem, można sforsować ogrodzenie,

jednak należało uporać się jeszcze z gorliwymi strażnikami. A zresztą... Cóż tu prawić o pokusach? W okolicy nie było żadnych. Cezarea o dzień drogi, inne miasta, nieco mniejsze, również wymagały kilku dobrych godzin podróży.

Jakieś dwieście kroków dalej wał kończył się – tam robotnicy, najsilniejsze chłopcy wybrane z tej całej zgrai, jeszcze nie dotarli. Krążyli tylko zbrojni.

Muszę to oliścić wieczorkiem – pomyślał – kiedy zmrok zapadnie. Posłuchać, popatrzeć...

* * *

–! Zapa-miętaj! Sobie! Ja! Tu! Jestem! Basi-leusem!!! Bierzesz to, kozi odbycie? Rozumiesz, koproskilo, ty psie gówno?

Głowa fajtłapowatego rekruta odskakiwała jak łebek szmacianej lalki. Nieborak cofał się ku sękatej podporze z niedbale oheblowanego pieńka cyprysa, a łapsko krępego osiłka co i raz waliło go po pysku. Łapsko umięśnione, a przy tym pokryte ściemniałymi bliznami. Między nimi wił się niewprawnie wytatuowany wąż morski z wielkimi kłami i płetwami rozłożystymi niczym skrzydła.

Osilek nie był zbyt wysoki. Nicetasowi sięgałby – jak ocenił to na oko Kalikst – do ramion. Kurdupel. Nabity w sobie kurdupel, kłębek stalowych mięśni. Mały byczek. Wściekły pies hodowany do walk na arenie konstantynopolitańskiego hipodromu. Brzydka, szczerbata pokraka, która odpychała samym swym wyglądem.

Mimo to Belzebub z respektem trzymał się na odległość.

–Wbiję ci to! Wbiję ci to do tego łba, świńskie łajno! Do mnie masz gadać: panie. Tylko tak i nie inaczej! Panie! Panie! Panie! Makarym jestem tylko dla mojej kobiety. No i moich kompanów, niech będzie! Ale nie dla takiego psiego kału!

Rekrut padł bez czucia na ziemię, zalewając się czerwienią. Kalikst spojrzał nań bacznie.

–Ja go chyba skądś znam... – mruknął do siebie. Podeszedł bliżej, wchodząc pod połę namiotu.

To ten gamoń od Atanazego! Jak mu tam? Szachista, Tryfon Szachista! Ten sam, którego w zaułku przy Rybim Targu zaczepił Hakoręki do spółki z Cesarczykiem i Heretykiem.

–Co ty tu robisz, malaka? – szepnął zdziwiony Belzebub.

–Do mnie ta gadka, koproskilo?

Umieśniony byczek Makary miał jeszcze jedną tajną broń: cuchnący oddech, jaki tworzy przetrawiona mieszanka wina i mocno naczosnkowanej baraniny. Wionęło tym na trzy kroki albo i więcej. Kalikst cofnął się odruchowo.

–Coś nie tak, psi odbycie? Też chcesz omłot?

Kompani Makarego wyszli z namiotu i próbowali osaczyć Belzebuba, by odciąć mu drogę ucieczki. Ich herszt parł do przodu, a gęba mu się śmiała coraz bardziej.

–Nie buzuj się tak, człowiek! – powstrzymał go Kalikst. – Bo ci styja gównem strzyknie i się obryzgasz. Udupili nas tu razem, więc daj na przyciszenie. A co tam jest, to nie moja brocha, więc odpadam.

Makary zmartwiał w pierwszej chwili. Już się szykował na radosne mordobicie, na łamanie kości i tłuczenie łbem o belkę. A tu cwaniak gada jak swój. I do tego buńczucznie rzuca gromy z oczu, widać, że nie pęka. Szacuneczek!

Potoczył gniewnie wzrokiem, rzucił ukradkowe spojrzenia na kompanów i widząc ich zdezorientowane twarze, stęknął z rezygnacją:

–Precz stąd, pókim dobry! Cwaną gadkę masz, ale nosi mnie, więc poszedł!

Kalikst bez słowa odwrócił się na pięcie i poszedł w swoją stronę. Obejrzał się jednak po paru krokach: Makary stał nad skulonym Tryfonem i ładował mu miarowe razy. Twarz Szachisty przypominała rozkwaszony arbuz.

–Głupiś, ziomek – mruknął Belzebub pod nosem. – Trzeba było mnie słuchać i unikać kłopotów. A teraz cię bydlę po ryju ładuje...

* * *

–Makary. Po prostu Makary. Niektórzy mówią o nim Makary Byk albo Mały Makary, ale nie. Na co dzień jest tylko Makary.

Nicetas pociągnął łyk wody nabranej z koryta do suchej tykwy. Skrzywił się i odrzucił prowizoryczne naczynie na stertę śmieci obok namiotu.

–Szczyny nie woda! – burknął, a potem rzekł: – Szliśmy mimo kilka razy. Kindybał mu dygał do bitki, ale dał sobie siana. A ja tam szacunek mam do siebie i nie będę z byle adelfim się przytulał. Jeden strzał i po nim, więc go nie ruszałem.

Dryblas poruszył znacząco ramionami i trzasnął pięścią o pięść.

–Ale wiesz, to jest jakiś lepszy kizior. Nie tylko ma do bitki ochotę, ale też paru łobuzów na smyczy. To z Cezarei jakiś dziarmaga,

mocną ma kompanię i wirachą się czuje nie bez powodu.

Słyszając rozmowę, podeszli Wit Wodnik i jego brat, Waldemar Jałmużnik.

–Ledwie go dali do obozu, jął się szarogęścić – powiedział ten drugi.
– Ustawia ludzi, a za argument starczy jego tępą mordą. Jak mordą nie starcza, idzie za nią piącha. A ma jeszcze swoją psiarnię w odwodzie. Mówią, że będzie hekatontarchosem dowodzącym setką największych kiziorów, co to się na wojnę zgłosili dla ułaskawienia przez basileusa. Albo i nawet domestikosem, który pokieruje całą tą zbieraniną z obozu.

Belzebub pokręcił z niedowierzaniem głową.

–Domestikosem? Odkąd to byle oprych może pełnić tak zaszczytne role w armii? Coś mi tu wygląda na to, że siła Makarego z plotki idzie, nie z jego prawdziwych przymiotów.

–Zaszczytne role? Armii? – wtrącił się Wit. – Popatrz dookoła! Zobacz, co tutaj jest! Zbieranina szumowin z całego cesarstwa. Mordercy, rabusie, no i...

–No i złodzieje – dokończył za niego Nicetas. – Czyli my Żadnej zaszczytnej armii? Oddziały straceńców, których jedynym zadaniem jest zginąć za basileusa. Do takiego zadania Makary jest jak znalazł. Jak nic poprowadzi wszystkie męty ku zaszczytnej śmierci. Zdobywając wcześniej Antiochię na chwałę autokratora.

Kalikst nabrał dłonią wody z koryta. Spróbował i splunął. Była rzeczywiście ohydna!

–Co to... Co to jest...?

Waldemar zachichotał złośliwie.

–Widać, żeś nowy. Ta woda trupem śmierdzi, ale nie ma innej. Trza przywyknąć, he, he.

Przywyknąć! Dobrze sobie! To już chyba świnie w chlewach mają lepiej. Belzebub posłał Jałmużnikowi flegmę pod nogi.

–A ten Makary ilu ma tych ziomków? Kto z nim trzyma?

Wielka Pięść wygiął usta z niechęcią.

–Mówię przecie. To z Cezarei kizior, bandę tam miał, która kupców łupiła i ze strażami się tłukła. Zadźgał ponoć jakiegoś logotetę z dworu miejscowego praetora. Za to go chcieli dać na stracenie, ale cesarz na wojnę ruszył, to trafił tu. Skórę może wyniesie cało, jak będzie taki sam chojrak przed Seldżukami.

Zanim się na dobre rozpanoszy, trzeba z nim sztamę zatrzymać – pomyślał bez entuzjazmu Kalikst. – Przynajmniej na początek, a później, co będzie, to będzie.

Popatrzył na Nicetasa i jego kompanów. Już nawet wiedział, jak dotrzeć w pobliże Makarego. Zaśmiał się bezgłośnie.

–Walić go. Mnie tam on nie ruszy – podsumował hardo Wielka Pięść. I nagle zmienił temat. – Belzebub, to co z tą Zoe?

–O co ci chodzi?

–Była z tobą? Widziałeś ją?

Ryży bracia ze Żmudzi ciekawie nadstawili uszu. Naglący ton w głosie Nicetasa świadczył, że to nie błahostka.

–Przecież trzy razy mówiłem. Nie widziałem jej od dnia, kiedy wyjechałem z Konstantynopola. Nie wiem, co z nią. Pewnie w mieście siedzi.

–Nie było jej, kiedyśmy wyjeżdżali. A wiadomo, że pojechała twoim tropem. Miała jakieś trzy dni opóźnienia. Mogłeś jej więc nie widzieć, ale czemu myśmy jej nie spotkali?

–Nie wiem, odczep się.

–Nie martwi cię jej los? Przecież... Myślałem, że to twoja...

Kalikst zacisnął pięści. Ledwo zapanował nad falą wściekłości, widząc w myślach, jak łeb Nicetasa pęka rozwalony o koryto z wodą. Sapnął gniewnie:

–Nic ci do tego, kuternogo! Nie widziałem jej, powtarzam, i jestem pewien, że siedzi w „Bezgłowym Scycie” albo „U Teofilakta”, i sączy w dobrej kompanii chłodną retsinę z Krety. Nic jej nie jest! A teraz koniec tematu, nie gadamy o babach!

Kopnął wściekle koryto i ruszył w swoją stronę, zostawiając ziomek zamilkłych nagle ze zdziwienia.

–Nie jest normalny ten twój przyjaciel, Wielka Pięść – odezwał się pierwszy Wit Wodnik. – Zawsze to powtarzałem...

–Zawrzyj japę!

* * *

Ściągnij swą siłą mrok. Przywołaj ciemność, niech okryje cię niczym skrzydła. Niech noc stanie się tobą, a ty stań się nocą. Niech szara godzina obejmie twoje dłonie, twoje ramiona, pierś i całe ciało. Niech czarne pióra zakryją cię, a wtedy...

Nagły szelest. Idzie ktoś!

Belzebub odskoczył. Pobiegł kilka kroków w tył i przywarł, ściskając kamień. Nie, nic. To tylko w oddali jakaś łajza szcza pod namiotem.

–Gamoto... Niechby cię... – mruknął.

Ruszył byle dalej od namiotów, na skraj obozu. Za nim ciągnęły się kamieniste pustkowia i poryte wiatrem skały Kapadocji. Drogę do nich grodziła zaimprovizowana strażnica – kilka ognisk rozpalonych między skałami i dwa namioty z tufową podmurówką. Pośród nich kręciło się kilku zbrojnych. Kalikst obserwował ich chwilę: to byli Waregowie z cesarskiego kontyngentu. Groźni woje, którzy zbieraninę z obozu mieli za jedno. Złodziej czy ochotnik z bożego natchnienia – jak będzie trzeba, usieką równo.

Jednak Belzebub miał sposób, żeby ich omijać. Przynajmniej tak prawił Czarny Mnich: Później to przyjdzie samo z siebie. Wystarczy, że będziesz tego chciał. Tylko pomyślisz, a nadejdzie. Jak twój sługa posłuszny twym rozkazom. Ale nie od razu. Musisz pierwiej opanować tę sztukę.

Powtarzał więc w myślach te słowa:

Ściągnij swą siłą mrok. Przywołaj ciemność, niech okryje cię niczym skrzydła. Niech noc stanie się tobą, a ty stań się nocą. Niech szara godzina obejmie twoje dłonie, twoje ramiona, pierś i całe ciało. Niech czarne pióra zakryją cię, a wtedy znikniesz w cieniu osłonięty od ludzkich spojrzeń.

Nagle poczuł, jak coś z wielką siłą chwyciło go za gardło, wpychając wydechane powietrze z powrotem do ust. Szarpnął się, charcząc. Ciasny chwyt ułapił też jego ramiona, nogi i pierś. A potem cios. Jakby pięść olbrzyma wałęsa go w brzuch.

Padł na kolana i rzygnął. Jego ciało pulsowało, jakby ktoś zadał mu trucizny.

Ból narastał. Belzebub nie miał dość siły, by wstać. Przepętlął dwa kroki i padł na twarz.

–Kto tam?! Hola! Co tam? – jęli pokrzykiwać strażnicy. Kilku ruszyło w stronę Kaliksta, znacząco unosząc swoje topory.

Przekręcił się na plecy i czekał. Patrzył tępym wzrokiem w gwiazdy.

Niech będzie, co ma być! – myślał. – Nie mam już siły. Niech mnie znajdą i obiją na śmierć!

–Jest tam kto? Ej, bo jak przydzwonię w ten łeb głupi, to nie będzie co zbierać! – ryknął któryś z Waregów.

–Ej, złodziej! Nawiać chcesz? – wtórował mu drugi.

Podeszli tak blisko, że Kalikst mógł policzyć stalowe łuski na ich kolczugach. Czuł zapach potu i słyszał wściekłe oddechy. Widział blask ognia w ostrzach toporów.

Ale oni go nie widzieli.

–Ech, diabeł nocą płata figle... – stwierdził wreszcie jeden z wojaków.

Przeżegnał się i ucałował zawieszony na szyi krzyżyk. Zrobił jeszcze krok w przód, muskając końcem buta policzki Belzebuba. Nie, nie zauważył go ani nie wyczuł.

Poszli.

A on leżał bez ruchu targany skurczami żołądka. Gwiazdy mrugały uspokajająco, zaś księżyc znów pokazał swój szyderczy wąski uśmiech.

Wreszcie torsje ustały. Kalikst wstał i zrobił kilka kroków. Nie czuł już bólu, a im dalej szedł, tym bardziej narastała w nim euforia.

Tak! Miał je! Skrzydła mroku otaczające go swymi czarnymi piórami. Krew pulsowała mu w żyłach jak rozpalony ołów.

–...a wtedy znikniesz w cieniu osłonięty od ludzkich spojrzeń – wyszeptał.

Ruszył w stronę ognisk, nie opuszczając jednak granicy mroku. Nie można wejść w pełne światło! Prześlizgnął się bokiem, cicho sunąc

przy ścianie namiotu.

Wkrótce posterunek Waregów miał już za sobą. Zaczął biec. Nigdy nie czuł się tak dobrze, nawet gdy odziany w strój nocnego łotrzyka przemykał po murach Konstantynopola.

Przykucnął przy skale i krzyknął skrzekliwym głosem w stronę strażników:

–Diabolosss!... Diabolosss!...

Waregowie podskoczyli, jakby kto ich wrzątkiem polał. Chwycili topory, jednak nie kwapili się, by iść w mrok. Jeden, najodważniejszy, postąpił kilka kroków w przód i zakrzyknął:

–Odejdź! Odejdź, diable!

Na starym żołnierskim płaszczu rzuconym niedbale w kępę zeschniętego zielska spoczywał niewielki puginał. Wysmukły, pozbawiony ozdób. Kalikst nie potrafił rozpoznać, skąd pochodziła ta broń, coś w niej jednak kusilo. Musiał ją mieć.

Będzie jak znalazł do czasu, aż oddadzą wszystkim ich własną. Czyli gdy zostaną uformowane oddziały, wybrani hekatontarchosi i ustanowiona dyscyplina. Tymczasem tylko gołe pięści, a Kalikst nie nawykł do takiej sytuacji.

Pochwyił kamień. Rzucił, tak żeby spadł kilkanaście kroków za ogniskiem. Nim doleciał do celu, Belzebub pochwyił następny, większy i cisnął jeszcze dalej, by sprawić wrażenie, że ktoś przemyka w mroku.

Chociaż podstęp był oczywisty, Waregowie, przekrzykując się, odskoczyli od ogniska, nadstawiając obnażone miecze ku ciemności nocy. Przez chwilę wypatrywali diabolosa krążącego gdzieś tam między skałami.

Wykorzystał tę chwilę. Skoczył i porwał puginał. Potem puścił się pędem w stronę obozu.

–Tu jest! Tu był! – wrzeszczeli podnieceni zbrojni. Powoli ich strach ustępował. Brała górę żądza mordy, mimo że chodziło o gościa z piekieł.

–Dawaj! Łapaj! Tam! Cień jakiś!

–Ukradł! Puginał ukradł! Tnij kurwisyna!

–Tam ucieka! Kurzy się za nim! Tam jest!

Próżne wysiłki. Kalikst był już daleko; tuląc do piersi swą zdobycz. Tamci szybko odpuścili niepewni, co właściwie widzieli. Jakiś cień. Ktoś. Coś. Coś niewidzialnego, ale nie do końca. Jakby cień. A jednak coś rzeczywistego, skoro porwało nóż i umknęło w noc.

A może to była jeno ułuda? Mroczna mara?

Zdezorientowani chodzili wokół, patrząc, czy wróg, diabolos, nie przyczał się gdzie obok, by ich dopaść. Nie, chyba nie...

* * *

Przemykał w cieniu niezauważony przez nikogo. Obóz spowijał mrok, tylko gdzieniegdzie paliły się ogniska straży. Czasem przeszedł gdzieś samotny patrol, jednak cesarscy zbrojni nie ryzykowali wyprawy między namioty. Męty, nawet bez broni, pod osłoną nocy stawały się groźne i tylko czekały, by skrycie złupić wojaków z ich broni.

Niech się rzną między sobą – uważali strażnicy i zaiste, mieli tego efekty. Co rano znajdowano nowe trupy. Zwłoki nieszczęśników, których ktoś udusił albo zatłukł kamieniem. Nieznany sprawca,

którego nikt nie zamierzał szukać.

Belzebub przemknął więc bez obaw, że go nakryją. I tak dotarł do namiotu Makarego.

–Gamoto – kłął oprych, rozprawiając z kompanami. – O co tu idzie? Kiedy dadzą nam broń, kiedy naczniem rezać seldżuckich zaprzańców? Kiedy dziabnę parę gardeł, wyharatam trochę flaków z zafajdanych psów, Saracenów?

–He, he! Dobrze ty gadasz, Makary! Turki nasze dziewczki chędożą, nasze wino żłopia...

–Nie zalewaj, Brodaty! Turki wina nie drynią. Za to al-haszisz żrą. Od tego im sił przybywa, moce mają diabelskie i mogą rębać za trzech. A niech mnie! Obaczym, czy dadzą radę Makaremu!

–Al co? – dopytywał trzeci z rozmówców, wodnistooki chudzielec, Rus ani chybi, patrząc po twarzy. – Al-szmaszisz? Co to?

Makary przybrał mądrą minę.

–Al-haszisz. Zwą to al-haszisz. Pono śmierdzi i wygląda jak wyschłe łajno, ale jak wszamasz, to jesteś jako mocarz. Saraceny w Syrii to żrą. Gadają, że jak który to weźmie do gęby, to nie masz na nich siły. Pono coraz więcej ich tam to gryzie i dlatego wojna jest. Że od tego na Konstantynopol idą. No, mnie to się podoba. Będzie wreszcie jakieś cacy mordobicie. Mówię ci, Radymicz, tobie by się nadało wszamać takie mazidło, tobyś żywiej podskoczył! A tak nic, tylko śpisz.

–Gorąco... Ja nie przywykłem. U mnie, w Listwieniu, w moim domu nie ma tak duszno. To co tu robić? Tylko leżeć.

Kalikst dobył puginału. Postąpił kilka kroków w przód. Miał łatwo: w namiocie panowały całkowite ciemności. Słabe odbłaski, odbicia ogni strażników, ledwo tu docierały. Oprychy leżały na swoich legowiskach, gwarząc z przymkniętymi oczami. Brodaty gapił się do góry, jego oczy lśniły jak węgle rzucone w gąszcz czarnej trawy.

Ostrze zawisło o dłoń nad twarzą Makarego.

Nawet o tym nie wiesz – pomyślał z mściwą satysfakcją Belzebub.
– Wystarczyłoby jedno pchnięcie. I już byłby porządek w obozie.
Jednego męta mniej. Szachista by mnie za to kochał. Reszta
złodziei też by pewnie nie narzekała.

Smagnął krępego bandziora końcem puginału po pysku.

–Nienawidzę komarów – mruknął Makary. – Co za bydlęta
diabelskie?!

A Kalikst cicho się wycofał.

Wrócę tu jeszcze – pomyślał.

Rozdział 2

Następny stracony dzień. Nie działo się nic. Słońce, cykady,
strażnicy leniwie łączy między namiotami. Jeno robotnicy dobrani
spośród najsilniejszych, a przy tym najmniej sprytnych, kopali z
mozołem wał okalający obozowisko.

–Eee! Makary...

Byczek niechętnie rozwarł powieki. Leżał na wyrze i chyba
przymierzał się do popołudniowej drzemki.

–A, to ty. Wyszczekany ziomek. Czego tu?

–Tyś z Cezarei.

–No i co z tego? – Z gęby buchnął mu ten sam smród. Baranina z
czosnkiem i przetrawione wino.

Skąd, u diabła, ta świnia ma wino? – pomyślał Kalikst. – Chyba że
ma flaki przesiąknięte nim jak stary dzban. A miast krwi barani
tłuszcz rozcieńczony białym z Rodos.

–Znam tam paru złodziei – rzekł. – Paru mocnych rębajłów...

–Taaa...? No coś takiego... – burknął bez zainteresowania osilek i z zapalem zabrał się za dłubanie patykiem w zębach.

–U nas w Konstantynopolu bywał taki jeden... Manuel Chazar. Gadał o tobie...

Kalikst strzelał w ciemno. Bandziora z Cezarei znał jeno z tawernianych opowieści snutych przez złodziei przy dzbanach z wińskiem. Pono był niezły kizior i ważna persona w światku kapadockich złodziei. Niezorganizowanych, pozbawionych celów i sensu działania, jaki dawała gildia. O nim to właśnie mawiał czasem Atanazy, kiedy roił o utworzeniu organizacji w inszych miastach. Jednak Belzebub na oczy go nie widział, nie wiedział nawet, czy oprych zawitał kiedykolwiek do stolicy.

Niemniej strzał był celny. Widać złodzieje z Cezarei znali się lepiej niż koloni z jednej wioski. Na dźwięk jego imienia Makary skoczył na równe nogi. Odrzucił patyczek, którym z takim zapalem wyskrobywał resztki posiłku spomiędzy zębów i z błyskiem w oczach ryknął:

–A więc to tak! To on do Konstantynopola jeździł! I co gadał? Mówże, ziomek!

–Ano brechał o tobie same dobre słowa. Bo szło o to, że nasi mistrze chcieli z wami, znaczy z Cezareą, wejść w układ. Coby z waszym udziałem położyć łapę na szlakach kupieckich z Syrii i ciągnąć z tego wspólne zyski. Nasz mistrz, Atanazy Meklidos, się pyta: Masz ty tam zaufanych ludzi? Masz kogo na swego zastępcę? A na to Manuel Chazar: Ano jest paru, ale najlepszy z nich Makary. Byk na niego mówią. Taki jest silny i uparty. Da se radę.

–Nie łżesz aby, przyjacielu? – Zakapior wbił uważne spojrzenie w oczy Kaliksta. – Bo widzisz, u nas w Cezarei takie były układy, że złodzieje nie zawsze miały do siebie szacunek. No i jakieś przyczajki były, jeden przeciw drugiemu i nie do końca wiadomo, o

co idzie. O, Chazar mocarz! Gadałem z nim parę chwil, ale nie rzekł ni słowa, że mnie wyróżnia. Myślałem se wtedy nawet, że lipa, że on kiep i malaka. Dał mi ze dwie robótki, coby pożenić kosałkę jednemu z drugim... No pożeniłem, ale jakby nic dalej... A więc nawijasz, że on mnie chciał?

–Tak było. Jeszcze tak gadał: Ja tego Makarego trzymam w skrytości. To moja tajna broń jako te ognie cesarskie. Jak nim uderzę, to nikt się nie spodziewa. Nawet on sam nie wie, że będzie mi potrzebny.

Kątem oka Belzebub złowił przerażone spojrzenie. Tryfon Szachista zmasakrowany na miazgę. Najwidoczniej robił u Makarego za niewolnika. I za dziewczkę. Brak kobiet już zaczął psuć krew u niektórych. Dawny zaufany Atanazego jawił się jako obraz skrajnej nędzy, bólu i rozpacz. Napuchnięte oczy, bezkształtny nos, rozcięte łuki brwiowe. Na policzkach ślady zakrzepłej krwi. Jego wzrok błagał o pomoc.

–Chodźże, pogadamy na zewnątrz – powiedział Kalikst. – Mam ci coś do powiedzenia.

Wyszli przed namiot. Belzebub wskazał głową: Chodźmyż jeszcze dalej. Tam, gdzie kończy się obóz.

–Można gdzieś tu wino skołować? – spytał. – I coś poszamać lepszego niż ta breja, co nam rozdają?

–Wina w bród. Mięsa, ile dusza zapragnie. Nawet piwo w beczce, jak będziesz miał chętkę. Tylko wiesz... Trza solidy mieć. I nimi ładnie zabrzączyć.

Makary zarechotał zadowolony, że się rozumie ze swoim nowym przyjacielem z Konstantynopola.

–A broń? Można też jakieś ostrze skołować?

Zbir posmutniał.

–Gorzej. Z tym nie idzie. Ostrza nie mam nawet ja. Widzisz, wino i mięso donoszą gady. Jak się z nimi ustawisz, to doniosą wszystko inne. Ale ostrza... Nie. Broni nie chcą opylić, bo wiedzą, że to może być przeciw nim. Że byśmy im kosałki pożenili, jak tylko nocka zapadnie. No i to prawda przeca, he, he...

Kalikst wygiął usta ze zdziwienia. Przesadnie, niczym aktor w theatronie. Jednak byczek wziął to za dobrą monetę.

–No wiesz, przyjacielu – szepnął Belzebub – ja właśnie w tej sprawie. O kosałkę mi się rozchodzi.

–Zapomnij! Gady uparte są i nieprzekupne.

–Jakże to? Ale jeden ma koskę. Ładny kawałek metalu, mówię ci...

–He, he! Nie wierzę. Coś mi tu łżesz, przyjacielu.

–Jak mi Bóg miły! W życiu! Łgarstwa mi nie w głowie. Jeden ma kosałkę. Ładniusi puginał, aż dusza się raduje na myśl, coby takim podziargać gadów i porobić tu własne porządki.

Oprych z Cezarei zbystrzał. Zrozumiał, że to już nie żarty, jeno poważna sprawa.

–Który ma? Który ma koskę, co?

–No ten duży... Zwą go Wielka Pięść. A na chrzcie dali mu bodajże Nicetas. Nicetas Wielka Pięść.

Makaremu aż załśniły oczy. Już widział w wyobraźni, jak tłucze łbem tamtego o kamień. I drze się: Ja tu jestem basileusem! Mnie masz słuchać, koproskilo!

Zaraz jednak ogniki przygasły. Czoło sfałdowała nieufna myśl.

–Zaraz! A to chyba jakiś twój kompan? Widziałem was razem i to nieraz. No i on chyba też ze stolicy. No, popraw mnie, jeżeli łżę!

–A owszem, on też z Konstantynopola – przytaknął z obojętną miną Kalikst. – To taki przygłup z portu. Znamy się, ale moim ziomkiem nie jest. No cóżeś?! Mam traktować jak swego każdego głąba, co się wylał w tym samym mieście? Snuje się za mną, gdzie bym nie poszedł. W japę bym mu przydzwonił, ale po prawdzie jakoś mnie bardzo nie zawadza. No i przy tej okazji pokazał mi kosunię. Ale nie chce zdradzić, skąd ma. Jak się pytam, to rechocze i tylko łypie oczami.

–Nie pękaj, przyjacielu. Już ja z niego prawdę wycisnę. Makary ma swoje sposoby!

* * *

Sposoby? Gadanie! Po prostu dopadł go w środku nocy, gdy Wielka Pięść tylko zasnęła. Pomagały mu jego zbiry – Brodaty i wodnooki Rus Radymicz. Tamci trzymali Nicetasa za nogi i za ramiona. Makary łomotał swym wielkim kułakiem raz po razie w nos. Tak, by pokaleczyć. Tak, by bolało.

–Brechaj! Brechaj, koproskilo, z psiego odbytu gówno, mów! Skąd masz kosałkę? I gdzie ją kryjesz? No, nawijaj! Przed Makarym nic się nie ukryje!

Wielka Pięść nawet nie pisnęła. Był kompletnie zaskoczony, nieprzytomny, zaspany. Jucha zalała mu gardło, zatkała nos. Prychał, dusząc się. Niechybnie zszedłby, jednak ciosy byczka miały też swój dobry skutek – udrażniały oddech.

Wit Wodnik wył. Wył z wściekłości. Trzymały go jakieś dwa draby. Jego brata – nie inaczej. Waldemar leżał przyciśnięty do ziemi z ustami wypełnionymi suchym piaskiem. Oprychów w namiocie było więcej – Makary zwołał całą swoją bandę. Któryś trzymał pochodnię

omiatającą słabym światłem wewnątrz.

Tylko Kalikst stał na boku. Skryty pod płaszczem mroku, niewidzialny. Wolny.

–Cho... jest? Jaką kosałkę? – wystękał z wysiłkiem Nicetas. – Człhowieniu, ja nhic nie...

Łup! Łup, łup, łup! Makary nie miał litości.

–Odstap go! Zostaw!

To ryczał Jałmużnik. Wypluł ziemię z ust, jakoś udało mu się odepchnąć trzymającego go zbira. Szybko dostał za to trzy silne ciosy i już legł bez sił, brocząc krwią.

Makary w jakimś przebłysku głębszej myśli zdał sobie sprawę, że grzmocąc Nicetasa po twarzy, nie wyciągnie prawdy. Pozwolił więc dryblasowi odetchnąć, a nawet splunąć i wysmarkać nos.

Wielka Pięć siadł oparty o maszt namiotu. Mimo krwi zalewającej mu twarz, oczy lśniły dziko pełne furii. Mięśnie rwały się do bitki. Jednak nim obaczył co i jak, już oplotła go lina. Tkwił bez ruchu.

–Dobra, przyjacielu. Pogadamy na spokojnie. Możesz być pewien jednego. Mnie nie omamisz. Ja wiem. Wiem, że kitrasz ostrze. Powiem ci tak: a miej sobie to ostrze. W końcu jesteś nawet swój chłop i nie muszę ci jumać twoich zabawek. Ja tylko chcę wiedzieć jedno. Od kogo masz? Za ile? I jakie jeszcze masz wejścia tutaj? I dlaczego nic o tym nie wiem? Nicetas nie odpowiedział.

–Bo widzisz – podjął Makary po chwili milczenia. – Tak się złożyło, że w tym obozie basileusem jestem ja. Ja! Tutaj nic się przede mną nie ukryje. Muszę wszystko wiedzieć. A i kosałka mi przynależna. Diabeł jeden wie, kiedy oddadzą nam naszą broń. Więc brechaj jak na spowiedzi, co masz, gdzie masz i od kogo.

Osilek znów nie wyrzekł ani słowa. Zaczął szarpać oplatające go liny, aż cały namiot zadrgał. Maszty zaskrzypiały, a płótno

zafalowało niespokojnie. Makary ruszył, by dosadzić Nicetasowi kolejną pięść.

Belzebub już dłużej się nie wahał. Cicho dobył swej broni. Ostrze puginału natarte węglem z ogniska chlasnęło ramię zbira trzymającego pochodnię. Ten zawył i wypuścił żagiew. Zdrową ręką chwycił tryskającą juchą ranę, światło przygasło.

Trzy skoki i drugi cios. W oko. Makary nie podniósł już swej pięści do ciosu. Krótko ryknął, gdy ostrze noża rozdarło mu oczodół, potem zacharczał i runął jak kłoda w tył. Kalikst wyszarpnął ostrze – teraz już czarno-czerwone, ciachnął Radymicza w gardło. Poszła krew, Rus z bulgotem padł na kolana.

–Zdhrada... Makhary... To zdhrada – wybełkotał i runął twarzą w kurz. Tarzał się w nim, próbując dłońmi powstrzymać buchającą juchę. Wreszcie znieruchomiał.

Brodaty już nie dał się zaskoczyć. Uniósł nawet do ciosu łapę uzbrojoną w kij. Niewiele mu to pomogło. Zaraz dostał kosałkę pod żebro – krótko i płytko. Nie trzeba od razu zabijać, sam się wykrwawi...

Płótno namiotu zadygotało od nagłego ruchu wielu postaci. Napastnicy widzieli, że coś jest nie tak. Coś ich atakuje. Ktoś? Gdzie? Co?! Wit Wodnik nie czekał, co będzie dalej. Ze zdwojoną siłą naparł na dwóch bandziorów trzymających go za ramiona. Jednego pchnął w tył. Z drugim nie poszło tak łatwo. Drab oplótł ramieniem szyję Żmudzina i zaczął go dusić.

Dostał od Kaliksta kosę w nerkę i padł, charcząc.

Wtedy już ruszył do walki Wodnik. Naparł na drabów trzymających Waldemara. Rozprawili się z nimi w try miga. Tego, który próbował przygrzmocić Jałmużnikowi kamulcem wielkości bochna chleba, zdjął w ostatniej chwili Belzebub. Wbił puginał pod pachę tamtego, a później drugi raz – w łopatkę. Zbir upadł na ziemię.

Po chwili kompani pomogli uwolnić się Nicetasowi. Teraz już nie

było przebaczyć. Rozwścieczony Wielka Pięść skoczył na bandę Makarego, sowing rozdając razy. Tylko kości trzaskały, chrupały łamane nosy. Nikt jednak nie krzyknął głośno, nie zawołał pomocy, która i tak by nie przyszła. Słyszeć było tylko zduszone jęki i rżenie.

Kalikst wycofał się, kryjąc pugiął pod kamieniem kilka kroków za namiotem. Wrócił z długim na łokieć zaostrzonym sękatym patykiem.

Zabił nim ostatniego oprycha, który chwilę wcześniej złapał tłącą się pochodnię i pchnął nią w twarz Jałmużnika.

Waldemar, wyjąc rozzierająco, skoczył w przód, by obalić zbira. Ten jednak już osunął się martwy na ziemię.

Nicetas sięgnął po żagiew. Jeszcze dawała nieco światła, obficie przy tym kopcąc.

–Khijek? Załathwiłeś ich zaostrzonym pathykiem? – zdziwił się, wyszarpując tę zaimprovizowaną broń z szyi bandziora.

–A co? Masz lepszą kosałkę? Tę, za którą lipał Makary?

–Nho... Nie mam. Żadnej kosałki! Makharego chyba osioł w bańkę kopnął. Gamoto! Khinol mi połamali!

Odrzucił kijek i chwycił się za nos. Wciąż szła z niego krew, zalewając usta.

–Niezły jest! Niezły jest Kalikst! Kołkiem ich zadźgał, jakby mieczem wywijał! – rzekł z podziwem Wodnik. – O! A jak Makarego przyszpilił. Patrzcie! W oko mu wepchnął!

Jałmużnik też był zachwycony.

–Zasłużył sobie! Dobrze, że ktoś wreszcie tę świnię wykończył! Tu już pół obozu robiło podchody, jak tego ćwoka złomotać.

Belzebub ostudził ich zapały.

–Doigrał się. Teraz to bez znaczenia. Mamy... Raz, dwa... Sześć trupów. Trzech nawiało, ale jeżeli chcą przeżyć, to zawrą gęby na kłódkę. Tyle że tych tutaj musimy uprząć. I krew zetrzeć, bo zaraz gady się zejda i będzie bardacha.

–Dzięki, ziomek – powiedział Nicetas, gdy już opanował krwotok z nosa. – Kto go tam wie, tego Makarego. Pewno gdyby nie ty, toby teraz tamci nasze trupy wlekli. A ja żem myślał, że ty po jego stronie, nie po naszej. Bośmy tu już szykowali na niego mały wypad. Ale nas ubiegł.

–Nie ma za co dziękować, Nicetas. Tyś zawsze był moim kompanem, co się nie działo. Ale teraz nie trza nam gadać, tylko truchła wynieść.

–To co robimy?

–Z obozu z taką stertą zadźganych nie wyjdziemy. Gady się przyssa i będzie bitka, ale wtedy z patykami nie damy rady. Ale jest takie miejsce... Tam na tyłach, gdzie jeszcze wału nie wzniesli.

–Co to da? Tam Waregi stoją. Zbrojne, przejścia pilnują.

–Nie pękaj! Będzie dobrze. Ty mi, Nicetas, wciąż nie wierzysz! Myślisz, że łąę jako ten Saracen!

Osilek stropił się.

–Nie... Ale... No...

–No właśnie! Niech każdy złapie jednego i obwiąże mu rany, coby jucha nie kapiała. Ponieście ich tam, gdzie poprowadzę. Cicho, gęby na kłódkę, no i lipajcie na gadów. No co ty robisz, Wodnik?! Mówiłem, baczcie na juchę. Jak który kapie, to szmatą mu ranę obwiązać, coby ślady do nas kogo nie sprowadziły. No to już!

Zrobili, co im Kalikst kazał, i ruszyli chyłkiem w mrok. Szczęście, że

odgłosy awantury nie ściągnęły ciekawskiej gawiedzi. Strażnicy też nie zdradzali zainteresowania. Tym bardziej teraz, gdy hałasy ucichły i ponad obozem niosło się jeno brzęczenie cykad.

Belzebub poprowadził kompanów znaną już sobie ścieżką z dala od straży. Jeszcze sto kroków i zobaczyli ognisko Waregów.

–Idziemy! – polecił cicho. – Pochylcie się tylko i mordy w kubeł.

Targali trupy, aż dotarli do skał. To był już kres obozowiska. Po prawej ciągnęły się tufowe ułamki, z lewej zaś – ledwie wykopany rów.

–Zwalcie ich tutaj.

–Co to za miejsce? Rano przyjdą wał sypać, to ich znajdą i na jedno wyjdzie.

–Zrzucaj tutaj i chodu. Nie myśl o tym, co jutro!

Ciała z głuchym łoskotem spadły do dołu.

* * *

Płody! Płody!

Płody?

Nie, to nie płody!

Wątroby!

Czuł ich zapach. Sapał. Kręcił gniewnie głowami. Pluł żółtą śliną,

tocząc na boki smród gnijących ryb.

Nie, Purrhos nie jadł ryb. Nigdy, choćby miał cierpieć katusze głodu. Tylko nimi śmierdział.

Czerwony demon jadł płody i wątroby. Ale te... Te tutaj nie pachniały tak świeżo. Nie! Wątroby nie były żywe. Martwe. Ale jeszcze ciepłe. Jeszcze krew w nich nie zakrzepła do końca.

Strzykając parującą cieczą z żołądka, ruszył tam, gdzie prowadził go zapach. Na dół, za skały. Tam, gdzie w oddali błyskał ogień.

A przy ogniu – oni. Zbrojni. Miecze. Teraz nie było ich zbyt wielu. Mógł poodrywać im głowy i wydrzeć świeże wątroby. Tak, to kusilo. Paru zaspanych, słabych ludzi okrytych metalem. Dwa szarpnięcia pazurem, trzy ukąszenia kłów.

To później. Teraz trzeba nabrać sił, chwytając łatwiejszy łup. Mniej smaczny. Ale po nim przyjdzie czas na lepszą ucztę.

Przemknął z dala od ognia i przywarł do ziemi, nasłuchując. Cisza. Tylko szum owadów.

Zapach. Nie potrafił się dłużej powstrzymać.

Szarpał trupy, bryzgając krwią na boki. Wątroby! Były jeszcze ciepłe. Wątroby! Dobrze! Smaczne! Sycił się ich aromatem, w którym wyczuwał wino, czosnek i nuty innego mięsa – zwierzęcego. I ta lekka twardość ożywiana wciąż jeszcze świeżą krwią.

Purrhos zawył z rozkoszą. Dobrze! Dobrze jest i wcale nie zdechłe. Jeszcze ciepłe. Jeszcze żywe!

W podnieceniu wyszedł spod skrzydeł mroku. Wtedy właśnie nadbiegli Waregowie zaniepokojeni dziwnymi odgłosami.

–Gamoto! – zaklął jeden. – Co...?! Co to jest?!

Zaraz zjawił się drugi zbrojny. Krew odpłynęła mu z twarzy, ale stał

dzielnie. Gdy opanował mdłości, wyszarpnął miecz i skoczył w dół, prosto na demona.

Bestia zawyła z radości. Jeszcze jedna wątroba! Ciepła! Sama przyszła!

Ciach! Wareg padł bez życia. I bez głowy. Chlast! Wypłynęły wnętrzności. Wątroba!

Drugi strażnik nie ryzykował. Obrócił się na pięcie, a potem gnał w stronę ogniska ile sił w nogach.

–Uciekaj! Chodu!!! – wrzeszczał do kompanów nieświadomych, co czyha na nich w rowie. – Bestia! Zabiła Holmiego! Ratuj życie! Bestia!

Tamci nie od razu uwierzyli. Myśleli: A może tyś, bratku, zbyt do beczutki się tego wieczora przytulał? Może zbyt całował jej szerokie usta? Ich brodate gęby rozciągnęły kpiące uśmieшки: Ten nasz pijus Askold zawsze lubił figle!

Drwiny wywietrzały im z głów, gdy zobaczyli czerwony łeb. Pozbawiony nosa i oczu, ale za to szczerze uzębiony. Z paszczy ciekła krew, a skrawki mięsa dyndały na kłach niczym listki na wietrze. Zaraz wychynęła z dołu druga głowa. Jej nozdrza poruszały się, wietrząc jeszcze więcej wątrób. Oczy błyskały złowrogo jak nocna burza.

A później demon zniknął w mroku.

Po Waregach pozostały tylko strzępy

* * *

Nocne zdarzenia przyspieszyły to, co było nieuchronne. Ledwie wśród ludzi rozeszła się wieść o pięciogłowym smoku, który rozerwał kłami i pazurami, a potem spalił oddechem oddział okutych w zbroje Waregów, do obozu przybyły posiłki. Normañscy najemnicy, którzy swoją siedzibę mieli ćwierć dnia drogi w kierunku Cezarei, nadciągnęli późnym popołudniem. Do wieczora objechali okoliczne wąwozy i pagórki, szukając krwiożerczej bestii. Bezskutecznie.

W tym czasie stratopedarches o nazwisku Koifides, dowódca straży wyznaczony jako tymczasowy nadzorca obozu, próbował rozwiązać zagadkę tajemniczego morderstwa rekrutów. To, że się męty brały za łby i wzajemnie wykańczały, nikogo nie dziwiło. Niemal każdego ranka w rowach czy pod namiotami znajdowano świeże zwłoki – sęk w tym, że zazwyczaj przyczyną śmierci było uduszenie, skręcenie karku lub rozłupanie łba kamieniem. Tym razem jednak denaci zostali mistrzowsko zadźgani ostrzem – stratopedarches od razu rozpoznał, że w ruch poszedł puginał. To budziło niepokój. Któryś z oprychów miał więc nielegalną broń. Kto i skąd? Tego nie dało się wyjaśnić. Nikt nic nie widział. Nikt nic nie słyszał.

Ponieważ śledztwo stratopedarchesa nie przyniosło żadnych efektów, wysiłek dowódców poszedł w inną stronę. Zbrojni zapędzili wszystkich bez wyjątku do sypania wałów. Dzięki temu obóz został umocniony jeszcze tego samego wieczoru.

Nazajutrz przed południem do obozu przyjechał Aleksy Komnen. To on miał pociągnąć najgorsze szumowiny zebrane z całego cesarstwa do zwycięskiego boju przeciwko Seldżukom. Do walki o Antiochię, złote miasto Syrii. Komnenowi towarzyszyli oficerowie, wyznaczeni na hekatontarchosów – a więc pogłoski, jakoby Makary miał zostać wodzem setki wojowników, były całkowicie bezpodstawne. W jego świcie znalazł się także niewielki oddział jeźdźców klibanophoroi.

–Teraz nas wezmą w obroty... – mruzczał Nicetas. – Puszczą bez broni na Seldżuków jak kozy na rzeź...

–Głupoty gadasz – studził jego niepokój Kalikst. – Oddadzą nam broń i wyszkolą. Wyszkołą, tylko jeszcze nie wiem, jak i na kogo.

I miał rację. Po południu przybył niejaki Charyton zwany Scholarem – zarośnięty dziad z długą brodą bełkoczący coś niewyraźnie pod nosem. Jeszcze większe zdziwienie budził orszak, jaki mu towarzyszył. Kilkadziesiąt wozów wyładowanych rurami, syfonami i pakunkami. Za nimi bojowe rydwany. Cała ta karawana z turkotem przetoczyła się główną aleją między namiotami i zniknęła na skraju obozu w cieniu kapadockich skał.

–Coś tu śmierdzi, mówię wam. Coś tu jedzie trupem i stęchlizną – narzekał dalej Nicetas. Odpowiadała mu grobowa cisza.

* * *

–Jestem Tyberiusz. Zwą mnie też Piąchulec. I tak też możecie na mnie wołać: hekatontarchos Tyberiusz Piąchulec. Zwróćcie uwagę zwłaszcza na drugą część mojego imienia. Piąchulec to znaczy, że wasze zdanie się nie liczy. Co macie mi do powiedzenia, nie obchodzi mnie ani trochę. Was zaś powinno obchodzić to, żeby nigdy nie poznać Piąchulca od najgorszej strony.

Nicetas smarknął i plunął flegmą prosto pod nogi nowego dowódcy.

Ten zarechotał. Przededefilował przed setką swoich nowych podopiecznych, nie okazując ani krztyny złości. Znacząco przebierał palcami swej mocarnej łapy, zaciskając, to znów rozluźniając sękate paluchy.

–Więc tyś jest... Hę, jak cię tam zwą?

–Nicetas. Nicetas Wielka Pięść.

Hekatontarchos wybuchnął szczerym śmiechem.

–Wielka Pięść? Ha, ha! No to trafił swój na swego. Wielka Pięść na Piąchulca. Pokażże tę swoją łapę, niech ocenię, czy nie zwa cię tak na wyrost.

Dryblas wznosił zaciśnięty kułak na wysokość oczu.

Tyberiusz błyskawicznym ruchem wyprowadził cios prosto w żołądek Nicetasa. Osilek zbiełał na twarzy i z jękiem upadł na ziemię. Oczy zaszły mu łzami.

–Widzisz, z pięściami to nie jest tak jak z kutasem – tłumaczył tymczasem Tyberiusz. – Kutas musi być wielki i powolny. Pięść wielka może być, ale nie powolna. Pięść musi być szybka, zrobić swoje jednym uderzeniem. Czyli inaczej niż kutas, bo nim raz uderzyć to za mało. No co, dobrze mówię, chłopaki?

Stojące w nieco krzywych szeregach oprychy przytaknęły bez entuzjazmu. Setnik prawił dalej:

–Nic ci z takiej łapy, jak jesteś ociężały i mało bystry. Gdy przedłużysz swą pięść ostrzem, to tak samo. Rozmiar ci nie pomoże. Seldzuka byś nie ubił, bo to szybcy diabli, serce by ci zaraz wydarli.

Patrzył, jak Nicetas niezgrabnie dźwiga się na nogi i staje w szeregu.

–I do tego jeszcze kuternoga... – mruknął, widząc nieporadne ruchy osiłka. – Czeka mnie dużo roboty z wami, łazęgi.

Szedł dziarskim krokiem, patrząc każdemu z rekrutów głęboko w oczy. Marsowa mina nie schodziła z jego twarzy, bulwiasty nos wypuszczał ze świstem powietrze. Chyba jednak oględziny wypadły pozytywnie, bo po chwili Tyberiusz przystanął, krzyżując ramiona na piersi i gromko przemówił:

–Odkąd tu przybyliście, zastanawiacie się, co dalej z wami. Po co tkwicie w tym obozie? Po co te wały dookoła? Kiedy dostaniecie broń? Kiedy ruszycie na Seldzuka? Takie pytania cisną się do waszych głów, a ja na niektóre zaraz odpowiem. Nie na wszystkie. Jeszcze dziś przemówi do was nasz wódz, Strategos Aleksy Komnen, który lepiej umie składać słowa i co tam nie wiecie, wam rozjaśni. Co do mnie, to rzeknę krótko: broń dostaniecie i ruszycie na Turka wtedy, gdy nauczycie się, jak walczyć. Tak, bo wywijanie nożykiem w ciemnym zaułku to jeszcze nie wojaczka. Ja was nauczę, jak być żołnierzami. I dla was, i dla mnie lepiej, żeby to było jak najszybciej. Chyba każdy z was chciałby poczuć już smak seldzuckiej krwi, pić ją, zamiast wdychać kurz tego pustkowia. No powiedzcie, czy nie?

–Tak! Tak jest! Na Seldzuka! Krwi! Krwiii! – podniosły się wrzaski.

–Dobrze! – pochwalił obrzymptałów Piąchulec. – Widzę, że przynajmniej ducha bojowego macie, a to najważniejsze. Zanim jednak będzie do was mówił wielmożny Aleksy Komnen, poćwiczmy manewry. Żebyście potrafili stanąć prosto w szeregach i przemieszczać się w nich, nie gubiąc kroku. Przynajmniej tyle na początek.

* * *

Na manewrach minął im czas do wieczora. Był to czas kompletnie zmarnowany. Hekatontarchos Piąchulec klął i pluł z wściekłości, wzywał wszystkich świętych, wymieniał imiona wszystkich diabłów. Bezskutecznie. Zbieranina rzezimieszków z całego cesarstwa nie przejawiała chęci do musztry, a wykonywanie rozkazów przychodziło jej niemrawo.

–Co wy mi tu, ociążałe dupy nieruchawe, koproskilo, za cieniznę

odstawiacie, co to ma, do jasnej kurwy, być?! Ha?! Chcecie jak jakieś Italczyki dupowate, jak niedojdy, co po grecku nie gadają, iść i przed samym Strategosem Aleksem Komnenem stanąć. Ja powiem: Hekatontarchia na prawo, trzy kroki do przodu i stać, a wy jak woły pójdziecie na lewo dziesięć kroków? Niedoczekanie, łajzy, będziecie tu dreptać w miejscu, aż się nauczycie.

Musiał jednak dać za wygraną. Przyszedł wieczór i obóz załśnił tysiącem pochodni. W oddali zagrały rogi i na ten dźwięk setnik Piąchulec tylko westchnął z rezygnacją.

–No dobra, bando nieudaczników! – ryknął. – Ruszać się! Na prawo i marsz! Idziemy, równo!

* * *

Strategos Aleksy Komnen zaczął bez ogródek:

–Zginiecie! Wszyscy oddacie swe doczesne życie i staniecie nadzy przed Bogiem, który będzie was sądził. Za swe grzechy, tego jestem pewien, traficie do najniższych kręgów piekieł, by znosić najgorsze katusze. Nim was jednak diabli będą w kotłach z wrzącym ogniem gotować, zobaczycie piekło tu, na ziemi. Piekło zesłane przez Szatana: seldżucką nawałnicę, dziką, bezlitosną i pełną pogardy dla nas, chrześcijan. Zginiecie pod jej nożami jak jagnięta na rzeź powiedzione.

Wielmoża potoczył wzrokiem po słuchaczach, patrząc, czy jego słowa mają odpowiednią moc. Miały – w blasku pochodni lśniących wokół jak oczy diabłów widać było zacięte, ponure twarze. Narastająca w nich nienawiść walczyła z ciężącym zniechęceniem. Komnen z zadowoleniem przeszedł do dalszej części swej przemowy:

–Zginiecie, bo jesteście bandą szubrawców i mętów, które nie nawykły do wojskowej dyscypliny. Bo wolicie siedzieć w tawernach i przepijać solidy skradzione spokojnym kupcom, wydarte mieszczkom i zrabowane wieśniakom. Zginiecie, bo brak wam pokory i nie chcecie słuchać swoich hekatontarchosów.

Przerwał na chwilę, by podkreślić wagę ostatnich słów.

–Hekatontarchos jest dla was jak ojciec. Gdy będziecie go słuchać, przeżyjecie, a przed Bogiem staniecie dopiero jako starcy pobieleni siwizną. Gdy będziecie poważać swoich wodzów, Seldżuk dziki przelęknie się już na sam widok waszych zwartych szeregów, bo w lot pojmie, że ma przed sobą wojowników dzielnych, doskonale wyszkolonych, oddanych swemu panu, wiernych Bogu i ojczyźnie. Pierzchnie, a wy ocalicie swój nędzny żywot. Mało tego! Basileus cofnie wam wszystkie wyroki, daruje przewiny, a to, co zdobędziecie na tej wojnie, będzie wasze!

Tu słowa Strategosa przerwał wybuch radości słuchających go ochotników. Radości nie do końca spontanicznej, a przynajmniej nie od razu. Setnicy groźnym pomrukiem zagrzewali swoich podopiecznych do odpowiedniego entuzjazmu:

–No, pokażcie swemu wodzowi, jak się cieszyce! No, okażcie trochę wdzięczności.

Jednako później zachwył oprychów dla słów Aleksego Komnena płynął już z głębi serca.

–Złoto! Złoto, wino i kobiety! Wszystko dla nas! Niech żyje Strategos Aleksy Komnen! Niech żyje!

Wódz uniósł w górę miecz, wtedy radość tłumu sięgnęła zenitu. Zgodny ryk odbijał się echem o skały:

–Antiochia! Antiochia! Złoto!

–Tak, złota Antiochia – ciągnął swą przemowę wielmoża, gdy głosy

przycichły wreszcie. – Miasto, w którym od wieków rozbrzmiewała grecka mowa, do czasu aż posiadł ją Saracen. Utrata Antiochii to sroga cena za to, że siedem lat temu basileus Roman IV Diogenes powstrzymał pod Manzikert buńczucznych najeźdźców ze stepu. Niestety była ich taka moc, że nawet pobita w Armenii dzicz w odwrocie pochwyciła to piękne miasto. Dziś nadszedł dzień, w którym cesarstwo może pójść o krok dalej. I odzyskać swe dawne ziemie! Najpierw Antiochię i port Saint Simeon, później Laodyceę, Aleppo, Damaszek. Jerozolimę! Będziemy tak zdobywać miasto po mieście, aż odbudujemy cesarstwo w takich granicach, jakim było za czasów cesarza Justyniana!

Gdy to powiedział, zza postumentu, na którym stał Aleksy, wytoczyła się niewielka machina oblężnicza osadzona na drewnianych kołach, pchana z wysiłkiem przez sześciu drabów. Wielkie chłopiska z mozołem przetoczyły ruchomą konstrukcję na środek placu i tam pozostawiły.

Wódz odprawił ich krótkim gestem, wtedy zza szeregów wypadł z łoskotem rydwan. Zaprzęgnięty w dwa konie, szczelnie osłonięty kolczugami oraz narzuconymi na nie ciężkimi kapami rwał naprzód po wybojach jak narastająca burza. Powoził brodaty ponurak odziany w długi płaszcz ze skóry, Charyton Scholar.

–Ha! Haa! Haaa! – krzyczał.

Kalikst dostrzegł, że jego płaszcz wykonany z grubej skóry ociekał wilgocią, jakby rydwannik wyszedł właśnie z rzeki po niechcianej kąpieli. Z tyłu jechało na wozie dwóch żołnierzy również odzianych w grube płaszcze z kapturami. Między sobą trzymali długą rurę z miedzi usztywnioną drewnianym drągiem.

Rydwan zatoczył dwa szerokie koła po placu. Scholar wrzasnął swoje Ha! Haa! Haaa!, po czym nagle rura plunęła długim strumieniem płonącej lawy.

W szeregach podniósł się szept niepokoju. Rzędy oprychów, którzy niejedno widzieli, zafalowały – trzy tysiące par oczu z przerażeniem patrzyło, jak ognisty język nabiera mocy niczym wąż oplatający tron

samego Szatana z piekieł, po czym oderwany sunie w powietrzu, przybierając nagle kształt feniksa frunącego pod niebiosą.

Płynny ogień spadł na maszynę, szczelnie otulając ją płomieniem. Żółtopomarańczowe języki ogarnęły drewno, w ciągu kilku chwil zamieniając wojenną konstrukcję w gorejącą, kopnącą kulę.

–Gamo! Gamoto! Istne diabelstwo! Boże pomóż! – krzykliwie odważni opryszkowie przyzwyczajeni najwyżej do mordobicia w miejskich zaułkach, ale nie do rury z piekieł plującej ognistą śmiercią.

Na plac wybiegły osiłki, które wcześniej przytargały maszynę. Każdy z drabów dzierżył kubek z wodą i teraz polewał nią trzaskające płomienie. Na próżno! Zdawało się, że feniksowe języki sięgnęły jeszcze wyżej i liznęły chmury. Pomocnicy biegali tam i z powrotem – od maszyny do koryta, w którym zwykle pojono konie, a potem z pełnymi wiadrami prosto ku gorejącej konstrukcji. Na nic! Ogień szedł w górę i na boki i nijak było go ugasić.

–Sztuczka Szatana! Gamo! Przekleństwo! – szemrali rekruci niepewni, czy śnią na jawie, czy zawitali już do piekła.

Strategos stał z rękami założonymi na piersi, z lekkim uśmiechem. Gdy ogień jął przygasać, uniósł dłonie, dając znak, że ma być cisza.

–To, co tu widzicie, to nasza broń tajemna, zwana igró pyr, ogniem greckim. Dzieło geniuszu poddanego cesarstwa, inżyniera Kallinikosa, który z Bożą pomocą stworzył cudowną substancję płonąca nawet na wodzie. Ognia greckiego boją się Persowie, boją się Italczycy, Normanowie, Rusowie, Bułgarzy, wszyscy, którym przychodziło na myśl, by uprawiać zbrojactwo na ziemiach cesarstwa. Teraz wy dostajecie zaszczytu, by używać tego cudownego oręża. Więcej powie wam o tym Charyton Scholar, nasz mistrz ogniowy.

Na podest wszedł brodac, już bez grubego płaszcza, i ochryplym głosem zaczął:

–Ogień grecki został podarowany cesarstwu przez Boga ponad cztery setki lat temu. Od tego czasu dzikie narody ze wszystkich stron świata mają szacunek i poważanie dla siły rzymskiego oręża. Nawet nie myślcie, by posiąść tajemną recepturę ognistej substancji! Zna ją tylko Bóg, basileus i najwybitniejsze umysły naszego imperium. Już za samą myśl o tym, by wykraść skład mikstury, należą się baty i sypanie soli na żywe rany. Za próby wcielenia tego w życie: śmierć. Śmierć na torturach.

Scholar potoczył wzrokiem po tłumie. Z zadowoleniem stwierdził, że oprychy wyraźnie zmarkotniały.

–Igró pyr można wystrzelić z miedzianego syfonu, tak jak widzieliście teraz. Można też ciskać wypełnione nim garnki gliniane, tak by rozpadając się, raniły wroga i oblewały go ogniem. Jest to broń, która pełnię swych zalet objawia podczas oblężeń. Lana z murów na dzicz potrafi zamienić w morze płomieni największe oddziały napastników. Okrutne żniwo zbiera ogień grecki podczas walk na morzu. Zalany nim okręt nie ma najmniejszych szans, by wrócić do portu.

Szeregi zafalowały, zaraz jednak wyrównały się pod razami hekatontarchosów. Charyton Scholar przerwał, aż tumult ucichł, po czym prawił dalej:

–Nim ruszycie, by odebrać dzikusom naszą Antiochię, spędzicie w tym obozie jeszcze kilkanaście dni. Będziecie tu tak długo, aż poznacie wszelkie sposoby na to, jak walczyć ogniem greckim i używać tego daru Bożego nie tylko do obrony podczas oblężeń, ale także w trakcie zdobywania twierdz. Jednak musicie zachować należyta uwagę! Ta broń nieumiejętnie stosowana szybko obróci się przeciw wam, a to prowadzi do klęski.

Rozdział 3

–Tędy, panie, zapraszam!

Jan Italos gestem wskazał solidne drzwi z dębowego drewna obite stalowymi sztabami.

Basileus Roman IV Diogenes zmarszczył czoło ze zdziwienia. W starej latarni morskiej na konstantynopolitańskim cyplu Saragikos, teraz domostwie swojego doradcy, bywał wielokrotnie – na ogół po to, by poznać przyszłość odkrywaną przez płomienie świec o kształtach demonów. Wtedy jednak szedł zawsze do góry po wąskich kruszejących schodkach do pracowni Italosa, zaś istnienia drzwi prowadzących do jeszcze jednego pomieszczenia dotąd nie był świadom. Dziwne, zważywszy na ich niemałe gabaryty.

–Cóż tam, filozofie? Cóż tam?

–Panie, znalazłem rozwiązanie jednego z naszych problemów. Coś, co pozwoli zapomnieć o ograniczeniach, które wynikają z tego, że przyszłość poznajemy jeno wycinkowo. I że nie możemy ujrzeć jej wszystkich aspektów...

–Masz na myśli to, że wciąż nie wiesz, kim jest skrytobójca i kiedy zaatakuje?

Italos targał brodę, łypiąc przy tym sowimi oczami.

–Hmm... W zasadzie tak, tak to należy określić. Chociaż słusniejsze byłoby określenie: przyszłość nie odsłoniła przed nami, kim jest skrytobójca i kiedy...

–Dobrze, dobrze. Prowadź!

Filozof dobył spod szaty klucz i z niemałym trudem przekręcił go w zamku. Szarpnął za pokryty śniedzią pierścień. Drzwi stanęły otworem, z wnętrza buchnął ciężki zaduch jak z zapomnianego grobowca.

W środku było jeszcze gorzej. Powietrze wypełniał smród gnijącego mięsa drażniący zmysły niczym ostry szpikulec. Basileus szedł za Italosem, wpatrzony w nierówny płomień pochodni. Niepewnie stapał w dół po spiralnych stopniach, płytko oddychając.

–Zapraszam, panie. Do smrodu można przywyknąć, a tam na dole

jest więcej przestrzeni, to i powietrze podlega lepszej cyrkulacji. Tu, w przejściu, stoi jak dym w kominie.

Cesarz nic nie odrzekł. Zakrył tylko usta i nos skrajem szaty.

Wreszcie doszli na sam dół. Filozof dobył kolejny klucz i otworzył nim podwójne drzwi pokryte zielonym nalotem.

–To tajne przejście, panie – tłumaczył Italos. – Mało kto o nim wie. A właściwie już nikt. Niegdyś wiodło na zewnątrz murów obronnych, prosto do wody. Zewnętrzny wjazd był tak dobrze skryty, że nawet podrywając na wyciągnięcie ramienia, nie widać było, co tu jest. Tędy obrońcy Konstantynopola podczas morskiego oblężenia mogli sekretnie wymknąć się do łodzi. To musiało być dawno, jeszcze zanim latarnia na górze popadła w ruinę. Przebudowałem nieco to miejsce: teraz nie ma już wyjścia za mury, są za to obszerne loszki, gdzie chowam swe tajemnice... A teraz, panie, pozwól, że pokażę ci jedną z nich.

Za zielonymi drzwiami znajdował się długi korytarz. Tu znowuż uderzył w nozdrza ostry smród zepsutego mięsa. Narastał, im dalej szli.

–Italosie! – zaprotestował władca. – Gdzie ty mnie wiedziesz? Do trupiarni? Do zbiornika z odpadkami z jatki?

Roman Diogenes ze złością naciągnął na nos swój przetykany złotem płaszcz. Szedł za doradcą, obiecując sobie, że jeżeli wycieczka okaże się nic niewarta, skróci gburowatego uczonego o głowę. Zaraz doszli do ostatnich drzwi – zamkniętych tylko na grubą sztabę. Italos uchylił je z widocznym wysiłkiem.

Ze środka wydobył się syk, a później wysoki charkot, od którego cierpła skóra na plecach. Filozof śmiało postąpił w przód, oświetlając loch pochodnią.

W klatce z grubych stalowych prętów osadzonych na niezgrabnie ociosanych kamiennych blokach siedział stwór przypominający nadmiernie rozrośniętą jaszczurkę sięgającą kłębem do ramion

dorosłego mężczyzny. Czarną, kostropatą skórę bestii pokrywały ostre jak dziury kolce, z których sączył się parujący jad. Spośród nich sterczały skrzydła – niewielkie, zbyt krótkie do lotu, jakby doczepione dla kpiny. Masywne łapska pokraki – a były ich trzy pary – nerwowo przebierały, wprawiając w drżenie kamienną podłogę zasłaną potrzaskanymi kośćmi jakichś zwierząt i gnijącymi strzępami skóry oraz włosia. Złe, głęboko osadzone oczy potwora łypały wściekle na boki. Spomiędzy żółtych kłów wionął smród zgniłego mięsa.

Cesarz cofnął się. Na polu bitwy stawiał czoła najdzikszym zastępom barbarzyńców z dalekiego wschodu: Persom, Turkom, Pieczyngom, Chazarom, rozrywał gardła lwom i łamał rogi bykom, jednak ta demoniczna bestia wzbudziła w nim strach idący od żołądka do gardła, duszący, łomoczący w skroniach. Roman Diogenes z trudem panował nad odruchem, który kazał mu natychmiast, już teraz, niezwłocznie salwować się ucieczką. Na to jednak nie mógł sobie pozwolić, nawet jeżeli jedynym świadkiem był jego doradca.

–Co... Co to...? Italosie...?

–Basiliskos. To jest, panie, cesarz wśród węży.

–Basiliskos...

–Tak, panie. Najstraszliwsza bestia, jaka narodziła się na tym świecie. Szatańskie to dzieło, chociaż, śmiem przypuszczać, diabli z piekła mogą ode mnie pobrać wiele nauk. To jest najstraszniejszy, najbardziej potężny basiliskos, jaki swoimi krzywymi łapami kalał świętą ziemię. Jest to cesarz wśród węży i jaszczurów, bestia godna was, panie!

Władca cofnął się zmieszany. Gdyby nie okoliczności, przywołałby grubiańskiego filozofa do porządku. Tak buńczucznie przemawiać do autokratora! Jednak w słowach Italosa musiała kryć się jakaś głębsza myśl.

–Co? Co to ma być?! Mówże!

Mędrzec nie odpowiedział. Miast tego patrzył w rozmarzeniu na stwora, po raz tysięczny podziwiając prężące się pod czarną skórą mięśnie.

–Tylko popatrz na niego, panie. Zda się, jest niezgrabny, nieforemny, jakby diabeł, wypiwszy beczkę wina z piekielnych owoców zła, ulepił go dla zabicia nudy, szukając najbardziej nierealnej i niepraktycznej formy. To jeno pozory! Tylko popatrz, panie! Ciało ma gibkie i prężne. Potrafi wic się niczym wąż, skakać jak małpa, a łapy ma jak lew. Popatrz na te skrzydła! Za małe?! Tak, za małe, by wzlecieć niczym jastrzęb w przestworza, ale nie z ptactwem ma się on równać. Te niezbyt szerokie błony to jego dodatkowe wsparcie podczas walki. Skacząc, zyskuje dzięki nim kilkanaście stóp w górę, wzlataje nad głowę przeciwnika, by zaraz spaść w dół całym ciężarem swego ciała i rwać pazurami zaskoczoną i przerażoną ofiarę.

–Jestem pod wrażeniem – mruknął niechętnie cesarz. – Ale co mi teraz po takiej bestii? Nie w głowie mi teraz widowiska na hipodromie. Na zabawę przyjdzie czas po zwycięskiej wojnie.

–Nie, panie, to nie dla widowiska. Wierzaj mi, mnie również nie w głowie popisy na arenie, choć twe zadowolenie, jakie zapewnia dobra rozrywka, bez wątpienia także leży mi na sercu. Ale nie teraz! To będzie twój obrońca!

Roman Diogenes zaśmiał się nerwowo.

–Mój obrońca, ha, ha! Dopóki mu w brzuchu nie zaburczy. Wtedy stanę się jego obiadem, przed którym ty będziesz przystawką. Trochę gorzką i szczeciniastą, ale nie wygląda na to, by bestia była wybredna.

Italos jął nerwowo szarpać brodę. Pociągnął nosem, kaszlnął. Nie wiedzieć – z nerwów czy może dopadły go pierwsze objawy przeziębienia od ciągnącego z podziemi chłodu.

–Musisz mu, panie, pokazać, kto tu jest władcą. Musisz mu

pokazać swój majestat i siłę, wtedy będzie twoim sługą.

–Ach tak – rzekł z kpina cesarz. – A więc dobrze!

Podszedł bliżej klatki i krzyżując ramiona na piersi, drwiącym tonem zażądał:

–Bestio, królu węży, złóż mi proskynesis! Natychmiast, jakem basileus Rhomaiôn, z Bożego namaszczenia władca Cesarstwa Rzymskiego!

Postąpił jeszcze dwa kroki w stronę potwora i wbił w jego oczy stanowcze spojrzenie.

Ślepią bestii miały kolor czerwonego wina połyskującego na dnie pucharu. Lśniły niczym dwa klejnoty porzucone w ciemnościach. Całkowicie nieludzkie, nawet niezwierzęce, obce. Diogenes zamrugał powiekami, uniósł rękę ku skroni, garbiąc się pod nagłym uderzeniem bólu i znużenia.

Jakaś siła jąła go ciągnąć w otchłań. W mroczną czeluść, gdzie nic nie widział, ale wyczuwał ruch. Tysiące, setki tysięcy długich ciał, płaskich łbów, z których z sykiem wysuwały się rozdwójone języki. Węże! Oplatały umysł cesarza, wciągając go w czarną głębię, dusząc, odbierając resztki świadomości. Mrok gęstniał aż do barwy smoły, nagle jednak zaczął czerwienieć. Basileus stracił dech, wyschnięty język skołowaciał, przed oczami zatańczył mu biały pył niczym popiół z rozsypanego ogniska. Uszy wypełnił szum – jednostajny, lepki, ciężki.

Wtedy zobaczył w ciemnościach drugi – a może ten jedyny prawdziwy – łeb stwora. Pięciokroć większy, nabity nieregularnymi guzami i kolcami wznosił się ponad korpusem bestii – nierealny, jakby basiliskos stanął na tle jakiegoś mglistego malowidła. Wykrzywiona wściekle paszcza uzbrojona w rząd lśniących kłów pochyliła się, by zatopić je w bezbronnej duszy cesarza.

–Panie, nie! – zakrzyknął Italos i pochwyciwszy władcę za łokieć, energicznie szarpnął go w tył. Brutalnie, ale skutecznie. Roman IV

zatonął się jak pijany, zaskrzeczał i padł bez sił w ramiona filozofa.

Mędrzec odciągnął swego pana w bezpieczny kąt, gdzie basiliskos nie sięgał wzrokiem, a i smród gnijącego mięsa był mniejszy.

Gdy Diogenes doszedł do siebie, uczony jął tłumaczyć:

–Panie, nie zdążyłem cię ostrzec! Nie można mu patrzeć w oczy. Nie wtedy, gdy człowiek jest na to nieprzygotowany. Wzrok bestii to obok jego mocarnych łap i pazurów jeszcze jedna broń. Zniewala nim nieostrożne ofiary, które podejda zbyt blisko i okażą zbytnią ufność. Jest podstępny, jak na cesarza węży przystało, więc podchodząc do niego, trzeba mieć umysł osłonięty jak rycerze osłaniają swe ciało zbroją.

Basileus patrzył na swego doradcę zubożniały, łapczywie łykając stęchłe powietrze, które teraz miało dlań świeżość morskiej bryzy. Otworzył usta, by coś rzec, jednak skołowaciały język odmówił posłuszeństwa. Roman IV wybełkotał tylko kilka niezrozumiałych słów i zamilkł, krztuszając się z braku śliny.

Jan Italos pociągnął władcę w stronę wyjścia.

–Musisz przepłukać gardło świeżą wodą, panie.

* * *

Gdy cesarz doszedł do siebie, Konsul Filozofów zaczął tłumaczyć:

–Nie zdążyłem, panie, powiedzieć ci o tym, jak straszna jest to bestia. Gdybyś sam wpadł w sidła jej wzroku... Cóż, nic by ci nie pomogło. Ale spójrz na to z innej strony. Wyobraź sobie, jak basiliskos zniewoli twoich wrogów. Zanim ich rozszarpie pazurami

lub zadusi swym węzowym ciałem...

Roman IV Diogenes wlał zawartość złotego kielicha do ust. Kolejny puchar wina przyniósł ukojenie zaschniętemu gardłu i uspokoił nerwy.

–Czułem się jak zwykła mysz opleciona przez węża, wciągana do wnętrza ziemi, do gadziej dziury. Ja, autokrator, władca Imperium Rzymskiego stłamszony niczym byle kmiotek, strachliwy i bez ducha. Owszem, masz rację, to straszny stwór, nawet nie dlatego, że cuchnie zgnilizną i potrafi wleciec na dwadzieścia stóp nad głową ofiary, po czym szarpać ją pazurami. On wysysa umysł, dusi myśli i odbiera chęć do walki.

–O tak, panie. Zatem sam widzisz!

Nagle cesarz przybrał inny ton. Oстрыm głosem skarcił Italosa:

–Ale dalej nie rozumiem, jak ty sobie wyobrażasz, że to piekielne bydlę miałoby przemienić się w mojego obrońcę. Nie sadzę, by ugięło się pod siłą mego majestatu. Więc mów, Italosie, i nie kręć, bo już tracę cierpliwość!

–A więc, panie, żeby opanować jego moc...

–Nie! Czekał! Jeszcze jedno chcę wiedzieć, zanim powiesz mi o opanowaniu jego mocy. Skąd ty żeś w ogóle tę bestię zdobył? Tylko nie mów, że nabyłeś od syryjskiego kupca na targu albo dostałeś w podarunku od innego takiego szarlatana jak ty...

–Nie jestem szarlatanem, panie! A basiliskosa nie kupiłem i nie dostałem, lecz przywołałem.

–Przywołałeś skąd? Z otchłani piekieł?

–W istocie... Można tak rzec. W gruncie rzeczy, prawdę mówiąc, nie wiem.

–Jak to nie wiesz?! – wykrzyknął władca.

–Nie wiem, skąd pochodzą basiliskosy. Powiadają, że rodzą się z mroku i węzowej śliny w podziemnych jaskiniach Kapadocji. Inni utrzymują, że ich ojczyzną jest Armenia, gdzie przychodzą na świat w gniazdach orłów z podłożonych jaj węża. Ich pierwsze śniadanie to ptasie pisklęta przebijające swe skorupki. A gdy orla matka nadciąga z odsieczą, i ona staje się posiłkiem basiliskosa. Inni jeszcze wywodzą żywot tego stwora z Cyrenajki i wedle mojego przekonania...

Cesarz machnął dłonią w zniecierpliwieniu.

–Dość! Zamilcz! Nie czas teraz na bajki! Miałeś wyjaśnić, jak sprawić, by bestia została mym sługą.

–Pytałeś, panie, skąd pochodzą basiliskosy. Toteż odpowiadam...

–Mniejsza z tym! Mów, co zrobić, by mieć stwora na swe usługi.

–Trzeba wytrzymać jego spojrzenie. Pobić go w świecie, jaki otwiera jego wzrok. Raz złamany będzie ci zawsze służył i bronił cię przed wszelkim złem.

Roman Diogenes mimowolnie zadrżał.

–Jak?! Ledwie uszedłem z życiem przygwożdżony jak kurczak pod pazurami krokodyla. Bez magii nie idzie znieść spojrzenia tego twojego basiliskosa!

–Magia, jaką znam, nie jest w stanie nic zdziałać. Mniemam, że żadna znana ludzkości magia nie jest w stanie zabić bestii, przynajmniej nie dzieje się to ot tak, bez niczego. Jednak węża można pokonać wężowym sposobem. Podstępem i odwagą. A tej, panie, tobie nie brakuje.

Cesarz przytaknął w milczeniu, inaczej wszak nie uchodziło. Jednak w duchu czuł co innego: wiedział, że Italos bierze go pod włos. Nie mógł przecież przyznać, że na myśl o tym wężowatym stworzeniu z widmowym łbem paraliżuje go strach.

Filozof najwyraźniej wyczuł wahanie w zachowaniu władcy. Zerwał się jak wystrzelony z procy, po czym dziarsko pobiegł po schodkach do górnej pracowni.

–Panie...! Zakończmy to teraz! Raz a dobrze! – krzyczał z piętra. – Mam tu coś, co rozwiąże ten problem.

Zszedł, niosąc gliniany dzban przykryty czarnym kawałkiem materiału. Postawił go na stole i rzekł:

–Panie, musisz mi zaufać. To, co teraz zobaczysz, może cię zaniepokoić i zrodzić rozmaite podejrzenia. Jednak to jest jedyny sposób, by okiełznać kostropatego stwora i zdusić jego moc.

Italos szybkim ruchem odkrył dzban. W środku siedział wąż – biały jak mleko, zwinięty w kłębek. Filozof postukał w ściankę naczynia – łeb zwierzęcia uniósł się w gniewie, zielone oczy zalśniły jak małe szmaragdy.

–Jego jad nie jest śmiertelny, ale ma bardzo silne działanie. Należy tylko poddać się temu, co niesie, a potem... Potem tylko musisz, panie, poczuć w sobie prawdziwego władcę i zdusić spojrzenie basiliskosa.

–Zaraz, zaraz! Jak to jego jad? Co ty, knujesz, Italosie?! – Władca spojrzał na niego podejrzliwie.

–Musisz dać się ukąsić. Samemu stać się wężem, chociaż na chwilę. A później zabić dumę węzowego cesarza, okazując mu swój ludzki majestat.

W pierwszym odruchu Roman Diogenes chciał wyszarpnąć z za pasa pozłacany puginał i dźgnąć nim Italosa prosto w serce. Za taką zuchwałość, graniczącą ze zdradą. Za takie słowa, których nigdy nie należy wymawiać wobec autokratora. Zaraz jednak uszła z niego para i poczuł graniczące z pewnością przekonanie, że jednak mędrzec ma rację. To nowe uczucie zaskoczyło go – złość była wygodniejsza i bardziej naturalna. Roman Diogenes podszedł

z niechęcią do glinianego pojemnika i wpatrzył się w ślepia białego węża.

–Dziwny... Nigdy takiego nie widziałem. Skąd go masz? – zapytał, jednak zaraz zakrzyknął na myśl, że Italos rozpocznie kolejną opowieść bez końca: – Nieważne! Daj mi go. Niech będzie, co ma być. I powiedz, co dalej.

* * *

Zielone oczy zaśniły. Poczuł delikatne ukąszenie – jakby komara, nie węża. Spojrzał na rękę. Nie było śladu zębów, tylko lekkie zaczerwienienie.

Zielone oczy lśniły i rozszerzały się jak szmaragdowa gwiazda, która nagle rozbłysła na niebie. Miarowe migotania drażyły w duszy cesarza małe korytarzyki, węzowe przesmyki, a przez nie wyciekała jego świadomość. Poczuł ciężenie w głowie i cichy gwizd. Świdrujący dźwięk złączył się w jedno z zielonymi błyskami, budząc ból – dudniący, monotony, narastający znad karku.

–Italoo... – wystękał tylko. Język mu skołowaciał, łoskot pod czaszką sięgnął apogeum, brzmiał jak lawina głazów spadająca w górach starej Grecji.

Ty zdrajco! – chciał powiedzieć. Krzyczał w myślach: – A więc jednak! Otrułeś mnie! Biały wąż to zabójca! Pewno to on jest tym skrytobójcą, którego mi zapowiedziałeś. To ty jesteś spiskowcem, a twoja śliska, mała bestia barwy mleka jest moją śmiercią! Bądź przeklęty!

Zobaczył obraz, jakiego nie chciał nigdy widzieć. Widział samego siebie na jakiejś zagubionej wyspie na Morzu Egejskim, na

kamienistym spłachetku lądu zalewanym zewsząd słonym, wściekłym morzem. Był ślepy. Z pustych oczodołów sączyła się cuchnąca żółtawa ropa. I zaraz inny obraz: Michał Dukas na cesarskim tronie. I jego śmiech: Ha, ha, ha! Uzurpator Diogenes wreszcie trafi tam, gdzie jego miejsce. Do ryb jako pokarm, niechże obgryzą jego stare kości. Przegrał pod Manzikert i odtąd już nic nie znaczy. Ja jestem władcą!

Widzę to, co miało się stać siedem lat temu, gdyby nie proroctwa Italosa – pomyślał basileus. – Ale przecie filozof zdradził, pokazał swą podłą twarz i podsunął mi białego węża.

Nagle wszystko minęło, jakby Saracen ciął mieczem. Ból odszedł. Złe myśli pierzchły. Tylko nie ustało falowanie. Fatamorgana jak na pustyni, gdzie demony przeinaczają rzeczywistość.

Wtedy zaczęły nim targać zgoła odmienne uczucia. Siła. Moc. Pewność siebie. Radość. Euforia.

Postąpił chwiejnie kilka kroków w przód, w stronę klatki basiliskosa. Bestia dyszała gniewnie, a nad nią unosił się widmowy łeb szczerzący wielkie kły niczym smok z Kitaju.

Teraz jednak zaszła w niej jakaś zmiana, co cesarz dostrzegł dopiero wtedy, gdy zimne pręty klatki ochłodziły mu czoło. Wielki czerep stwora przypominał drewnianą maskę, sceniczny rekwizyt komediantów rozbawiających gawieź na hipodromie w przerwach między rozgrywkami w tyzkanion.

–Ha, ha, ha – zarechotał blaszanym głosem Roman Diogenes, wyciągając dłoń przez pręty. – No dawaj! Chodź tu!

Czerwone oczy cesarza węży wyglądały teraz jak namalowane. Jakby ktoś postawił pędzlem dwie plamki na wazie zdobnej w kształty stworów z dawnych opowieści. Pozbawione blasku, bez siły już nie przerażały. To jeszcze bardziej rozśmieszyło władcę.

–Zbliź się! Rozkazuję ci!

I o dziwo, stwór podszedł bliżej pewien swojej mocy i panowania nad człowiekiem. Kiwał widmową głową i wybałuszał ślepią, jakby głos natury wciąż łudził go, że tak może pokonać autokratora, basileusa imperium.

–Zbliź się, zbliź... – szeptał Diogenes.

Widmowe ciało bazyliuszka oddzieliło się od ciała ziemskiego – już nie tylko łeb, już nie tylko wielka paszcza z kłami i ślepią. Oddzieliła się także giętka szyja, korpus, skrzydła i masywne łapy. Diabelskie stworzenie uniosło kończyny, by zadać śmiertelny cios pazurami, by szarpać i rwać.

–Wyglądasz jak zabawka z Kitaju... Nie zdołasz mnie pokonać – wybełkotał cesarz, czując nagły przyptyw mocy. Tak silny, że aż poczuł mrowienie, a język wysechł mu niczym łodyga ostu na anatolijskim pustkowiu.

Wbił wzrok w oczy basiliskosa.

Nagle ciemny loch zawirował, a czerń podeszła krwistą czerwienią. Ta zaraz pojaśniała, przechodząc w porfirowy róż, potem w biel. Roman oślepl na chwilę. Świat wokół zawirował, kamienna podłoga wygięła się, falując niespokojnie.

Padł na plecy z krzykiem uwięzionym głęboko w gardle.

Gdy wstał, piwnica zniknęła. Miast niej była pustynia – wysuszona połać spierzchniętej żółtoszarej ziemi ciągnąca się aż po horyzont. W oddali ledwie dostrzegał niewysokie góry. Z nieba bił blask nienaturalnie wielkiego słońca. Gorąco. Duszno.

Gdzie jestem? – usłyszał własną myśl. Zaraz w jego duszy zabrzmiały inne słowa: – Zabij! Tnij! Bez litości.

Naprzeciw niego stała bestia. Basiliskos.

Bez widmowej głowy. Bez drugiego ciała.

W swej dłoni władca ujrzał miecz. Piękny, z białego metalu, o rękojeści misternie rzeźbionej na kształt głowy zielonookiego węża. Nie myśląc długo, wziął zamach i natarł na stwora.

–Giiiiń!!! – wrzasnął.

Basiliskos podskoczył, wzlatując w górę na swych małych skrzydłach. Ledwie uniknął draśnięcia ostrzem. Diogenes natarł na stwora, z zapamiętaniem młóćąc mieczem.

Słońce wypalało myśli. Pozostała tylko czysta nienawiść.

Dwa kwadranse później cesarz oparł stopę na uciętym łbie basiliskosa. Patrzył, jak czarna krew cesarza węży wsiąka w spragnioną ziemię pustyni.

–Pokonałeś go, panie – usłyszał jakiś głos z oddali. – Pokonałeś go, jest już twoim sługą...

Roman Diogenes poczuł zawroty głowy. Padł przed siebie, wprost na nieruchome cielsko pokonanej bestii.

* * *

Jan Italos pochylił się nad kamienną skrzynią. W środku dwanaście białych węży o zielonych ślepiach wygryzało swoje korytarze w stygnącym ciele niewolnika. Otwarte prawe oko martwego Nubijczyka wciąż patrzyło ze strachem i bólem, paniką i przerażeniem. Lewe oko zniknęło właśnie w przełyku wygłodzonego gada. Drugi wąż już wpełzał przez oczodół do środka głowy, by wyssać mózg.

–Moje maleństwa – rzekł filozof z rozczeniem. – Jedzcie,

jedźcie...

Posłyszał nagle dobiegający gdzieś z góry łomot. Miarowy, głuchy dźwięk.

–Co to, do diabła...?

Stukot. Silny, ale jakby płaski, drewniany.

Ktoś tłucze w drzwi – zrozumiał wreszcie wyrwany z wyższych myśli Italos.

Zaklął pod nosem i niechętnie oderwał wzrok od swych małych ulubieńców. Zamknął piwniczną komnatę i z niechęcią poczłapał na górę.

Łomotanie nie ustawało.

Przed wejściem stał mały człowieczek, właściwie karzeł. Ubrany był fantazyjnie na modłę żydowską.

–Witaj, panie – rzekł przybysz. – Jestem Jeroboam Joab z Jaffy, do usług. Moim panem jest...

Filozof przerwał mu.

–Nie, nie, Żydku! Nie potrzebuję twoich towarów! Idź do portu albo na targ, tam znajdziesz chętnych, by kupić twoje świecełka.

Karzeł niezrażony ciągnął:

–Moim panem jest Aaron Joakim z Geth, kupiec bronią, złotem i klejnotami.

–Nie, nie, nie! – zaprotestował Italos. – Nie potrzebuję ani broni, ani złota, ani klejnotów. Precz!

Niewielki człowieczek nie dał się zbić z tropu.

–Panie! Basileus jest w niebezpieczeństwie! Grozi mu śmierć!

–Brednie... – mruknął mędrzec bez przekonania. Dłuższą chwilę lustrował przybysza, obracając w ustach syczące przekleństwa. W końcu jednak uchylił szerzej drzwi. Skinął brodą, nakazując mu, by wszedł.

–Mój pan, Aaron Joakim, jest wdzięczny basileusowi, że nas, Żydów, traktuje dobrze jak żaden inny władca cesarstwa – tłumaczył Jeroboam, stojąc w progu komnaty. – Nie zakazuje modlitw, nie zakazuje handlu i nawet dozwolił, byśmy w obrocie mieli broń i wszelkie inne cenne dobra, które wcześniej sprzedawać mogli jeno Italczyci.

Filozof słuchał w milczeniu. Bacznie obserwował niskiego człowieczka, wietrząc jakiś podstęp. Ale nie. Karzeł nie wyglądał groźnie, nie nosił też przy sobie broni, no bo jego niewielki kindżał przesadnie wysadzany drogimi kamieniami był raczej dworską błyskotką dla gnuśnych wielmożów. Do rozcinania papieru, ale nie do zabijania.

–Dobry basileus, to i my lojalni i pokorni wobec tak zacnego władcy. Pan mój wozi najlepszą broń z Damaszku, Jerozolimy, nawet z Kitaju, najlepszy sort i jakość. Pewnego dnia do pana mego, Aarona Joakima, przybyli niezwykle podejrzani goście. Dwóch ich było: starzec i bardzo młody. Nie interesowały ich miecze ani szable, ani toporki i kiścienie, nasze najlepsze towary, lecz puginał. Nie chodziło im o zwykłe ostrze. Potrzebne nam magiczne ostrze, którego przełęknię się demony – rzekli. – Które da nam taką moc, że demony strażnicze ogarnie strach, a ich moc straci swą siłę. I tak mówili, mówili bez końca. Pan mój, Aaron Joakim, od razu zwiertzył, że to nikczemnicy i podłe kanalie. Miał u siebie taki puginał, a jakże, zdolny zamienić wściekłość demonów w lęk i przerażenie. A jakże! Ale nie sprzedał im tej broni, gdy zaś odeszli, tak mi nakazał: Idź za nimi i nasłuchuj, co mówią.

Karzeł przepłukał gardło kielichem wina podanego przez Italosa, po czym opowiadał dalej:

–Poszedłem więc. Nie jestem duży, więc łatwo mi się skryć. Śledziłem ich aż do tawerny, gdzie siedli w kącie i jęli spiskować. Nie będę ryzykował – powiada jeden, ten młodszy. – Bez broni, która nie pokona strażniczych demonów Diogenesa, nie zbliżę się nawet na krok do jego pałacu. Nie zabiję go. A stary rzekł wtedy: Musisz zaryzykować. Jak będzie trzeba, oddasz życie. Ale cesarz musi zginąć. Musisz go zabić! Z dalszej ich rozmowy dowiedziałem się wszystkiego. Wiem, kim są, co chcą zrobić, nie wiem tylko, dlaczego knują przeciwko naszemu dobremu władcy. Żem Żydek, to nie szedłem do pałacu, by się nie tłumaczyć po stokroć strażnikom i logotetom. Aaron Joakim wskazał mi ciebie, panie, i powiedział: To mędrzec i najwierniejszy druh i doradca basileusa. On nie zawiedzie.

–Dobrze, Jeroboamie – rzekł po dłuższej chwili milczenia Italos. – Twoja opowieść niezwykle mnie poruszyła. Powiedz zatem, kim są owi spiskowcy.

–Ten młody zwał się jak jakiś diabeł. Belzebub. Tak, Kalikst Belzebub! To on miał zabić. A ten stary, który namawiał do zbrodni, ujawnił swe imię jako Atanazy Meklidos. To miejskie złodziejaszki, szumowiny okradające uczciwych kupców, a najgorszy jest ten stary. Oba już nieraz dały się we znaki naszym przyjaciołom z kupieckiej domeny. Do nas przyszły, bo nam byli dotąd nieznani. Ale popytałem u innych negocjantów, co z Jerozolimy i Sydonu przybywają do Konstantynopola. Ten stary ma tu w mieście przebogate domostwo. A młody to nie wiem, uciekł gdzieś ani chybi. To bezwzględne oprychy, więc, panie, ratuj władcę!

* * *

Gdy Jeroboam wyszedł, Italos sięgnął do wiklinowej skrzyni stojącej w kącie komnaty. Grzebał w niej, szukając świecy o właściwym

kolorze. Wreszcie znalazł – miała barwę nieba, jakie widać z przystani przed sztormem. Kształtem zaś przypominała demona o głowie ryby i ludzkich nogach.

Filozof zatrzasnął okiennice, zamknął drzwi i przytknął ogień do knota. Pomieszczenie wypełnił niebieskawy dym wijący się w kłębach pod sufitem. Coraz głębsze chmury przysłoniły ściany, przykrywając cesarskiego doradcę gęstą powłoką sinej mgły.

Woskowa rzeźba drgnęła, rybi człek poruszył ustami, ściągając lekko płetwy. Błękitny płomień nieco zbiałał.

–Kalikst... Kalikst Belzebub... – wyszeptał Italos.

Wizja przyszła szybciej, niż się spodziewał. Zobaczył zabójcę, o którym mówił Żyd. Młody mężczyzna, potargany, brudny i pokryty ranami. Leżał skulony na dnie jakiejś jamy, prawie nagi, odziany jeno w brudną opaskę na biodrach. Wylot dołu osłaniała gruba krata z drewnianych drągów powiązanych rzemieniami. Wszystko wskazywało na to, że hultaj się doigrał. Zapewne wpadł na kradzieży, teraz tkwi pobity w loszku u jakiegoś pana. To raczej nie był ten tajemniczy skrytobójca, za którym stały siły demonów.

–Pewnie łotrzyk spiskujący z Italczykami – mruknął. – Jak to Wenecjanie. Najprościej wynająć miejscowego skrytobójcę, a jak się nie powiedzie, to oni są czyści...

Italos odgarnął ręką kłęby dymu i podszedł do skrzyni. Nie szukając długo, wydobyl stamtąd drugą świecę – czerwoną, prostą i gładką, płonąca pomarańczowym ogniem. Postawił ją obok poprzedniej i zaczął deklamować:

–Atar. Atar. Atar. Zurwan...

Wtedy zobaczył przyszłość. Kalikst Belzebub stał obok kata odziany w poszarpane łachmany. Tak samo brudny, obity, o twarzy skrytej pod skudlonymi włosami. Mistrz topora ostrzył swoje narzędzie spokojnymi, długimi ruchami. Tłum wokół podestu z pieńkiem ryczał w zniecierpliwieniu.

–Kacie! Nie zwlekaj! Utnij mu łeb i rzuć na pożarcie psom!

–Zabij go! Nie ostrz, tylko już zabij!

Mistrz małodobry nie reagował na te zaczepki. Spokojnie robił swoje. Wreszcie jednak gawiedź doczekała się widowiska. Zakrwawiona głowa opryszka spadła w błoto, gdzie natychmiast zaczęły ją obracać wygłodniałe kundle.

Filozof zgasił czerwoną świecę.

–Czyli doigra się za swoje czyny... – mruknął do siebie. – Prawdę rzekł Żydowin. Jednak widać, że ten jest niegroźny i nie pożyje już długo. Zobaczymy, jak ten drugi. Atanazy.

Tu Italos ujrzał zgoła inny obraz. Zobaczył dostatnio odzianego starca o zaciętej twarzy, z głową okrytą lekkim hełmem. Mężczyzna z dzikim blaskiem w oczach wywijał kiścieniem, próbując nim trafić w niewidzialnego przeciwnika.

–Zabiję...! Zabiję cię! – burczał niewyraźnie pod nosem. – Dla władzy zrobisz wszystko... Każdą nickszemność! Ale dość już tego!

Starzec z dziką furią wyprowadził serię uderzeń, tnąc powietrze, aż buczało.

–Ciekawe... – mruknął doradca basileusa. Odpalił czerwoną świecę i znów ją przywoływać przyszłość.

Zobaczył Atanazego Meclidosa w konstantynopolitańskim porcie, jak rozmawia z jakimś obwiesiem. Stali na pustym nabrzeżu z dala od gawiedzi. Tamten nie wyglądał na przyjemnego lekkoducha – orlą twarz krył pod czarnym, wyblakłym nieco od słońca kapturem. Bawił się puginałem, kręcąc ostrzem młynka. Słuchał słów starca, potakując niechętnie.

–Metafrastes zapłacił najwyższą cenę... Ta śmierć była niepotrzebna, ale prawda jest taka, że to ja za nią odpowiadam...

Italos popadł w zadumę. Metafrastes? Sergiusz Metafrastes? Czy nie tak zwał się ten logoteta z cesarskiego dworu zamordowany niedawno w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach? Tak, to był on. Wszystko zaczyna do siebie pasować. Stary go zabił albo najął jakiegoś zbira, a teraz chce wrazić ostrze w serce cesarza.

Czy ten w czarnym kapturze to mógł być tym tajemniczym skrytobójcą? Wielce prawdopodobne... Filozof nabierał coraz większej pewności, a brakujące elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Trzeba zawiadomić basileusa i podjąć stosowne kroki!

Zdmuchnął świecę i mrużąc oczy od dymu, wyskoczył na rozpaloną słońcem uliczkę biegnącą przez cypel Saragikos.

* * *

Metody jak zwykle czekał przed wyjściem z łaźni. Wygrzebywał końcem noża brud spod paznokci, gapiąc się na przechodzące kobiety.

Gdy na szczycie schodów stanął Eutymiusz, karzeł schował ostrze. Poczekał, aż jego pan pożegna się z Teoleptem Mędrce, po czym wykrzyknął rozentuzjasmowany:

–Pojmali Atanazego! Już go mamy z głowy!

Twarz Eutymiusza przeciął przebiegły uśmiech.

–Straż? Pojmała go straż?

–Tak, tym razem nie miał kogo podstawić. Szachista na wojnie, to i

Atanazego pojмали. Capnęli we czterech, skuli łańcuchem i powiedli do pałacu. Do więzienia. Tym razem posiedzi, a może go nawet też wezmą do wojowania z Seldżukiem. Dobra nasza i nasze szczęście!

Szli Mese, roztrącając tłum. Z tego przejścia Metody zapomniał nawet o skarbach, które ich otaczały. Nie interesowały go tym razem dobra na straganach kupców, nie wyrysowała mu się nawet w głowie mapa fantów do zwinięcia, która nigdy nie pozwalała karłowi przejść swobodnie przez środek miasta.

–Wybornie, wybornie... – powtarzał z zadowoleniem Eutymiusz. – A zatem nic już nie stoi na przeszkodzie, bym przejął pełną władzę nad gildią. Nawet jeżeli wypuszczą Atanazego, w co nie wierzę, ale kto wie... Nawet wówczas nie będzie miał szans na utrzymanie władzy. Powtarzające się incydenty podkopały jego prestiż w radzie gildii. Teolept Mędrzec zapewnił mnie, że mam już większość. Nikt już raczej nie będzie obstawał za Atanazym, a gdyby nawet... Nieobecni nie mają racji, a tych, którzy będą robić problemy... urobimy.

–Pewno! Mam jeszcze jeden koncept na takich, co robią problemy. Szpiegostwo!

–Szpiegostwo? Że oskarżysz kogoś o sprzyjanie Seldżukom? Aleś wydumał! To pierwszy pośród sposobów, sprawdzony i uznany.

–Ano jasne! Mam już w zanadrzu wszystkie argumenty, jakby trza było. Tylko podłożyć to i owo, mały donosik i...

Zawiesił znacząco głos, zaciskając przy tym pięść.

Eutymiusz pokręcił głową.

–Nie, nie przewiduję problemów. Będę miał większość. Gildia będzie moja!

–Wielki mistrz gildii złodziei w Konstantynopolu! – wydeklamował uroczyście Metody. – To brzmi tak dumnie, że aż mi się łezka w oku

kręci na myśl, że to dzięki mnie i moim zasługom...

Słyszając to, Eutymiusz z niechęcią sięgnął do mieszka zawieszonoego u pasa. Wydobyl stamtąd dziesięć złotych monet i podał Metodemu.

–Mały krwiopijca! Masz na razie tyle, resztę dostaniesz po radzie. Jak już zostanę jedynym panem gildii.

* * *

Zaskrzypiało. Krata poszła w górę podniesiona przez stękające liny. Do dołu wpadła sznurowa drabinka.

–Wychodź! – rozkazał hekatontarchos Tyberiusz Piąchulec.

Kalikst nawet nie drgnął. Leżał skulony, ignorując dowódcę.

–Wychodź, powtarzam! I powtarzam to po raz ostatni, bo możesz zostać tu na dłużej. Na dużo dłużej. Na zawsze. Przykryjemy ci to przytulne miejsce kamieniami i ziemią, żeby słońce zbytnio nie grzało.

Belzebub niechętnie uniósł głowę. Dwa dni, które spędził w polowym areszcie, sprawiły, że jedyne, co czuł, to obojętność i rezygnacja.

Niemniej wciąż potrafił sobie wyobrazić lepsze miejsca niż dół przykryty drewnianą kratą. Dźwignął się z ociąganiem, sycząc z bólu. Obite plecy zapiekły go chyba jeszcze bardziej niż wtedy, gdy zbierał razy.

Schwycił koniec drabinki i jął powoli iść do góry. Mrużąc oczy,

wypełzył na powierzchnię. Tam zaległ.

–No, widzę, że jednak nie zgłupiałeś tak do końca – rzekł Piąchulec. – Jeszcze masz w sobie wolę przetrwania. To dobrze rokuje na przyszłość, bo w mojej hekatontarchii nie ma miejsca dla przegranych i nieudaczników.

Kalikst leżał bez ruchu, ciężko dysząc. Tyberiusz sięgnął po bukłak. Wylał kilka kropel na czoło swojego niesubordynowanego żołnierza. I jeszcze kilka, ale nie za wiele. Belzebub machinalnie zlizął rześką ciecz, wreszcie wyciągnął rękę po więcej.

Piāchulec dał mu pić. Odczekał, aż rekrut pociągnie kilka długich łyków, po czym rozkazał:

–Wstawaj!

Belzebub powlókł się za dowódcą, z niechęcią słuchając, co ten ma do powiedzenia.

A ten prawil:

–Gdyby nie szczególne okoliczności, za taki występек czekałaby cię kara śmierci. Zabiłeś cesarskiego żołnierza, swojego druha na wojnie! I za co? Za nic, wystarczyło, żeśmy wam oddali skonfiskowaną wcześniej broń.

Kalikst splunął, wypychając z ust kurz i drobny piasek.

–Nie za nic – wystękał z wysiłkiem. – To bydlę już dawno sobie zbierało, bo...

–Zamknij się! To mnie nie obchodzi! Powiem ci jedno: łeb ocaliłeś tylko dlatego, że nie był z mojej setki. Gdybyś zadźgał któregoś z moich ludzi, sam bym cię skrócił o głowę. A tak... W tamtej hekatontarchii też go niezbyt lubili, zwali nawet Szczepan Złamany Fallus. Za jego plecami, rzecz jasna. Ale takich fallusów też nam trzeba, w końcu nie jesteśmy na wycieczce, tylko na wojnie. A na wojnie każdy jest dobry, a im jest gorszy, tym lepszy, że tak

powiem.

Tyberiusz wyciągnął rękę, wskazując namiot w oddali.

–Zgłoś się do swojego dekarchosa. Odda ci twoją broń i da jakieś nowe łachy, bo tak do walki nie pójdziesz. Jutro wyruszamy. Na Antiochię, więc bez żadnych rozrób tym razem.

Setnik podsunął mu pod nos swoją wielką piąchę i wycedził jeszcze:

–I pamiętaj! Jeszcze raz coś odstawisz, to skręcę ci kark jak kurczakowi.

* * *

Purrhos posępnym spojrzeniem wiódł za ciągnącą na południe kolumną wojsk. Pośród nich szedł Pan, którego trzeba było chronić. I pilnować. Równo uformowane dziesiątki i setki wojów niosących wszystkie rodzaje broni jakie wykuto na tym świecie. Szli monotonnym krokiem spoceni, zmęczeni, milczący. Demon na odległość wyczuwał ich zniechęcenie i narastającą nienawiść.

Wszedł wyżej na skałę i z tęsknotą obrócił wzrok na północ. Tam były płody. Jeszcze teraz czuł między zębami, na języku smak dziecięcego mózdzku niewykształconego jeszcze, galaretowatego jak morski owoc. Purrhos aż zawył na wspomnienie tej uczty: dwa dni drogi stąd, ciągnąc za maszerującym wojskiem, wpadł do jakiejś osady, gdzie znalazł ciężarną niewiastę. Niewielka twierdza na skałach strzegąca wioski otoczona była murem – wysokim, gładkim i trudnym do sforsowania, obsadzonym przez strażę. Jednak samą wioskę chroniła jedynie fosa i ziemny wał nabity ostrymi skałami. Ten nie stanowił kłopotu. Demon wpadł tam tuż przed świtem, gdy

upojeni winem strażnicy posnęli przy ogniskach. Przemknął niezauważony, cicho jak nocny ptak. Wiedziony zapachem i szczypaniem na końcu języka pognął w stronę domostwa na uboczu. Najpierw zabił człowieka, który spał w pierwszej izbie, tuląc miecz do policzków. Purrhos wyrwał mu broń z ręki i wbił między oczy, nim ten zdążył jęknąć. Kobieta spała w drugim pomieszczeniu. Darła się, widząc dwugłową bestię, jednak demon szybko ją uciszył. Odgryzł jej głowę i wycie natychmiast zgasło. Wypluł czerep i nim niewiasta padła na podłogę, nim ostygła, nim wyciekła z niej krew, wbił pazury w brzuch, wyszarpując kilkumiesięczne dziecko.

Zjadł je całe, mlaszcząc z uciechy.

Ale to było dwa dni temu. A teraz... Teraz otaczały ich tylko góry – nieprzyjazne, pozbawione życia. Tu już nie było nawet śladu człowieczych osad, a jedyny zapach, jaki czuł, to pot i zniechęcenie oddziału ochotników.

Gdzieś dalej, bardziej na wschód wyczuwał jeszcze inną woń: konie. Na grzbietach setek zwierząt jechali inni woje. Mówiący inną mową, lepiej odziani, obwieszeni jeszcze większą kupą żelastwa. Ciągnęli w tym samym kierunku, gdzie kolumny, pośród których był Pan.

Purrhos zawył z żalości. Owszem, to oznaczało kilka tysięcy żywych wątrób. Głód nie jest mu więc pisany, ale wątroby zbrojnych nie należały do jego przysmaków – kwaśne, gorzkie i gnijące.

* * *

–Oto Wrota Syryjskie – powiedział hekatontarchos Piąchulec. – Przełącz, za którą jest cel naszej podróży.

–Antiochia... – wyszeptał Nicetas Wielka Pięść, z ulgą myśląc, że wreszcie będzie miał gdzie złożyć umęczonego kilkudniową jazdą kulasa. Starał się kryć z tym, że sztywna noga z każdym dniem promieniowała coraz większym bólem. Szczęście, że powoził rydwanem. Gdyby miał iść taki szmat drogi o własnych siłach, padłby gdzieś tam jeszcze pod Cezareą. Jednak nawet na wozie kolano się męczyło. Marzył o tym, by odpocząć w obozie. Żeby mozolna wędrówka dobiegła końca.

–Trzy godziny marszu stąd. Nasi zwiadowcy donieśli, że Seldżuce nie tylko okupują miasto, ale nieco dalej ustawili jeszcze obóz. Tyle, że z drugiej strony, od morza.

–Wielu ich? – zapytał z niepokojem Wit Wodnik, dekarchos dziesiątki, do której należał Kalikst i reszta kompanów z Konstantynopola. Żmudzinowi marsz przez Cylicję i góry Amanos również dał się we znaki. Nie przywykł do podróży dalszych niż z tawerny do tawerny, a teraz zabrakło dla niego miejsca na rydwanie.

Pięchulec wzruszył ramionami.

–Wielu czy nie... To trudno tak na oko. Wedle zwiadowców, w obozie są ich ze dwie setki, jednak nikt nie wie, ilu siedzi w mieście. Mają tam potężną cytadelę, która może pomieścić całe hekatontarchie dzikusów. Hordy potysięczne. W każdej chwili mogą nadejść z pomocą tym w obozie.

Wit Wodnik otarł pot z czoła. Był nieziemski upał, a mętna woda, którą nieśli w bukłakach, nie orzeźwiała, lecz tylko wzmagala pragnienie. Funkcja dekarchosa też niezbyt leżała Żmudzinowi. Godność przyznana przez Tyberiusza miło łechtala próżność Wita, kiedy jednak myślał o związanych z tym powinnościach, nachodziła go fala słabości. Zawsze lepiej się czuł, tylko obserwując wydarzenia i złośliwie dogadując.

–Jakie zatem będą rozkazy? – wymamrotał z wysiłkiem.

–Przejdziemy przełęcz i założymy obóz w pół drogi do Antiochii. Nie ma się co kryć, Turki pewno już wiedzą, że nadciągamy. Pewno szykują broń i zbierają siły, by odeprzeć atak. Im szybciej więc pogonimy Saracena, tym lepiej. Musimy odciąć ich od dostaw żywności i wszelkich inszych dóbr, więc pierw należy rozbić ich obóz. Później opanować port położony poza miastem i słabo chroniony. Tam się Turki długo nie ostaną, jeżeli już nie uciekły.

–Na pewno... – wtrącił kpiąco Kalikst. – Usłyszeli, że Piąchulec poskręca im karki jak kurczakom. I dali nogę, gubiąc portki.

Hekatontarchos udał, że nie słyszy. Uniósł ramię i zakreślając szeroki łuk, prawił dalej:

–Jak już zajmiemy port i założymy obóz, Antiochia będzie nasza. Bez żywności długo nie pociągną.

–My też – mruknął przytomnie Wodnik.

–My też, ale nam to nie grozi. Z Seleucji do Saint Simeon płynie już konwój dromon z zapatrzaniem wysłany przez basileusa. A jeżeli jeszcze nie płynie, to wypłynie akurat wtedy, gdy rozpoczniemy oblężenie Antiochii. No, dość gadania! Idziemy w dół, przez przełęcz. Antiochia czeka...

* * *

Antiochia... Syryjska Antiochia... O tym mieście opowiadano legendy, zwano je – z pewną przesadą – Złotą Antiochią. Od czwartego stulecia po Chrystusie miasto należało do Cesarstwa, jednakowoż wciąż nękali je najeźdźcy ze Wschodu. Najpierw Persowie, później Arabowie, którzy osiedli tutaj w roku Pańskim 611, a później – już na dobre – w 637. Odtąd Złota Antiochia pokrywała się

patyną, jakby nie złotem słynęła, a kiepskiej jakości miedzią. Saraceni nie dbali o miasto – dla nich była to odległa kolonia położona gdzieś na rubieżach, tuż pod niespokojnymi górami Armenii. Dla Cesarstwa przeciwnie – miasto miało znaczenie strategiczne, stanowiło bramę do Syrii i Świętej Ziemi Jezusa Chrystusa. Ważny port i twierdza strzegąca wejścia do Anatolii. Basileus Nicefor Fokas w dziesiątym stuleciu wyrwał je z rąk Arabów i przywrócił dla Cesarstwa. Na ponad sto lat, do czasu gdy armia Seldżuków rozbita pod Manzikert ponownie zebrała się w siłę i w drodze powrotnej złupiła miasto. Odtąd Turcy tkwili w Antiochii, niezbyt zdając sobie sprawę, jak wielki skarb posiadli.

–Dobry Panie Jezu... – wyszeptał Waldemar Jałmużnik.

–Dobry Panie Jezu... – powtórzył za bratem Wit Wodnik.

Widziane w oddali wysokie mury obronne Antiochii sprawiały przygnębiające wrażenie. Owszem – w Konstantynopolu też były mury, i to o wiele bardziej wyniosłe i mocne. Tyle że Konstantynopol to dom, zaś wysokie mury w domu to spokój i sielanka. A w mieście, które trzeba zdobywać? To już nie wygląda dobrze.

–Tak, oto Antiochia i jej mury. Wznoszone przez basileusów i o dziwo, umocnione przez barbarzyńców ze stepów. A można pomyśleć, że to dzicz, która potrafi jeno łuki gnać i kindżały wykuwać, ale nie wznosić budowle. A zresztą... Jedno jest pewne. Musicie je sforsować – przekonywał Tyberiusz Piąchulec. – Nawet za cenę śmierci. Innego sposobu nie ma.

Jest inny sposób – pomyślał Kalikst, ale zachował tę uwagę dla siebie. Wiedział już, jak może upiec kilka pieczeni na jednym ogniu. Hekatontarchos nie będzie dłużej nim pomiatał! No i sterczenie pod murami miasta, budowanie machin oblężniczych z drewna, którego w okolicy przecież niezbyt wiele, a później wielodniowe ostrzeliwanie grodu kamieniami... To niezbyt kusząca perspektywa. Dobra dla znudzonych żołdaków, a Belzebub do nich nie należał. Przywykł do szybkiego działania w ciemności.

W jego głowie kiełkował nowy plan: zdobyć tę przeklętą Antiochię, a później zabić Diogenesa!

–Jest inny sposób... – mruknął bezwiednie pod nosem, ale hekatontarchos usłyszał go.

–Doprawdy, wielki Strategosie? – zakpił dowódca. – A jaki? Może nam powiesz?

–Żaden – odparł natychmiast Kalikst. – Nie, nie... Nie ma.

Rozdział 4

Do świtu brakowało ledwie dwóch godzin. Noc otulała drogę płachtą głębokiej szarości, miejscami rozpraszana mdłą poświatą księżyca.

Nicetas był pełen złych przeczuć. Z niepokojem słuchał złowróżbnego grania cykad, chrapliwych oddechów koni i chlupotania galaretowatej cieczy w zbiornikach z tyłu rydwanów. Syfonów wypełnionych śmiercionośną miksturą nie osłaniały już skórzane pokrowce. Odszpuntowane długie rury z metalu sterczały gotowe do ataku niczym wielkie kły.

Turki muszą już o nas wiedzieć – myślał. – Nie pozwolę przecie tak po prostu podejść pod swój obóz trzydziestu wozom bojowym z igró pyr.

Zjechali ze stoków gór Amanos, kierując się w stronę Antiochii. Jednak to nie miasto było ich celem. Wobec wysokich murów zbudowanej na skałach twierdzy, otoczonych od południa rzeką Orontes i jej rozlewiskami, sekretna broń Rhomaioi była całkowicie bezużyteczna. Parli dalej w stronę portu Saint-Simeon, który dla okolicznych miast – bo nie tylko Antiochii – stanowił jedyne okno na świat.

Obóz, o którym donieśli szpiedzy, był niezbyt dobrze ufortyfikowaną bazą wypadową dla grasantów. Widać, że powstał niedawno – niechybnie na wieść o nadciągających wojskach Romana Diogenesa. Nie stanowił przeszkody sam w sobie, jednako należało

wybić dzicz, która się tam kryła.

W dolinie krajobraz uległ niespodziewanej przemianie. Kamieniste wzgórza porośnięte karłowatymi drzewkami nagle ustąpiły miejsca bagnetom i rozlewiskom. Znad wody ruszyły na żer komary głodne nowej krwi z północy. Minęli ten odcinek, klnąc cicho.

Wkrótce mokradła ustąpiły miejsca żyznym łąkom. W oddali zamajaczyły kontury Antiochii. Szaroczarne niebo dźgały dziesiątki – nie! – setki wież, a nad ich blankami kłębiły się nietoperze, ledwie widoczne w mdłym świetle szydercy na niebie.

Minęli miasto w ciszy niczym duchy. Dotarli do rozstajów, gdzie stał niewielki meczet. Był pusty. Zamknięte na głucho wierzeje, smukły minaret, opuszczone budynki wokół świątyni. Przejechali obok niej, skręcając w stronę morza.

Na lewo widać było jeszcze jedną przeszkodę: most odgradzony od traktu kamienną bramą, którą nocami osłaniała solidna krata z grubych prętów. To była część umocnień powstałych wiek temu, jeszcze wówczas, gdy miasto należało do cesarstwa.

–Obudowali się jak w Konstantynopolu – mruknął Nicetas, patrząc na stalowe okucia. – A teraz my to będziemy zdobywać...

Droga do portu była szersza niż trakt pośród gór, więc mogli też jechać nieco zwawiej. Nim minęły dwa kwadranse, dotarli w pobliże obozu Seldżuków.

Ledwie rozpoznali w mroku kształty namiotów, hekatontarchos Piąchulec ryknął:

–Piątka wozów na lewo! I atak. Pompować. I ognia! Piątka na prawo, i ognia!

Turcy wszczęli alarm. W obozie, otoczonym niskim ziemnym wałem wzmocnionym kamieniami i zaostrzonymi dragami, powstał dziki rejwach. Zerwani z półsnu Seldżuci wyskoczyli z wyciem ze swych namiotów, z legowisk pod końskimi brzuchami, łapiąc za łuki i

szable.

–Odpalaj! – ryknął Kalikst do swojego pomocnika w wozie, Muhammada. Saracen skrzesał ogień i już po chwili dzierżył w ręku niewielką żagiew. Belzebub wyrwał mu ją i zakomenderował:

–Dobra, teraz pompuj! Pompuj, bracie, żeby im zdrowo przypiędzić!

Muhammad bez słowa doskoczył do wajchy dwutaktowej pompy i jął nią energicznie poruszać w górę i w dół. Ciśnienie w syfonie rosło.

–Nicetas, gamoto, na lewo i tam prosto! – wrzasnął Kalikst. Czuł, jak krew coraz szybciej bębni mu w żyłach na skroniach.

Osilek posłusznie skierował konie we wskazane miejsca. Długie tygodnie szkolenia w obozowisku pod Cezareą nie mogły przecie pójść na marne. Wątpliwości, niepewność, zagubienie – teraz te słabe uczucia pierzchły niczym stado spłoszonych gołębi. Dryblas działał, jakby kierował nim anioł. Albo demon.

Z góry sypanął się rój strzał. Jednak okrywające kolczugi solidne skórzane płaszcze z kapturami skutecznie chroniły nie tylko przed ogniem, ale także przed seldżuckimi grotami. Rydwan pędził dalej wzdłuż palisady obozu Turków. Za nim toczyły się następne wozy, czekając na...

–Walić w nich!

...rozkaz. Kalikst z rykiem radości odciągnął spust syfonu, kierując jego wylot wysoko ponad wał. Z lufy poleciał ognisty język, czerwonożółty płomień wypluty – zda się – z trzewi bestii z ostatniego kręgu piekieł. Zatoczył wielki łuk i spadł na głowy nadbiegających Seldżuków.

Wnet podniosło się wycie. Płonęły trzy najbliższe namioty i wszyscy, którzy byli w ich pobliżu. Pomarańczowe języki ognia w jednej chwili zmieniły jutowe konstrukcje w huczące pochodnie.

Wrzaski palonych ludzi szybko przerodziły się w jęki konających. Ten czy ów, nie wiedząc, z czym ma do czynienia, próbował zgasić ogień. Jeden skoczył do koryta z wodą dla koni. Inny zerwał jakąś szmatę, narzucając ją na płonący grzbiet. Któryś padł na ziemię i tarzał się w piasku. Na nic. Woda tylko rozniosła płonącą galaretę po kubraku pierwszego. Płachta z jurty nieciła jeszcze większy ogień, piach nie ugasił greckiej śmierci.

Seldżycy ginęli, wydając z siebie nieludzkie krzyki – jak żywcem oprawiane koźlęta.

–Ognia! Strzelać! Ognia! – ryczeli dowódcy, ale nikomu już nie trzeba było tego powtarzać. Zew śmierci, żądza mordy ogarnęła oprychów z zaułków Konstantynopola, Nicei, Cezarei... W powietrzu zawisł smród spalonego mięsa, a konie z tureckiej, stepowej rasy, rżąc głośno, biegały w amoku z płonącymi grzywami.

Kalikst odrzucił pusty syfon i zerwał z siebie ciężką skórzaną kapotę. Już nie będzie potrzebna. Wyszarpnął szablę, zeskoczył z wozu i pognął na Turków.

–Muhammad! Nicetas! Na pogana!

Saracen bez słowa poszedł w ślady Kaliksta. Nicetas tylko pokręcił głową, łapiąc się za przetrąconego kulasa.

Dwaj złodzieje przeskoczyli przez wał i z nagimi ostrzami pognali w głąb obozowiska. Choć wciąż trwał jeszcze ostrzał, mimo że z nieba spadały strumienie igró pył, Belzebub nie wahał się – runął między uciekające niedobitki wrogów. Szabla poszła w ruch.

Odcinał ramiona, nogi, głowy niczym anioł zagłady, niczym święty rycerz w religijnym amoku. Seldżycy przerażeni piekłem, jakie na ich głowy sprowadzili Rhomaioi, nie bronili się, porzucali swoje kindżały, łuki i szable.

Wkrótce i w innych rydwanach zabrakło paliwa w syfonach, więc zbiry w służbie basileusa obnażyły swe ostrza i poszły czynić rzeź.

W tym nie miały sobie równych. Strach Turków dodał im nowych sił, wzbudził najdzikszą furję, rozpałił szął, jakiego nie mogły dostarczyć nawet największe jatki w zaułkach miast.

Za nimi poszli zaczajeni na tyłach najemnicy z Normandii, a wreszcie piesze wsparcie z ostatniej linii. Ryk triumfu atakujących zdawał się wzniecać jeszcze większe płomienie. Przepelniony wojennym zapalem, ogłuchły od ryku nacierającej armii Belzebub rzucił się w przód jak człek, który po długiej wędrówce przez pustynię nagle dostrzegł oazę. Skowyt palonych żywcem dzikusów był mu najpiękniejszą melodią, jednak na tym nie poprzestał. Chciał więcej! Więcej krwi!

W oddali dojrzał rannego Turka ze zmiażdżoną nogą. Wróg czołgał się jak rozdeptany robak, tocząc przerażonym wzrokiem po ogarniętych płomieniami namiotach.

–Taaak! Jesteś w piekle! – rzucił mściwie Kalikst. – Piekło na tym ziemskim świecie! Ale tam, głębiej, będzie jeszcze gorzej.

Rechocząc, dwa razy zatopił ostrze w piersi Seldzuka. Dzikus nawet nie jęknął – po prostu klapnął w kałużę krwi i znieruchomiał.

Belzebub na odchodne chlasnął go ostrzem w twarz i pobiegł szukać innych ofiar. Znalazł je szybko. Dwóch obrońców runęło na niego z cienia, wznosząc nagie szable.

Tylko się zaśmiał szyderczo. Tamci byli zaspani, może czymś otumanieni, pewnie tym al-hasziszem, co to miał dawać niby nieziemską siłę, a sprowadzał senność i ogłupienie... Kilkoma krótkimi cięciami Kalikst rozplątał im gardła i zawył z radości.

* * *

W morzu ognia, pośród wrzasków, jazgotu, potępieńczego wycia, w świetle błyskających płomieni nikt nie zwracał uwagi na Purrhosa. Zapach palonego mięsa ludzkiego i końskiego tym bardziej pozwalał wyjść z ukrycia. W piekle jeszcze jeden demon nie robił różnicy.

Purrhos czuł wątroby. Wątroby jeszcze żywe, ale już umierające. Już umarłe, ale wciąż ciepłe. Nie czekając, pomknął w ślad za Panem, rozszarpując zwłoki, z których nie umknęła jeszcze ostatnia iskra życia.

Gdy wgrzył się w pierwszą wątrobę, w oddali zaśniły promienie słońca. Szedł nowy dzień. Dzień chwały, w którym jego Pan odmieni losy świata.

Obaj – człowiek i demon – wyli z radości.

* * *

Roussel de Bailleul jednym haustem wychylił resztkę wina, po czym gniewnie odrzucił pusty kielich w kąt namiotu. Naczynie z brzękiem przetoczyło się po dobrach zabranych z obozu Seldżuków: saraceńskich szablach, łukach i dzbanach ze srebra.

–Nie bądź głupcem, Komnen! – syknął najemnik. – Basileus to, basileus tamto!... Wciąż powtarzasz obietnice swego władcy, pozostając ślepy na prawdę!

Aleksy ściągnął brwi z gniewu. Nie nawykł do tego, by ktokolwiek – a zwłaszcza italski barbarzyńca – mówił do niego tym tonem i takimi słowy. Jednak zbył to milczeniem. W końcu tkwili w tym bagnie razem.

–Twój basileus wystawił cię na pewną śmierć! – krzyczał rycerz. – Taka jest prawda! Wystawił nas wszystkich! Wiedziałem to od początku. Wiedziałem, że za jego obietnicami kryje się podstęp. Obiecał mi złoto Antiochii, licząc, że wykrwawię się, zdobywając miasto, a on minie jego bramy, deptając ciepłe jeszcze trupy.

Norman szarpnął za sprzączkę płaszcza. Obrębiona srebrem materia z cichym szelestem spłynęła na ziemię. Pochylił się nad misą z wodą i kilkoma energicznymi ruchami ochlapał twarz.

–Przeklęty kraj... W nocy zimno, w dzień skwar taki, że nie idzie wytrzymać...

Strategos splótł ręce na piersi i rzekł z przekąsem:

–Powiadasz, że wiedziałeś, jednak przystałeś na propozycję basileusa. Nikt cię do tego przecie nie zmuszał.

Rycerz sapnął gniewnie i ocierając twarz z wody, jął tłumaczyć:

–Owszem, mogłem wyrzec się należnego mi złota i opuścić ziemie Greków. Szukać szczęścia gdzie indziej: może u Rusów, może u Niemców... Jednak Diogenes jest mi tyle winien, że musiałbym mieć naprawdę ważny powód, by zapomnieć o takiej fortunie. Zresztą nie to się liczy. Poprzysiągłem sobie...

–Taaa...? – zapytał Komnen, bo jego rozmówca popadł w przedłużającą się zadumę. – Cóż takiego? Cóż to za przysięga?

–Że zdobędę to miasto i odzyskam to, co moje, i to, co Diogenes obiecał mi, licząc, że polegnę.

–Chwalebna dzielność – zauważył z przekąsem Aleksey.

–Tyle że teraz widzę to wszystko inaczej. Tego miasta nie da się zdobyć! Cztery setki strzelistych wież, mury wysokie na piętnaście kroków i cytadela... Tego miasta nie zdobędziemy nawet po roku oblężenia. Nie takimi siłami.

–Basileus nadciąga z całą armią. Jest już pod Cezareą. Szybko może przyjść nam z odsieczą.

–Nie wejdzie, dopóki my się nie wykrwawimy – wszedł mu w słowo de Bailleul. – Taka jest jego taktyka!

–Jeżeli nawet... Spaliliśmy obóz Turków, odbiliśmy Port, drogi wokół miasta są nasze. Do portu wpłyną galery z częściami do maszyn oblężniczych, jadłem, napitkami, wszystkim, co trzeba do przetrwania tu długich miesięcy. Weźmiemy ich głodem. Jak będzie trzeba, to zaczekamy tu choćby do zimy. Albo i do następnego lata.

–Jest jeszcze twierdza. Na tyłach. Nie możemy jej pozostawić.

–Baghras? Nie stanowi aż takiego zagrożenia. Owszem, jeżeli przyjdzie nam tkwić tu dłużej, twierdzę trzeba będzie spalić tak jak ten obóz. To oczyści drogę do Cylicji i sprawi, że nie będzie nam groził atak zza pleców. Jednak Baghras możemy zablokować tak samo jak Antiochię. Wziąć głodem.

–Mało ludzi. Nie możemy prowadzić dwóch oblężeń jednocześnie. Dlatego też mówię, że twój basileus...

–Basileus wkroczy, kiedy będzie potrzeba. Mamy port, a to najważniejsze.

Norman myślał chwilę, wpatrując się w mapę. Wreszcie pokręcił głową.

–Gdy będziemy nazbyt długo siedzieć pod Antiochią, nadejdą seldżuckie posiłki z innych miast. Aleksandretta, Aleppo, Marat... Kto wie, jakie tam są siły, a tylu miejsc naraz nie upilnujemy. No, gdyby Roman Diogenes przekroczył góry... – ostatnie zdanie wypowiedział z przekąsem, wbijając wzrok w oczy Komnena.

Ten wzruszył ramionami.

–Seldżycy nie mają tu silnych garnizonów. Owszem, Antiochia jest

doskonale ufortyfikowana, ale Turki dobrze walczyć potrafią jeno w stepie, atakując na swych krępych konikach. Zaś bronić miasta? Unikać ostrzału, planować kontrataki, rozsądnie dysponować wszelkim dobrem niezbędnym do przeżycia? To nie jest domena Seldżuków. Oni nie są dobrymi obrońcami.

Najemnik dalej kręcił z niedowierzaniem głową. Sięgnął po nowy kielich i nalał wina z glinianej flaszki.

* * *

Ruszył sporo po północy, gdy równe chrapanie współtowarzyszy niedoli zaczęło trząść namiotem. Wymknął się cichcem, bacząc, czy po obozie nie kręcą się strażnicy. Strategos Aleksy Komnen nie bez racji uznał, że nie należy pozostawiać kwestii bezpieczeństwa armii zbirom ani Normanom o wątpliwej lojalności, toteż na warcie postawił swoich ludzi. Ci nie mieli zmiłowania dla łajzów.

–Ciemność... Niech okryje mnie niczym skrzydła. Niech noc stanie się mną, a ja stanę się nocą. Niech szara godzina obejmie moje dłonie, moje ramiona, pierś i całe ciało. Niech czarne pióra zakryją mnie, a wtedy zniknę w cieniu, osłonięty od ludzkich spojrzeń...

To spadło nań z bólem jak ostatnio i jeszcze wcześniej. Cierpienie zgięło go w pół, przed oczami zaśniły ognie niczym wybuch greckiej śmierci. Później poczuł łomotanie w brzuchu. Porzygał się, nie panując nad żołądkiem.

–Kto tu? Co tam? – zaszczekał strażnik. Wychynał nagle z cienia, znikąd, bez głosu, gadzim zwyczajem, jak nocny wąż polujący na gryzoni. – Bydlę, widzę cię, wyłaź!

Belzebub minął żołdaka. Szybko przemknął między namiotami i

dopał ogrodzenia ze sprzężonych tyłem wozów. Po rozbiciu koczowiska Seldżuków Strategos nakazał, by poza linią rydwanów usypać jeszcze wał i nabić go zaostrzonymi palami. Kalikst przeskoczył ponad pryzmą ziemi, co natychmiast ściągnęło strażników.

–Turki czy ktoś od nas? Hola, ty tam! Pokaż się od razu, to unikniesz stryczka!

Złodziej tylko zarechotał pod nosem i pobiegł traktem na Antiochię. Po jakichś dwustu krokach przystanął, dysząc. Pogoń z obozu mu nie groziła, jednak musiał się teraz zmierzyć z poważniejszym problemem. Do miasta była... Z godzina marszu, może więcej. Niby niedaleko, ale wierzchem szybciej.

Na konie z obozu nie mógł liczyć – tym razem by nie przemknął tak łatwo. Gady podniosłyby rejwach... Nie, o tym lepiej nawet nie myśleć.

Stanął pośrodku drogi i zamknął oczy. Czekał, wołając w myślach.

Najpierw go poczuł. Zniewalający smród wywołał ponowne kotłowanie w żołądku. Fetor bijący od demona budził tylko jedno wspomnienie: noc, którą spędził z obitą gębą w stercie odpadków na targowisku w porcie. Po tym, jak wdał się w mordobicie z miejskimi szumowinami grasującymi wokół konstantynopolitańskiego hipodromu. Z mętami, zbirami, którzy zacnych złodziei z gildii mieli za paniczyków. Wtedy złamali mu nos, rękę i dziabnęli koską w bok. Cudem przeżył przytulony policzkiem do rybich wnętrzności.

–Kurwie syny... Ale w końcu was dopadliśmy – mruknął, przypominając sobie jatkę, jaką zrobił im trzy dni później z Nicetasem. Łachudra, który owej nocy roztrzaskał Belzebubowi kinola, zdychał najdłużej, dusząc się w tej samej kupie śmieci.

Nie zdążył nawet uśmiechnąć się do tego wspomnienia. Purrhos liznął go w kark, dysząc ciepłym smrodem.

Belzebub rzygnął w piach ostatnimi resztkami obiadu.

Zaraz potem chwycił demona za szyję – tę grubszą, na której osadzony był łeb z wielką paszczą – i jednym skokiem wspiął się na grzbiet bestii. Palce przyłgnęły mu do żółtej ropy ciekącej po kostropatej skórze demona, jednak nie zwrócił na to uwagi.

Purrhos, czując ciężar swojego jeźdźca, opadł na cztery łapy. Teraz jeszcze mniej przypominał istotę o kształtach człeka – był jak odarty ze skóry pies albo jakaś afrykańska bestia zniekształcona przez okrutnego mistrza czarnej magii.

–Nuże! Na Antiochię! Dawaj!

Czerwona hydra szparko ruszyła naprzód, jakby od urodzenia przyuczali ją nosić jeźdźca. Kalikst po kilku chwilach musiał przyznać, że gdyby nie fetor wydzielany przez Purrhosa, byłby on wymarzonym wierzchowcem. Demon, choć przecie ludzkich kształtów, na czworakach mknął niczym mały i wytrzymały turecki konik. Płaty odchodzącej skóry szybko przestały budzić w Belzebubie odrazę.

Jadąc, poddał się niewesołym myślom. Wszystko szło nie tak. Z jednej strony nie było źle – wojna coraz bardziej mu się podobała. Rżnięcie dzikusów ze stepu, podrzynanie im gardeł, odrąbywanie członków, a nade wszystko zalewanie ich płonąca galareta, przed którą nie ma ucieczki – takich przyjemności nie dostarczały żadne mordobicia w stolicy. Gdyby jeszcze nie ten panoszący się Piąchulec! Bez tego ćwoka zabawa byłaby weselsza.

Ale pamiętał też o swojej powinności. Miał ubić Diogenesa! Wysączyć zeń krew i zanieść mnichowi! Po to przecież zaciągnął się na wojnę.

Uzurpator niegłupi, nie pcha się tam, gdzie największy ogień. Spokojnie sobie siedzi w Cylicji, czekając, aż my się wykrwawimy. Aż zdobędziemy mu Antiochię. A nie tak miało być! – westchnął w duchu.

W obozie gadali, że basileus przyłączy się do kampanii, gdy

Kommen i de Bailleul odzyskają Antiochię. A tu się zanosilo na długie miesiące jałowego oblężenia. Kalikst zrozumiał to, gdy tylko ujrzal mury miasta. Niemal tak niedostępne jak w Konstantynopolu.

–Nie ma co główkować, trzeba dostać się do środka i załatwić to inaczej – mruknał. – A później zabić Diogenesa.

Wkrótce dojechali w pobliże ufortyfikowanego mostu na rzece Orontes. Za nim była Antiochia.

Belzebub zeskoczył z grzbietu demona. Gestem nakazał bestii, by czekała na miejscu. O dziwo, stwór zrozumiał polecenie albo po prostu nie przejawiał własnej woli, by uczynić cokolwiek innego. Przygnał do ziemi i tak trwał, czekając na rozkaz Pana.

A ten ostrożnie podszedł do bramy. Słyszał i czuł oddechy strażników tkwiących z drugiej strony. Kilku spało, dwóch lub trzech trwało w półśnie i tylko jeden krążył niespokojnie po osłoniętej z zewnątrz galeryjce. Jego miarowe kroki odbijały się echem po kamiennym stropie budowli, szczęk broni ploszył nietoperze krążące ponad dachem.

Mógłbym ich zabić kilkoma pchnięciami – pomyślał Kalikst. – Z demonem wysłałbym ich do piekła, zanimby się pobudzili. Ten co nie śpi, straciłby łeb, zanimby wyszarpnął ostrze z za pasa.

Powstrzymał jednak swoją morderczą naturę.

Turki wzmocnią tylko strażę i jeszcze bardziej uzbroją most. Nie ma co, później ich wypatroszę.

Skinał na Purrhosa, nakazując mu iść przez rzekę. Bestia ujawniła swój kolejny talent – potrafiła doskonale pływać, nie moczając przy tym zbytnio jeźdźca na swoim grzbiecie. Szybko dotarli na drugi brzeg.

Tutaj Belzebub poczynił pierwsze ważne spostrzeżenie: fortyfikacje na moście łączyły się z główną bramą. Atak na miasto z tej strony był szczególnie trudny, bo tuż za rzeką wyrastały potężne mury

obronne Antiochii wysokie na jakieś trzydzieści stóp albo i więcej. Kalikst ruszył wzdłuż nich, szukając jakiegokolwiek wylotu, który pozwoliłby mu wdrzeć się do środka. Na próżno: mury zostały solidnie wzmocnione, jakby mieszkańcy grodu żyli w nieustannej świadomości, że wcześniej czy później czeka ich oblężenie.

Posuwał się dalej wzdłuż linii umocnień. Co kilkaset kroków, na odległość leniwego strzału z łuku, wznosiły się grubo ciosane, klockowate baszty. Nigdzie nie dostrzegł żadnego tajnego wejścia, dziury w murze ani drzewa, po którym mógłby się wspiąć. Im dłużej szedł, tym było gorzej. Wkrótce mokrą ziemię z brzegów rzeki zastąpiły kamienie i ostro zakończone skałki porozrzucane w okolicy niczym ciernie. Tu miasto zaczynało się wspinać na górę Silpion.

Purrhos nawet nie jęknął, gdy parli w stronę szczytu, jednak koń nie dałby rady. Nie mówiąc już o rydwanach z ogniem greckim. Tam, gdzie miasto stało na równej ziemi, dostęp do środka utrudniała rzeka i otaczające ją bagna. Na skałach było już sucho, jednak spiętrzone głazy, rozpadliny, spiczaste kamienie zniechęcały do ataku.

Tu mógł dostać się tylko sprytny złodziej. Kalikst obejrzał dokładniej jedną z wież: na wysokości kilku kroków dostrzegł niewielkie okienko. Tak jak w innych basztach, pod nim nie było nic, co ułatwiało wspinaczkę, ale jakby zarzucić tam linę... Musiał spróbować.

Odesłał demona, by swym smrodem nie ściągnął uwagi obrońców. Purrhos stanął na dwie nogi jak człowiek i odszedł w tył, sadowiąc się na skałach w oddali. Belzebub sięgnął do tobołka uwiązanego na plecach. Z wnętrza dobył gliniany dzban wypełniony smołą. Bez chwili wahania nałożył grubą warstwę czarnej substancji na płyty skóry osłaniające podeszwy sandałów. Rozwinął linę z hakiem, którą był opasany – swoje kradziejskie narzędzie, bez którego nigdy nie ruszał na robotę.

–Nie takie mury się zdobywało – mruknął cicho, wspominając Konstantynopol. Tyle że w stolicy cesarstwa miał do czynienia

najwyżej z rozleniwionymi strażnikami w płaszczach wyszywanych srebrem, a nie z czujnymi Seldżukami ze stepu.

Zakręcił liną i posłał hak na gzyms okienka. Stalowy pazur ze zgrzytem zaczepił o występ w murze. Nie tkwił zbyt mocno, jednak Kalikst zaryzykował. Starając się rozkładać ciężar ciała przede wszystkim na wysmołowanych podszwach, a nie na sznurze, powoli dotarł do gzymsu.

Okienko w zamierzeniu budowniczych miało służyć jedynie do ostrzału atakujących – było zbyt wąskie, aby się przecisnąć. Zresztą wyłamywanie drewnianych okiennic narobiłoby zbyt wiele hałasu.

Zarzucił więc hak wyżej, na kolejny parapet. Szpon nie utrzymał się – spadł w dół, cicho stukając o mury. Belzebub wymierzył w inne miejsce i tym razem stalowy pazur utkwiał, jak powinien.

Po jakichś dwóch kwadransach zdołał dotrzeć na blanki. Jednym susem wskoczył na szczyt wieży i przylgnął do muru.

Cisza, pusto, spokojnie. Najwidoczniej w tym miejscu obrońcy Antiochii nie wystawili straży – w końcu żadna armia nie poważylałaby się na atak od strony skał.

Kalikst odwinął z sandałów wysmołowane płaty skóry i cisnął je w dół, za mur. Już nie będą potrzebne. Zwinął linę i nie tracąc czasu, zbiegł po schodkach na ulicę.

Był w Antiochii.

Rozdział 5

Puste ulice miasta pobrzmiwały jedynie niegłośnym szuraniem jego sandałów ledwie słyszalnym na tle koncertu cykad.

Nagle z oddali poniosły się inne dźwięki. Ostre, obce, metaliczne. Belzebub skoczył do najbliższej bramy. Hałas narastał. Ktoś nadchodził.

Z uliczki wypadło czterech zbrojnych odzianych w luźne czarne stroje. Ich twarze skrywały zawoje, spod których błyskały tylko białka oczu. Każdy dzierżył w garści obnażone ostrze.

Idę po mnie! Zwęszyły psy, co jest na rzeczy – pomyślał Belzebub, chwytając za rękojeść szabli. Był gotów zadać cios, jednak szybko oszacował, że nie miał szans. Mógł zabić jednego, dwóch, nawet wszystkich czterech, korzystając z zaskoczenia. Ale co dalej? Ci tutaj na pewno nie byli sami – niechybnie w odwodzie czyhali następni. Gdzie więc uciec? Jak umknąć w nieznanym mieście, pośród obcych zaułków?

Jednak nie. Turcy – bo oni to byli, sądząc po mowie – najwyraźniej szukali czego innego. Patrzyli po oknach domostw, po bramach, po murach.

Jeden podszedł do drewnianych drzwi, do których przylgnął Kalikst. W rękę trzymał... Nie, nie głodne śmierci ostrze, lecz kubełek z białą farbą i pędzel. Belzebub wstrzymał oddech. Seldżuk namazał dwie szybkie kreski. Po chwili naniósł ten symbol na mur i nocni wędrowcy szybkim krokiem poszli dalej.

Krzyż. To musiał być krzyż, bo co innego. Dwa przecinające się mazaje. Krzyż. Krzyż u pogan?!

Przystawił ucho do naznaczonych drzwi. Nic, cisza, najwyraźniej domownicy spali snem sprawiedliwych i nocne wydarzenia mogły napędzić im stracha dopiero rano, gdy odkryją symbole.

Pobiegł za czwórką zbrojnych. Skręcili w głąb miasta, poruszali się pewnie, jakby według wyznaczonej trasy. Doszli do niewielkiego placyku, gdzie oznaczyli aż troje drzwi. Zniknęli w mroku, a Belzebub przestał ich śledzić. Przystanął w cieniu i czekał.

Długo nie działo się nic, wreszcie jednak z jednego z domów wyszedł skulony starzec. Rzucił szybkie spojrzenia na boki i poświecił kagankiem na znak. Potarł palcem farbę, jakby sprawdzając, czy da się ją zmazać, ale biała maź szybko wniknęła

w deski drzwi.

Nim zniknął w drzwiach, Kalikst wyszarpnął puginał i doskoczył do niego.

–Morda! – warknął. – Cicho być! Do środka!

Starzec nawet nie jęknął. Belzebub wepchnął go do sieni i zatrzaskał drzwi.

–Bez hałasu, dziadku! – powiedział. – Nie przychodzę po twoje mieszki ze złotem. Na nic mi one teraz.

–Ech?... Czego?... Kim jesteś?... Co?... – mamrotał starzec.

–To ja tu zadaję pytania. A ty na nie odpowiadasz. Nie na odwrót. Kto tu jeszcze śpi?

–Ano ja, moja żonka, córka z mężem, no i wnuczka... A tyś pewnikiem jeden z tych zalotników... Ale jak mówię, Aszken jest Bogu przeznaczona.

–Zawrzyj gębę! Przestań beblać i nawijaj, ktoś ty i dlaczego Seldżuki w środku nocy smarują na twych drzwiach krzyż! – Swój rozkaz Kalikst podkreślił lekkim dźgnięciem puginału.

Starzec jakby zmałał. Ostrze noża zostawiło krwawy ślad na jego policzku.

–Nie, nie, ja nie wiem. To zbóje jacyś, pewnikiem do rabunku się sposobią...

–Dosyć, dziadek! Co ty mi tu mieszasz za kity?

Mężczyzna umilkł, uciekając wzrokiem w bok.

–Dobra, to ja będę teraz gadał! Filując na ciebie, widzi mi się, żeś Armeńczyk. Mieszkasz tu od dawien, zanim Turki przyszły, i jesteś chrześcijanin. Nie przeszedłeś na wiarę Mahometa i teraz, kiedy

wojna tuż, Seldżuki znakują ci dom jako zdrajcy albo wrogowi. No, źle gadam?

Brodacz odetchnął z widoczną ulgą. Kimkolwiek był tajemniczy gość nachodzący go w środku nocy, nie trzymał z tureckimi zarządcami miasta.

–Dobrze, nieznajomy. Domyślam się, żeś jednym z tych Rhomaioi, którzy czają się pod miastem. Chodźmy głębiej do domostwa, to powiem ci, jak jest w Antiochii.

–Nazywam się Wazgen Bifian – zaczął swą opowieść starzec, gdy już siedli w przestronnej izbie jadalnej. – Jestem skrybą w miejskich magazynach zboża. Jak słusznie zgadłeś, wierzę w Jezusa Chrystusa, zaś religia głoszona przez Saracenów jest mi obca jak każda inna herezja. W Antiochii żyję już od ponad czterech dziesiątek lat, toteż najazd Turków przed siedmiu laty nie wywołał u mnie lęku ani nie zdziwił. Przez Antiochię przetaczały się wojny i wszelkie insze kataklizmy, o których nie warto już wspominać. Zostawmy to kronikarzom. Żadna z tych katastrof nie podkopała mojej wiary, więc gdy przyszły Seldżuki, również trwałem przy religii Chrystusowej. Trzeba oddać sprawiedliwość, że Turkowie pozwalali nam żyć, tak jak chcemy, i nie zmuszali do apostazji. Jest nas tu wielu chrześcijan: Armeńczycy, Romańczycy, Syryjczycy... pozwalali nam żyć i wyznawać swoją wiarę.

Do izby weszła młoda kobieta. Wazgen przerwał opowieść. Niewiasta odziana była jeno w lekki tiul, pod którym pięknie kragliły się kształtne uda i dorodne piersi. Wydatne usta aż prosiły, by je całować.

–Dziadku, co tu się wyrabia? Kto zacz?

–Aszken? Dlaczego nie śpisz? Jak ty wyglądasz?! Okryj się natychmiast!

–He, he – zarechotał Kalikst. – I ty chcesz taką dziunię cycatą do klasztoru oddać? To już lepiej mnie ją daj, to pokażę jej, co to rajskie rozkosze.

Starzec machnął tylko ręką.

–Zalotniki każdego dnia tu się złażą i musisz wiedzieć, że bywali tu panowie znamienitsi niż ty, nieznajomy. Wielmoże i bogacze. Ale wszystkim powtarzam: Aszken jest Bogu przeznaczona.

Dziewczyna spuściła skromnie oczy. Oparła dłonie na podołku i spłoszona umknęła za drzwi. Armeńczyk opowiadał dalej.

–Jak słusznie rzekłeś, nieznajomy... Jak mam cię zwać?

–Kalikst. Jestem Kalikst z Konstantynopola.

–A więc, jak słusznie rzekłeś, Kalikście z Konstantynopola, gdyście podeszli pod miasto, Seldżycy zaczęli nas inaczej traktować. Nie, nie robią rzezi ani nie każą wyrzec się Chrystusa. Nocami krążą po mieście i stawiają znaki. Kilku już zginęło, nie wiadomo co z nimi. Może jęczą w lochach cytadeli, może już pływają napuchnięci w Orontes. Boimy się, nie wiedząc, co nas czeka. Dziś postawili symbol krzyża na moich drzwiach. Nie wiem, co teraz. Nie wiem, jakie mają zamiary.

Belzebub pokiwał ze zrozumieniem głową.

–A te domy tu obok? – zapytał. – Kto tam żyje?

–Wszystko Armeńczyki. Badrig Płatnerz i Nerses z Edessy, kupiec zbożowy. Z Nersesem robię interesy, to mój zaufany druh. Badrig to też uczciwy chrześcijanin. Wszystkich nas spotka podobny los...

Ostatnie słowa wypowiedział z nieskrywaną żalnością. Widać, że lata nieszczęść wcale nie uodporniły go do końca. A może przeczuwał własną śmierć.

Kalikst wstał i wyjrzał przez szpary w okiennicy. Wstawał już świt. Czas było się zwijać.

–Posłuchaj, starcze, jutro przybędę tu, ledwo noc zapadnie. Czeka

na mnie razem ze swoimi sąsiadami Armeńczykami. Dowiedz się też, jeżeli masz taką sposobność, jakie straże stoją nocami przy bramach. Czy wielu ich, jak uzbrojeni. Jak często się zmieniają. Jutro wszystko mi powiecie.

To rzekłszy, Belzebub zasłonił twarz zawojem i wyskoczył na ulicę. Musiał stąd wiać, nim wzejdzie słońce.

* * *

W południe po obozie rozeszła się radosna wieść: do portu Saint-Simeon przyłynął transport z Seleucji. Dziesięć galer dostarczyło części do machin wojennych – a więc dobrej jakości drewno, stalowe korbowody, sprężyny, łańcuchy, mocne liny... Nowe zapasy ognistej galarety inżyniera Kallinikosa, a także rzecz może najmniej wojenną, ale za to najbardziej przydaną: jadło we wszystkich postaciach.

Co prawda zapasy dowiezione z najbliższego portu cesarstwa nie mogły starczyć na dłużej niż na kilka dni, może tygodni, jednak w obozie zapanowała euforia podsycana najdłużej i najbardziej oczekiwanym dobrem – winem. Za cud można uznać, że beczki z napojem Dionizosa nie zostały od razu rozpite przez oddziały wysłane przez Aleksego Komnena do pilnowania portu. W istocie ta część armii wyżłopała tylko połowę, po czym padła nieprzytomna twarzą w błoto. Resztę odzyskał patrol czujnie wysłany przez tych, co pozostali w obozie. Ryki radości trzęsły okolicą do wieczora.

Kalikst nie brał udziału w bachanaliach. Niepokoiła go myśl, że tej zbieraninie łotrów wystarczy kilka beczek wina, a już zanikała w nich dusza rycerzy, zaś odzywała się natura pospółstwa, które swe szczęście mogło odnaleźć tylko w pełnym kielichu.

–Chlejem, ziomki! Chlejem, aż padniem! – wył Nicetas szczęśliwy jak nigdy. Zupełnie zapomniał o połamanym kolanie. Nadawał ton dionizjom, szczerze lejąc kompanom wino do kubków.

–Kalikst, patrz co mam! Całą wielką bekę wypełnioną ambrozją, od której bogowie zachowują wieczną młodość i nieskończone życie. Napijże się ze mną!

A i owszem – Belzebub nie stronił od napitków. Jednak teraz jego myśli krążyły wokół armeńskiej uliczki w Antiochii. Machinalnie przyjął od Wielkiej Pięści drewniany kubek z winem. Pił, nie czując smaku.

Czekał tylko wieczora...

* * *

Badrig Płatnerz i Nerses z Edessy wyglądali niemal tak, jak Wazgen Bifian, tyle że ich brody miały nieco ciemniejszy kolor. Wszyscy spoglądali na Kaliksta takim samym smutnym wzrokiem.

–Dziś tuż przed zachodem zniknął Hetum Mały – opowiadał zboliałym głosem gospodarz. – Złotnik, rzemieślnik z bożym natchnieniem, który nie miał sobie równych nie tylko w Antiochii, ale nawet w Aleppo i Laodycei.

Przerwał. Po chwili opowieść podjął Nerses:

–Turki weszły do warsztatu Hetuma i zabrały, i jego, i złoto. Gdzie go powiedli i jaki jego los, tego się można jeno domyślać. Wszystkich nas czeka podobna dola: jednego dnia jest człowiek. Drugiego wszelki ślad po nim zanika.

Armeńczycy zgodnie pokiwali głowami.

–Coście się zwiedzieli? Jak Seldżuki bram pilnują?

–Emir posłał po posiłki do Mosulu i Bagdadu. Tam już formują się oddziały, które mają wyjść naprzeciw żołnierzom basileusa. W

mieście zaś każdej bramy pilnują po dwie dziesiątki ludzi, a na wieżach zawsze jest co najmniej pięciu.

–Chyba znów spali – mruknął Kalikst. Kolejny raz udało mu się wspiąć na mur, nie wzbudzając najmniejszego zainteresowania strażników.

Jeżeli tak uważnie pilnuję bram, to nie powinno być kłopotu ze zdobyciem miasta – uznał.

–W całym mieście panuje bałagan – mówił dalej Badrig. – Za dnia Turki biegają, gromadzą na murach broń i maszyny.

Do izby weszła Aszken. Tym razem ubrana była w długą białą tunikę sięgającą aż po kostki. Belzebub z trudem wyłowił wzrokiem spod fałdów materii jej kuliste, obfite piersi. Rozmarzył się, w myślach zdzierając z niej szatę.

Niewiasta postawiła na stole dzban wina, biały chleb i oliwki. Wazgen dostrzegł pożądlivy wzrok Kaliksta śledzący każdy jej krok.

–Aszken, zda się, że matka cię wołała... Idźże do niej.

–Akurat, stary przyku, wołała... – mruknął cicho Belzebub.

Dziewczyna poszła, zamiatając podłogę skrajem tuniki.

–Firuz może ci pomóc – powiedział gospodarz.

–Tak, jeżeli wejść do miasta, to tylko Firuz. – Armeńczycy znów wykazali się zadziwiającą zgodnością.

–Co znowu za Firuz?

–Firuz zmienił wiarę – klarował Nerses. – Z Chrystusowej na islam. Jest Armeńczykiem jak my, ale zdradził religię naszych ojców. Nie nam to oceniać, bo osądzi go Bóg, gdy przyjdzie na to czas. To strażnik. Gdyby nie przeszedł na wiarę Mahometa, pewnie

siedziałby tu z nami, biadoląc nad losem krajanów. A tak służy pod tureckim dowódcą w Bramie Książęcej. Młodzian, ledwie trzydzieści wiosen mu stuknęło, łatwo go będzie przekabacić. Tylko jakiś argument trzeba znaleźć.

–Jaki? – zapytał Kalikst.

Wytłumaczył mu to Wazgen:

–Firuz jest kłótlivy i zapalczywy. Seldżycy nie ufają mu, a on chce za wszelką cenę wykazać, że jest dobrym muzułmaninem. I że można mu powierzyć odpowiedzialny odcinek. Ale Turki i tak mu nie wierzą. Przeciwnie, poniewierają nim, a jeden z seldżuckich żołdaków, jak powiadają cichaczem, zbałamucił mu młodą żonę. Do tego on się akurat nie przyzna, ale taka jest prawda. Wciąż stara się przekonać samego siebie, że wybór, jaki poczynił, jest właściwy, jednak wszystko przeczy jego naiwnej wierze. To jest jego słabość, którą możesz wykorzystać.

–Gdzie on mieszka? Jest u siebie teraz? Ma służbę?

–Kilka ulic stąd. Niedaleko. Odkąd podeszły wojska basileusa, służbę ma tylko za dnia. Mówiłem, że Turki mu nie ufają.

–Nic to, prowadźcie...

* * *

Szybko przemknęli przez nocną Antiochię, nie napotykając strażników ani patroli malarzy. Domostwo Firuza znajdowało się kilka minut marszu od uliczki trzech Armeńczyków.

–Czekajcie tu – zakomenderował Wazgen Bifian.

Starzec zakołatał w solidną bramę. Po chwili drzwi uchyliły się. Kupiec zbożowy wszedł do wnętrza domostwa strażnika.

Nie było go jakiś kwadrans.

–Jeżeli masz odpowiedni zapas solidów, Antiochia będzie twoja – rzekł do Kaliksta. – Firuz chce z tobą gadać. Sam na sam. My wracamy. Bóg z tobą.

Armeńczycy nagle rozmyli się w mroku. Belzebub skinął im głową na pożegnanie i ruszył w stronę drzwi.

Strażnik przechrzta stał tuż za nimi.

–Ty jesteś tym posłańcem od basileusa Diogenesa? Jesteś jego... jak to mówią... logoteta?

–Tak, jestem Kalikst... Meklidos spowinowacony z Fokasami i Komnenami. Sam autokrator Roman IV Diogenes zlecił mi to zadanie. Powiedział: Nie będę na twą misję żałował solidów. Turkom nie można przecież ufać, bo oni nigdy nie będą szanować kogoś, kto urodził się chrześcijaninem.

–Zaprawdę, mądre słowa wypowiadają usta basileusa.

Firuz był chudy, a przy tym dosyć wysoki, czym stanowił całkowite przeciwieństwo trzech Armeńczyków, którzy przyprowadzili tu Kaliksta. Tamci ujmowali swoją jowialnością i zatroskaniem. Strażnik kręcił się nerwowo, nieustannie międląc dłońmi, jakby nie wiedział, gdzie je ułożyć. Tarł nimi wodniste oczy, drapał się po głowie, wreszcie jedną przykrył usta, drugą zaś trzymał w nienaturalnej pozycji wzdłuż boku.

Ubrany był na modłę turecką w luźne portki i kamasze z zawiniętymi noskami. Przycięta po seldżucku broda lśniła od tłuszczu.

–Basileus nakazał mi, bym przybył do Antiochii i obchodził

wszystkie chrześcijany. I głosił im dobrą nowinę...

–Ale jam wyznał nową wiarę... W Allaha.

–To nie wiara! To jeno herezja, co tu dużo gadać. Jak mówią, tę apostazję przyniósł szarlatanowi biały byk na swoich rogach. Źle uczyniłeś, oddając się jej, ale nie jest to grzech śmiertelny. Byłeś przecie chrzczony w chrześcijańskiej świątyni.

Armeńczyk wzruszył ramionami.

–Ano byłem. Ale teraz po trzykroć wypowiedziałem szahadę. La ilaha ill'Allah wa-Muhammadun rasulu Allah...

Kalikst prychnął z pogardą. Uniósł palec jak kapłan podczas kazania.

–I cóż znaczą te słowa?! Cóż to za język? Nie wiesz nawet, co to znaczy.

–Wiem, co znaczą te słowa. To jest...

Belzebub nie dał mu dokończyć.

–Kiedy głowisz się, co znaczy rasulu ala, podstępny Turek chędoży ci żonkę na boku, bo dla niego zawsze będziesz nędznym Armeńczykiem i niewiernym, któremu on nie zaufa.

Przechrzta zbladł. Cofnął się o krok, zaciskając pięści do białości.

–Co!? Skąd wiesz? Znaczy się, co ty mówisz? Jaki Turek?! Co te stare głupki ci naopowiadały?

Niedobrze! Kalikst za wcześnie uderzył. Trzeba było dłużej go urabiać. Ale przepadło – przystąpił do zmasowanego ataku.

–Nie możesz wierzyć Turkowi! Turek ma tylko jeden cel: wykorzystać ciebie, wykorzystać twą rodzinę, zająć twoje dobra, a gdy będziesz niepotrzebny, poderznąć ci gardło. Turek jest

podstępny, zły i plugawy. No powiedz, co dobrego spotkało cię od Turka? Masz wśród Turków przyjaciół? Czy twoja rodzina wywodzi się z Turków i czy z Turkami jada wspólne wieczerze?

–Chodzę do meczetu...

–Meczet! Czym jest meczet? Puste ściany, pomiędzy którymi nie ma Boga! Święty Bartłomiej apostoł i święty Tadeusz łzy toczą, patrząc na ciebie z niebios, gdy mówisz, że w meczecie jest Bóg. W meczecie jest tylko brudny, chytry Turek, który patrzy, jak tylko oszukać naiwnego Armeńczyka.

Firuzem wyraźnie targają sprzeczne uczucia. Z jednej strony ten posłaniec od autokratora wyraźnie z niego kpił. Szydził ze świętości, lżył braci Seldżuków, no i złe słowa mówił o Firuzowej kobiecie. Zwłaszcza to ostatnie doprowadzało go do szału. Ledwie powstrzymał odruch, który nakazywał mu chwycić miecz i natychmiast skrócić przybłędę o głowę, a trupa wyrzucić do rynsztoka ku uciechu bezpańskich psów.

No ale z drugiej strony... W głębi duszy przechrzta musiał przed sobą samym przyznać, że logoteta, czy kto on tam, prawil nie od rzeczy. Dla Turków zawsze był tylko brudnym Armeńcem. Mieli go za zdrajcę, choć jeszcze w niczym nie uchybił swoim powinnościom wobec emira. No i jego żona, Aghavni... Przyrzekała mu wierność przed chrześcijańskim księdzem, zaś po tym, jak wypowiedział szahadę, po tym, jak został Turkiem, ona oddała się Jaghiemu Sijanowi, jego dowódcy, jak ostatnia kurew z najpodlejszego lupanaru. Tak, Jaghi Sijan był winien, Aghavni była winna, wszyscy byli winni. W Firuzie narastała złość.

–Czego ty ode mnie chcesz, przybłedo?! – mruknął wściekle, z nieskrywaną niechęcią, ale Kalikst wiedział już, że wygrał.

–O umówionej porze, o świcie zabijesz najwyższego rangą oficera, który dowodzi tobą w Bramie Książęcej.

–Łotr Jaghi Sijan. To on jest...

–Zarżniesz go i wszystkich, którzy staną za nim.

–O świcie będą spali. Tylko że moja zmiana będzie wtedy, gdy już słońce wzejdzie. Nie ufają mi! Mają mnie za zdrajcę! Więc tylko za dnia pozwalają służyć. Nie, żebym lubił po nocach wystawać na wieży z mieczem w dłoni, wszak dzienna służba to przywilej, ale...

Belzebub uciął tę przemowę krótkim gestem.

–Jakoś wejdiesz. Chodzi tylko o to, żebyś tam był, zaciukał kogo trza i odblokował bramę. Musisz tylko wyrznąć tych, co będą mieć baczenie na kołowrót i mogą podnieść przedwczesny alarm. Najlepiej we śnie. My wejdziemy zaraz, jak tylko uchylisz bramę. Zrobimy resztę. Firuz przytaknął i oblał się potem. Otarł dłonią wilgotne czoło. Ręce drżały mu jak w febrze. Dyszał, świszcząc nerwowo.

–Zrobię tak... Zrobię... Ale basileus musi mi to wynagrodzić. Ryzykuję wszak życiem. Gdy Turki mnie zdybią z nożem w ręku, gdy się do nich skradam...

–Ile solidów złagodzi twój niepokój?

–Sto! Chcę sto solidów!

–Tak niewiele? Możesz mieć jeszcze więcej.

Firuz poczerwieniał.

–Co? Ty kpisz sobie ze mnie! Sto solidów to niewiele?

–To niewiele. Nie znasz hojności naszego basileusa! Autokrator zdecydował, że po opanowaniu Antiochii przez trzy dni będę sprawować w niej rządy jego zdobywcy. Cesarz wejdzie do miasta dopiero potem, więc do tego czasu, co chwycisz, to twoje. Możesz brać wszystko. Sto solidów! Dwieście! Sto tysięcy! Iłe możesz unieść w garściach!

–Niezwykła hojność – wybełkotał oszołomiony Firuz. – Aż wiary dać

nie mogę. To przecież tu tyle złota, że...

Umilkł, patrząc koso na Kaliksta.

–Jak wiesz, co i jak buchnąć, to się nie chwał – zarechotał Belzebub – tylko ostrz swój mecz. I jutro o świcie rznij Turków bez litości, a później uchyl bramę. Swych ziomków Armeńczyków nie ruszaj, ale co Seldżuka, może być twoje. Potraktuj to jako swoją zapłatę. Powiem ci jeszcze coś: jak otworzysz nam bramę, musisz się spieszyć. Rychło ruszą po łupy nasi.

Przechrzta tylko pokiwał głową. Szczęście odebrało mu mowę.

* * *

–Wynocha, łajzo! Strategos wypoczywa. Byle kogo nie przyjmuje. Zabieraj stąd dupę, powtarzam!

Kalikst strzyknął śliną.

–Uchaj, gadzie! Nie nagiąłem tu, coby bajać o dziuniach ani o dupodajach, co byś pewnie wolał! Mam dla Strategosa nie lada wieści. Więc dymaj do wielmoży i mów, że wojak Kalikst Belzebub z Konstantynopola wie, jak łącno zdobyć Antiochię.

Strażnik popatrzył nań złowrogo, ale dla świętego spokoju wsunął z powrotem miecz do pochwy i mruknął:

–Dobra. Czekał tu, ale jeżeli łżesz, to sam cię zetnę. Tu na środku placu, moim mieczem.

Kwadrans później Strategos Aleksy Komnen pytał:

–Jak powiadasz?! Brama Książęca? Czyli najbardziej wysunięta na północ. Na lewo od głównego mostu? Jej nie brałem pod uwagę, bo nie jest zbyt korzystnie położona.

Kalikst zgodził się ze swoim wodzem.

–A i owszem. Wszędzie rzeka, bagna, góry... Główny most prowadzący do miasta ufortyfikowany. Nie ma co marzyć, by go przejść ot tak sobie. Możliwość jest inna. Trzeba położyć własny most wyżej, z bali drewnianych. A dalej, jeszcze wyżej nurtu Orontesu jest niewielka kładka zwana Psim Mostem. Jeżeli Turki go jeszcze nie porąbały, to można przejść. Znaczą ludzie przejdą i konie, ale rydwany już nie. To jest kładka z kilku desek.

Strategos w zamyśleniu patrzył na mapę. Wodził palcem wte i wewte, marszcząc czoło.

–Jakby nie spojrzeć, to nie jest dla nas korzystny wariant. Antiochia to jednak doskonale umocnione miasto, sam Bóg je widać zaplanował. Gorzej, że Boży plan podstępnie wykorzystali Turkowie, zajmując gród.

Kommen oderwał wzrok od mapy i spojrzał uważnie na Kaliksta. Jego ciemne oczy lśniły złym blaskiem, który Belzebub natychmiast odczytał jako nieufność i podejrzliwość. Strategos sięgnął po niewielki mieczyk służący mu do cięcia owoców i jął nim obracać, jakby chciał coś w ten sposób wyrazić.

–Przejdziemy most. A później co?

–Później do Bramy Książęcej. A tam... A tam czeka umówiony przeze mnie człek, który otworzy wierzeje.

–Zdrajca?

–Tak. Armeńczyk co się przechrzczył na wiarę Mahometa.

–Skoro na wiarę Mahometa, to się nie przechrzci!, tylko wypowiedział szahadę. Oni nie uznają chrztu.

–No tak, tak – potwierdził Kalikst. – Na jedno wychodzi.

–Dobrze zatem. Jak umówiłeś się z tym człowiekiem? Gdzie go spotkamy, jakie jest hasło i kiedy otworzy bramę?

–O nie, wielmożny panie! Tutaj to już moja rola.

–Twoja rola? Co masz na myśli?

–Ano jakie jest hasło i jak bramę otworzyć, to ja już wiem i nikt inny. I ja to sobie będę wiedział. Taka będzie moja oferta.

–Twoja oferta? Oferta?!!! – Aleksy Komnen był wyraźnie wzburzony. – Co ty sobie wyobrażasz, szumowino? Że będziesz stawiał mi warunki?! Że jakiś handel będziesz uprawiać jak Syryjczyk czy inny Żydek?

–Tak, Strategosie – odparł Kalikst, nie dając się zbić z tropu. – Jam tu nie dla chwały basileusa ani dla chwały Pana Boga w niebiosach. Jam jest złodziej i kanalia, według waszego, wielmożów, pojęcia. Nie mam honoru, więc wszystko przeliczam na solidy. Mówię szczerze, jak jest.

–Na solidy, powiadasz? Czyli ile oczekujesz?

–A nie, tym razem nie o solidy chodzi! Chcę być hekatontarchosem.

–Setnikiem? Ty?! Dobrze sobie! – Aleksy Komnen zatrząsł się ze śmiechu. Z rozmachem wbił mieczyk w wielkiego arbuza. Wodnisty sok chlapał na boki, spod zielonej skorupy wypłynął różowawy miąższ. Strategos zadał jeszcze kilka szybkich ciosów, zamieniając owoc w miazgę.

–Tak. Chcę być hekatontarchosem – powtórzył Belzebub – zamiast Tyberiusza Piąchulca.

–Ha, ha, ha! – zaśmiał się Aleksy. – Drobnny złodziejaszek chce zastąpić na odpowiedzialnym stanowisku Tyberiusza Piąchulca,

weterana i wygę!

–Tak właśnie chcę.

–A co byś powiedział, jakbym cię kazał powolutku na pal wbić? Albo zawiesić za nogi w pełnym słońcu? Albo gołego puścić pod bramę, żeby cię Turki strzałami naszpikowały, zanim zdążysz dać drapaka?

Kalikst zarechotał szyderczo. Już czuł, że zyskał, co chciał. Komnen musiał po prostu zademonstrować swoją wyższość i siłę. Ale ugnie się. A gdyby jednak chciał spełnić swoje śmieszne groźby, w ciemności stał na straży Purrhos.

–Panie, ja wierzę, że nie masz powodów, by tak robić. Chcę być hekatontarchosem, bo jestem dobry, prosta sprawa. Skoro potrafię otworzyć miasto, to będę wiedział, jak zdobyć inne twierdze. A czy nie o to chodzi na wojnie?

Aleksy Komnen nabił na mieczyk kolejny owoc. Tym razem był to granat. Zaczął wydłubywać ze środka słodkie pestki.

–I co mam niby zrobić z Piąchulcem? Jego nadziać na pal?

–Nie kryję, że taki widok sprawiłby mi radość, ale nie. Niech zostanie po prostu pod moją komendą.

–Porachunki? Małostkowy jesteś, żołnierzu.

–To nie porachunki... Lepiej, żeby każdy był na swoim miejscu. Wedle rozumu i umiejętności.

–Nie wiem, może robię wyjątkowe głupstwo, może szatani mnie opętali, ale niech ci będzie. Ale pod jednym warunkiem! Gdy rzeczywiście przyczynisz się do tego, że zdobędziemy miasto, będziesz hekatontarchosem, jednakowoż tylko do pierwszego błędu. Jakakolwiek wpadka, pijany żołnierz z podległej ci setki, który narzyga mi pod namiot, będzie dla ciebie wyrokiem śmierci. Nabiję cię na pal albo zawieszę na słońcu.

Jeżeli narzyga, to ja mu pierwszej jaja utnę, a później sam na kołek nabiję – pomyślał Kalikst.

–Jutro, panie – rzekł – będziesz świętował zwycięstwo w sercu Antiochii. A wtedy nie będziesz już myślał o tym, by nabijać na drąg swoich najlepszych bohaterów. To ci mogę obiecać.

* * *

–Krew... Morze krwi, nienawiść, śmierć i zdrada... – wyszeptał ślepiec w szkarłatnej riasie. – Taaak, tam będzie zdrada po dwakroć! Widzę... Widzę...

Odwrócił twarz od słońca. Przysłonił dłońmi powieki, jakby chciał zetrzeć z nich sceny okrucieństwa. Promienie padające z rozpalonej kuli malowały na jego bielmach obrazy przyszłości. Bliższe, dalsze, nie zawsze dokładne. Teraz jednak nie miał wątpliwości: wizja rzezi syryjskiego miasta była aż nazbyt wyraźna. Wręcz namacalna. Jakby patrzył swoimi własnymi oczami. Jakby stał za murami Antiochii pośród umazanych krwią zdobywców i obrońców, spętanych łańcuchami śmierci, ogarniętych ogniem walki.

Tarł czoło i skronie tak długo, aż obraz zniknął. Ogarnęły go ciemności, choć na skórze czuł palące promienie cypryjskiego słońca.

Kręcąc głową, zaczął iść w dół wzgórza wąską ścieżyną, którą sam wydeptał. Na szczycie słońce najszczodrzej zsyłało mu dar widzenia, więc chętnie tu przychodził. Znał każdy kamień, każdą nierówność drożyny...

Nad głową posłyszał wrzask jastrzębia. Zaraz doszedł go krzyk drugiego, nieco słabszy, jakby mniej pewny, ale pełen życia. Ptaki – drobna samiczka o płowych skrzydłach, i większy samiec o popielatych piórach i żywych pomarańczowych oczach – przemknęły nad starcem, odfruwając nad pobliską przepaść.

Szkarłatny mnich westchnął ciężko. Widział przyszłość, widział różne jej rozgałęzienia i wiedział, że to jeszcze nie teraz. Jeszcze nie nadeszła ta chwila, gdy strumyczki czasu zbiegną się w jeden rwący nurt, a niesione nim wydarzenia popłyną prosto do celu. Przeklęty sługa Satanaela mógł wyrządzić zbyt wiele szkód, a jego wybraniec pójść różnymi drogami, nie zawsze tymi, które wiodły do tego jedyne go dobrego rozwiązania. Złodziej mógł, weźmy, zginać wcześniej – to nie byłoby tak złe, bo uniemożliwiłoby triumf Czarnego Mnicha. Jednak opryszek o diabelskim imieniu był potrzebny i musiał przejść swą drogę do ostatecznego celu. Gorzej, gdyby wyrwał się spod kontroli i rozwinął swoją własną, zupełnie nieprzewidzianą wersję przyszłości.

Starzec zszedł z najbardziej stromego wzgórza. Teraz jego dróżka wiodła nieco łagodniejszym stokiem, jednak było więcej kamieni staczających się z góry. Tu mapę przeszkód musiał poznawać na nowo – niemal każdego dnia wiatr, słońce i wszystkie inne siły natury rysowały własne szlaki, trzęsąc starymi górami Troodos.

W końcu doszedł do swej pustelni. Był to niewielki kamienny budynek, kolisty, ustawiony przed wiekami z prostych, niedbałe wygładzonych bloków bazaltu. Małe okienka, pozostawione raczej dla powietrza niż światła, sugerowały, że pierwszym mieszkańcem eremu również był ślepiec.

Zbliżył się do drzwi pustelni, nie wszedł jednak do środka. Zasiadł na kamiennej ławie przed eremem i słuchał głosu ptaków. Jastrzębie szybowały gdzieś w przestworzach nad jego głową, krzycząc, aż echo szło. Ślepiec w szkarłatnej riasie czekał cierpliwie. Nagle głosy zniknęły, tylko wiatr zawodził ponuro. Gdzieś tam w oddali zastukały spadające kamienie, niżej szeleściły zeschnięte drzewka. Na te głosy nie zwracał uwagi, wreszcie jednak się doczekał.

Jastrzębie wracały. Słyszał łopot skrzydeł obydwójga, a później triumfalny wrzask płowej samicy.

Mnich sięgnął pod ławę, dobywając stamtąd skórzany rękaw. Nasunął go na ramię i wyciągnął rękę do jastrzębicy. Ta posłuszenie sfrunęła mu na nadgarstek, rzucając wcześniej zdobycz trzymaną w pazurach – obróconego w krwawą miazgę zająca.

–Daleko zaleciałyście, daleko... – mruknął z zadowoleniem eremita. Sięgnął po zdobycz przyniesioną przez ptaki i wyszarpnął spod sierści pierwszy kęs mięsa. Krew zalała mu brodę, jednak nie zwracał na to uwagi. Powolnymi, oszczędnymi kęsami odrywał kolejne porcje, długo je żując, wysysając wszystkie soki.

Wreszcie nasycił głód – nie potrzebował przecież wiele. Łagodnym ruchem strząsnął samicę z ramienia, po czym wykonał gest zachęty dla drugiego jastrzębia. Ten ochoczo podfrunął i od razu wbił dziób w podsunięty mu strzęp króliczego mięsa. Szarpał ochłapy, aż krew bryzgała, ochlapując twarz eremity. Ten jednak tylko się śmiał:

–Jedz, jedz, drapieźniku. Może jeszcze kiedyś, Bóg da, przypomnisz sobie, jak polować.

Rozdział 6

Firuz przywitał ich z odciętą głową Jaghi Sijana w garści.

–Ha, ha! Urznąłem mu ją! – Śmiał się jak opętany, a w jego wodnistych oczach łyskały złowrogie ogniki. – Jak zległ spać, powiedział: Jeno na chwilę, muszę odpocząć, trzecią noc już tkwię w tej bramie, wypatrując Rumów. Znaczy na wieczną chwilę, ha, ha!

Wywijał głową Turka, bryzgając z góry krwią. Ciemne krople padały im na głowy i ramiona, znacząc zbroje i kolczugi rudymi plamami niczym rdzą.

–Ty tam! Mordę zawrzyj i otwieraj bramę! – rozkazał Kalikst. –

Straże pobudzisz!

Firuz popatrzył dziko na boki, czy nikt nie idzie. Oparł łeb Sijana na krawędzi muru.

–Tak, tak... Jasne – powiedział zduszonym głosem. – Jaghi niech se tu spoziera na przedpole, a ja zaraz odrygluję bramę. Już idę na dół, schodzę.

Belzebub nawet nie zdążył krzyknąć, by zaczekał. Chciał wejść do środka po linie i zabić strażników własnoręcznie. Ale tamten już pognął w dół schodami.

–Dwóch? – mruknął cicho Nicetas. – No to zaraz go na rożen nadzieją i tyle będzie z naszego zdobywania Antiochii.

Mimo bolącego kulasa Wielka Pięść uparł się, by iść razem ze wszystkimi łotrami zdobywać Antiochię. Teraz stał w pierwszej linii, ściskając w spoconych dłoniach rękojeść wielkiego miecza spatha.

–Nie kracz, kuternoga, bo mnie wpieniasz!

–A co, nie mam racji? Głupek ten Firuz.

–No głupek, ale głupi mają szczęście. Tylko czekaj, zaraz wejdziemy do środka.

Kalikst myślami był już w środku miasta, już widział, jak Antiochia płonie, a ponad nią wznosi się jęk rozpaczony dzikusów. Jednak gdzieś tam, pod skórą czuł, że Firuz skrewi.

Ale nie. Szczęknięty sztaby, zachrząściły łańcuchy. Wzmocniona stalowymi guzami brama drgnęła, stęknęła i powoli zaczęła iść w górę. Belzebub skoczył w przód. Gdy tylko wierzeje odłoniły wąski przesmyk, przylgnął do kamieni i wpełzł do środka. Za nim poszła reszta. Łotry z trudem kryły podniecenie. Byli już w środku, od miasta odgradzała ich jeno żelazna krata.

Hałasy zaalarmowały strażników. Nagle wysypali się z bocznych

drzwi, wrzeszcząc coś w swej dzikiej mowie. Ale nim dobiegli do schodów prowadzących do korbowodu, którym kręcił Firuz, zdobywcy naszpikowali ich strzałami. Zaraz nadbiegli następni, uzbrojeni w gołe szable. Już wiedzieli, że dokonana się zdrada, a im nie pozostało nic innego, jak zginąć.

Słusznie mniemali.

Ledwie krata uniosła się w górę na dwie stopy, Kalikst był już w środku. Tuż za nim sunęła cała setka od Tyberiusza Piąchulca, on sam i reszta hałasty.

–Zabij! Zabij Turasa! – zaryczały łotry.

–Antiochia nasza! Nasza! Zdobyta!

Przedwczesna radość! Od sąsiedniej baszty biegly już dwa oddziały Seldżuków. Spomiędzy uliczek nadciągnęli następni. Nagle wokół Bramy Książęcej zaroilo się od tureckich zbrojnych ze skowytem odpierających nocny atak.

Gdy Firuz podciągnął wyżej kratę, napastnicy wlali się jak fala powodzi, z rykiem triumfu, szczękiem mieczy, szabel, toporków, kiścieni, maczug. Konstantynopolitańskie łotry, hultaje z Nicei, Cezarei, bandziory z całego cesarstwa runęły z impetem w głąb miasta złaknione obiecanego złota, klejnotów, cudów, rozkoszy... Seldżycy swymi strzałami próbowali powstrzymać ich pod bramą. Za późno! Ledwie sięgnęli do kołczanów, już spadły na nich ostrza mieczy.

–Do przodu! Zdusić ich! – ryczał Tyberiusz Piąchulec, odzyskując wigor i, jak mniemał, panowanie nad sytuacją, jednak jego żołnierzom nie trzeba było już słów zachęty. Parli do przodu, wywijając ostrzami, tnąc zaskoczonych Turków jak suche zboże.

Kalikst wył z radości. Na rydwanie mimo długich dni szkolenia wciąż czuł się nieswojo. Ciężkie stroje, syfony z greckim ogniem, turkot okutych kół bojowego wozu – owszem, to rozpałało w nim żar walki, jednak zarazem musiał cały czas trzymać emocje na wodzy.

Najmniejszy błąd mógł kosztować życie nie tylko jego samego, ale także kompanów.

Teraz jednak nie istniały żadne granice. Tańczył z półprzymkniętymi oczami, słuchając świstu swojej szabli, skowytu ranionych obrońców miasta, obryzgiwany krwią. Seldżycy nie przyszykowali się do nocnego ataku. Mieli broń, ale nie zdolali okryć piersi i głów zbrojami. Lekkie szaty szybko nasiąkały krwią rozcinane i rozrywane równymi ciosami ostrzy razem ze skórą i wnętrznościami.

W wąskich zaułkach Antiochii, w mroku nocy, pod ciemnymi murami z rzadka tylko rozświetlonymi przez pochodnie, łotry czuły się jak u siebie w domu. Tu oprychy mogły pokazać, że nie bez przyczyny basileus pchnął ich na pierwszą linię. Lata ulicznych mordobić dawały im przewagę nad regularnymi wojami nawykłymi do walki w polu. A Seldżycy, stepowy ludek, tym bardziej nie potrafili się bić w tej ciasnocie.

No i łotrom nie trzeba było dowódcy. Chociaż Piąchulec i inni hekatontarchosi zdzierali gardła, z nawyku kierując swoje setki w ten czy w inny zaułek, rozochociona hałastrą obwiesiów wiedziała sama, co czynić. Nie myśleli, nie planowali swych kroków – po prostu bezbłędnie szli tam, gdzie pchnęła ich bandycka natura.

Tym sposobem rozproszyli trzy oddziały Turków.

Przez bramę wlewały się kolejne zastępy atakujących. Kiedy na miejskim bruku zastukały kopyta normańskich najemników, Kalikst uznał, że teraz nadszedł czas na inne działania.

Zaciukał dwóch seldżuckich strażników bezradnie wymachujących zakrzywionymi mieczami i ruszył przez tłum w stronę bramy. Rycerze Roussela de Bailleul skierowali się w prawo, z groźnym łoskotem mknąc ku głównej bramie miasta. Gdy przejechali, Kalikst pobiegł ich tropem, aż zgiełk bijatyki za jego plecami przycichł.

Belzebub schował szablę i skrył twarz pod zawojem. Nie chciał, by ktokolwiek poznał w nim jednego z armii zdobywców. Choć nie znał

miasta, złodziejska natura skierowała jego kroki we właściwą stronę – do południowej części Antiochii.

Przebiegł jeszcze kilka ulic i przystanął. Nagle szeroką aleję, której przezornie unikał, wypełnił ciemny, szepczący tłum. Idące w kolumnach postaci spiesznie podążały w jednym kierunku – ku górnym dzielnicom. Zdziwiony Kalikst spostrzegł, że to tureccy żołnierze. Szli, nie patrząc za siebie. Nie uciekali, choć cel ich marszu mógłby na to wskazywać.

Więc co zamierzali?

Belzebub przeczekał, aż minie go ostatnia grupa i cicho pomknął za nimi. Parli równym krokiem w górę miasta. Wkrótce już wiedział, co jest na rzeczy.

Seldżucy szli ku cytadeli na wzgórzu Silpion.

–Szczury... – mruknął Kalikst. – Chowają się... Jeszcze wam dupska przysmażemy!

Zawrócił na pięcie i odbił w bok, do zachodniej dzielnicy. Nie poznał jeszcze zbyt dobrze tego miasta. Pamiętał tyle, co zobaczył podczas pierwszej swojej bytności w Antiochii, i tyle, co zapamiętał z mapy. Wkrótce zabłądził. Niebo zasnuwały ciemnoszare chmury ledwie rozświetlane sierpowatym księżycem, w niektórych domostwach lśniły płóche światła. To jednak nie wystarczało, by wskazać mu właściwą drogę. Biegł przez wąskie uliczki, starając się zapisać w głowie układ bram, murów i placów. Na nic to – wszystkie zaułki wyglądały tak samo, wkrótce miał już pewność, że krąży w kółko.

Wokół robiło się coraz głośniej. Zaułkami przemykali uciekinierzy, targając pospiesznie zwinięte tobołki. Byle dalej od nadciągającego żywiołu!

–Rumi! Rumi! – niosło się zawodzenie w tureckiej mowie.

Mijając ogarniętych paniką mieszkańców Antiochii, Belzebub dotarł

wkrótce do zachodniej części murów powyżej Bramy św. Jerzego. Jeszcze kilka setek kroków szeroką aleją i był w dzielnicy chrześcijan.

Panowała cisza, jakby wojna jeszcze tu nie dotarła. Widać Armeńczycy woleli przeczekać zdobywanie miasta ukryci w piwniczkach.

Gdy przez jakiś kwadrans nic się nie wydarzyło, Kalikst doskoczył do drzwi domostwa Firuza. Przystawił ucho do desek. W środku pobrzmiwały głosy, jednak niezbyt wyraźne, stłumione. Nie było w nich strachu.

Wrócił za cuchnące skrzynki. Czekał. W tym czasie hałas bitwy rozlał się po całej Antiochii. Wrzaski atakujących łotrów, kwik koni najemników, szczekanie ostrzy i lament mordowanych.

Wtem zza rogu wyszedł przechrzta. Taszczył jakiś wór, sapiąc z wysiłku.

–A... Jesteś – szepnął Kalikst.

Odczekał jeszcze, aż Armeńczyk doczłapie na próg, po czym cichutko pomknął za nim. Dobył puginału i przyłożył ostrze między łopatki przechrzty.

Firuz zmartwiał. Jęknął, uścisk na worze zelżał. Tobół spadł na podmurówkę z głośnym brzęknięciem.

Belzebub zarechotał.

–Co, pękasz? To ja, a nie Turki, których okradłeś.

Strażnik odetchnął z widoczną ulgą, ale niepokój nie opuścił go do końca.

–Aaaha, ty... Aleś mi stracha napędził! W ogóle żem cię nie słyszał.

Przekręcił głowę, łypiąc w tył. Nie miał jednak odwagi, by stanąć

twarzą w twarz z niespodziewanym gościem.

–No i co lipasz jak sowa? Bierz wór i pakuj dupsko do chaty, bo jeszcze ktoś obaczy i będą gadać bez potrzeby.

Armeńczyk chwycił za tobół i posłusznie przestąpił próg. Kalikst ruszył za nim.

–Obłowiłeś się tej nocy, co? – zagadnął, gdy kłapnęły za nimi solidne drzwi. – Łup zgarnąłeś jak stary złodziej.

Tamten zakaszlał nerwowo, nie wiedząc, cóż znaczą te słowa.

–Skorzystałeś z mojej rady, co? No to blatnie! Odebrałeś swoją należność za pomoc?... Za łeb Sijana oderżnięty podczas snu? I za podniesioną bramę?

–A jużci. Tak jak rzekłeś. – Firuz powoli zaczynał odzyskiwać pewność siebie. Słowa Belzebuba były dziwne, ich znaczenie niejasne, ale wyglądało na to, że łotr jest zadowolony z obrotu sprawy. W końcu zdobyć takie miasta jak Antiochia to nie lada wyczyn. A on, Firuz, miał w tym swój wielki udział i teraz należały mu się dzięki. – Tak, jakżeś mi radził, odebrałem sobie obiecane solidy samemu, coby basileusowi ze skarbca nie wyciągać.

–Twej trosce o złoto naszego władcy można tylko przyklasnąć. Ale powiedzże, komuś to buchnął! Sijanowi z domostwa? Swoim dawnym kompanom z wojska? A możeś jakiegoś bogatego kupca przydybał i gardziołko mu poderżnął?

Strażnik poczerwieniał.

–To były Turki! – wykrzyknął. – Saraceny plugawe, należało im się! Za wszystkie lata, gdy krew naszą pili. Teraz, co moje, odebrałem.

–Taaa... No blatnie... Wielce mi się to, co mówisz, podoba. Bo ja też Turków nienawidzę jak gadów. Należało im się, a jakże.

Armeńczyk chrząknął.

–No tak. To rozgość się, zacny panie. A ja zatacham wór dalej, coby tu na widoku nie leżał. Jeszcze ktoś wejdzie...

Zarzucił tobół na plecy i poczłapał w stronę drzwi w głębi korytarza. Kalikst odczekał chwilę, po czym rzucił z kpina:

–Turków nienawidzę jak gadów. Ale jeszcze bardziej nienawidzę zdrajców. A już szczególnie zdrajców podwójnych. Takich, co to najpierw na śmierć wydają swoich ziomków, a później podcinają gardła swoim nowym panom.

Firuz zmartwiał. Puścił wór. Pakunek spadł z ciężkim grzechotem na podłogę.

Belzebub powoli wyciągał szablę. Stał zajęczala, trąc o pochwę.

Nagle Armeńczyk skoczył w bok, wyszarpując zza pasa swoją broń – miecz o cienkim ostrzu, niezbyt długi, zgrabny. Ciął nim powietrze, w oczach Firuza rozżarzyła się cała tłumiona dotąd wściekłość.

–Sam jesteś zdrajca! – wychrypiał. – Ty jesteś zdrajca i bydlę jakich mało! Już ten Sijan był lepszy, jemu prędzej bym zaufał. Czułem, czułem, że przyniesiesz tylko same kłopoty.

–He, he, he! Solidy odmienią każdego, nie ma mocnych...

Szedł powoli w stronę strażnika, hipnotycznie bujając końcem szabli.

–Jakbyś pytał mnie, dlaczego nie znoszę zdrajców, tobym nie potrafił odpowiedzieć. W końcu dzięki tobie weszliśmy do Antiochii. Ale coś mi mówi, że jednak cię nienawidzę. A czemu? Jeden diabeł wie chyba. Bo widzisz, jak tak pomyślę, tobym zrobił tak samo. Też bym zaciukał tego Sijana.

Armeńczyk runął w przód, przepływając pod ramieniem Kaliksta ze sztychem skierowanym na wprost. Złodziej odskoczył i zachichotał.

–Chyba po prostu coś mi w duszy gada, że zdrajca może zdradzić w końcu i mnie. Mogę ja zdradzać, mogę innych namawiać do zdrady, ale lepiej nie mieć obok siebie sprzedawczyka, który na to poszedł.

–Jesteś obłąkany! – wrzasnął strażnik i ponowił swój manewr. Skoczył z wyciągniętym mieczem, licząc, że trafi przeciwnika w brzuch i szybko zakończy walkę. Brakowało mu jednak szczęścia i umiejętności.

Belzebub obrócił się w bok i lekko cofnął. Nawet nie opuszczał ostrza. Wystarczył silny kopniak w brzuch Firuza.

Ten zacharczał i wybałuszył gały z bólu. Z ust pociekła mu lepka ślina i zawisała jak ruchomy stalaktyt. Armeńczyk chwilę tkwił zgięty wpół, zaraz stracił równowagę jak pijany. Kalikst mógł go teraz łatwo wykończyć, ale nie chciał. Nie w tej chwili. Doskoczył do strażnika i kolejnym kopnięciem wybił mu miecz z dłoni.

Złodziej przytknął koniec szabli do policzka przechrztły. Pocięła krew. Patrzył na tego ludzkiego robaka rozdeptywanego powoli na śmierć i nie czuł nic. Pogarda uleciała zeń wraz z pierwszym kopnięciem. Nienawiść? Złość? A może współczucie? Zrozumienie? Czerwień z policzka zaczęła spływać cienkim strumyczkiem prosto na lśniąca od tłuszczu brodę przyciętą na seldzucką modłę. Nie, nie czuł absolutnie nic, los zdrajcy był dlań całkowicie obojętny.

Dlatego odciął mu ucho. Machinalnie szarpnął szablą, patrząc, jak muszlowaty kawałek ciała poleciał w bok.

Strażnik zawył z bólu.

–Litości! Nie zabijaj! Weź złoto! Jest twoje, ale daruj życie! Bierz złoto!

–A wezmę, wezmę, owszem.

To mówiąc, uniósł szablę i zdecydowanym cięciem pozbawił Firuza drugiego ucha. Nim ten zdążył zawyć, odrąbał mu nos.

Ryk bólu szybko przeszedł w głuchy gulgot. Czerwień buchnęła ze wszystkich ran, Armeńczyk nie miał nawet jak zatamować krwotoku. Złapał się za resztki nosa obydwoma dłońmi, kurczowo przyciskając je do twarzy. Widać tu najbardziej bolało.

–Arch... Chrr... Kurchr... Wii... Schrynu... Arch...

Próbował coś jeszcze powiedzieć, ale zaraz padł zgięty wpół, miotając się w rosnącej kałuży o barwie wina.

Kalikst zostawił go i niespiesznie podszedł do worka. Schował szablę i rozsuptał sznur.

Złoto. Monety. Jakieś babskie błyskotki z drogimi kamieniami. Kilka kielichów wysadzanych rubinami i szmaragdami. Łańcuchy z żółtego metalu.

Podniósł tobół i dotargał nad dogorywającego Firuza. Strażnik charczał w agonii. Kalikst chwycił garść solidów i wepchnął mu je do ust. Żółty metal zmieszał się z krwią, Armeńczyk odruchowo wciągnął złoto do gardła. Jeszcze bardziej wybałuszył oczy, drgając w konwulsjach.

Nim zszedł z tego świata, Belzebub wysypał mu na łeb całą zawartość worka.

–Masz, masz swoje złoto. Zostawiam ci je, ale życie zabieram.

Kopnął kielich lśniący kamieniami. Naczynie z brzękiem potoczyło się po podłodze.

* * *

Antiochia płonąła. Zdobywcy opanowali już wszystkie dzielnice, metodycznie przetrząsając dom za domem. Kawalerzyści Komnena z mieczami w dłoniach gnali na swych wielkich koniach po bruku i rozbijali ostatnie skupiska walczących. Nie zsiadali z wierzchowców, a wąskie zaułki nie pozwalały im na swobodę działania, jednak wystarczyło, że zamajaczyli w oddali, z łoskotem przemknęli po alejach, a już seldżuckie niedobitki pierzchały byle dalej w mrok.

Normańscy najemnicy nie baczyli już na to, co się działo dookoła. Turek nie Turek, Syryjczyk czy Armeńczyk – kiedy tylko ustały najbardziej zacięte walki, a główne siły wroga zostały rozbite, skupili swą uwagę na odbieraniu należności. Szukali bogatych kupców, rezydencji wielmożów, seldżuckich władców miasta, ich syryjskich namiestników w nadziei, że ci za darowanie życia zapewnią im najszybszy zysk.

Po łupy ruszyła też zbieranina łotrów. Tych już nikt nie pilnował. Setnicy nawet nie próbowali okiełznać żywiołu, jakimi stały się te wszystkie szumowiny, te plugawe oprychy z najpodlejszych dzielnic Konstantynopola, Nicei i Cezarei, przed którymi teraz otworzyły się bramy rajy. Mordować, gwałcić, kraść i pić ze szczęścia do upadłego – o tym śnili i teraz mieli to w zasięgu ręki. Bandziory na służbie basileusa Romana IV biegały upojone zwycięstwem, siekąc bez litości każdego, kto się nawinął. Niby Syryjczycy to nie wrogowie, Armeńczycy też, a w końcu i Żydzi nie stanowili zagrożenia, ale kto by tam po nocy patrzył czy to Saracen, czy pejsaty, czy dobry chrześcijanin. Wszyscy równo nadstawiali gardła, oddając swe liche złoto i bezwartościowe życie. Wrzaski zarzynanych i rechot zbirów niosły się po ulicach Antiochii.

Tak to wyglądało, gdy Kalikst odnalazł swoich kompanów.

Nicetas, o dziwo, odzyskał w pełni zdrowie. Umazany juchą, dzierżąc wielki miecz w garści, odrywał szybkimi ciosami łby z karków albo ramiona od korpusów. Kobiety, dzieci, kaleki. Bez

różnicy.

–Kulas! Co ty, do kurwiej pizdy, robisz?! – ryknął na niego Belzebub. – Czyś ty już do cna ogłupiał?

Wielka Pięść przystanął na chwilę i tocząc wokół nieprzytomnym wzrokiem, wybełkotał:

–Ale że co? Niby co mówisz?... Że co robię?...

–Tak, wielki, tępą ćwoku! I ta reszta też. Chcecie, żeby was Komnen obaczył? Za to mnie, kurwisyn, na pal wbije, jak nie będą was pilnował. Jestem hekatontarchosem, zapomniałeś o tym, tępą kupo bezmyślnego gówna? Co tu się w ogóle wyrabia?

–Komnen? Znaczy Strategos? Iii, tam! – Nicetas lekceważąco machnął wielką łapą. – Oni teraz mają większe zmartwienie na głowie niż pilnowanie moczymordów i oprychów. Aleksy jest pod cytadelą. A Seldżuki są w środku, za murami. Wszyscy nawiali i tam se zrobili melinę.

Belzebub pokiwał głową. Sam przecie widział oddziały Turków maszerujące w ciemnościach do północnej dzielnicy miasta.

–A reszta gdzie? Żmudzini, Muhammad, cała reszta. No i gdzie Piąchulec?

–Ano łażą tu gdzieś i łupią. Wodnika widziałem ledwie co, jak chędożył jakąś grubą babę z cycami. Nie wiem czy ją gwałcił, czy to ona jego. No a gdzie Piąchulec, to nie wiem.

Kalikst popatrzył na boki. Dostrzegł kilkunastu swoich ludzi, znaczy ze swojej hekatontarchii przejętej po Tyberiuszu. Biegali jak opętani, kilku tłukło się z krewkami miejscowymi Armeńczykami, tak bez przekonania, raczej na postrach.

–Piąchulec! – wrzasnął Kalikst.

Teraz by się przydał ten stary cap. Belzebub powoli zaczął żałować

swojego pomysłu wykopania Tyberiusza. Władza jest słodka i upajająca, ale nie tu – w mieście ogarniętym amokiem i ogniem. Tu władzą były tylko dzikie żądze. Teraz widział, że nazbyt pochopnie nastawał na zaszczyty. Dowodzić zgrają jest dobrze wtedy, gdy wszystko idzie wyrobioną koleiną i nie trzeba zbyt często się kłopotać drobiazgami. Wystarczy czasem okazać trochę okrucieństwa, niekiedy szczyptę łaskawości, a innym razem porwać tłum gromkim okrzykiem, wyzywając wrogów od kozojebów. Ale teraz... W tym kotle pełnym wrzącej lawy, jakim stała się Antiochia, należało znaleźć jakiś inny sposób.

–Piąchulec! – wrzeszczał Belzebub.

Piąchulca jednak nie było.

–Nicetas! – zawołał więc nieszczęsny hekatontarchos. – Znajdźcie mi jakiegoś konia albo jeszcze lepiej podjeżdżaj rydwanem. Pojeździmy trochę po mieście i zrobimy porządek.

–Rydwany stoją za murami. Tam, gdzie je zostawiliśmy przed atakiem.

–No to co tu stoisz i się lipasz jak głupi? Fruwaj po wóz i masz tu być migiem. Albo znajdź mi co inszego.

–Hmm... – Wielka Pięć podrapał się w czoło, rozmazując na nim czyjaś świeżą jeszcze krew. – Mogą być konie. Paru najemników rannych, dogorywają nieopodal. Mogę buchnąć ich wierzchowce.

–Nie. Wiesz, co? Jednak chcę rydwan. – Kalikstowi przyszło na myśl, że będzie wyglądał niezwykle sztywnie w bojowym wozie ogniowym prowadzonym przez wiernego pachołka.

–Ale to potrwa... Daleko są te rydwany.

–Nie szkodzi. Zaczekam. Ale ty już przebieraj girami!

Wielka Pięć skrzywił się, jednak nic nie powiedział. Z wyraźną niechęcią poczłapał w stronę bramy.

Belzebub postanowił zaczekać, a jakże.

Skoro będzie rydwan – pomyślał – nie ma co dymać piechotą.

Wtedy przypomniała mu się Aszken. Cycata i dorodna panna, którą staruchy chciały oddać na poniewierkę do klasztoru.

–Znaczy się dziewica – mruknął.

Zarechotał i ruszył w stronę domostwa Wazgena Bifiana.

* * *

–Głupiś! – powiedział Nicetas dwa kwadransy później.

Wiózł Kaliksta rydwanem zaprzężonym w dwa dorodne ogiery, nieco dzikie, ale silne i szybkie. Głowa Belzebuba kiwała się, kiedy podskakiwali na wybojach.

–Zwolnij, gruby! No co jest?! Co tak szybko...?

Wtedy poczuł, że z rozbitego czoła znów ciurkiem leci mu krew. Nie mógł nijak jej powstrzymać – szmaty tylko wchłaniały szkarłat, ale nie tamowały krwotoku.

–Przypał!

–Eee... Co?

–Przypał – powtórzył Nicetas. – Rana się będzie babrać. Weź żagiew i se przyłóż do bańki, raz a dobrze. Bo jak nie, to nie dojedziesz nawet do tej cytadeli.

–Zabiję kurwich synów! Nie daruję!

–Tak, tak.

–Zawracaj, kuternoga! Zawracaj i zwołaj chłopaków. Rozniesiemy tych armeńskich ciuli w drobny pył.

–Akurat. Siedź na dupie i weź se te żagiew do bańki przyłóż.

Belzebub ani myślał słuchać. Ocierając juchę cieknącą ze łba, wyprostował się w pędzącym rydwanie. Złapał kompana za ramię i potrząsnął nim.

–Wracaj, malaka! Nuże! Dawaj! Obijem Armeńczyków!

Nicetas mruknął tylko coś niezrozumiale i strząsnął dłoń namolnego ziomka. Ten wpadł w furję.

–Co to, bunt?! – wrzasnął, z trudem trzymając równowagę. Kropelki krwi chlusnęły na boki niczym żywe rubiny. – Jestem twoim dowódcą, a ty masz mnie słuchać! Więc rozkaz brzmi: zawracaj, zbierz wiarę i puścimy brudasów z dymem. Wyrżniemy co do jednego!

Dryblas przełożył lejce do lewej dłoni. Obrócił się i prawym kułakiem łupnął prosto w szczękę Kaliksta. Hekatontarchos bandy oprychów runął w tył, grzmocąc potylicą o deski rydwanu. Znieruchomiał, nawet nie jęknąwszy.

Nicetas rzucił krótkie spojrzenie przez ramię. Narastała w nim przekorna i mściwa myśl, że śmierć Belzebuba przywitałby teraz obojętnie, jeżeli nie z cichą radością. Niechby nawet zdechł jak pies! Kalikst nie był tym samym dobrym kompanem, co jeszcze kilka tygodni temu. Był jako jakiś Turek czy inny Saracen, albo co gorszego. Podstępny i złośliwy. Zupełnie inny człowiek i tego Nicetas nie mógł znieść. I już nie szło nawet o te parę słów, które między nimi padły. Wyczuwał przez skórę jakiś nieuchwytny zapach otaczający jego niegdysiejszego przyjaciela – to budziło w Wielkiej

Pięści głucho warcząca wściekłość.

Jednak powstrzymał złość i dalej prowadził rydwan tam, gdzie powinien. Do swoich.

Kalikst nie był zbyt mądry. O nie! No owszem – Aszken panna jak marzenie. Słodka jak saraceńska chałwa, dorodna jak ruski kołacz, nic tylko rwać i smakować. Ale gdyby Belzebub pomyślał, wzięłyby pod uwagę okoliczności. A te świadczyły przeciwko niemu – jest wojna, jest oblężenie miasta, jest ogień, rzeź i poniewierka. Armeńczyki tu żyją od lat, nie są przecie głupie i wiedzą, że za każdym wojskiem, basileusowym czy innym, idzie gwałt, śmierć i pożoga. Zawsze się przyplącze jakiś chędożnik ze sterczącym chojakiem, by zbałamucić dziewczycę.

Zamiast kościstych dziadków Kaliksta przywitały młode chłopcy. Bracia, kuzyni, sąsiedzi czy kto tam inny – dość, że kumotrzy Wazgena Bifiana i obrońcy czci Aszken. Wysypały się ich bez mała jakieś dwie dziesiątki. Wszyscy z tym dzikim błyskiem w ciemnych oczach. Zbrojni w wielkie drewniane pały nabijane gwoździami, w pogięte szable, w długie kindżały, co tam kto miał. Nie, nie zaatakowali od razu. Dali mu chwilę nadziei, że może osiągnąć swój cel. Akurat! Gdy już wszedł głębiej do domostwa, gdy już zwietrzył słodki zapach niewiasty i był gotów wydobyć swój oręż, spuścili mu łomot. Cud, że nie pochlastali go na plasterki. Jakoś się wybronił, jednak krew pociekła i to solidnie. Uciekł przez okno, niemal łamiąc kulasy. Zły, poraniony i oszołomiony. Tego się nie spodziewał.

Obudził go palący ból. Zobaczył nad sobą rozrechetaną twarz Nicetasa dzierżącego pochodnię.

–He, he, no co jest, Kalikst? Żyjesz?

Czoło paliło go, jakby wsadził łeb w ognisko. Pulsowało, niosąc ból w głąb ciała razem z krwią, rozsadzając żołądek. Nie wiedział, co się dzieje.

Wielka Pięść rzekł mu, w czym rzecz.

–Poboli, ale zaraz przestanie. Przypaliłem ci ranę, bo jucha szła cały czas. Armeńczyki ci nieźle przydzwoniły, nie powiem. Jeszcze trochę i byś całkiem zszedł, dużo krwi straciłeś.

–Zabić kurwich synów...

–Daj se spokój, Kalikst. Mamy większe problemy. Seldżuki skryły się w cytadeli. Mogą tam biedować miesiącami, mają jadło, wodę, broń i wysokie mury, których już tak łatwo nie sforsujemy.

Belzebub długo jeszcze walczył z bólem, który odbierał mu zdolność myślenia. Niby wiedział, co mu tam Nicetas opowiadał, ale jakoś nie przyjmował tego do siebie. Dopiero po jakichś dwóch kwadransach zwlókł się z prowizorycznego postania na podłodze rydwanu i ruszył w stronę cytadeli.

–Piąchulec! Piąchulec, adelfi, gdzieś ty się podział?! – wrzasnął. Czy też chciał wrzasnąć, jednak z gardła wydobył mu się tylko skrzek. Czoło pulsowało nieskończonym bólem. – Tyberiusz, chodźże tu, jak cię wołam!

Zdegradowany hekatontarchos wychynął z tłumu ponurych najemników, międląc słowa pogardy. Otaczała go niewidoczna, ale wyczuwalna chmura nienawiści, jednak zachowywał się jak na żołnierza przystało. Znał mores i zasady, więc tylko skłonił głowę, opierając dłoń na piersi.

–Tak?

Kaliksta zaskoczył niespodziewany spokój Piąchulca. Upodlony setnik nie powinien odpuścić żadnej okazji, by się mścić i odgryzać. Jednak zachowywał spokój.

–Co tu jest? Co z tą cytadelą?

–No co ma być? Seldżuki w środku...

–W środku?... – Jak przez mgłę przypomniał sobie milczące

kolumny wroga idące ku południowej części miasta. To było tak niedawno, a jednocześnie jakby nie w tym życiu, zasłonięte mgłą. Bolał go łeb. – Dlaczego nikt ich nie zarżnął?

Piąchulec wzruszył ramionami. Popatrzył na swego nowego dowódcę jak na ośle gówna, splunął i powoli jął tłumaczyć:

–Wszystkie wojska Seldżuków po rozbiciu linii obrony na murach, zamiast się dać grzecznie zarżnąć, ruszyły tutaj: do cytadeli. To silna forteca, miasto w mieście usadowione na wzgórzu i tak ulokowane, że nikt go nie zajdzie od tyłu. Tam skały, urwiska całkiem niedostępne.

–Gdzie są wszyscy? Dlaczego nie ruszyliście na nich?

–Z kim niby? Wszyscy plądrują miasto, tu nas tylko garstka.

Tyberiusz prawdę gadał – pod cytadelą znalazła się znikoma część ich wojsk. Kilku hekatontarchosów, paru rannych, którzy nie mieli siły biegać po domostwach, szukać złota i uciech, no i klibanophoroi Komnena. Najemników nie było, ani jednego.

–Piąchulec, dlaczego nie zebrałeś naszych?! Dość już tych zabaw! Gdzie nasi ludzie?

Tamten tylko zarechotał kpiąco. Splunął i odwrócił się na pięcie.

–Poczekamy do rana... – zdecydował Kalikst. – Niech se tam Seldżuki siedzą jak szczury. Rano ich wybijemy.

Rozdział 7

–Zdobyli Antiochię? To fatalnie! Jak to się mogło stać?!

Basileus prychnął gniewnie, odsuwając w bok Italosa. Odrzucił połę namiotu i wyszedł na zewnątrz. Stanąwszy z rękami splecionymi na piersi, patrzył, jak od bramy maszerują kolejne oddziały wojsk. Do wybudowanego rękami łotrów obozu docierały coraz to nowe siły zbierane z najdalszych zakątków cesarstwa. Rhomaioi z

przygranicznych temów, Bułgarzy, Armeńczycy, Syryjczycy... Piesi, konni, na wozach... Wszystkie języki mocarstwa mieszały się z rżeniem koni, wyciem bydła prowadzonego na ubój, szczękiem ostrzy krzyżowanych podczas ćwiczeń i zgrzytem stali na ostrzałkach. Wały otaczające obozowisko zdawały się aż pęcznieć od narastającego tłumu. Było coraz ciasniej, a wciąż przybywali nowi. Jednak Roman Diogenes nie mógł jeszcze ruszyć. Nie po tym, co się stało. Gdy już tamci złupią Antiochię, pochleją, pochędożą, wyrzną ostatniego Seldżuka, trzeba będzie przesunąć ich dalej – w głąb Syrii. By zdobywali kolejne twierdze, w końcu kiedyś muszą paść. Antiochia okazała się słabo broniona, ale Maarat, Trypolis, Damaszek czy wreszcie Jerozolima – tam już oddadzą ducha Bogu, kończąc wszystkie problemy basileusa.

–To znaczy... Z jednej strony dobrze, że Seldżycy tak łatwo oddali miasto. To nam daje nową nadzieję na przyszłość, że jednak przeciwnik nie jest tak silny. Ale ci mieli zginać! Wykrwawić się pod murami Antiochii i osłabić siły obrońców. Trzy tygodnie jałowego oblężenia, po którym wkraczamy my, roznosząc na ostrzach Turków i tych łotrów, którzy się jeszcze ostali, a wraz z nimi najemników od de Bailleul. Tak miało być, a co jest?! Zdobyli miasto, a wszyscy moi wrogowie przeżyli.

Jan Italos, który stał tuż za plecami władcy, bezradnie wygiął usta. Szarpiąc brodę, wysunął się naprzód.

–Skrytobójca jest bohaterem.

Władca gniewnie ściągnął brwi. Ze świstem wypuścił powietrze, co miało znaczyć: Italosie, dość mam twoich zagadek.

–To on. Ten, który miał cię, panie, zabić. To znaczy ma cię zabić. To on przyczynił się do tak niespodziewanego zdobycia miasta. Użył podstępu.

–Jak to? Co ty mówisz? Skąd wiesz?! – Basileus był wyraźnie wzburzony. – Nie chcesz powiedzieć, że ten stary złodziej, jak mu tam... Atanazy!... zaczął wreszcie mówić prawdę? Czyżby dość już miał pieszczot rozpalonym żelazem? Czy może widziałeś to w

swoich magicznych ognikach, które tylko mają i pokazują nie wiadomo co, bo nie prawdę przecie?

–Tak, panie, widziałem to w kolejnej wizji. Atanazy jest twardy i wszystkiemu zaprzecza. Za to ognie pokazały mi to, czego nie chce powiedzieć stary.

–To dopiero teraz mi o tym mówisz? Czyli znamy mordercę! Nic, tylko go skrócić o głowę. A z najemnikami i resztą bandy poradzimy sobie inaczej.

Italos odczekał, aż przez obóz przetoczy się kawalkada wozów z nowymi siłami – wareskimi najemnikami i Rusami pokrzykującymi coś niezrozumiałe w swej śpiewnej mowie. Gdy harmider ucichł nieco, rzekł:

–Ujrzałem ten obraz w nocy, ale dopóki posłaniec nie przyniósł wieści o zdobyciu Antiochii, nie pojmowałem, w czym rzecz. Teraz mi się wszystko przejaśniło, bo wcześniej sądziłem, że to wizje zbyt odległych obrazów z przyszłości. Widziałem tego chwata, jak wkrada się do miasta. Później jak prowadzi wojów do wałki przez otwartą bramę, a później... morduje ciebie, panie.

Diogenes ryknął wściekle.

–Dość! Co to za jeden?! Mów!

Filozof bezradnie wzruszył ramionami.

–Obraz był niejasny. Nie widziałem, kto zacz. Tak jakby coś go kryło. Jego twarz zawsze otoczona jest mrokiem, gęstą czernią, jakby chronił oblicze w cieniu przed ludzkim wzrokiem.

Władca tego nie zdzierzył.

–Myślisz, że jakbym kazał obić cię kijami, to by ci przejaśniło obraz? Jakbym dał cię oprawcy, by ci pięty przypalił, może wtedy ujrzalbyś to, czego nie pokazały twoje płomyki?

Coraz częściej nachodziła go myśl, że doradca łże. Że te wszystkie wizje, które mu przedstawiał, to omamy sprowadzane jakąś diabelską sztuczką, trującymi ziołami, złą magią. Może słusznie oceniał Italosa patriarcha, mając go za szatana i heretyka, który ściągnie samo nieszczęście i ma w sobie tylko zdradę? Może to wszystko – myślał Roman Diogenes – to jeno sprytna mistyfikacja, by mnie opętać i doprowadzić do zguby? Żadnego skrytobójcy nigdy nie było i nie ma, i nie będzie, a strach przed nim, to łańcuch pętający wolę. Ale po co? Komu zatem służy filozof? Jakie ma zamiary?

Zbytńo dozwoliłem mu się oplątać tymi bajędami – wyrzucił sobie. – Uwierzyłem mu tak łatwo, a teraz tracę nad wszystkim panowanie. Tak nie może być. To się musi skończyć. Może rzeczywiście oddam go na katusze, niech wyśpiewa, co sobie roi i z kim knuje spisek...

Myśli te musiały się odbić na twarzy Diogenesa, bo Italos pospieszył z wyjaśnieniami.

–Panie, ja wiem, że to zdaje się być jakimś szaleństwem. Gonimy za cieniem, za odbiciem w wodzie, za szumem piasku przesypywanego przez wiatr. Ale to nie jest zwykły opryszek, który idzie po to, by zdobyć sakiewkę ze złotymi monetami. To żywe narzędzie skrytobójczego rzemiosła, za którym stoi potężna magia. Nie mogę jej przeniknąć, nie mogę ujrzeć jej pełnej natury. Ale zapewniam cię, panie, że grozi ci niebezpieczeństwo, sam zresztą widziałeś. Nie masz powodów, by wątpić w moją lojalność, bo nieraz ukazywałem ci nadchodzące zagrożenie. Zawsze miałem rację, ocaliłem ci życie. Teraz też nie pozwolę, by twoi wrogowie dopięli swego, by ziścili swoje zbrodnicze rojenia, jednakowoż tym razem nasz przeciwnik jest silniejszy. Nie potrafię go jeszcze zmiażdżyć, na razie mogę tylko trzymać na odległość.

Władca nie rzekł ani słowa. Dysząc gniewnie, wszedł z powrotem do namiotu. Przelotnie spojrzął na mapę i płynnym ruchem sięgnął po dzban z winem. Po chwili odstawił jednak naczynie. Spojrzął w sobie oczy Italosa i powiedział:

–Dobrze, wystarczy nam tyle, co wiesz. Wyślemy posłańca do Antiochii z rozkazem do Komnena, żeby natychmiast ścięli bohatera, dzięki któremu udało się zdobyć miasto. Albo nie! To bez sensu, bo to osłabi morale wojska, co Komnen zechce wykorzystać przeciwko mnie. Trzeba rzecz załatwić po cichu. Trzeba na niego nasłać zabójcę. Skrytobójcę na skrytobójcę. Niech jedzie tam, posłucha, o kim to złodzieje śpiewają pieśni przy winie, kogo wielbią i nazywają zuchem, i w nocy... niech mu poderżnie gardło. Zwalczymy przeciwnika jego własną bronią.

Italos zarechotał dziko.

–Mam lepszy pomysł, panie. Zabójca może nie sprostać temu zadaniu.

–A więc...?

–Basilikos, panie. Teraz nadszedł jego czas.

–Skąd będzie wiedział... – zaczął Diogenes.

Filozof łagodnie wszedł mu w słowo.

–Będzie wiedział, zapewniam cię. Już ja o to zadbam.

* * *

Gdy minęły trzy godziny od północy, Italos ciężko dźwignął się z posłania. Cały czas czuwał, nie śpiąc, lecz pozostawał w letargu, który nie dawał mu odpoczynku, ale skracał czas. Potarł dłońmi skronie, potem czoło, jednak niewiele to pomogło: wciąż przytłaczał go mrok i ciężka cisza. Z wysiłkiem dopadł poły namiotu i wyrzwał na zewnątrz. Chłodne powietrze orzeźwiło go trochę, skierował więc

swe kroki w stronę niewielkiego wąwozu na tyłach obozu.

Minał strażników pilnujących masywnej bramy z drewnianych pali. Tylko basileus oraz jego doradca mieli prawo wejść poza nią. Gdy zbrojni odsunęli rygle i uchylili ciężkie wierzeje, mędrzec głębiej naciągnął kaptur na głowę i ruszył w głąb jaru.

Szedł dosyć długo, aż dotarł do niewielkiej jaskini. Tam pod skalnym sklepieniem stała klatka wykuta z grubych stalowych sztab. W środku leżał basiliskos.

Bestia czuwała. Jej złowrogi syk obijał się o ściany groty. Filozof zadrżał. To z zimna – przekonywał sam siebie.

–Przecie to ja go wyhodowałem – mruknął, by odpędzić niepokój. – Wiem, jak go okiełznać.

Basiliskos skoczył w przód z gardłowym charkotem, waląc pyskiem o pręty. Filozofa owionął smród zgnilizny, od którego zakotłowało mu się w żołądku. Z trudem powstrzymał mdłości, choć czuł już w gardle smak żółci. Wreszcie stanął równo na nogi i obracając w ustach stare zaklęcia, spojrział prosto w oczy bestii – wzrokiem ostrym niczym puginał docierał do samego jestestwa stwora.

Wężowy demon przysiadł na swych pokracznych łapach, ślepie zaśniły zielonym blaskiem. Widmowy łeb, który się z niego wysunął, uderzył prosto w umysł Italosa. Rozświetlone kły ociekające jadem dopadły najgłębiej skrywanych słabości mędrca.

Ten jednak szybko podjął wyzwanie. Wyszeptał zaklęcie, pisząc w powietrzu trzy szybkie znaki: Ożyj, wstań, zabij! Obok filozofa pojawił się wysoki na osiem stóp szeroki w barach barbarzyńca z wielgachnym mieczem. Upiór-zabójca powstały z okrucichów pamięci mędrca, z jego wspomnień, snów i marzeń wywinął swym orężem młyńca i ciął widmowego węża w kark. Niewidzialny łeb odpadł z głuchym łoskotem, bryzgając na boki kroplami jasności. Wojownik zaryczał triumfalnie, chociaż jego krzyku nie mogła słyszeć żadna żywa istota. Tylko Italos i basiliskos.

Do strażników pilnujących tajnego miejsca dotarł jeno syk i charkot.

Italos nie tracił czasu. Spojrzał głębiej w oczy bestii i zaatakował jej umysł obrazami.

Stwór natychmiast ucichł. Opadł na podłogę klatki, jakby ktoś podciął jego krzywe łapy i przygiął mu kark.

Pierwsza wizja – ów tajemniczy łotr, który miał dokonać zabójstwa władcy. Wkrada się w środku nocy i precyzyjnie wbija nóż ze zbiorniczkiem na krew prosto w serce śpiącego basileusa.

Gadzina tylko zasyczała bezsilnie. Nie, to była zbyt mglista scena, za mało szczegółów. Italos pokiwał ze zrozumieniem głową – wszakże i on nic nie był w stanie wywnioskować na podstawie takich strzępów.

Zesłał więc na cesarza węży dwie następne wizje. Łotrzyk wkradający się przez mury Antiochii, biegnący w środku nocy przez wąskie uliczki miasta. Złodziej spiskuje ze zdrajcą, armeńskim strażnikiem.

Basiliskos ryknął krótko. Taaak, już ten obraz wrzynał mu się w głowę, budził na nowo dziką naturę, podrywał do walki. Ale to jeszcze nie było to. Po krótkiej chwili ożywienia bestia opadła z powrotem na dno klatki, dysząc smrodliwie.

Wtedy mędrzec przywołał swoją ostatnią wizję. Pchnął ją z pełnią mocy, ze wszystkimi szczegółami, oddając nie tylko obraz, ale także smak, zapach i uczucia.

Skrytobójca wdziera się do miasta, biegnąc na czele żądnej śmierci i gwałtu hałastry. Był tam też zdrajca z uciętym łbem swojego dowódcy.

Demoniczne stworzenie z piekieł wydało z siebie niski charkot, głośno tupiąc szóstką łap. Filozof już wiedział, że tym razem cesarz węży wyczuł zwierzynę.

Trzema zdecydowanymi ruchami odryglował klatkę. Basilisk wypadł na zewnątrz jak młody psiak i wielkimi susami pognał w mrok nocy.

Po chwili Italos usłyszał wrzask rozrywanych na strzepy strażników.

Bestia posiliła się, opita krwi i ruszyła, by dopaść łotrzyka z Konstantynopola.

* * *

Atanazy Meklidos nasłuchiwał. Po wionących wilgocią korytarzach więzienia rozniósł się nowy dźwięk. Już nie wycie innych nieszczęśników trzymany w kamiennych celach, wołających o litość, złorzeczących czy też bełkoczących niezrozumiale w językach barbarzyńców. Już nie szczęk kolczug i mieczy strażników leniwie snujących się raz na pół dnia wzdłuż krat. Nie był to też pisk szczurów walczących z najśłabszymi mieszkańcami lochów o resztki lichej strawy – chleba i zepsutych ryb. Dźwięk ów nie był też kapaniem wody spływającej po murach ani świstem wiatru wypędzającym z zakamarków kurz i zbłąkane dusze umarłych.

Posłyszał odgłos kroków kogoś, kto we krwi miał nawyk skradania się. Towarzyszył temu szelest płaszcza.

Stary mistrz odsunął stertę wilgotnej słomy, która służyła mu za przykrycie, i z wysiłkiem dźwignął się do pozycji siedzącej. Chwilę walczył z pulsującym pieczeniem i łomotaniem serca. Oparł plecy o zimną ścianę. Czekał. Po chwili w szarym mroku korytarza zamajaczyła znajoma sylwetka. Atanazy gniewnie wciągnął powietrze, osłabione ciało nagle ożywiła skrywana dotąd wściekłość.

–Słyszeć cię... jak objuczonego osła na Mesę – wystękał z wysiłkiem.

Eutymiusz stanął o krok od kraty.

–Nie muszę się specjalnie kryć. Strażnicy leżą zamroczeni winem nieco wzmocnionym ziołami. Śpią, a gdy się obudzą, nie będą pamiętać, kto im postawił trunek.

Meklidos zakaszłał.

–Czego chcesz? Już masz wszystko... Wygrałeś.

–Wszystko czy nie, tego jeszcze nie wiemy. Musimy porozmawiać.

–Precz, zdrajco! Byliśmy kompanami...

Przybysz zaśmiał się teatralnie.

–Ha, ha, ha! Kompanami? A kto nasłał na mnie skrytobójcę? Tego tam, w starym płaszczu z kapturem, co dotąd szlajał się w porcie. Chciałem ci przysłać jego głowę jako prezent, ale zanim przesyłka doszła, już pojмали cię strażnicy. A że się zaśmiardła, tom ją kazał wyrzucić na śmietnisko na Rybnym Targu.

Atanazy westchnął cicho. To prawda, po ostatnich wydarzeniach, gdy odkrył, że przyczyną jego wszystkich nieszczęść jest Eutymiusz, postanowił go zgładzić. Sprawa Metafrastesa przelała czarę.

–Widać, żeś stracił grunt pod nogami. Działałeś pochopnie. Bo nawet jeżeli temu łachmycie udałoby się mnie zadźgać, to co? Myślisz, że rada gildii by to przyjęła bez słowa? Wszyscy wiedzą, że żywisz do mnie niechęć. Że obawiałeś się, iż przez twoje błędne decyzje zostaniesz na zawsze pozbawiony władzy nad gildią, a ja zajmę twoje miejsce. Zabicie mnie nie uszłoby ci na sucho. Mniemam, że nie miałbyś szans na ponowny wybór na wielkiego mistrza. Toteż pozbywając się mnie, działałbyś na swoją szkodę.

Stary mistrz syknął z bólu. Usiłował znaleźć lepszą pozycję, tak by nie drażnić przypalonych stóp i boku. Ale przez słowa Eutymiusza teraz czuł żar w całym ciele.

–Jak widzisz, ja sięgam po bardziej wyszukane sposoby. W szachy nie wygrasz, pędząc do przodu wszystkimi figurami. Trzeba rozplanować ruchy, a ty najwyraźniej o tym już nie pamiętasz. Dlatego też potraktuj to wszystko jako grę, którą ty po prostu przegrałeś, potwierdzając, że nie nadajesz się na wielkiego mistrza. Zestarzałeś się...

–Rozwaliłbym ci łeb jednym ciosem kiścienia, gdybyś tylko miał odwagę stanąć przede mną twarzą w twarz – rzekł z wysiłkiem Meklidos. – Ty jednak zawsze wolałeś uciekać się do intryg. Nawet teraz boisz się wejść do mojej celi, bo a nuż uduszę cię gołymi rękami.

–Może nie mam klucza?

–Nie kpij! Ten prosty zamek możesz otworzyć nawet palcem. Wystarczy jeden z twoich wytrychów, które zawsze nosisz przy sobie.

–To prawda. Taki zamek to dziecięca igraszka. Aż dziw, że ty jeszcze go nie pokonałeś; skoro wystarczy do tego palec.

Atanazy posłyszał szcęk wytrycha w zamku. Po chwili krata z cichym zgrzytem usunęła się w bok. Eutymiusz wszedł do środka.

–Ależ smród! – jęknął i dodał z kpina: – Jak ty to wytrzymujesz z dala od swojej wielkiej rezydencji z ogrodem?

Stary mistrz splunął w jego kierunku.

Eutymiusz tylko zarechotał.

–Miałeś mnie udusić gołymi rękami. A ledwie masz siły, by splunąć. Słabyś...

Meklidos opadł na posłanie ze słomy i zamknął oczy.

–Czego ty właściwie chcesz? Odejdź ode mnie. Idź i daj mi umrzeć.

–Nie tak szybko... Na to zawsze masz czas.

Gdy stary mistrz długo nie odpowiadał, Eutymiusz rzekł:

–Widzisz, to jest tak... Gdybyś wciąż był tak silny i mądry jak dawniej, jak wtedy, gdy się poznaliśmy i w późniejszych latach... Wtedy bym nawet nie śmiał występować przeciwko tobie. Owszem, lubię władzę i wpływ na ludzi, ale nie jestem też głupcem niezdolnym do poświęcenia i wierności. Ale już od wielu miesięcy obserwuję cię, jak niszczysz naszą gildię.

–Precz! Nie chcę tego słyszeć.

Atanazy zatrzęsł się od kaszlu. Jego stopy buchnęły nowym płomieniem bólu.

–Tak, niszczysz gildię. Nie mogłem tego tolerować i musiałem się tym zająć, bo prowadziłeś nas do zguby. Zresztą zobacz, jak wygląda teraz nasza organizacja. Wielu chłopaków walczy w syryjskich oddziałach basileusa, niektórzy już nie żyją. Gildia potraciła wpływy. Zamiast zarabiać na wojnie, oddaje za darmo swe najlepsze siły. A dlaczego to wszystko? Bo wymyśliłeś jakiegoś paniczyka, który jakoby chciał przetracić fortunę na heretycki fant. Ładny theatron, jednakowoż teraz możesz się przyznać: żadnego pana skłonnego płacić krocie za Czarną Ikone nie ma. I nie było. Ty chciałeś ją dla siebie, ale po co? Skoro mówią, że to przeklęty obraz, na którym namalowany jest uśpiony demon, i że go można ożywić, to po prostu zdaje mi się, że jesteś opętany. Nie miałem wyboru, musiałem cię usunąć.

Więzień poderwał się na kolana, nie zwracając już uwagi na ból.

–Był! On był! Przyszedł do mnie, dał zaliczkę, dał plany, powiedział wszystko... To mogła być zwykła złodziejska robota.

–Był? A gdzie jest? Dlaczego nikt inny go nie widział? Od wielu dni moi ludzie przetrząsają miasto, wypyтую o tych, co wyjechali albo się ukrywają. Myślisz, że taki bogaty pan z kufrem pełnym solidów zdołałby się ot tak po prostu rozpuąć w powietrzu? I dlaczego od tamtego dnia nie przyszedł do gildii, by poznać naszą decyzję w sprawie zlecenia?

Meklidos już otworzył usta, by zaprotestować, nagle naszły go jednak wątpliwości. Wyteżył pamięć... Kiedy i gdzie spotkał tego zleceńodawcę? Jak się zwał? Jak wyglądał? Mistrz nie mógł sobie tego przypomnieć. To było w nocy, tak, to musiało być po zmroku. Siedział samotnie w swoim gabinecie, później zjawił się tamten...

Zaraz! Jak to?! Wszedł po prostu do mojego domu? – myślał gorączkowo Atanazy. – Czyżby wpuścił go Tryfon? I co mówił? Nie pamiętam! Przeklęty Eutymiusz ma rację?! Nie, to niemożliwe! Pamięć mnie zawodzi... Ale on był, był!!!

Nie zapomniał jednak tego, co nastąpiło nad ranem – obudził się w fotelu tuż po wschodzie słońca. Na stole leżał suty mieszek, zaś pod nim plik papierów. W głowie mistrza brzęczały wtedy wyraźne słowa: Znajdź Ikonę Upadłego Anioła, a dostaniecie po tysiäckroć tyle, co tu.

W sakiewce było sto solidów. Nikt nie dawał tyle za robotę. Żadną!

Eutymiusz musiał wyczuć, że Atanazy się waha, bo rzucił triumfalnie:

–No co? Jednak mam rację? Nigdy nie było tego człowieka, a tyś go sobie po prostu wymyślił. Skąd masz te plany i co one przedstawiają, już nawet nie chce mi się roztrząsać. Nie chcę znać ogromu twego opętania, wystarczy mi, że już nie możesz zaszkodzić gildii.

–Łżesz! – jęknął wściekle Meklidos. – Próbujesz mi wmówić diabelskie konszachty i obłąd, ale tym sposobem nie uciszysz sumienia. Nie szukaj dla siebie wymówek. Jesteś zdrajcą. Jesteś zdrajcą zasługującym jeno na śmierć!

Gorączkowo przywoływał obraz tajemniczego nieznajomego. Zdawało mu się, że pamięta jego słowa, jednak... Jednak nie, zawsze przysłaniała je mgła. Tylko złoto z sakiewki lśniło jasnym blaskiem w jego wspomnieniach.

–Chciałem jedynie dobra gildii – wyszeptał. – A ty stałeś na mojej drodze. A przecież mogliśmy działać razem...

Dopiero po dłuższej chwili Atanazy spostrzegł, że jest w celi sam.

* * *

Nasłuchiwał, oddychając płytko, jednak z więziennych korytarzy nie dochodził już żaden dźwięk. Widać Eutymiusz odszedł, zresztą nic dziwnego – nie mieli już o czym gadać.

Meklidos próbował tak się ułożyć, by ból idący od przypalonych i obitych członków nie promieniował na całe ciało. By ćmił w miejscu, ale nie pulsował. Dla starego mistrza byłaby to niezwykła i rzadka chwila ulgi. Bo na to, że całkowicie przestanie go boleć, już nie liczył.

Narzucił na grzbiet stertę mokrej słomy i zapadł w błogostan, zapominając na chwilę o piekącej skórze. W myślach wrócił do czasów, gdy Eutymiusz nie był jeszcze zdrajcą, a dobro gildii dla nich obydwu znaczyło to samo.

A jeżeli ma rację? – znów naszły go wątpliwości. – A jeżeli prawdę on gada? Demony uczyniły sobie ze mnie pośmiewisko, podsuwając to, czego nigdy nie było, mamiąc i zwodząc tylko po to, by przywieść mnie na skraj szaleństwa, a później śmiać się, że umieram w cierpieniu...

Nagle porzucił te myśli, ze zdziwieniem patrząc w stronę korytarza. No tak, Eutymiusz otworzył kratę wytrychem, chwilę stał tu i gadał, po czym zniknął. Jednak nie zamknął drzwi, więc teraz... Teraz cela stoi otworem!

Odrzucił słomiane przykrycie i jał czołgać się w stronę wyjścia.

–Tak, tak – wyszeptał. – Jest zdrajcą, ale w ostatniej chwili okazał przyzwoitość i dał mi szansę, bym uciekł. Mówił przecie, że strażnicy zmorzeni snem. Po zaprawionym winie. To szansa, by ująć z tego cało.

Ożywiony zapomniał o bólu. Stanął na przypalonych stopach i tłumiąc jęk, poczłapał w stronę korytarza.

Dopełził jakoś do kraty. Ostrożnie wyjrzał – nie, nie dostrzegął nic, choć półmrok mógł skrywać najróżniejsze pułapki.

Nie zwlekał dłużej. Pokuśtykał w stronę wyjścia, szybciej i szybciej.

–Złodziej... Złodziej... Złodzieeeej!!! – niespodziewanie zawył jakiś nieszczęśnik z celi obok. Meklidos nie widział jego twarzy, dostrzegł tylko potargane, skołtunione włosy, blask przestraszonych oczu i wychudzone dłonie niczym u szkieletu.

Stary mistrz nie zwlekał. Wiedział, że cokolwiek uczynił Eutymiusz, by mu pomóc w ucieczce, szansa nie będzie trwała wiecznie. Gdzie są strażę? Czy zdoła wyjść dalej niż poza najniższy krąg tego piekła? Jak przemknąć przez wyższe piętra więzienia?

Nie rozmyślał już dłużej nad tym, lecz poczłapał do przodu. Mijał cele, z których dochodził skowyt umierających, ich obłąkańcze szepty, ich puste błagania... Starał się iść jak najciszej, zachowując odpowiednią odległość od krat. Po tych szaleńcach umęczonych w kazamatach mógł oczekiwać tylko najgorszego. Nie chciał niepotrzebnej szamotaniny z żywymi trupami.

Tak dotarł do schodów prowadzących w górę do jasno oświetlonej

komnaty. Płomienie oliwnych kaganków błyskały niespokojnie. Czuć było śmierć, odór krwi.

Z wysiłkiem wdrapał się po stopniach i zmartwiało. Na kamiennej podłodze dostrzegł trzy poskręcane kształty. Strażnicy leżeli bez ruchu, a spod ich ciał ciekły wąskie strumyczki krwi zlewające się na środku pomieszczenia w wielką kałużę.

Eutymiusz nie przebierał w środkach – pomyślał Atanazy i skierował swe kroki pod ścianę, by ominąć trupy. Sycząc z bólu, przestawił stółek zagradzający mu drogę i kuśtykając, ruszył do kolejnych schodów. Te prowadziły już na zewnątrz – pamiętał, jak go ciągnęli. Kręte stopnie kończyły się w niewielkiej komnatce, z której wiodła droga na szeroki korytarz.

Dalej trzeba skręcić w prawo – stary mistrz odtwarzał w myślach drogę, jaką musiał pokonać. – Tam przecie znów straż, no niepodobna, żeby Eutymiusz wszystkich zadźgał. Znając go, przekupił gwardzistów. Skąd więc te trupy? On nie wyciągał puginału, gdy nie było potrzeby, a przecież tu musiałby ubić zbyt wielu. Na górze musieli więc zostać zbrojni...

Atanazy postąpił kilka kroków w tył i jał nasłuchiwać. Z góry nie dochodził żaden dźwięk.

–Wszyscy martwi – posłyszał nagle skrzeczący głos za plecami. – To głupie, wiem. Bo miało być inaczej.

Mistrz obrócił się, jednak zanim ujrzał, kto zaczął, rozpoznał już jego głos. Metody, przydupas Eutymiusza.

–Miało być inaczej – powtórzył karzeł. – Bo tych tutaj ubić, to i owszem. Że niby więzień uciekł, otwierając kraty diabelską sztuczką, to pasuje. Uciekł i zadźgał strażników na dole. Ale tych tam na górze?

Metody zamachał zakrwawionym ostrzem miecza. Ta broń w zdeformowanych, wykręconych dłoniach pokurcza mogła budzić strach tylko u dzieci. Wystarczyłby jeden silny kop... Ale Atanazy

nie miał tyle siły. Stał zmartwiał, słuchając gadaniny karła.

–Jak mógł zabić tych tam na górze – paplał Metody – skoro leży tutaj, między celami, martwy jak kamień? Nie mógł przecież wyjść i dokonać cichej rzezi od celi aż do bramy, podrzynając gardła albo rozpruwając brzuchy wszystkich strażników po kolei, bo przecież zabili go tutaj. Zabili go, nim sami skonali. To dopiero ludzie będą gadać! Strażnicy zabili więźnia Atanazego Meklidosa!

Zarechotał i skierował sztych prosto w pierś starego mistrza. Ten nie zdążył nawet się odchylić. Ostrze, z cichym zgrzytem zawadzając o żebra, przeszło na wylot. Przebiło płuca, odebrało oddech... Buchnęła krew.

–He, he, he! Ale co tam! Niech się głowią! Pomyślą, że czary jakieś! Że stary był nie tylko spiskowcem, który dybie na życie basileusa, ale do tego magiem czy innym czarownikiem. Albo że zgłupiał i mu się kierunki pomyliły! Ha, ha, ha! A może przeniosę twego trupa do samej bramy, to się nie będą dziwować?

Oczy Atanazego zaszły mgłą. Puszczając krwiste bąbelki, wychrypiał:

–Po co to... wszystko?... Mogłeś mnie dźgnąć w domu, na ulicy... Po co to przedstawienie?

–Mistrzuniu, główka już słabo pracuje, co? Co za pytanie?! A owszem, mogłem cię zaciukać nieraz, jak chociażby zaszlachtowałem w twoim domostwie tego szpiega z dworu. Albo, jak gadasz, na ulicy. Albo jeszcze gdzieś indziej. No pewno, sposobności było mrowie! Tylko o to się rozchodzi, żeby nikt, nikt a nikt, nie mógł oskarżyć o nic mistrza Eutymiusza. Żeby te pierdziele z rady nie rzekły, że to Eutymiusz wymyślił, jak się ciebie pozbyć, stare próchno. A tak to nikt nic nawet nie piśnie. Powiedzą: Chciał nawiać zza krat, ale go straż ubiła. I koniec. Po rozmowie. Mistrzem zostanie już na zawsze Eutymiusz.

Metody wyszarpnął miecz z piersi Atanazego, po czym odrzucił go w kąt.

–Co ja, durny?! Gadam do trupa? Ech, chodu stąd!

Pobiegł schodami na górę.

Rozdział 8

Seldżuci od dwóch dni tkwili skryci w cytadeli, nie wychylając się na zewnątrz. Spomiędzy wąskich blanków błyskały niekiedy ostrza szabel i dzikie oczy, czasem zza murów słychać było zawołanie modlitw, jednak poza tym Turcy nie dawali znaku życia. Siedzieli cicho, czekając, co będzie dalej.

Zaś zdobywcy dopiero zebrali się do kupy. Wcześniej, rabując, gwałcąc i paląc, zapomnieli, po co tak naprawdę są w złotym mieście Antiochia.

Belzebub, wciąż jeszcze obolały po bitce stoczonej z Armeńczykami, ruszył na obchód zaimprovizowanego obozu. Panowie, jak Aleksy Komnen czy dowódca najemników, zajęli wygodne komnaty w pobliskich rezydencjach, zadowolając się raportami przynoszonymi przez posłańców. Swoim żołnierzom nie pozwolili jednak wytchnąć i nakazali utworzenie pierścienia wokół wroga. Nieopodal cytadeli stanęły rydwany oddziałów ogniowych i pierwsze maszyny oblężnicze mozolnie składane przez cieśli. Zbrojni czekali na rozkaz ataku.

Byli co prawda tacy, którzy sarkali, którym mało było grabieży i mordowania, którzy nie dość się nabrali złota. Męcili, wzniecali niepokoje, jednak szybko uciszyli ich hekatontarchosi.

–Seldżuki w cytadeli są jak ten wrzód na dupie. Niby nic, ale swędzi i boli – narzekali wojacy, patrząc z dala, czy nie otwierają się bramy fortecy, wypluwając skotłowaną gromadę dzikich wyznawców Allaha.

Inni powtarzali zasłyszane wieści:

–Gadają, że z twierdzy wiedzie sekretny korytarz pod ziemią, co ma

wyjście za murami miasta. Mogą nim wyjść i zaskoczyć nas z drugiej strony.

Coś musiało w tym być, bo Strategos Komnen nakazał zamknąć wszystkie bramy do Antiochii, obsadzić je ludźmi i pod karą śmierci zabronił dalszego szabrowania.

Kalikst pluł sobie w brodę: Diabli mnie podkusili, coby się rwać do zaszczytów setnika. Miast złota szukać w sekretnych loszkach Armeńczyków albo dziewczki chędożyć, ot chociażby Aszken słodką dorwać i wreszcie cnoty dziewiczej pozbawić, trza mi pilnować tej szajki, zbieraniny oprychów, złodziejstwa najgorszego sortu. Do gildii by ich nie przyjęli, w porcie by ryby kradli przekupniom, a teraz ja mam ich niańczyć, bo jak nie, to mnie Strategos bez sądu o głowę skróci, a później obić jeszcze każe.

–Ej, Piąchulec! Weź ty pozbieraj tych niedodymanych łachudrów, sprawdźże, czy się nie szwendają, gdzie ich nie prosili.

Tyberiusz zachowywał spokój, ale w jego oczach lśniły długie puginały nienawiści. Kalikst jednak tego nie widział, lekce sobie ważąc grymasy zdegradowanego setnika.

–Są wszyscy jak należy...

–Dobrze! Dobrze sobie radzisz, Piąchulec.

Z czasem obozowisko obiegła nowa wieść. Basileus w drodze! Już jest w górach, przekracza łańcuch szczytów i wkrótce zejdzie w dół z doborowymi jednostkami w pełnym uzbrojeniu. Pięć dziesiątek po tysiąc ludzi albo i więcej, może osiem dziesiątek. Wtedy Seldżuki już się nie uchowają, nie będzie takiej siły, by tkwili dalej w cytadeli. Później zwycięska armia pójdzie na wschód i na południe, do miast Syrii i Palestyny.

–A tam tyle złota, tyle pięknych pałaców, w których czekają gorące dziewice, głodne miłości i porządnego drąga między nogami. O, takiego jak mój! Saraceny rezydencje sobie pobudowały ze złotych cegieł, przyozdobiły czerwonymi, zielonymi i srebrnymi kamieniami,

a w fontannach tryska im wino. Nic, ino czerpać kubkami. – Tak to opowiadały sobie oprychy, patrząc na szare mury twierdzy, gotowi, by iść w dalszy bój. Tylko jeden się trafił, przygłup obwieszony świętymi medalikami, który inaczej gadał:

–Święty miecz wiary Chrystusowej zmiecie pogany niczym archanioł Gabriel, niczym święty Jerzy, co smoka Mahometa pomordował. I załśni światło z niebios, jasne jak w dniu stworzenia świata, oślepi tych, którzy w grzechu żyjąc, oddali duszę wierze szatanów. I przyjdzie basileus, wielki sługa Boży, zgniecie wyznawców Allaha i wyswobodzi grób naszego Pana w Jerozolimie.

Mijały godziny, kolejny dzień zmierzał ku wieczorowi, a spodziewane posiłki nie nadchodziły. Zrazu nikt się tym zbyt nie przejmował. W końcu powiedziane było: nasz władca nadejdzie po trzech dniach od zdobycia miasta, kiedy już zuchy, które odbiły Antiochię, poużywają życia.

Strategos posłał na zwiad cztery grupy po dwóch konnych, mając świadomość, że dalsza wojna bez wsparcia nie jest możliwa. Posłańcy dostali jasne rozkazy: przemknąć do oddziałów Diogenesa, chociażby jeszcze tkwiły pod Cezareą. Powiadomić i wracać z wieścią.

Minęły dwa dni, trzy... Żaden ze zwiadowców nie powrócił.

Czwartego dnia od Bramy Świętego Pawła nadbiegł zdyszany strażnik.

–Saraceny! – zakrzyknął. – Turki idą tysiącami po sam horyzont, końca ich nie widać. Mają maszyny i tysiące zbrojnych! Atabeg Mosulu, Mas'ud, na czele! Biada nam!

–Łżesz, tchórze! – ryknął Kalikst, sięgając po szablę, by jak przystało na dowódcę setki zbrojnych, skarcić głupola, który sieje panikę.

Szybko okazało się, że posłaniec nie łgał.

* * *

W rzeczy samej Turków było nieprzeliczone mrowie – gdy jedne oddziały były pod miastem, inne ledwo majaczyły na widnokręgu. Pierwszy szereg stanął na odległość strzału z łuku, zatykając na przedpolu drągi z nabitymi głowami nieszczęsnych zwiadowców wysłanych do basileusa. Twarze pomordowanych wykrzywiały nieludzkie grymasy, widać było, że nie spotkali szybkiej śmierci.

Pod Antiochię maszerowały równe szeregi seldżuckiej piechoty, za nimi konnica, zaś w dali – oddziały ciurów ciągnące maszyny. Te wprawiały niegdysiejszych zdobywców, a teraz obrońców miasta, w największe zadziwienie. Przecież mizerna sztuka wojny oblężniczej tego stepowego ludu nie mogła się równać z tym, co w tej materii stworzył świat chrześcijański!

Maszyny nie były wysokie, widać napastnicy nie planowali odbić miasta poprzez mury. Bo i słusznie – mimo pożarów szalejących między domami, mimo zniszczenia i rzezi zewnętrzne umocnienia Antiochii pozostawały w stanie nienaruszonym. Wysokie na trzy dziesiątki albo więcej stóp nie pozostawiały złudzeń śmiałkom, którzy chcieliby wedrzeć się do środka prosto przez blanki. Widać, że Seldżuci o tym wiedzieli – dlatego horda ciągnęła tarany z grubych bali zaopatrzonych w kamienne głowice. Nie zamierzali zatem atakować murów, tylko bramy.

–Spalimy im to w try miga – pocieszali się obrońcy, którzy jeszcze trzy dni wcześniej stali tam, gdzie teraz rozbijali swój obóz dziko wyglądający wojownicy ze Wschodu. – Polejemy im na łby ogień grecki, zaraz pójdą z dymem. Nawet im te skóry, co na drewno ponawlekali, nic nie pomogą, igró pyr wszystko zamieni w żywe pochodnie.

Jednak prawdziwi żołnierze, jak Tyberiusz Piąchulec widzieli co innego: morze turbanów zalewające ze wszech stron Antiochię. Od Bramy Świętego Pawła aż do Świętego Jerzego po drugiej stronie miasta. Tu i tam wykwiwały już pierwsze namioty, widać że Seldżycy szykowali się już do długiego oblężenia, nie zamierzając narażać swoich sił na zbyt szybkie wytracenie.

Kalikst też dostrzegł, w czym rzecz.

–Otoczą miasto, odbiją port. Nie będzie dostaw, basileus nie przyjdzie z odsieczą. Za mało nas jest. My tu będziemy głodować, a jeszcze mają przecie zajętą cytadelę w mieście, to będą nas nękać... Żle to widzę...

Zaiste, choć mówił to z przekory, jego słowa szybko okazały się prorocze. Pierwszy atak od strony cytadeli nastąpił jeszcze tego samego dnia tuż po zmroku. Z początku nic nie zwiastowało, że przeleje się krew. Za murami warowni mrugały tysiące ognisk, słychać było walenie w bębny, kwik koni, odległe zawodzenie w saraceńskiej mowie.

Nagle wrota cytadeli rozwarły się i na otaczające ją wojska Rhomaioi wypadła szpica stłoczonych wewnątrz Seldżuków. Z podniesionymi mieczami, z wrzaskiem na ustach rzucili się do boju, pewni, że oto nadeszła chwila, gdy znów posiadą miasto.

Żle jednak trafili. Aleksy Komnen przewidział taki wariant. Na mury, do obserwacji nadchodzącej hordy, odesłał najmniej przydatnych wewnątrz miasta hultajów z hekatontarchii ogniowych. Kazał im ustawić syfony z igró pyr na blankach i produkować gliniane bomby wypełnione groźną substancją. Pracami kierował Charyton Scholar, który wraz z trzema pomocnikami pod ochroną pięciu zbrojnych w piwnicy jednego z domostw łączył sekretne składniki upiornej mikstury. Tę ogniowcy wlewali do swoich syfonów, dzbanów i wszelkich inszych naczyń, które miały wkrótce rozbić się na łbach dzikich napastników. W każdej wieży siedziało dwóch obserwatorów, którzy śledzili ruchy wojsk. W razie czego mieli wszcząć alarm – jeden biec do Strategosa, drugi czynić larum na

miejscu. Chociaż Bóg raczy wiedzieć, na co by się to zdało, gdyby Seldżycy ruszyli do ataku na całej szerokości murów, biorąc za cel wszystkie bramy i wieże.

Za to w środku miasta, pod cytadelą, zostali najlepsi rycerze – kawaleria Komnena i najemnicy. Klibanophoroi, rzecz oczywista, nie mieli sposobności, by walczyć w uliczkach miasta, siedząc na koniach ze swoimi długimi kopiami. Zsiedli więc z wierzchowców i chwycili za miecze. Czekali w ukryciu, by nie dać przeciwnikowi szans na rozpoznanie sił.

Obok nich stali ludzie Roussela de Bailleul zaprawieni w pieszym boju.

Strategos Komnen dobrze wiedział, że zdobywanie murów będzie dla Turków zbyt uciążliwe. Łatwiej przypuścić szturm od środka. Gdy obserwatorzy dostrzegli wzmożony ruch w okolicach tylnej bramy cytadeli prowadzącej między skalne wzgórza, nie było już najmniejszej wątpliwości. Atak musiał nastąpić od tej strony.

I nastąpił. Na plac przed fortem zaczęły wylewać się kolejne fale Seldżuków. Szli do boju pewni zwycięstwa, przekonani, że mają do czynienia z garstką strażników. Gdy turecka nawała sięgnęła środka pola, z bocznych uliczek wyszli żołnierze ustawieni przez Komnena. Z jednej strony – osobiste oddziały Strategosa, z drugiej zaś Normanowie. Pierwsze rzędy najemników skryły się za tarczami, osłaniając idących za nimi łuczników. Tym sposobem zablokowali wyloty uliczek biegnących na prawo od bramy cytadeli. Z lewej nie było domów – tam ciągnęły się wzgórza rzadko porośnięte drzewami, niedostępne, wtopione w strukturę murów obronnych. Klibanophoroi stanęli w miejscu, gdzie pozostał jedyny przesmyk do miasta, zamykając tym samym pierścień z tarcz osaczający Seldżuków.

Rozbrzmiała komenda i na turbany rozpędzonych Turków spadł deszcz strzał. Szpica zachwiała się, kilkadziesiąt atakujących padło z charkotem, jednak za nimi szli następni, deptając ciała dogorywających pobratymców. Z uniesionymi szablami, mieczami i krótkimi włóczniami parli ku Rumim, znieawidzonym Rzymianom,

niezrażeni ich nagłym manewrem.

Łucznicy nie przerywali ostrzału. Raz za razem naciągali ciężki, miotając pociski w pierwsze szeregi biegnących. I znów kilkudziesięciu padło, jednak bramy cytadeli wyrzucały dalsze posiłki dla atakujących. Pierwsze szeregi Seldżuków zbliżyły się do tarcz. Najemnicy, a z drugiej strony zbrojni Komnena, widzieli dziką nienawiść niczym czarny ogień płonąca w oczach Turków. Słyszeli przekleństwa mamrotane pod nosami – niezrozumiałe, ale tym bardziej groźne. Wtedy łucznicy cofnęli się, a ich miejsce zajęli ogniowcy.

–Na nich! Spalić kurwich koprosklilo! – ryczał Kalikst, miotając pierwszy dzban wypełniony igró pyr. Krótki szczęk rozbijanej gliny, zaraz stłumiony huk płomieni i dziki, bezsilny wrzask. Już leciały następne bomby: garnce i amfory z żarzącymi się ogonami.

–Nuże, dawaj! Rzucać! Raz! I raz! – wrzeszczał Belzebub, zachęcając swych kompanów, by nie szczędzili sił, jednak im nie trza było tego powtarzać. Turki wyły przerażone, rzucając miecze, szable i krótkie włócznie, jazgocząc „Alla, Alla, Alla”. Odrzucali ogarnięte ogniem turbany, jednak były to próżne wysiłki – żółte, pomarańczowe i czerwone języki ogarnęły ich włosy, brody i szaty, których już tak szybko nie mogli się pozbyć.

Tak odrzucili pierwszy atak. Ale prawdziwa siła wroga czaiła się za murami Antiochii.

* * *

Dwugłowy demon Purrhos był w ekstazie. Tureckie wątroby smakowały niezwykle. Były słodsze i bardziej korzenne niż te, które wyszarpywał pospolitym chłopom z Romanii albo też Armeńczykom

czy Żydom. Tamci mieli wnętrzości zbyt przetrawione kwaskowatym winem, wyjałowione, pozbawione aromatu. A te Turki – inaczej. Choć ich ciała oblepiała wielotygodniowa warstwa brudu, choć wonieli jak dzikie zwierzęta, to wątroby mieli czyste i delikatne niczym płody. W pierwszej chwili Purrhos aż nie mógł w to uwierzyć. Czy smak oszukiwał? Wyrwał jeszcze jedno krwiste kłębowisko spod żołądka nadbiegającego Seldżuka i natychmiast wpakował je między zęby. Zasmakowało dziecięciem z brzucha młodej matki.

Wkrótce odkrył, że wśród zbrojnych w turbanach jest też insze jado. Wątroby tych drugich, nielicznych, smakowały jeszcze słodziej, z aromatem orzechów i miodu. To nie byli Turcy, lecz Saraceni z Arabii. Inna była też ich mowa, ale mieli poważanie w szeregach Seldżuków.

Demon przekąsił, po czym ruszył dalej, trzymając się skraju chaszcy. Wojownicy oblegający miasto nie dostrzegali go, za to on widział wszystko. I rozumiał wiele. Ci tutaj byli wrogami. Pan, którego trzeba chronić, tkwił w środku. Na razie bezpieczny. Ale jak długo? Niedługo. Nie, nie, nie! Pan tam za murami bez płodów do jedzenia, a oni tu – zbrojni i wielu ich. Purrhos pokręcił smętnie dwiema szypami. Zbyt wielu. Nie miał szans, by ich pozabijać. Dziesięciu, stu – to by dał radę. Ale tysiąc, dziesiątki tysięcy?

Więc robił to inaczej. Pomału. W ciemnościach, w krzakach, w wykrotach napadał na pojedynczych zbrojnych z seldżuckiego rodu. Rychło się jednak spał i stracił apetyt. Więc tylko wygryzał im twarze, biorąc pod język gałki oczne.

Początkowo nikt nie zwrócił na to uwagi, jednak wkrótce Saraceni z Arabii wszczęli awanturę z Turkami, że ci ściągają na nich złe moce. Że swoją nieczystością przywołują demony i plugawe siły iblisów. Zaraz połała się pierwsza krew pośród sprzymierzonych. Kurd z Mosulu zaciukał Seldżuka, po czym sam zginął rozniesiony tureckimi ostrzami. Dwóch następnych, którzy rzucili się do dalszej bitki, z rozkazu atabega Mas'uda natychmiast ścięto. Spokój zapanował jednak nie na długo.

Wewnętrzny głos mówił Purrhosowi, że powinien wniknąć za mury i tam chronić swego Pana. Być bliżej niego. Kręcąc węzowymi szyjami, jał iść powoli w stronę najbliższej bramy.

Nagle przystanął. Węszył i wypatrywał. Wtem ryknął, nie dbając, że słyszą go zaniepokojone i rozwścieczone Saraceny. Coś tam było. Coś nadchodziło. Coś, co szło, by zabić Pana.

Tam! Na przełęczy! Tam jest! Bestia, która chce zabić Pana! Tam!

Nie zważając już na nic, z gardłowym gulgotem czerwony demon zaczął biec w stronę gór. Jego skóra nabrała teraz barwy świeżej krwi.

* * *

Basiliskos nasłany przez Italosa pędził, aż ziemia łoskotała. Wielkie łapska rozgniaty na pył drobne kamyczki, a duże obracały w żwir. Widział, jak chowa się przed nim wszelkie stworzenie. Ptactwo milkło, zapominając swych śpiewów, drobne gryzonie truchlały przycupnięte w swych kryjówkach między kamieniami i tylko węże nieruchomiały w zachwycie, sycząc miarowo w pochwalnym hymnie: „Bądź pozdrowiony, cesarzu”.

Ich władca nie zważał na hołdy, miał swój wasalny obowiązek do spełnienia. Gnał, coraz wyraźniej czując zapach ofiary. Jego droga wiodła do góry poprzez zbocza, na których coraz mniej było zieleni, za to więcej skał. Wkrótce zrobiło się też zimniej i ucichły głosy zachwyconych węży.

Tuż pod przełęczą czekał na niego posiłek. Górski kozioł przemykający szparko po głazach zmarł, widząc blask ślepi basiliskosa. Zaraz zginął rozszarpany przez kły i pazury bestii.

Cesarz węży przeżuł nasiąknięte krwią mięso, zgniótł na miazgę kości i pogalopował dalej, trzęsąc górami.

Gdy dotarł na przełęcz, przystanął zdumiony. Drogę zastąpiło mu dziwne stworzenie. Czerwone, dwugłowe. Nie przypominało nic, co dotąd miało śmiałość spojrzeć basiliskosowi w oczy. Stwór stał na dwóch łapach, ale widać było, że ciężar ciała i łbów ciągnie go ku ziemi. Był mniejszy, lżejszy, a jego dwie głowy na długich szyjach nie pozwalały na zachowanie stabilnej postawy. Na trzy kroki przed basiliskosem czerwony demon o kostropatej skórze opadł na cztery łapy, zaś jego łby przywarły do korpusu. Nim władca węży zdążył zareagować, cuchnąca rybami bestia wybiła się w górę.

Zabójcze spojrzenie lśniących śmiercią oczu wcale na nią nie działało. Basiliskos szybko dostrzegł też inną przewagę czerwonego demona: był zwinniejszy. Nim cesarz węży zdążył unieść łeb, czerwony stwór siedział mu na grzbiecie.

Pierwsze, co poczuł, to ból wyszarpywanych skrzydeł – najczulszego miejsca, teraz promieniującego paraliżującym bólem. Szkarłatny demon zatopił kły u ich nasady, jednocześnie szarpiąc je pazurami. Bez wysiłku, jakby łamał gałązki małych drzew.

Oderwane skrzydła padły na kamienie. Trzepotały chwilę jak latające ryby, wreszcie zeszywniały zalane czarną krwią.

Basiliskos zawył z bólu, aż z okolicznych zboczy zeszyły grzmiące lawiny. Próbował strącić demona z grzbietu, ten jednak nie puszczał. Zatopił zęby w świeżej ranie i oderwał wielki kawał skóry.

Spadł dopiero wtedy, gdy gadzina strąciła go ogonem, niczym maczugą waląc przez łeb. Stwór poturlał się, na kilka długich chwil tracąc orientację. Mniejszy łebek trzasnął o kamień, aż coś chrupnęło. Z rozciętych narośli jęła sączyć się żółta ropa.

Cesarz węży wykorzystał tę okazję. Przebiegł po grzbiecie swego wroga, tłukąc go zrogowaciałymi łapami po głowach. Zaraz zawrócił, obracając pysk w stronę ofiary. Wytężył całą swą moc piekielnego spojrzenia, starając się zniewolić demona. Widmowy

łeb basiliskosa urósł do rozmiarów wozu zaprzęzonego w dwa woły, świetlista paszcza zatopiła kły w umyśle przeciwnika.

Ten jednak znów pokazał, że nie imają się go żadne wężowe sztuczki. Poderwał się, po czym jak zapaśnik skoczył na kark jaszczura. Pochwycił go i jął dusić.

Basiliskos zaczął gwałtownie wywijać ogonem, by strącić z grzbietu swojego prześladowcę.

* * *

Jeszcze tego samego wieczoru, gdy ustały walki pod cytadelą, Strategos Aleksy Komnen kazał przyprowadzić wszystkich ocalałych murarzy. Rzemieślnicy zeszli się popędzani przez klibanophoroi, niepewni, co ich czeka. Szybko jednak ich obawy znikły – szło tylko o robotę.

–Łapać za kamienie, co tam na kupie leżą – komenderował jeden z domestikosów Komnena. – Przenieście je tu, a później zrobicie mur. Tak jak idzie ta linia, od skał aż do tamtej ściany. Podwójnie gruby, coby Turki nie miały jak wyjść ze środka. Chyba że se, diabły jedne, skrzydła doprawią...

Murarze bez ociągania zabrali się za swoją robotę. Jedni mieszały wypalony wapień z wodą i piaskiem na zaprawę, drudzy chwycili za łopaty i jęli kopać rów pod fundamenty. Szło to niesporo, więc domestikos zapędził do pracy także przyglądających się temu hultajów z oddziału ogniowego. Ci klęli z początku, jednak gdy chwycili za narzędzia, bramy cytadeli szybko otoczył rów głęboki po kolana – za płytko, by zapewnić stabilną konstrukcję jakiegokolwiek budowli, ale nie było czasu na solidne rzemiosło.

Zanim zapadła noc, przed bramą cytadeli wyrósł mur wysoki na dwu chłopa, gruby na krok. By wznieść tę konstrukcję, trzeba było rozebrać dwa niewielkie budynki, ale ludzi do roboty nie zbrakło. Wieczorem Aleksy Komnen kazał wezwać cieśli. Mistrzowie, mając za materiał drewno pozciągane z całego miasta, wznieśli po zewnętrznej stronie muru pomost, po którym mogli poruszać się łucznicy.

Turcy już nie mieli szans, by przeprowadzić z cytadeli szybki i niespodziewany atak.

To był jednak najmniejszy problem dla obrońców Antiochii.

–Zobacz, kuternoga! Zobacz, moc ich! Tylko patrzeć, jak zaatakują. Może nawet tej nocy.

Kalikst zatoczył szeroko ramieniem, patrząc na światła setek ognisk przed miastem. Przy każdym grzało się dziesięciu albo i więcej Turków i arabskich Saracenów. Pośrodku obozowiska stał zdobny i rześście oświetlony namiot atabega Mas'uda, wodza armii spod sztandaru Mahometa.

–Do miasta nie wleżą... Ale głodem nas wezmą.

–Gdzie głodem? – zarechotał Wielka Pięść.

–Ano głodem – powtórzył Kalikst. – Słyszałem, jak gadał Strategos ze swoimi. Kazał jadło z całej Antiochii zgromadzić, znaczy to, co można do składu zebrać. Zboże, wino, wędzone albo suszone mięsiwo. Oliwę. Żelazne zapasy dla wojska. A myśmy tyle tego już zeżarli i wychleli, kiedy się zdawało, że zwycięstwo nasze! A ile wdeptaliśmy w ziemię, ile wina się polało... Miesiąc i będziemy głodować.

Ta nowina wielce zafrasowała Nicetasa. Drab pomarkotniał, dochodząc do słusznego wniosku, że jednak zawsze lepiej być po tej drugiej stronie muru. Zapolować można, a jak będzie już naprawdę źle – nawiać. Z własnym oddziałem czy też bez niego.

* * *

Purrhos uciekał. Biegł, nie oglądając się za siebie, co sił w nogach, byle dopaść grupy wysokich i ciasno zbitych skał.

Całonocna walka nie przyniosła rozstrzygnięcia. Basiliskos był zbyt powolny i za mało zwinny, aby zwyciężyć czerwonego demona. Czasem grzmotnął go łapą. Kilka razy sieknął pancernym ogonem. Jednak jego najsilniejsza broń – paraliżujące spojrzenie – nie działała.

Szkarłatna bestia, mimo swoich przewag, mimo że była nadspodziewanie zwinna i szybka, również nie potrafiła zakończyć tego starcia. Jaszczur miał grubą skórę pokrytą kolcami i łuskami, pod nią wiły się stalowe więzy mięśni. Duszony, szarpany, gryziony wciąż tkwił niemal bez ruchu, wywijając ogonem.

Oba stwory kotłowały się do brzasku, bez utraty tchu wymieniając ciosy, strzykając jadem, wyjąc i charcząc. Na nic to. Żaden nie był w stanie osiągnąć przewagi.

Gdy znad szczytów wyrzały pierwsze promienie słońca, w niewielkim łębku Purrhosa odezwał się od legły głos niczym świst powietrza: „Tak go nie zabijesz. Idź między skały”.

Czerwony demon posłuchał szeptu. Jął biec w stronę kamiennych filarów strzegących wejścia do niewielkiego wąwozu.

Gdy do nich dotarł, wiedział już, co ma robić. Przesmyk, z początku szeroki i obwarowany kilkoma skałkami, szybko zamienił się w wąski korytarz o wysokich ścianach. Purrhos pędził tak długo, aż dyszenie za plecami ustało.

Spojrzał w tył. Zalany czarną krwią, poraniony i wściekły basiliskos utknął między kamieniami. Nie mógł ruszyć w przód, bo przesmyk zbyt wąski już się zwęził. Drogę odwrotu zablokowały mu pojedyncze skałki, kamienne kleszcze trzymające jego ogon i łapy w mocarnym uścisku.

Czerwony demon skoczył do góry. Wbijając pazury w szczeliny, wdrapał się na górę, na szczyt zbocza.

Gdy dostrzegł trzy wielkie głazy leżące tuż na skraju przepaści, zrozumiał, jak na zawsze uciszyć szamoczącego się na dole cesarza węży...

* * *

Strategos Józef Tarchaneiotes był krępy, niskiego wzrostu, wygolonym na łyso, zaś jego twarz zdobił sumiasty wąs niczym u Turczyka. Teraz spod tego wąsa wydobył się niechętny pomruk.

–Panie, to nie jest dobra decyzja. To znaczy... No to nie o to chodzi, żebym śmiało podawać w wątpliwość... Tyś basileus, Bogu równy, i tobie podejmować decyzje. Ale chodzi o ludzi. To prości żołnierze, rwą się na Seldżuka, bitwy im się śnią, łupy, mord, pożoga... Trudno ich tu utrzymać w zamkniętym obozie, gdzie walą mieczami jeno w kukły drewniane. Ich morale upada, a i umiejętności, choć wyuczone, wymagają bardziej namacalnego potwierdzenia. W boju.

Władca niewzruszony słowami Tarchaneiotesa ubódł konia piętami i skierował się na plac manewrowy, skąd dochodził szcęk broni i turkot bojowych rydwanów.

Strategos popędził wierzchowca, jadąc za basileusem.

–Drogi Józefie, jesteś moim najlepszym generałem, wiele razem przeszliśmy. Zwyciężyliśmy pod Manzikert, toczyliśmy udane boje na Sycylii i w Bułgarii, pokonaliśmy setki wrogów. Jak dotąd wychodziliśmy z tego bez szwanku, a nawet z laurem zwycięzcy. Toteż po co teraz zadajesz pytania, w których nie ma ni sensu, ni logiki?

–Ludzie marnieją, krwi im trzeba!

–Cóż byś chciał? Gdy zima idzie, przez góry prowadzić dziesięć tysięcy ludzi, konie, wozy, cały tabor...? Walczyć chcesz, gdy wysoko w górach, na przełęczach zalega śnieg, a koloni, miast dostarczać prowiant dla wojska, dojadają resztki w oczekiwaniu na wiosnę? Chcesz, by twoich ludzi wystawić nie tylko na tureckie szable, ale także na głód i chłód?

Dojechali do placu. Tam setki wojów ściągniętych z najdalszych zakątków imperium, z Bułgarii, Macedonii, Sycylii, Armenii, toczyły swoje pozorowane bitwy, wściekle bijąc mieczami. Lecz choć bitwy były udawane, a broń tępą, co i raz któryś z żołnierzy padał, brocząc krwią.

–Panie... Mówisz o zimie, jakbyśmy mieli na Ruś jechać. Ale wiesz, że w Antiochii zimy lekkie. W Syrii śniegu nie uświadczysz.

–W górach, na przełęczach... Jest śnieg.

–Jest przez tydzień i to na grubość podeszew w butach. To żadna przeszkoda dla armii. Ja wiem, panie! Ty masz swój koncept jakiś. Zwlekasz z wymarszem z całkiem innej przyczyny. Gadają, że każesz tu nam czekać, by tamci się wykrwawili. Wystawieni na śmierć mają oczyścić przedpole i osłabić główne siły przeciwnika.

–Kto gada? – syknął Diogenes. – Podasz mi ich imiona?

Józef przeklął się w myślach za swój niewyparzony język.

–Nie moi! Nie znam. Jacyś przy winie przy ognisku.

–Nie wierzę w te żalosne wykręty, ale niech tam! Powinni się cieszyć, że są tu, a nie tam. Tak się rwą do tego, by dać szyje pod seldzuckie szable?

Pośród walczących zawrzało. Trzech Greków zbrojnych w krótkie machairy naparło na rosnącego Syryjczyka wysokiego na siedem stóp albo i więcej. Ten dzierżył w garści maczugę na długim stylisku. Wywijał nią, aż buczało. Grecy biegali wokół niego jak mrówki, którym ktoś rozdeptał kopiec. Dwa szybkie ciosy dryblasa i już jeden z napastników leżał na ziemi, wyjąc z bólu.

–Ten jest dobry – przyznał z aprobatą basileus. – Co to za jeden?

Strategos ściągnął w namyśle brwi.

–To jest... Zwią go... Anicet Bestia. Syryjczyk.

–Silne bydle.

–I szybkie jak na takiego dryblasa.

–Podoba mi się. Przyprowadź go do mnie.

W tym momencie Anicet Bestia zwałił z nóg trzeciego Greka. Wtedy naprzeciw stanął czwarty. Z łukiem. Napiął cięciwę. Puścił.

Strzała wbiła się Syryjczykowi w oko. Grot przebił czaszkę i wyszedł z tyłu głowy. Wielkolud nawet nie ryknął – padł jak kłoda, a z rany pociekł mózg wymieszany z krwią.

–Za późno – skonstatował spokojnie władca. – Może i masz rację, Józefie. Marnują się tu strasznie. Dlatego nie będziemy czekać do wiosny. Wyruszymy wcześniej: gdy nadejdzie fewruarios.

Czekać tu jeszcze do lutego?! Toż gotowi bunt podnieść! – pomyślał Tarchaneiotes, ale na głos nie wypowiedział już ani słowa.

Rozdział 9

Kalikst jednym ruchem nadgarstka skręcił kotu kark. Jazgot i drapanie pazurami ustały. Trzy krótkie cięcia nożem i na bruk spłynęły wnętrzności zwierzęcia.

–A tego nie szamamy? – zapytał z nutką zawodu Nicetas.

Belzebub popatrzył na parujące flaki. Pokręcił głową.

–Lepiej nie tykać. Gdyby tak z bydlęcia jakiegoś, z wołu czy coś, to by się dało poszamać, nie mówiąc już o polewce. Ale wiadomo, gdzie to lata i co żre?

Dryblas podrapał się po brzuchu.

–Ale mało – jęknął, patrząc na chudą tuszkę kota.

–No skoroś taki niedożarty, to se zbierz, ale ja tego nie tknę. Tylko mięso.

Mówiąc to, Kalikst odwrócił się na pięcie i ruszył na mury. Tam już Żmudzini grzali wodę na polewkę.

Wielka Pięść machnął ręką i poszedł za kompanem.

–Zobaczymy, jak będziesz gadał, jak zabraknie kotów. Wtedy pozostaną nam tylko szczury. Ale będziemy je szamać całe.

–Bredzisz. Jeszcze kilka dni i to się skończy. Mówię ci.

–He, he, he – zarechotał Nicetas. – Słyszę to już od czterech miesięcy. Jeszcze powiedz, że lada dzień i nadejdzie basileus. Że przyjdzie i pobije Seldżuków.

Co racja, to racja. Takie nadzieje towarzyszyły im od początku jesieni, kiedy tu przybyli. Najpierw zdobywali miasto, byle zdążyć przed nadejściem armii z Konstantynopola. Żeby więcej wina wychlać, więcej złota nabrać, więcej dziewczek wychędożyć. Później,

gdy hordy atabega Mas'uda zamknęły ich w murach miasta, pojawił się nowy ton. Przyjdzie basileus z mocą zbrojnych i rozniesie dzikusów w pył. Nie przyszedł i nie rozniósł.

Gdy stali pod miastem, zastanawiając się, jak wejść do środka, był koniec lata. Minęła jesień, nadeszła zima. Słońce zbladło i grzało słabo jak rozdmuchane przez wiatr ognisko. W nocy woda w kałużach pokrywała się cienką inkrustacją lodu.

Wraz z zimą przyszedł głód.

Najpierw obrońcy Antiochii zjedli wszystko, co zostało w spichrzach, magazynach, w domowych spiżarniach i składach. Wtedy jeszcze nikt nie czuł strachu. Prawdziwy głód, a wraz z nim lęk, nadszedł wtedy, gdy wojacy zjedli ostatnie placki upieczone z ostatnich garści mąki.

Później doszło do bitwy o konie. Najemnicy de Bailleula swoje zarznęli i zjedli wcześniej. Normanowie nie czuli zbyt wielkiego przywiązania do wierzchowców, zwyczajni także walczyć jako piechota. Inaczej kawalerzyści Komnena. Ci przyjechali na swych najlepszych koniach z wybranego chowu, rasy północnej, a więc większych i silniejszych. Klibanophoroi nie chcieli ich dać na zatracenie.

Zbrojna banda ogniowców wybiła im głupotę z głowy, mordując kilku kawalerzystów. Tak dla przykładu. Resztę spętano lub obito, a najczęściej i jedno, i drugie. Rzeź koni trwała całą noc. Przez dwa tygodnie było co do ust włożyć.

Później przyszedł czas na psy i koty. Wściekłe szajki grasowały po domostwach umierających z głodu mieszkańców Antiochii, przetrząsając ich podwórka i piwnice w poszukiwaniu zwierząt.

Szybko stały się nie lada frykasem. Niektórzy, inaczej niż Kalikst, nie wzgardziliby kocimi flakami.

–Nie chcę tu dłużej tkwić – warknął Belzebub, gdy w końcu uliczki zamajaczyła smukła sylwetka chronionej przez nich baszty.

–A co? Dasz nogę za mur, gdy się ściemni? Tak jak wtedy, co żeś chciał atabega udziabać puginałem w środku nocy?

Belzebub wydał wściekle usta na wspomnienie nieudanej wyprawy.

–Ma zbyt dobrą ochronę i za lekki sen. Zbudził się i wiać trza było. Ledwom z życiem uszedł, bo tych Saracenów się tam zbiegła chyba z setka. Ale teraz... Teraz to mam inszy plan.

Weszli po schodkach na mur, a po nim do baszty Już tam czekał Wit Wodnik z bratem. Żmudzini podsycali ogień pod kociołkiem, w którym bulgotała woda i trochę liści.

–Macie kota, to go zróbcie...

–Chudy coś – jęknął Waldemar.

–To se znajdź tłustszego! Na polewkę starczy. Za kilka dni wyjdziemy z miasta. Nie tylko wyjdziemy, ale przegonimy psubratów spod murów raz na zawsze.

Tak Kalikst gadał, ale prawda wyglądała zgoła inaczej. Raz już próbował zmienić układ sił. Myślał, że przynosząc głowę Mas'uda i osadzając ją na dragu, osłabi ducha bojowego wśród Seldżuków, a wznieci wojenny zapał wśród Rhomaioi. Niestety, misterny plan przeniknięcia do obozu wroga i zabicia atabega to była zupełna głupota.

Z drugiej strony Belzebub wiedział, że tędy droga. Siorbiąc gorącą polewkę z kota, patrzył w dal na skłębione pod murami wojska tureckie. Kilka nieudanych szturmów odpartych dzięki ogniom greckim i coraz wyraźniej dająca się we znaki zima ostudziły zapał Seldżuków. I jeszcze coś: podczas krótkiej wizyty w obozie wroga Belzebub był świadkiem awantury między Turkami a Saracenami z Arabii. Nie rozumiał, o co poszło, ale pokaleczone zwłoki z wypatroszonymi żołądkami i zmiażdżonymi głowami świadczyły, że ktoś w cichości wykańczył żołnierzy atabega jednego po drugim pod osłoną nocy. Domyślał się, czyja to sprawka.

Turecko-saraceńska zbieranina coraz mniej przypominała regularne wojsko i coraz bardziej niszczyły ją strach, zniechęcenie i niepewność. Taka armia nie powinna być trudna do pokonania. Sęk w tym, że obrońców Antiochii również ogarnęły czarne myśli. Nie zamierzali wychylać się poza bramy dalej niż na długość ostrza miecza.

Kalikst spił resztki polewki z michy. Zupa nie była aż tak zła. Mało tłusta, trochę gorzka, ale ciepła i pożywna. Nalał sobie jeszcze, wyławiając chochlą kawałki kocięgo mięsa.

Mieszkańcy miasta mieli jeszcze inny sposób na głód. Gotowali skórzane stroje i buty z dodatkiem kory z drzew. To jednak nie wystarczało – marli jak muchy. Co dzień przez miasto ciągnęły ponure konduktory żałobne – kilka wychudłych postaci wlokących terkoczący wózek z ciałem owiniętym całunem. Śmierć zbierała coraz większe plony, toteż pod katedrą św. Piotra, największą świątynią Antiochii, nieustannie kłębił się tłum rozmodlonych Armeńczyków, Syryjczyków i Rhomaioi. Łotry z Konstantynopola i Cezarei, które niedawno kpiły z Boga i piekła, teraz klepały pacierze, całując medaliki i krzyżyki pozawieszane na szyjach.

Do katedry przychodzili także Normanowie, choć rzymscy heretycy. Stali z boku, modląc się po swojemu, bluźniąc w swej barbarzyńskiej mowie: Wierzę w Ducha Świętego, Pana i Ożywiciela, który od Ojca i Syna pochodzi... Teraz jednak nikt nie baczył na apostazję, najemnicy mogli sobie wywodzić Ducha Świętego także od Syna Bożego, wszyscy mieli większe zmartwienia niż ekskomunika, jaką już lata temu nałożył na cały łaciński Kościół patriarcha Michał Cerulariusz.

Kalikst patrzył na tę rozmodloną zbieraninę i powoli zaczął mu świtać pomysł. Myśl kiełkowała, choć nie wiadomo było, co z niej jeszcze wyrośnie: kolczasty chwast czy drzewo.

Wyszedł z katedry, kierując się w stronę cytadeli. Odkąd stanął tam mur odcinający dostęp do bramy, Seldżycy zaprzestali już wypadów z twierdzy. Kilku strażników z syfonami igró pyr tkwiło w

głodowym otępieniu, patrząc niewidzącym wzrokiem w dal. Gdyby teraz Turcy przypuścili szturm, niemrawi obrońcy nie mieliby szans. Tamci najwidoczniej uznali jednak, że nie warto narażać ludzi. Czekali, aż głód wszystkich wykończy.

Nagle wzrok Belzebuba padł na stertę śmieci pod murem cytadeli. Szkielet konia, stare szmaty, deski, z których cieśle ustawili pomost, ludzkie i zwierzęce kości porzucane w beładzie, pęknięte na pół miecze. Wszystko przysypane ziemią.

Na samym szczycie cuchnącej sterty tkwił ułomek włóczni wbity drzewcem do dołu. Na zatknięto tkwił przegniły, częściowo spalony łeb, na który ktoś nasadził brudne strzępy turbanu.

Jednym kopnięciem Kalikst strącił trupią głowę i wyszarpnął włócznię. Złamana wpół i przerdzewiała z pozoru do niczego nie mogła się już nadać.

Chyba że do rozgromienia Seldżuków koczujących pod murami Antiochii...

* * *

Tryfon Szachista popatrzył na boki, czy nikt go nie śledzi. Cisza. Tamci śpią. Basztę spowijał mrok, tylko księżyc skrzył się na murach i dachach.

Zbiegł po stopniach na wąską uliczkę obok muru i przemknął między domy. Szedł szybkim krokiem tak długo, aż miał pewność, że żaden z jego kompanów nie wlecze się za nim.

Pogłaskał delikatnie zgrubienie pod płaszczem.

Kto ma łeb na karku i trochę zręczności w rękach, nie będzie głodował – pomyślał. – Trzeba tylko znaleźć dobre miejsce na ucztę.

Od czasu gdy Makary miał go za swoją zabawkę, Tryfon bardzo się zmienił. Złamany kilka razy nos i wybite zęby nadały jego twarzy groźniejszy wygląd, zaś z oczu wyzierała złość i chytryść.

Nie dam się już więcej nikomu poniżać – postanowił sobie Szachista. – Nie będę popychadłem dla nikogo, choćby miał pięści jak arbuzy. Przeciw pięściom: siła umysłu. Przeciw tępej sile: mój spryt.

Wspomniał nauki Atanazego. Twoja mądrość i skłonność do filozofowania nie ochroni cię w bitkach z rozbójnikami – mawiał mistrz. I słusznie. Sama mądrość i filozofowanie na nic się nie zda w takich warunkach. Ale mądrość połączona ze zręcznością w dłoniach, starannie ćwiczoną, może przynieść owoce. Gdy przyszły pierwsze dni głodu, Tryfon spostrzegł, że na murach i górnych piętrach baszt lubią siadać gołębie. Bały się ludzi i skrzydlatych drapieżników, jednak przywabiąło je ziarno rozsypane na parapetach. Po niezbyt długiej obserwacji Szachista poczynił kolejne spostrzeżenie – ptaki miały swoje ulubione miejsca, gdzie najchętniej siadały, spływając na odpoczynek z podniebnych szlaków. W tych miejscach Tryfon ustawił pułapki, które sam kleił ze sznurków i desek. Były to konstrukcje dalekie od doskonałości, zawodne, jednak z pięciu miejsc choć raz dziennie udawało się schwytać chociaż jednego. Wystarczyło, by przeżyć.

Zdobycz niewielka, lecz pewna. Szachista wiedział, że ta nędzna porcja mięsa wystarczy, by uchronić go od śmierci głodowej, jednak rozdana kompanom, tylko wielu narobi smaku, a nie przyniesie nijakiego pożytku. Musiał stłumić naturalny dla siebie odruch braterstwa, który w lepszych czasach nakazałby mu podzielić się dobrem z ziomkami. To była jedna z nauk, które dała mu Antiochia. Niech każdy myśli o sobie. Kto zje, ten przeżyje. Jest wojna, a na wojnie nie ma litości.

Powtarzając te proste prawdy, każdej nocy wymykał się z

przydzielonej mu baszty, by w spokoju pochłonać upolowanego za dnia gołębia. Inaczej, niż zwykli to czynić inni hultaje, nie buszował po domostwach. Tych wciąż zamieszkanym broniły desperackie niedobitki Armeńczyków czy Syryjczyków. Natomiast w opustoszałych zbyt często grasowali wygłodniałym najemnicy w nadziei, że znajdą w piwniczce worek mąki, płac suszonego mięsa albo i zapomniany dzban wina. Z reguły nie znajdowali nic, ale z tym większą gorliwością przetrząsali kolejne kwartały miasta.

Tryfon odkrył pewniejsze miejsce, gdzie nikt go nie nachodził – obrócony w zgliszcza kościół św. Ignacego Antiocheńskiego. Wycofujący się Seldżycy podłożyli pod niego ogień, teraz święta budowla straszyla wypalonymi, częściowo zrujnowanymi ścianami. Straszyla na tyle skutecznie, że nikt nie widział potrzeby, by zaglądać do wnętrza. Poczerniałe twarze aniołów na rzeźbach straszyla niczym demony. Wszędzie swąd spalenizny. Opuszczone piekło – tak właśnie Szachista myślał o tym miejscu.

Rozejrzał się uważnie po okolicy i gdy miał już pewność, że nikt go nie obserwuje ani nie śledzi, przemknął przez rumowisko kamieni do środka budowli. Trzymając dłoń przy ścianie, doszedł do bocznej nawy. Wybrał kilka szczap z przygotowanej wcześniej sterty i ułożył z nich niewielki kopczyk.

Po trzech pacierzach siedział, grzejąc się przy ogniu. Nadziany na miecz gołąb, wcześniej wypatroszony i oskubany z piór, skwierczał cicho, a kropelki roztopionego tłuszczu z sykiem kapały w ogień.

Szachista wpadł w błogi nastrój przed ucztą, choć kawałek mięsiwa, jaki sobie szykował, wyglądał nader żałośnie. Jednak to i tak był lepszy posiłek niż to, co spożywali jego kompani. Tamci gryźli korę i zagryzali pierwszym śniegiem.

Nagle zeszywniał. W oddali dostrzegł światełko. Jeden płochy ogień migający gdzieś pośrodku kościoła.

–Najemnicy... – szepnął i w panice jął gasić płomienie. Cicho odłożył miecz z gołębiem na bok, butem rozrzucając drewka. Na niewiele się to zdało, więc zerwał z grzbietu płaszcz i narzucił go na

ognisko, dusząc płomienie. Co tam! Płaszcz się jakiś znajdzie, ten i tak dziurawy i postrzępiony, za to obiadu nie odbierze mu nikt! I nikt nie pozna jego kryjóWKi.

Naiwne było to myślenie. Gdyby do kościoła rzeczywiście weszli Normanowie, żalosa szamotanina Tryfona tylko wzbudziłaby ich rehot. Jednak to nie byli najemnicy. Dopiero po chwili dojrzał, że pełgający ognek błyska na knocie wielkiej świecy. Ledwie to zrozumiał, klika kroków dalej zapłonęła następna. A zaraz po niej kolejna, i jeszcze następna, aż nagle pośrodku spalonej świątyni załśnił żółtopomarańczowy krąg płomyków.

Szachista wstał, otwierając usta z przestachu. Nim jednak zdążył wydać okrzyk przerażenia, jakiś tubalny głos przemówił:

–Tryfonie...

Przerażony postąpił krok w tył, padając na tłący się płaszcz. Zawył z bólu i podskoczył, waląc łbem o sterzącą belkę. Przeklął szpetnie.

–Nie bluźnij, Tryfonie... – posłyszał znów. Chociaż Szachista próbował przebić wzrokiem ciemność, widział jedynie chybotliwe ogniki.

–Kim... Czym... Jesteś...? – wybełkotał, przewyciężając strach.

–Jam jest święty Ignacy Antiocheński, patron tej spalonej świątyni...

Tryfon opadł na kolana.

–Jezu Chryste, Panie mój, wybac mi moje grzechy...

–Nie wzywaj imienia Pana nadaremno. I nie bluźnij, bom ani ja, ani nasz Pan nie przyszedł cię sądzić. Nie jest to twój czas, by z Bogiem się złączyć.

Myśli Szachisty trzepotały jak chwywane gołębie: Święty Ignacy Antiocheński? Ale dlaczego? Gdzie? Dlaczego go nie widzę?

Dlaczego do mnie? Czy nadchodzi moja śmierć? Powiedział, że nie, ale co w takim razie? Czy jednak umrę? Ale dlaczego nic nie widzę? Nie widzę świętego...?

–Pewnie masz wiele pytań, Tryfonie Szachisto. Nie musisz się lękać, powtarzam. Nie widzisz mnie? To chodź tu bliżej, a poznasz me oblicze.

Wstał z klęczek i drobnymi krokami ruszył w stronę świec. Rozglądał się na boki, jednak nikogo nie dostrzegł. Dopiero gdy dotarł za krąg ogników, spostrzegł, że otaczają one kamienną rzeźbę ustawioną we wnęce po przeciwnej stronie ołtarza. Figura przedstawiała brodatego starca z długimi włosami, w biskupich szatach, z księgą w dłoni.

Znów padł na kolana.

A rzeźba przemówiła:

–Nie lękaj się, powiadam. Przybyłem tu, do świątyni naszego Pana, która nosi moje imię, by ci dać słowa otuchy i poprowadzić cię ku drodze zbawienia.

–Święty Ignacy, czy i mnie czeka męczeńska śmierć? Czy i ja mam pójść na śmierć jak Pan Nasz Jezus Chrystus? – Szachista nie do końca wiedział, co mówi, jednak czuł, że tak powinien.

Rzeźba szybko wyprowadziła go z błędu.

–Zamilcz, Tryfonie i słuchaj! – nakazała.

Tryfon zamilkł i słuchał.

–Od czterech miesięcy pod murami miasta stoi armia pogan, plugawych wyznawców herezji Mahometa. Otoczyli Antiochię, odcięli drogi, zdobyli też port nieopodal, pilnują szlaków wiodących przez góry. Basileus daleko, nikt nie przyjdzie wam z pomocą, zanim nie nadejdzie wiosna.

–Biada nam – jęknął Tryfon.

–Zginiecie z głodu – potwierdził święty Ignacy. – Ale... – dodał po chwili – jest dla was jeszcze jedna szansa. Nie wszystko jeszcze stracone! Musicie tylko odnaleźć relikwię!

–Relikwię? Gdzie? Jaką?

–Świętą Włócznię, którą kaci przebili bok Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, gdy cierpiał kaźń na krzyżu. Włócznia jest tu, w Antiochii! Znajdziesz ją pod podłogą katedry Świętego Piotra. Musisz kopać!

–W którym miejscu? Katedra jest ogromna!

–Pośrodku! Szukaj! Szukaj wszędzie! Kop! A jak już znajdziesz Świętą Włócznię, to Bóg wyśle wam do pomocy armię aniołów, z której pomocą pokonacie saraceńską zarazę, plugastwo Mahometowej herezji. Seldżucki atabeg umknie niczym zając, jego horda pójdzie w rozsypkę, a wy zapomnicie, co to głód i zimno. Na chwałę Pana, idź, odszukaj Świętą Włócznię!

Tryfonowi cisnęły się na usta liczne pytania, lecz nagle spostrzegł, że świece wokół posągu świętego zaczynają powoli gasnąć. Po chwili zapadła ciemność.

Zapach zduszonych knotów delikatnie drażnił jego nos. Szachista podszedł do rzeźby i wyciągnął dłoń.

–Święta Włócznia... – wyszeptał.

* * *

–Wierzysz mu, panie? – spytał Roussel de Bailleul, szybkimi ruchami odkrawając z pieczonego łba końskiego wąskie paski mięsa. Chude ścięgna były całkowicie pozbawione tłuszczowej otoczki. Zwierzę przed ubiciem również głodowało.

Strategos ucałował srebrny krzyż zawieszony na szyi. Już to wystarczyło za odpowiedź.

–A ty nie wierzysz w Pana Naszego, najemniku? Nie wierzysz w mękę Pańską? Powiadasz, że śmierć Jezusa Chrystusa na krzyżu była jeno pozorna, a Pan Nasz stworzył iluzję swej śmierci... jak to głoszą wszyscy plugawi heretycy?!

Norman obruszył się.

–Ja plugawym heretykiem?! Nic takiego nie głoszę! To ty głosisz... panie – wykrztusił de Bailleul, z trudem zachowując spokój.

Chciał być uprzejmy, mając świadomość, że napięta sytuacja, w jakiej się znaleźli, może w każdej chwili doprowadzić do wzajemnej rzezi. Stosunek sił też nie działał na jego korzyść. Ale zarzucać mu herezję?! O, Grecy lubili obnosić się z pobożnością jak nie żołnierze, ale jacyś pokutnicy. Jednak w duszy wszyscy byli przewrotni jak sam diabeł. Norman nie dowierzał żadnemu z nich.

–Ten tu jednak łachmyta nie wygląda mi na świętego – podjął – lecz na wydrwigrosza. Bo sam powiedz, panie, skąd on jest? Złodziejaszek pewnie, z Cezarei albo nawet z Konstantynopola. Skazany na śmierć w boju tak jak i my wszyscy...

Aleksy jakby nie usłyszał tych słów.

–Czy wątpisz, że święty Ignacy Antiocheński oddał życie za wiarę? Że zginął śmiercią męczeńską niczym Pan nasz? Chcesz powiedzieć, że święty Ignacy Antiocheński nie mógł objawić się żołnierzowi walczącemu na chwałę Boga w szeregach basileusa, które także Bożymi są szeregami?

Najemnik zaklął cicho.

–W nic już nie wątpię. Dobrze! Dobrze, niech będzie! Ale nie wszystkich przekonasz. Niewielu przekonasz.

–Brak wam wiary, łacinnicy. Brak wam wiary...

Strategos nalał sobie wody z dzbana i długo pił. Gdy odstawił naczynie, sięgnął po puginał. Wbił jego koniec w koński łeb. Po chwili pokręcił głową.

–Wydobędziemy tę włócznię spod podłogi katedry Świętego Piotra, tak jak było w widzeniu. Niech on kopie. Tak długo, aż się dokopie. Wtedy pójdziemy na Seldżuków.

* * *

–Bóg dał nam znak! Bóg chce, żebyśmy bez lęku wyszli przeciw Saracenom i rozsiekali, i spalili ich plugawe hordy! Do katedry! Święty rzekł do mnie tymi słowy: Znajdź Świętą Włócznię, a ześle ci do pomocy armię aniołów, z której pomocą pokonasz saraceńską zarazę, Mahometową herezję plugawą. Tak rzekł do mnie święty, a głos miał tubalny jak pomruk burzy, zaś z oczu strzelały mu skry! Twarz jego srebrzyła się niczym szlachetny metal, a wokół głowy świeciła aureola. Bił od niej taki blask, że zajaśniało jak w południe, choć to był przecie środek nocy. Skrzyła się jak żywe złoto, jak korona basileusa, tylko po stokroć razy mocniej! Później święty Ignacy Antiocheński powiedział tak: Jesteś wybrańcem, tobie powierzam tę misję, którą jest wielkie zwycięstwo prawdziwej wiary nad gnijącą herezją saraceńskiego pastucha!

Nikt z dawnych kompanów nie poznałby Trytona krzyczącego do tłumu z dzikim blaskiem w oczach. Szachista odziany w białą powłóczystą szatę na podobieństwo mnicha lub kapłana trząst

wychudzoną dłonią, w której dźwiżył Pismo Święte.

Tłum podchwycił jego słowa.

–Spalić meczety! Wyrżnąć Seldżuków! Powiesić Saracenów!

–Przeca meczety spalone, a Saraceny zaciukane... – zauważył ktoś przytomnie.

–Spalić! I spalić Armeńczyków, bo to zdrajcy i saraceńskie parobki!

Tryfon skierował te emocje na właściwą drogę.

–Pan nasz chce, żebyśmy odnaleźli Świętą Włócznię! Ona będzie znakiem naszej jedności i zwycięstwa. Relikwia poprowadzi nas do zwycięstwa!

–Na Saracenów! Bij!

Byli jednak tacy, co wątpili.

–Musi dobrał się gdzieś w piwnicze do zapomnianego dzbana wina, bo gada jak głupek! U nas w Nicei to w tawernach kaźden takie miał widzenie. Jak popił więcej wina, to i świętych widział.

–A dlaczego jemu miał ukazać się święty! A kim on jest? Koproskilo dupowaty! Dlaczego jemu się miał ukazywać, a nie mnie...

–Obić mu ryja, to przestanie brednie rozpowiadać!

Do rękoczynów jednak nie doszło. Kalikst Belzebub wskoczył na pustą beczkę i wrzasnął jak przystało na hekatontarchosa:

–Co wy, ciury z ośle dupy?! Co wy, zafajdani malakas, co się wam, synom kurew i półgłówków, nie podoba, co?! Święty człowiek do was przemawia, o widzeniu swoim opowiada, o tym, jak Pan Nasz z niebios posłańca tu nam wysłał, dobrą nowinę wam niesie, a wy co?! Źarty se robicie, kpiny urządzacie, heretyki!

Wagę swych słów podkreślił, dobywając miecza. Złe szeptu zaraz ucichły – nikt nie chciał zaczynać niepotrzebnej bitki z setnikami ogniowców.

Wkrótce nastąpiły dwa wydarzenia, które potwierdziły słowa Tryfona Szachisty. Podczas mszy w katedrze, choć drzwi były zamknięte, zerwał się wiatr, widać z samych Niebios, i zaczął targać kartami Pisma Świętego. Zaraz też wierni posłyszeli szept dochodzący gdzieś z mrocznego kąta.

–Szukajcie... Szukajcie... Zwycięstwo jest bliskie...

Jeden odważny poszedł zajrzeć, co się tam kryje, czy ktoś kpin nie robi, jednak nikogo nie znalazł. To musiał być sam święty.

A gdy spojrzeli do Pisma Świętego, spostrzegli że księga otworzyła się na słowach: Przyszli tedy żołnierze, a pierwszego złamali golenie i drugiego, który z nim był ukrzyżowany. Lecz przyszedłszy do Jezusa, gdy go ujrzeli już umarłego, nie łamali goleni jego. Ale jeden z żołnierzy włócznię otworzył bok jego, a natychmiast wyszła krew i woda. A który widział, wydał świadectwo, i prawdziwe jest świadectwo jego, a on wie, iż prawdę powiada, abyście i wy wierzyli.*

Wkrótce pojawił się inny znak, potwierdzający słowa Tryfona Szachisty. Święty Ignacy Antiocheński przyszedł we śnie do Charytona Scholara i powiedział te same słowa: A gdy znajdziecie Świętą Włócznię, Bóg wyśle wam do pomocy armię aniołów, z której pomocą pokonacie saraceńską zarazę...

Nikt już nie wątpił w prawdziwość tego proroctwa, chociaż Charyton Scholar wciąż zachodził w głowę, kogo przypomina mu głos świętego Ignacego rozbrzmiewający z mroku nawet wówczas, gdy się już zbudził...

* * *

–Kopcie! Kopcie dalej! – pokrzykiwał Tryfon Szachista ogarnięty świętym uniesieniem. – Czuję, że ona jest tuż. Jeszcze dwie stopy i znajdziemy relikwię!

Teraz nikt już nie wątpił w jego słowa, a przynajmniej nie mówił tego na głos. Aleksy Komnen, gdy usłyszał opowieść Charytona o nocnych głosach, tylko utwierdził się w przekonaniu, że Święta Włócznia przyniesie zwycięstwo. Poleciał wybrać spośród mieszkańców miasta najsilniejszych chłopów, dał im kilofy i łopaty i nakazał kopać. Pobożni Armeńczycy i Syryjczycy, słysząc w czym rzecz, ochoczo wzięli się do pracy, zaś Tryfonowe pohukiwanie było im w zasadzie zbędne.

Tak minął pierwszy dzień. Święta Włócznia się nie znalazła, więc ludzie małej wiary jęli sarkać, że Szachista bajdurzył i wszystko zmyślił.

Entuzjazm większości nie słabł też drugiego dnia. Dziura w podłodze katedry sięgała teraz aż po sam ołtarz. Rzekłby ktoś – im dłużej kopią, tym mniej widać relikwię. A jednak nie. Podniecenie rosło, pracowici kopacze, panowie, żołnierze i zwykli gapie czuli, że już zaraz ziemia wyda im święty grot, który przebił bok Jezusa Chrystusa. Szepty modlitw objęły się o sklepienie świątyni.

Tryfon nie tracił animuszu.

–I rzekł do mnie Pan Jezus: Kopcie! Kopcie tak długo, aż znajdziecie włócznię, która rzymski żołdak przebił me płuco, a wtedy nadejdzie zwycięstwo nad plugawym Mahometem. Sto tysięcy aniołów w karnych hufcach pójdzie naprzeciw seldżuckiej zarazie, zmiażdży ich, zaleje ogniem, a później usiecze lodowym gradem. Ich nędzne dusze pójdą do najniższego kręgu piekieł,

gdzie będą skwierczeć na wrzącym oleju, błagając o przebaczenie.
Kopcie i nie traćcie wiary!

Niestety mimo tych nawoływań, mimo szczerego zapału i przelanego potu, mimo rozbitej i rozoranej podłogi w katedrze, relikwii jak nie było, tak nie było.

* * *

Gdy zapadła noc, Belzebub wymknął się z baszty i cichaczem pobiegł do swojej nowej kryjówki – ruin kościoła Świętego Ignacego Antiocheńskiego. Teraz pozostawała już zawsze pusta. Odkąd Tryfon usłyszał głos świętego, żył tylko nadzieją i uniesieniem. Nie polował na gołębce, nie piekł ich w opuszczonych murach.

Kalikst pogrzebał w stercie gruzu, po czym, kryjąc coś pod płaszczem, przemknął w kierunku katedry. Gdy doszedł w pobliże świątyni, przystanął i jął obserwować okolicę. Chociaż Strategos Aleksy również uległ świętemu uniesieniu, wciąż myślał trzeźwo i wiedział, że nie wszyscy dobrze mu życzą i wielu nie wierzy Szachiście. Toteż przed wejściem do katedry wystawił swoje najlepsze straże, które miały zakaz wpuszczania kogokolwiek, nawet duchownych. Uzbrojeni po zęby klibanophoroi patrolowali najbliższe uliczki wokół świątyni rozjaśnione latarniami i pochodniami.

Ale Belzebub nie musiał się tym przejmować.

–Ściągnij własną siłą mrok – powtarzał słowa swojej modlitwy. – Przywołaj ciemność, niech okryje cię niczym skrzydła. Niech noc stanie się tobą, a ty stań się nocą. Niech szara godzina obejmie twoje dłonie, twoje ramiona, pierś i całe ciało. Niech czarne pióra zakryją cię, a wtedy znikniesz w cieniu osłonięty od ludzkich

spojrzeń.

Ciemność przyszła i osłoniła go. Niezauważony minął wojaków przemierzających uliczki wokół katedry, przeszedł obok strażników stojących u jej wejścia, po czym wniknął do wnętrza.

Tam, okazało się, tkwiło jeszcze dwóch zbrojnych, którzy stali obok dziury w podłodze świątyni. Zatknięte w żelaznych stelażach pochodnie oświetlały ściany budowli, rzucając migotliwe blaski na blade figury świętych.

–Gamoto – zaklął cicho Kalikst. Liczył na to, że jednak wewnątrz nie będzie nikogo. To komplikowało jego plany, ale nie aż tak bardzo, by nie dopiął swego.

Cicho niczym skrzat minął strażników i zasadził się w cieniu. Jeden ze zbrojnych spał na stojąco – kiwał się oparty o kolumnę, pochrapując od czasu do czasu. Drugi zachował czujność, jednak nie na tyle, by zwracać uwagę na to, co dzieje się na dnie wykopu. Belzebub wybrał takie miejsce, gdzie padał cień i strażnicy nie mogli go zauważyć.

Powoli, ostrożnie jął drażyć ziemię, posługując się puginałem. Podważał ostrzem niewielkie grudki, po czym wybierał je rękami. Podłoże było twarde i zimne, czubek noża kilka razy ze zgrzytem zawadził o niewielkie kamienie.

–Hejże! Co tam! – krzyknął nagle jeden ze strażników. – Kto tu?

Wyjął pochodnię ze wspornika na ścianie i energicznym krokiem podszedł do brzegów wykopu. Poświecił.

Jednak czuwają... – Kalikst skulił się, w myślach powtarzając swoją modlitwę: – Przywołaj ciemność, niech okryje cię niczym skrzydła. Niech noc stanie się tobą...

Wtedy ocknął się drzemiący zbrojny.

–No, no co tam się dzieje, Nicefor?

–Nie wiem, słyszałem... Pewnikiem złodziej. Takie skrobanie jakieś.

–Że niby relikwię chce pokraść? A na co tu złodziejowi relikwia?

–No sprzedać może. Ty wiesz, ile można za taką Świętą Włóczęgię od łacinnickich handlarzy dostać? Oni to łasi są na takie cuda.

Odeszli, ale Belzebub wciąż słyszał niespokojne dyszenie żołdaka. Drugi szybko znów zapadł w drzemkę, jednak Kalikst wołał odczekać. Przywarł do ziemi i przed kwadrans nawet się nie poruszył.

Wznowił pracę, ale tym razem był ostrożniejszy. Garść po garści wydobywał kolejne grudki ziemi, aż wreszcie dziura sięgała już na długość ramienia. Wtedy wyjął z zanadrza włóczęgię i ostrożnie umieścił ją na dnie jamy. Dla pewności przysypał to miejsce ziemią wybraną przez kopaczy. Znów ubił i wymknął się z dziury.

Zbrojni niczego nie spostrzegli. Oparci o kolumny katedry tkwili w półśnie.

Rozdział 10

–Rumowie już zdychają z głodu, rozumiesz to, Süleyman? Nie pociągną długo, Allah da, to oddadzą miasto, nim nastanie dżumada al-ahira. Będzie nasze, już czuję zapach krwi.

Nasir odciął z różna pasmo jagnięciny i niespiesznie wpakował je do ust. Przeżuwał powoli, patrząc na górującą nad miastem wieżę katedry.

–Al-ahira? Jeszcze jeden miesiąc? Nie, mój przyjacielu. Ja tu nie zniosę ani chwili dłużej. Rummy uparte są i głupie, prawdziwej wiary się boją, strach im wyjść na ostrza sług Allaha. Nie oddadzą miasta, prędzej zdechną.

–Głód ich wygoni – stwierdził Nasir. Obrócił rożen, nadstawiając nad płomień drugi bok tuszki. Mięso powoli nabierało koloru złota.

Dym wokół niego wił się cudownym aromatem.

–Tak musi pachnąć szóste niebo... – mruknął z rozmarzeniem.

–Szóste? A dlaczego szóste? – Süleymana ogarniało coraz większe rozdrażnienie. Gadanie jego kompana było jako ta mucha brzęcząca nad głową podczas snu.

–W szóstym pachnie pieczona jagnięcina i duszony patlican jak na dobry obiad. Tam możesz najeść się do woli, zaspokajając głód i gasząc pragnienie najczystsza wodą z anielskich źródeł i niebiańskim winem. W siódmym, tam gdzie podnózek tronu Najwyższego, wije się zapach wanilii i sezamu jak na deser podczas sułtańskiej uczyty. Tam już głód pozostaje wspomnieniem, kuszą cię za to słodkie aromaty i tęskny śpiew dziewic.

–Głupiś, Nasir. Gadasz jak nędzny wierszokleta z Damaszku. Gdzie mnie tam o niebie sądzić, jak tkwimy na ziemi szejtana otoczeni Rumami i Arabajami. Arabaje wredne, oby Allah przeklął ich dzieci i żony, braci i siostry. Arabaje zdrajcy, im ufać nie należy. Naszych mordują pod osłoną nocy, cichaczem podrzynają gardła i wypruwają wątroby.

–Też gardzę Arabajami, tymi tchórzami i mięczakami i nie pojmuję, czemu atabeg ciągnie ich za sobą. To seldżucka sprawa zdobycie Antiochii. Ale, trzeba oddać im sprawiedliwość, to nie Arabaje rzną naszych po nocy. To bestia! Turan ją widział. Widział bestię! Mówił, że jest na dziesięć stóp wysoka, ma pięć głów i skrzydła jak iblis z piekieł. Jej czerwona skóra...

Zamilkł.

Ze zdziwieniem patrzył na strzałę, która znienacka trafiła Süleymana w sam czubek głowy. Jego kompan nawet nie jęknął. Siedział jak i wprzód, tylko oczy zachodziły mu mgłą.

Zaraz obok spadła następna strzała. A za nią trzecia, piąta, cały rój. Nasir spojrział w kierunku Antiochii. Pierwsze, co zobaczył, to tłum ludzkich szkieletów wylewający się ze wschodniej bramy miasta. Za

pierwszym szeregiem, osłoniętym tarczami, zbrojnym w miecze i włócznie, szli łucznicy, równo szyjąc między seldżuckie namioty.

Drugie, co spostrzegł, to wychudzonego imama w porwanej szacie niesionego na ramionach żołnierzy. Musiał to być imam czy jak tam ich zwali w mowie Rumów, bo dał się jak opętany:

–Oto Bóg miłosierny dał nam znak! Święta Relikwia, włócznia, która przebiła bok Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, dała nam siłę i odwagę. Z nią, niesieni wiarą i słusznym pragnieniem zemsty, pobijemy mahmuckich apostatów czczących fałszywą księgę przyniesioną na rogach białego byka. Pan Nasz dał nam znak, dał nam do ręki cudowną broń. Z nią zadamy ból, ogień i krew! Bóg przemówił do mnie! Sam Pan Bóg do mnie rzekł tymi słowy: Znajdź Relikwię, znajdź ją w katedrze, a zwycięstwo będzie twoje i chwała będzie twoja, a złote miasto Antiochia ocaleje. I oto niosę przed wami Świętą Włócznię, i oto idziemy walczyć na chwałę Bożą i po zwycięstwo Chrystusa!

Tym słowom towarzyszył triumfalny ryk i bicie mieczy o tarcze. Rumowie szli, jakby niosła ich anielska siła, jakby rzeczywiście Bóg dał im moc.

Trzecią i ostatnią rzeczą, jaką dostrzegł oniemiały Nasir, był grot strzały zbliżający się do jego szeroko rozdziawionych ust. Nim zdążył je zamknąć, pocisk przebił mu szyję.

* * *

Zaskoczenie zrobiło swoje. Turcy, których namioty stały najbliżej murów miasta, z niedowierzaniem patrzyli na sunącą w ich stronę armię wymizerowanych Rumów. Ci, którzy swe schronienie mieli dalej, pierwiej nie baczyli nawet na dobiegające ich hałasy. Mogło to

być wszystko, ale przecie nie atak umierających w Antiochii poddanych basileusa.

Prawda dotarła do nich wraz z okrzykami paniki i wyciem mordowanych. W obozie zapanował chaos, Seldżycy przekrzykiwali się z Arabajami, wodzowie wydawali sprzeczne rozkazy. Nikt się nie bronił, a jeżeli już, to bezładnie, bez zbroi, bez koni, idąc na samobójcze zatracenie w sam środek zawieruchy. Ten czy ów ciał celnie, raniąc wroga, jednak natychmiast padał rozsieczony ostrzami rozmodlonych szkieletów.

–Bóg z nami! Bić ich, kurwichsynów Turczynów! – ryczeli ogarnięci narastającym szaleństwem chrześcijańscy wojownicy.

–Morduj! Zabij! Rznij! Chrystus Panem! Chrystus pokazał nam drogę!

Pierwsze szeregi uzbrojone w miecze weszły między namioty, podkładając pod nie ogień. Łucznicy nie przerywali ostrzału – szyli równo w głąb obozowiska, aż strzał im zbrakło. Wtedy porzucili łuki i dołączyli do rzezi, chwytając za szable, machairy, czekany, toporki i co tam kto miał, czym potrafił zadać śmierć.

W awangardzie atakujących ciężko człapał Nicetas Wielka Pięść. W garści dzierżył ogromny dwuostrzowy perski czekan ze złotymi kutasikami dyndającymi pośrodku długiego stylistka. Nie była to broń dobra do kotłowania w bitewnym tłumie, jednak drab wywijał nią, jakby trzymał w łapie lekką szablę. Spłoszeni Turcy uciekali już na sam widok jego zaciętej gęby i błyskających śmiercią ostrzy. Szerokie zamachy Nicetasa padały więc w próżnię, jeżeli nie liczyć namiotów, wozów i drzew. Wszystko inne, co żywe i miało nogi, uciekało. Tu jednak z pomocą szli Żmudzini – Wit Wodnik wywijał mieczem niczym oliwną gałązką, lekko i figlarnie jak dzieciak. Rękawy nałożonej pod kolczugę siermiężnej tuniki z płótna nasiąkły krwią zarzynanych Seldżuków. Po prawicy Nicetasa szedł Waldemar Jałmużnik. Ten dla odmiany uzbroił się w niewielką maczugę o główicy z dwunastoma guzami. Walił nią z namysłem, oszczędnie, ale co grzmotnął, to trup.

–Za moje grające kiszki! – mówił zabijanym. – Za to, cośmy tam tkwili za murami! Chrystus dał znak: wysiec Seldżuków! Ciąć i nie pytać!

Nieco dalej w cichości sunął Muhammad. Milczący Saracen uzbrojony w dwie zakrzywione szable ciął szybkimi jak wałka ruchami, odkrawając dłonie z uniesionymi mieczami, ramiona, uszy, nosy, a zdarzało się, że i całe głowy.

Krew, wycie mordowanych, kotłowanina. Tak było.

Jednak gdy dzielni obrońcy Antiochii doszli do drugiej linii tureckich namiotów, stracili swą najmocniejszą broń – zaskoczenie. Została im tylko wiara i nagie ostrza.

Seldżycy zaczęli zbierać się do kupy.

–Na koń! Na koń i jazda na skrzydła! Ostawić obóz w tyle – jał wydawać rozkazy atabeg Mas’ud.

Jego nawoływania przyniosły pewien skutek. Ci, którzy stali najbliżej, wskoczyli na grzbiety wierzchowców i unikając walki, ruszyli do manewru. Wódz dołączył do nich, mknąc na małym, ale rączym gniadoszu.

–Na skrzydła! Opuścić obóz!

Atabeg wiedział, co robi. Nie było już sensu bronić namiotów – podpalanych, sieczonych, zalanych krwią dzieci Allaha. Tu chciwość i żądza łupów, z jakiej słynęli barbarzyńcy z Zachodu, musiała zrobić swoje.

Niech wejdą i zajmą swą uwagę plądrowaniem – myślał. – Niech przetrząsają zgliszcza w poszukiwaniu złota, cennych kamieni i pulad, ostrzy ze stali, jakiej nigdy nie nauczą się kuć. Gdy już do reszty poświęcą się grabieży, my wejdziemy na powrót, uderzając w sam środek ich hordy.

Rumowie szli do przodu ze śpiewem, modlitwą i radosnym wyciem,

nie myśląc jednak o rabunku. Parli w ślad za Turkami. Doborowe wojska Aleksego Komnena, normańscy najemnicy Roussela de Bailleul i pospolita czerń z portów Konstantynopola i przedmieść Cezarei – oddział łotrów-straceńców. Maszerowali ramię w ramię niesieni natchnionymi słowy Tryfona Szachisty:

–Rzekł wtedy Pan: A kto we mnie uwierzy, kto usłucha mych słów, nie mając w sercu zwątpienia, zwycięży i do niego należeć będzie królestwo moje. Święta Włócznia jest mym znakiem, znakiem triumfu tych, co wierzą, i znakiem śmierci dla zaprzańców, którzy wyparli się jedynej wiary. Tak Pan Nasz mówił i wskazał, jak pobić Turka! Aniołowie są z nami! Czy słyszycie ten szum? To skrzydła aniołów, które prowadzą nas w bój. Dalej! Dalej, krwi!

Tylko jedna hekatontarchia przerwała swój marsz, odbijając w prawo. Na jej czele szedł Kalikst Belzebub.

–Tam! – wskazał czubkiem miecza. – I tam dalej, za drzewami. Konie! Mus nam połapać te, których jeszcze Seldżuki nie zajmowały. Albo nie padły od zawieruchy. Nuże, hultaje!

Dopadli pierwszej zagrody – tu stłoczone były na oko ze dwie dziesiątki wierzchowców z kwikiem depczących po trupach zwierząt padłych od strzał.

–Brać je i do miasta! I zaprzęgać wozy! A reszta za mną! Do drugiej zagrody!

Nim główne siły doszły do końca obozu, w stronę Antiochii gnało już pięć dziesiątek jeźdźców.

–Małe te konie – krzyknął Piąchulec wczepiony palcami w grzywę.
– Do wozów się nie zdadzą. One do wierzchu, nie do zaprzęgu.

–Małe konie, ale silne – odparł Belzebub. – Nie do zaprzęgu, ale my je i tak zaprzęgniemy. Jak będzie trzeba, to po trzy.

–Bredzenie – mruknął Tyberiusz. – Połamią kulasy, ledwo z miasta wyjadą.

Kalikst udał, że nie słyszy. Nie zamierzał teraz strzępić języka po próżnicy i z przegranym nieudacznikiem Piąchulcem wdawać się w głupie gadki.

–Zaprzęgać! – krzyknął tylko, gdy wpadli za mury miasta.

W tym czasie obrońcy miasta prowadzeni przez święte nawoływanie Tryfona Szachisty wyszli spomiędzy płonących namiotów i nie zamierzali się zatrzymywać. Zacięte, wychudzone twarze pokryte brudem i krwią, dzikie błyski w oczach, postawione na sztorc ostrza – nie, tych wojów nie skusiło plądrowanie. Szli, bo wołał ich Bóg. Szli, by zabić ostatniego Seldżuka i zatknąć jego głowę na tyczce białej przed główną bramą Antiochii.

Widać Seldżycy zrozumieli w czym rzecz, bo rzucili się do bezładnej ucieczki. Ci, którzy umykali chyżo, uszli z życiem. Przemknęli dalej na wschód, w stronę Aleppo. Ci opieszali, którym roło się w głowach bohaterstwo i dzielna walka, szybko postradali żywota, a ich odcięte łby tonęły w błocie.

* * *

W pobliskim lasku w cieniu niewysokich drzewek cyprysowych siedział Purrhos. Demon mlaskał z ukontentowaniem, bo nim nadeszli ludzie z miasta, posilił się wątrobami trzech strażników, którym nieopatrznie przyszło do głów przetrząsać okolice obozu.

Czerwona bestia przyczajona syciła wzrok obrazami śmierci, rzezią i krwią wsiąkającą w bagno. Znać było, że nadchodzą lepsze dni.

* * *

–Jazda, brać te konie! Zaprzęgamy!

Kalikst wskoczył na pierwszy rydwan. Zwycięstwo pod murami Antiochii było zbyt łatwe. Wręcz nierealne. Po prostu wylegli z miasta ze śpiewem i modlitwą na ustach i rozbili w puch obozowisko dzikusów ze stepów. Jakby ćwiczyli manewry, jakby to była zabawa i podchody, a nie prawdziwa wojaczka. Owszem, krew się lała, odrąbywane członki leciały na boki, ale w tym nie było prawdziwego ognia walki.

Prawdziwy ogień walki był tylko, gdy na pole wyjeżdżały rydwany z igró pyr.

–Zaprzęgać konie i jedziemy w drugą stronę. Przez miasto, Bramą Świętego Jerzego i do portu. Musimy odzyskać Saint-Simeon!

I tu miał rację. W zniszczonym obozie Seldżuków było jadło, nowa broń, trochę kosztowności, jednak nikt nie wiedział, jakie siły wroga czyhają na syryjskiej ziemi. W głębi kraju, na wschodzie niechybnie przetaczały się po stokroć większe hordy Turczynów. Port był gwarancją, że do Antiochii wkrótce dotrą posiłki. A w razie niepowodzenia pozwalał szybko uciec z tej niegościnnej ziemi.

–Ruszamy! – zakomenderował Belzebub, gdy już drugi rydwan został zaprzężony do zdobycznych koni. Trochę miał racji Piąchulec: koniki były nikczemne. Co z tego, że silne? Silne, gdy wiozły na sobie Seldżuków, ale przy wozach bojowych...

Jednak dały radę. Kalikst, pohukując na zwierzęta, okładając je batem, skierował rydwany przez środek miasta do zachodniej bramy. Za nim z turkotem potoczyły się następne wozy.

–Ogień! Śmierć! Kara Boska! – krzyczał w uniesieniu Charyton

Scholar. Mistrz igró pyr zadbał o to, by na rydwanach znalazły się syfony pełne najwyższej jakości mieszanki ognistej.

Minęli z łomotem Bramę Świętego Jerzego i wypadli na trakt wiodący do portu. Nie była to najkrótsza droga – szybciej dotarliby do celu przez ufortyfikowany most w północnej części miasta. Tamtejszy szlak prowadził bezpośrednio do Saint-Simeon. A tak musieli jechać po nierównych wertepach i zboczach, nim dotarli do nieco szerszego traktu dochodzącego do mostu.

Głupi jest – myślał z mściwą satysfakcją Tyberiusz Piąchulec. – Bo po co tak, skoro tamtędy lepiej? Mostu przy porcie na pewno lepiej pilnują niż traktu. Nie przejdzie go tak łatwo. Toż łatwiej przelecieć po prostej drodze do celu.

Belzebub jednak dobrze wiedział, w czym rzecz. Nim zdobyli miasto, poznał okolicę i drogi dojazdowe. Na głównym szlaku było zbyt wiele miejsc wymarzonych na zasadzkę. Tam na pewno czekali Seldźcy, na otwartym polu, gotowi by uderzyć szeroką ławą, spychając rydwany do bagien. Po tej stronie mostu nikt się nie spodziewał ataku.

Wozy z chrzęstem toczyły się po kamienistej drodze, poganiane konie cicho parskaly, wypuszczając spod chrap białe obłoczki. Było zimno.

–Lipaj, na moście pusto! Nie może to być! – rzekł Nicetas, gdy dojeżdżali do przeprawy przez rzekę.

A jednak tak było. Rydwany przeleciały z turkotem na drugi brzeg. Naprzeciwko mieli już tylko Saint-Simeon.

–Co to znaczy? – mruknął Kalikst do Wielkiej Pięści. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie odpuściłby takiego miejsca.

Powiedział to w złym momencie. Gdy oddział dojeżdżał do kolejnego zakrętu drogi, pomiędzy pobliskich wzgórz wyjechała seldżucka konnica.

–Gamoto! – zaklął Belzebub.

Teraz zrozumiał: to było jeszcze lepsze miejsce na zasadzkę niż most. Z lewej strony mieli rzekę, z prawej – łagodne stoki gór Amanos porośnięte karłowatymi drzewkami. Niewielkie cyprysy pozwalały skryć się zaczajonym jeźdźcom, jednak nie stanowiły przeszkody podczas ataku.

–Alla! Alla! Alla! – wyli Turcy, gnając z góry prosto na rydwany Rhomaioi. Z nieba posypał się rój strzał. Stalowe groty zabębniły na burtach wozów. Z miejsca padło kilka koni, kilku ludzi jęczało, umierając. Łucznicy mierzyli celnie.

–Stać! Z wozów! Kryć się! – komenderował Kalikst, jednak nikt nie baczył na jego słowa. Woźnice wpadli w panikę, każdy parł w swoją stronę, z rykiem popędzając konie. Jedni chcieli jechać dalej, by jak najszybciej przemknąć przez zasadzkę. Inni uznali, że lepiej zawrócić. Później było jeszcze gorzej. Dwa wozy zderzyły się pośrodku drogi, syfony z igró pyr bryznęły ogniem, sprowadzając na ziemię istne piekło. Płonąca maź chlusnęła na konie, zamieniając je w żywe pochodnie. W bitewnym pośpiechu nikt nie pomyślał, by przykryć zwierzęta kolczugami osłoniętymi warstwą mokrej skóry bydlęcej, jak zwykło się to czynić. Zdobywcze wierzchowce kilkoma szarpnięciami wyzwoliły się z uprzęży i z przejmującym wizgiem i rżeniem pognały na wszystkie strony świata, traktując ludzi i wozy.

Grecki ogień spadł też na ludzi, ci jednak zawczasu osłonili ramiona i głowy skórzanymi płaszczami z kapturami. Wystarczył jeden ruch, by pozbyć się płonącej kapoty, palącej jak Herkulesowa koszula.

I cóż z tego, skoro zaraz spadły na nich strzały tureckich łuczników?! Dwóch dokończyło żywota na miejscu, dwóch innych, lekko rannych, kryło się pod szczątkami wozów. Reszta próbowała uciekać, lecz niewiele to dało. Seldżucka jazda wpadła na drogę, siekąc szablami wszystko, co się ruszało.

Kalikst ogarnął wzrokiem okolicę. Nie było szans, by przeć dalej, a dzicy wojownicy ze stepów zdawali się zlatywać ze wzgórze niczym lawina.

–Na most! Wracamy na most! – zakrzyknął.

To było jedyne miejsce, gdzie mogli jeszcze stawić opór. Zresztą bez rozkazu Belzebuba ci, co przeżyli i utrzymali swoje rydwany w ruchu, gnali właśnie w tamtą stronę. Dwa wozy potoczyły się drogą prosto do Antiochii, jednak reszta skręciła na prawo. Ci co przejechali za rzekę, jęli ustawiać zaporę z wozów, szczepiając ich tyły. Lufy syfonów z igró pyr łypały złowrogo, czekając na turecki atak.

Nie wszystko więc było stracone. Kalikst kazał Nicetasowi dobić do reszty. Dryblas poganiał konie, kuląc się pod grotami strzał bębniącymi po deskach wozu.

Za nimi gnała dzika horda jeźdźców. I... Belzebub nie dowierzał własnym oczom – z tyłu toczył się też wóz Piąchulca. Co on tam robił?

–Wy tam! Szybciej – wrzasnął do niego. – Turki! Turki za wami! Na most.

Rydwan Tyberiusza przyspieszył i wkrótce znalazł się tuż za ich plecami. Jeszcze chwila i bezlitośnie chłostane batem konie wyciągnęły wóz dawnego hekatontarchosa w przód, zjeżdżając przy tym na skraj drogi. Obydwa zaprzęgi zrównały się.

–He, he... – zarechotał Nicetas. – Tym nie potrzeba zachęty! Rwą do tyłu, że im konie zaraz padną!

–Niech rwą. Przepuść ich! Niech jadą pierwsi – zakomenderował Belzebub i krzyknął do Tyberiusza: – Jazda przodem! Na most! I blokujcie jak tamci! Tylko dla nas przejazd!

Piáchulec kiwnął głową, zaraz jednak Kalikst dojrzał coś niepokojącego. Na twarzy starego żołnierza wykwił chytry uśmieszek, w ręku pojawił się łuk. Z grotem strzały skierowanym w ich stronę.

–Co jest?! Co...?!

Gdyby nie pęd rydwanów i podskakujące koła, pocisk byłby celny – tak musnął tylko turban Muhammada. Ten zareagował błyskawicznie – wyszarpnął łuk z pokrowca, chwycił strzałę, nałożył na cięciwę...

Nie zdążył jej wypuścić.

Włócznia ciśnięta przez kompana Tyberiusza zwanego Hyginem Chytrusem przebiła mu pierś i wyrzuciła za burtę wozu. Muhammad nawet nie jęknął, z ciężkim łomotem spadł na pobocze drogi. Zaraz przykrył go kurz wyrzucany spod kół.

–Zabił! Zabił go! – jęknął Kalikst.

W tej samej chwili następna włócznia poleciała w jego stronę. Uskoczył w bok, ale i tak ciężki grot rozorał mu pierś, po czym wszedł głęboko w udo.

Belzebub zawył z bólu.

–Ty kurwi pomocie! Co ty myślałeś?! – krzyknął Piąchulec. – Że będziesz hekatontarchosem? Że będziesz rządził mną ty, byle łachmyta, syn kurwy i złodzieja? Że będziesz mnie miał na rozkazy? Mnie, starego wojaka?! To już koniec, rozumiesz?!

Trzeciej włóczni już nie mieli, toteż Hygin złapał za łuk i starannie wymierzył. Wypuścił strzałę. Kalikstem wstrząsnęło silne uderzenie w ramię, pociekła ciepła krew. Nie czuł już bólu.

Nicetas też oberwał. Dostał w plecy i w lewe ramię. Mimo to wciąż poganiał konia, kierując rydwan w stronę mostu.

–Ha! Haa! Jazdaaaa!

Obejrzał się na chwilę. Turcy w wyciem pędzili dwadzieścia kroków za nimi.

Tyberiusz uniósł koniec syfonu i skierował go na Kaliksta.

–Płoń, kurwi bękaracie! Zdychaj, szumowino!

To mówiąc, wypuścił z lufy strumień płonącej lawy, kierując rurę w przód, tak by pęd powietrza zepchnął igró pyr na głowę Belzebuba. Dobrze wymierzył. Rozpalona smuga galaretowatej substancji ze skwerczeniem zamieniła rydwan w pojazd samego diabła. Płonęły konie. Płonął wóz. Płonęli Nicetas i Kalikst.

–Ha, ha, ha! – zarżał dziko Piąchulec. – Pozdrów w piekle Belzebuba, Belzebubie!

–Do... rzeki... Nicetas! Kieruj do wody... – wyjąkał Kalikst. Gdy to mówił, poczuł jeszcze uderzenie stalowego grotu. Dostał w brzuch. Kolczuga pękła, jednak wstrzymała uderzenie. Ostrze weszło w ciało na trzy palce. Resztką sił wycharczał: – Do wody, ratuj nas...

Wielka Pięść już wcześniej zamierzał tak zrobić, nie miał jednak gdzie zjechać. Wzdłuż drogi rosły poskręcane cyprysy, pełno było dziur i skał. Wreszcie dojrzał prześwit. Szarpnął wodze, obracając zaprzęg na prawo. Płonący rydwan wpadł w pas wysuszonych krzaków. Gałęzie natychmiast zajęły się ogniem, odgradzając wóz od goniących ich Turków.

Od rzeki dzieliło ich pięćdziesiąt kroków kamienistej, porośniętej trawą ziemi. Gdyby przemknęli ten niewielki odcinek... Niestety, jedno z płonących zwierząt nie strzymało. Padło jak ścięte, waląc się z rumorem pod koła wozu. Nadpalona uprząż pękła, uwalniając drugiego z koni, a trzeci zahaczył kopytami o koła i dzikim kwikiem runął pod wóz.

Wtedy wybuchł syfon z igró pyr, który dotąd jakimś cudem wytrzymał gorąco.

Kalikst poczuł, jak liże go wielki jęzor wrzącej lawy, jak zdziera z niego skórzany płaszcz i resztki pękniętej kolczugi, jak pali mu włosy i skórę, a potem...

* * *

–Panie, twój zabójca, zabójca z przyszłości, nie żyje! Nic ci już nie grozi!

Roman IV Diogenes sieknął mieczem, odrabując łeb kukle. Słomiany wiecheć osadzony na drągu i uformowany na kształt ludzkiej głowy poleciał pięć kroków w tył i opadł z cichym pacnięciem. Basileus zadał jeszcze kilka pozorowanych ciosów, wreszcie wbił ostrze w ziemię i obrócił się do Italosa.

–Doprawdy, filozofie? Masz pewność?

–Władco mój! Gdyby było inaczej, nie zawracałbym ci głowy. Nocny skrytobójca, którego widziałeś w wizji, którego ja widziałem w wizji, smaży się w piekle, a diabli każdego ranka, w południe i po zmroku wbijają mu rozpalony puginał w serce jako karę za grzechy. Za te, które ma na sumieniu i za te, które chciał popełnić.

–Dopiero teraz? Tyle dni musiało przeminąć? Tyle czekania, by ta twoja gadzina zabiła chłystka w czarnym stroju? No, ale lepiej późno niż wcale. To miejsce doprowadza mnie do szału. Zobacz, filozofie, co robi z nudów autokrator, basileus Rhomaión, pogromca Seldżuków. Wali ćwiczebnym mieczem w drewnianą kukłę jak pierwszy lepszy rekrut, który nie poznał jeszcze smaku krwi. Więc powiadasz: martwy?

–Tak, panie! Basiliskos zrobił swoje. Tak jak zapowiadałem. Przed tą bestią nikt nie może ująć z życiem.

Prawdę mówiąc, Jan Italos nie miał bladego pojęcia, jakie były losy skrytobójcy i czy chodził po ziemi, czy też w rzeczy samej dokonał nędznego żywota. Nie miał pojęcia, jednak nie mógł już dłużej tego

ciągnąć. Italosie, czyżby twój potwór zgubił drogę? Nie wie, którądy do Antiochii? – Panie, trzeba okazać cierpliwość. Cesarz węży połknie łośrzyka niczym kurczaka na śniadanie. – Italosie, zaczynam nabierać podejrzeń, że kpisz ze mnie i wykorzystujesz mój szacunek dla ludzi nauki. Mam wrażenie, że twoja magia jest warta tyle co sierść wyliniałej kozy. – Panie, mylisz się i wyciągasz pochopne wnioski. Jeszcze kilka dni i spostrzeżesz, że miał rację. Bestia rozszarpie twoich wrogów. Ciągłe te same pytania i te same odpowiedzi – gdyby nie były coraz bardziej niebezpieczne dla reputacji i życia Konsula Filozofów, to zanudziłyby go na śmierć.

Codziennie mędrzec ze wstydem spuszczał wzrok coraz niżej. Władca patrzył nań z politowaniem, uśmiechał się dobrotliwie, z lekką kpina, jednak Italos czuł, że narasta w nim gniew, buzuje niczym lawa w trzewiach wulkanu i przyjdzie dzień, że eksploduje. Uczony czuł, że igra z ogniem, że stoi na skraju przepaści.

Dlatego też tego dnia postanowił przedstawić Diogenesowi dobrą nowinę. Mierzwiąc brodę, bezwiednie zasłaniał usta.

–Widziałem panie, widziałem, jak to było, a prawdę ukazał mi niebieski płomień. Opryszek ostrzył właśnie swój skrytobójczy nóż i polerował jego powierzchnię, patrząc na blask promieni słońca wędrujący po metalu. Basiliskos najpierw oderwał mu zdradzieckie ramię, to, którym miał zadać cios w twe serce. Później przygwoździł go swoim paraliżującym spojrzeniem, a gdy skrytobójca zeszytniał, bestia oderwała mu kłami drugie ramię, rozorała pazurami flaki, a na koniec jednym kłapnięciem paszczy zmiażdżyła głowę. Widziałem to, panie, i zapewniam, że z mordercy została jeno miazga. Nigdy już ci nie zagrozi.

Basileus rzekł tylko:

–To dobrze. To dobrze, mój filozofie.

Co tam, nie widziałem tego, ale inaczej być nie mogło – rozmyślał gorączkowo Italos. – Człek z nożem, nawet najsprytniejszy opryszek, nie ma takiej mocy, by ubić cesarza węży. A że nie było wizji? A że nie wróciła bestia? Cóż, to w końcu dzikie stworzenie,

któż wie, gdzie teraz się czai. Pewnie rozszarpuje wszystkich skrytobójców, jacy trafiają się po drodze.

–Dobre są też wieści z Antiochii – powiedział władca. – Miasto obronione, oblężenie rozbite, port odzyskany. Co prawda moi pozostali wrogowie cudem uszli z tego z życiem, Komnen i ten normański najemnik. Ale nic to! Gdy dotrzemy do Antiochii, wydam im rozkaz, by szli dalej. Zdobywali następne miasta: Aleppo, Laodyceę... Aż wyplenimy seldżucką zarazę z Syrii i z Ziemi Świętej. I tak długo, aż oddadzą życie Bogu, walcząc za sprawę cesarstwa.

–Czy to znaczy, że wyruszamy?

–Dość już tkwienia tutaj, Italosie. Wojsko i lud przestanie mnie szanować, jeżeli osobiście nie zdobędę Syrii. A brak szacunku rodzi spiskowców i skrytobójców. Czas pokazać, kto tu jest panem.

Rozdział 11

A potem otworzyło się przed nim piekło. Piekło było mokre i zimne, piekło było rzeką przetaczającą wody w mroczną otchłań. Piekło miało smak zakrzepłej krwi, spalonej skóry, czarnego piasku, żalu, bólu, rozpacz.

Rozwarł szerzej oczy i usłyszał ten dźwięk. Ohydne mlaskanie i chrzęst łamanych kości. Nie chciał wiedzieć kto, a może co to było. Czym mlaskało, czyje kości łamało. Nie chciał tego widzieć, jednak duszny smród, który przemocą wdarł się do jego piersi, dźgnął zardzewiałą szpilą w mózg i nakazał podnieść oczy.

Znał ten fetor. Znał ten obmierzły zapach rybich trupów.

Znał czerwoną, kostropatą skórę bestii. Purrhos. Dwugłowy demon rwał na strzępy ludzkiego trupa. Z trzaskiem łamał żebra i miednicę, próbując niezgrabnymi łapami dostać się do wątroby.

Kalikst nie chciał dłużej czekać. O czymkolwiek roiała bestia, jakiegokolwiek miała zamiary, nie chciał jej dłużej widzieć, słyszeć i

czuć. Odepchnął się od mokrego piasku, pozwalając, by porwał go czarny nurt rzeki.

* * *

Gdy się ocknął, był już ranek. Leżał z twarzą wtuloną w piersi kobiety. Zielonej od wielodniowego dryfowania w wodzie, bez oczu, włosów i jednej ręki. Jej pierś też nie była właściwie piersią, lecz gnijącą nabrzmiąłą purchawką. Trup cuchnął nie gorzej niż Purrhos.

Belzebub szarpnął się z obrzydzenia, zaraz jednak sparaliżował go ból ledwie zasklepionych, a teraz znów otwartych ran. Wcześniej ich nie czuł, teraz odezwały się z podwójnym, poczwórnym pulsowaniem. Na udzie, ramieniu, brzuchu. Na całym ciele, spalonym jak mięso, które zbyt długo leżało na ruszcie. Poczul łomotanie w czaszce, na szczęście zemdłał, nim rozsadziło mu głowę.

Woda zniosła go bezwładnego na następną łachę. Tam również leżały trupy, jednako świeższe i mniej cuchnące, okryte kolczugami, oblepione błotem.

* * *

–A że czego?

–Ten to nie trup! Dycha jeszcze.

–Nie może to być. Patrzże no, toż on cały posiekany, truchło znaczy.

–Ale dycha!

–To, rozumisz, trupie gazy. Robacy, co gryzą trupa, jak się nażrą, to pierdzą. Zupełnie jak człek po misce bobu. Pierdzą i tam, gdzie wyżrą trupa, to się te ich gazy zbierają. Jak ruszysz takiego, to puf! Pierdy robaków ruszają truchłem, ale to nie znaczy, że on dycha.

–No ta! Kiedy ci mówię, głupoto. Nie gazy, tylko rusza gębą i powietrze wciąga, i wydmuchuje. Jak żywy. No sam popatrz!

–A dajże mi spokój! Co będę jakimś strupieszalym Saracenom na ryło się gapił? Dorżnij go!

–Ale to nie Saracen. To tak jakby cesarski.

–Znaczy z armii basileusa? Czekażże, no! Zara popatrzę na niego, tylko... temu tutaj... echh... ma dobrą szablę, Turczyn plugawy... echh... nie mogę, za sztywny, psi syn!

–Czekaj, pomogę. Nie tak trza! Prościej pierw odrąbać rękę. Znaczy samą dłoń. O tak. Jeb! I już.

–Ale żeś zrobił, durnoto! To tera jeszcze trudniej ściagnąć, bo nie ma za co ułapić. Co ja mam tera, zębami mu te paluchy oderwać?!

–Walnij w nie! Mocniej! No jeszcze! No i widzisz... Taka graba to same kości i skóra, to nie ma co trzymać.

–No, ale szablisko jak się patrzy! Saraceny ładnie potrafią wykuć ostrze. Zobacz, jaka brzytewka!

–Temu coś nie pomogła, psiemu synu.

–Bo to trzeba jeszcze bić się umić. Samo ostrze nie starczy.

–A z tym cesarskim co robim? W łeb czy jak?

–Weźmy go do wielbego Zachariasza. On uradzi.

* * *

Wielebny Zachariasz wznosił dłonie do nieba. Na jego twarzy pojawił się wyraz nieopisanego szczęścia.

–Bóg wysłuchał naszych modlitw! Bóg chce, abyśmy szli dalej i krzewili prawdziwą wiarę jako prawdziwi synowie Jezusa Chrystusa, Pana Naszego! Mamy nowego Strategosa Boga!

–Strategos... Strategos... – rozległy się szepty.

Zakapturzone postaci – w dziurawych kolczugach, w pikowanych kubrakach, za dużych zbrojach, w łachach niedobrych, pewnie skradzionych lub zwleczonych z trupów – z nadzieją i niepokojem patrzyły na poranionego wojaka znalezionego na łasze pośrodku rzeki Orontes.

–Była przepowiednia – ciągnął Zachariasz. – Gdy wody przybiorę barwę krwi, gdy zapłonie miasto, gdy staną naprzeciw siebie wielcy królowie, gdy ptacy będą żywić się oczyma trupów leżących w lasach i na polach, gdy szczęk krzyżowanych ostrzy będzie niósł się po górach i dolinach, wtedy nadejdzie Strategos. Znakiem jego będą żywioły. Ogień! Woda! Ziemia! Powietrze! Powiadam! Oto zjawił się Strategos Boga, który poprowadzi nas ku chwale!

Jeden z zebranych, czarniawy brodacz w pikowanym kaftanie, spod którego wystawała brudna, postrzępiona tunika, nie krył swojego niedowierzania. Oparł się na drzewcu maczugi i burknął:

–Znaczy gdzie te żywioły? Jaśniej praw, Zachariasz, bo od tych proroctw we łbie się miesza.

–Żywioły! Cztery żywioły są i one znakiem Strategosa Boga!

Zarośnięty niedowiarek, a zwał się on Walentyn Kudłacz, sapnął ze zniecierpliwieniem:

–Ja tam żadnych żywiołów tu nie widzę. Gdzie one, pokażże!

Wielebny rzucił nań niechętnie spojrzenie przekrwionych ze zmęczenia oczu. Opuścił ramiona i roztrącając zebranych, podszedł do leżącego.

–Ogień! Skórę ma poparzoną, kubrak spalony, włosy spalone. Oto znak żywiołu ognia! Woda! Znaleziony został w wodzie, w rzece Orontes. Widać, że żywioł wody powstrzymał go przed śmiercią od żywiołu ognia! Patrzaj: ziemia! Woda zabrałaby go, ale znaleziony został na łasze, na ziemi pośród nurtu rzeki. Znać na nim ślady błota. To ziemia, która walczyła z żywiołem wody. I powietrze.

Zapadła cisza. Zachariasz uniósł twarz i potoczył triumfującym wzrokiem po zebranych. Jednak Kudłacz dalej sarkał:

–No co z tym powietrzem? Tu się twoja wyliczanka nie trzyma kupy, wielebny!

–Wiatr! Nie czujesz, jak wieje? Nie czujesz powietrza, które przewraca drzewa i wznieca na wodzie fale wysokie na pięć stóp? Od miesiąca powietrze stało, nawet tam, hen na morzu. W dniu, gdy znaleźliśmy Strategosa Boga, żywioł obudził się. Wzburzył rzekę, czyniąc fale i spychając jego nieprzytomne ciało na ziemię. Oto czwarty znak!

Rzeczywiście, od rana duł wicher, zupełnie inaczej niż w ostatnich dniach. Jednak niedowierzanie Walentyna udzieliło się też innym.

–Ano wieje, ale żywiołu ziemi nie pokonał. Wieje, ale czy bardziej niż każdego dnia? – gadali.

–Wodę pokonał.

–Wodę pokonała ziemia. Powietrze winno w takim razie teraz pokonać ziemię.

Wielebny Zachariasz uciął tę czczą gadaninę:

–Nie zawsze żywioły są przeciw sobie. Nieraz bywa, że wespół idą. Ogień nic by nie znaczył, gdyby nie wiatr rozdmuchujący płomień. Woda z ziemią, czyli bagno, uśmierci nawet najsilniejszego konia, wciągając go w głębie mułu. Temu sama woda ani sama ziemia, by podołała. Innym razem ogień, powietrze i ziemia idą razem na rozpalonej do żaru pustyni, gdy karawanę zabija burza piaskowa. Zatem powiadam: wszystkie cztery żywioły, jako głosi proroctwo, zwiastują nadejście nowego Strategosa Boga! Ja, Zachariasz Wielki, wielebny zakonu Braci Krzyżowych, potwierdzam i daję świadectwo! Nasza krucjata przeciwko Allaszej herezji podąża z Bożą pomocą do ostatecznego zwycięstwa.

* * *

Czuł się jak... Nie, to trudno opisać prostymi porównaniami. Daleki był od stanu błogości, ale też nie cierpiał tak, jak powinien człek ranion w trzech miejscach, w tym raz masywnym ostrzem włóczni. Na plecach, brzuchu, udzie i na ramieniu – tam gdzie dostał, czuł delikatne swędzenie, jakby muskanie trawki lub dotyk skrzydeł motyla. Jego ciało wolne było od bólu, jednako obrażenia, jakie odniósł podczas walki, w dwójnasób paliły mu duszę, a przynajmniej to, co z niej zostało.

–Wody?

Uniósł lekko głowę. Ramię otulał mu opatrunek z białej szmaty, długi zawój ciągnący się od łokcia aż po pachy. Taki sam dostrzegł na udzie, na brzuchu... Na piersiach i na plecach. Był okręcony materia jak umarły przed złożeniem do grobu.

–Strategosie, chcesz wody?

To było jego ciało, ale nijak nie pasowało do duszy. Dusza umierała. Dusza cierpiała. Cierpiała od ran, wstydu i poniżenia. Cierpiała od zdrady. Płoń, kurwi bękaracie! Zdychaj, szumowino! – słowa Piąchulca huczały mu w głowie niby dźwięk dzwonu w katedrze.

–Boski Stategosie, oto woda. Zechciej skosztować. Wielebny Zachariasz zalecił, byś pił wodę jak najczęściej.

Belzebub oderwał wzrok od białych zawojów. Przy nim stał mnich chudy jak tyka podtrzymująca winne grona. Odziany w prosty, wyszarzały habit. W ręku dzierżył gliniany kubek.

–Wina bym wolał.

–Nie lza wina. Woda. Wody kazał pić dużo nasz wielebny.

–A tyś kto?

–Jestem brat Rościsław. Z Rusi jestem.

–Gdzie ja? Co to za miejsce?

–W zamku Baghras. Nieopodal Antiochii.

–Wiem. Ale skąd...? Dlaczego?

–Znaleźliśmy cię, Strategosie.

–Że kto? Kto znalazł?

–No nasi ludzie. Naszli cię umierającego na stercie trupów. W

rzece, na wyspie, broczącego krwią. Umierającego. Woda cię tam wyniosła, a ziemia zatrzymała, jak mówiło proroctwo. Wielebny Zachariasz siedm dni wcześniej wizję miał, w której obaczył, że nadejdiesz. Wszystko zgodziło się.

Kalikst opadł ciężko na posłanie. Dopiero teraz dostrzegł kolejny szczegół – spoczywał w szerokiej łożnicy z baldachimem niczym wielmoża, jak sam basileus w przestronnej komnacie ozdobionej na ścianach gobelinami. Podłogę wyścielał dywan w saraceńskie wzory.

–Wody, panie?

–Dajże spokój z tą wodą! Wina przynieś, bo przecie tego nie będę brał do ust. Woda to dla koni. Dla ludzi jest wino.

–Teraz dopiero ja wiżu, że słusznie prawisz, Strategosie. Wino ma przecie w sobie i wodę, bez której zginie każde boskie stworzenie, ma też substancję życiową, spiritus, ma też insze ingrediencje miłe dla człeka, poprawiające jego zdrowie i nastrój. Tak, niezwłocznie doniosę wina.

Gdy wrócił, Belzebub wychylił naraz pół dzbana. Od razu poczuł się lepiej. Ustał ból ran, który czuł w duszy. Ustało swędzenie ran na ciele. Szum w uszach ustąpił, powieki przestały ciążyć jak młyńskie kamienie.

–Dobra, mnichu czy kim ty tam jesteś...

–Zaiste, jestem mnichem. Moje imię to Rościsław.

–Tak, Rościsław. No więc, Rościsław, nawijaj. Co to za chryja? Dlaczego ja tu jestem? Kim jest Zachariasz i dlaczego mówisz do mnie Strategos.

Chudzielec w habicie ożywił się. W jego oczach załśniły ogniki, na twarzy wykwitł rumieniec.

–Jesteśmy zakonem Braci Krzyżowych. Inaczej zwań nas

krzyżowcami. Idziemy do Ziemi Świętej, by zgnieść Allahowe plugastwo, fałszywą religię heretyka Mahometa, dzikiego pastucha ze stepów. Idziemy, by wypalić ich ogniem, wyrżnąć mieczem, a gdy ich krew wsiąknie w ziemię, odbudować Boże Królestwo. Wielebny Zachariasz, gdy tylko posłyszał, że basileus Roman idzie na Seldżuków, padł krzyżem w bazylice Hagia Sophia i siedem dni modlił się do Pana Boga. Na siódmy dzień Pan przysłał swego anioła, a też rzekł: Zbierz ludzi, wszystkich dobrych chrześcijan, biednych i bogatych, niskiego stanu i wysokiego, zawołaj ich i każ iść na bój do Ziemi Świętej. Albowiem nie zazna spokoju w raju nikt, którego strach odwiedzie od szlachetnej walki w imię Jezusa Chrystusa. Jesteśmy ubodzy, skromni i prawi. Nie oddamy Saracenom najmniejszego splachetka ziemi.

–Wielu was? – zapytał Kalikst, z trudem powstrzymując się od śmiechu. Tak, istotnie, ta zbieranina nie odda Seldżukom ani splachetka ziemi. Seldżycy akurat będą ich pytać!

–Z Konstantynopola wyruszyło nas dziesięć tysięcy. Boży lud ze wszystkich zakątków cesarstwa, także z Rusi, z Italii, z ziem Franków, nawet z Germanii. W drodze dołączały do nas dalsze szeregi wiernych. Teraz jest nas dwadzieścia tysięcy.

–To więcej niż ma armia Komnena...

–Rycerze Aleksego Komnena poszli już na Aleppo. My zaś ubiegniem ich i basileusa.

–Basileusa? A gdzie jest basileus, mówże, mnichu!

–Wielki władca z Konstantynopola idzie już przez przełęcz w górach Amanos. Idzie na Antiochię. Zanim nadejdzie, my pójdziemy na Ma'arrat.

Belzebub chciwie pociągnął kilka głębokich łyków wina.

–Dwadzieścia tysięcy... To straszna siła. I gdzie oni teraz?

–W Antiochii, a gdzieżby? Odkąd Komnen odszedł na Aleppo, my

zdobynamy miasto.

–Zdobycie? Jakże to?

–Spójrz, Strategosie. Wyrzyj przez okno.

Z wysiłkiem ruszył się z łoża i przeszedł przez pokój. Nie czuł bólu, jednak wciąż brakowało mu sił. Opadł na parapet. Miasta nie było stąd widać, przysłaniały je okoliczne wzgórza porośnięte cyprysami. Jednak czarny słup dymu idący aż po samo niebo dokładnie wskazywał, gdzie leży Antiochia.

–Zdobycie...

–Pienimy plugastwo. Ogniem wypalamy zarazę heretycką, Allaszą, bijem niewiernych. Tak jak kazał nam Jezus Chrystus, przysyłając swego anioła do wielbnego Zachariasza. A gdy odzyskamy Antiochię, trzeba będzie bronić innych miast przed upadkiem w herezję. A ty, Strategosie, poprowadzisz nas do zwycięstw.

–Ja Strategosem?

–Tak, Strategosem Boga. Jezus Chrystus wskazał cię, byś szedł na czele Braci Krzyżowych, prowadząc krucjatę. Wielbny Zachariasz miał widzenie. Gdy cię znaleźli, kazał cię tu przynieść i opatrzyć. Uzdrowił cię, opatrując ci rany śliną aniołów. Inaczej byś nie wyżył. Pełne siły wrócą ci za dwa, trzy dni.

–Daj no mi jeszcze wina, to zaraz mi wrócą. Strategos Boga, powiadasz...

* * *

Nazajutrz Kalikst poczuł się na tyle dobrze, że nie bacząc na biadolenie Rościsława, kazał sobie przynieść czyste odzienie, broń i osiodłać konia. Mnich zniknął na dłuższą chwilę. Wrócił, niosąc

czarną riasę, skórzany kubrak i zdobny hełm stożkowy z kolczugą na bokach. Wszystko niedobre, jakby zdarte z trzech trupów.

–Tą kleszą szmatę zabieraj! I przynieś mi tunikę. Krótką! I portki jakieś – rzekł Belzebub, odrzucając czarny strój.

–Wszyscy chodzimy tak odziani. Zakonni jesteśmy, a nie dworscy strojnisi. Umiar i cichość. Oto nasze zasady.

–Co ty gadasz, starcze?! Czy ja wyglądam na dworskiego strojnisia? Przecie nie będę łaził jak klecha. Zaraz się zapłaczę w tę sukienkę i już po mnie! Nuże! Dawaj coś żołnierskiego. Portki dawaj!

Rościsław bez słowa wyszedł z komnaty. Tym razem uwinął się w try miga. W garści trzymał strój najwyraźniej zdarty z jakiegoś Saracena. Jeszcze znać było rude plamy krwi. Jednak Kalikst nie narzekał. Odział się i sięgnął po szablę.

–Moja! To dobrze! Lubię ją!

–Ścisłałeś ją, panie, jakbyś się z nią zróś!

–A konia jakiegoś dostanę?

Mnich powiódł go na dół, gdzie inny z krzyżowców czekał już nań z białym arabeem, z siodłem jak dla basileusa: czerwoną skórę przetykały złote nici.

–He, he – zaśmiał się bezwiednie Kalikst. Wyglądało na to, że mnisi-głupole traktowali go jak swojego władcę.

Wskoczył na grzbiet wierzchowca i niezatrzymywany przez nikogo pognął w stronę Antiochii.

Strażnicy przy bramie doprowadzili go do Zachariasza. Starzec zajmował miejsce w biesiadnej sali cesarskiego pałacu, nieco zrujnowanego i splądrowanego jeszcze podczas pierwszej bitwy o Antiochię. Siedział przy stole, żłopiając wino z wielkiego dzbana, a

przed nim na srebrnej paterze leżał barani udziec.

–Umiar i cichość – mruknął Belzebub.

Wielebny przywitał go z przesadną wylewnością.

–Strategosie! Więc już się doszedł do sił! Bóg ma cię w opiece, to widać. Nikt inny nie wstałby tak szybko. Zajmij miejsce i posil się!

Kalikst ciężko klapnął na końcu stołu – tam gdzie zwykli siadać suwereni – i chwycił naczynie z trunkiem. Pił tak długo, aż ukazało się dno.

Zachariasz tylko kiwał głową z życzliwością. Obok niego siedział Walentyń Kudłacz z brodą umazaną tłuszczem oraz wygolony na tyso oprych z nosem jak kartofel.

–To Fabian Sycylińczyk – przedstawił go wielebny. – Będzie twoim przybocznym razem z Kudłaczem. To teraz twoi ludzie, Strategosie.

Drab z pijackim kinolem uśmiechnął się szelmowsko i pokiwał głową. Kudłacz wznosił dzban do góry i głosem zdradzającym nadmiar trunku we krwi wybełkotał:

–Two zdrowie pijem, wodzu!

To mi się podoba – pomyślał Kalikst. – Lepiej niż w Konstantynopolu. Ziomki są, jest heca, będzie dobrze. Starzec postanowił rozwiązać jego wątpliwości:

–Zdobyliśmy Antiochię. Tak, my zdobyliśmy, bo wielmoże basileusa niby w mieście byli, ale nie potrafili zaprowadzić tu porządku. Spójrz po murach, Strategosie. Zobaczysz trupy Turczynów, psubratów Allaszyc, których ukaralim za głoszenie plugawej wiary. Żaden Saracen się nie uchował. Zawisli wszyscy, a kto nie zawisł, tego spalilim. Cytadela także poszła z dymem. Tam były jakieś Turki, aleśmy ich wyrznęli. Syryjczyków też, bo to zdrajcy i tchórze. No, chyba że się do nas przyłączyli, przysięgając wierność. I Armeńczyków żeśmy wyrznęli, bo to naród chytry i podstępny.

Teraz miasto jest nasze. Zatem, Strategosie, czekamy dalszych rozkazów. Czy mamy tutaj, w Antiochii, się obwarować i tu mieć swoje królestwo? Czy iść dalej, zdobywać kolejne grody na chwałę Pana?

–A gdzie wojska basileusa? – zapytał Kalikst. – Gdzie oddziały Komnena i normańscy najemnicy? Przecie oni tu byli.

–Poszli dalej, jak nas obaczyli. Miasto oddali, gadając, że i tak tu zaraz przyjdzie Diogenes i zrobi z nami porządek. Poszli dalej, na Aleppo. Tam teraz toczą krew. Chociaż tutaj nie zrobili jeszcze porządku. Dopiero my, krzyżowcy, pokazaliśmy, jak ma być.

Belzebub przeżuł mięsiwo i skinał, żeby mu donieśli wina.

–Jeżeli mnie pytacie... – zamyślił się – to już mam dość tego miasta. Żem tu spędził długie miesiące i powiem wam, że nic tak mnie nie mierzi, jak widok murów Antiochii. To miasto kojarzy mi się z głodem, nędzą i brakiem nadziei. Tu już nic nie ma. Jeno pogorzelisko i trupy.

–Dobrze prawi Strategos! – ryknął Walentyn Kudłacz. – Złota nie ma, miasto złupione, trza nam dalej!

–Czyli Aleppo? – Kalikst nagle poczuł ogarniającą go błogość. Po miesiącach głodówki baranina i wino zamroczyły go niemal natychmiast.

–W Aleppo cesarscy, Strategosie – tłumaczył Fabian. – Lepiej nam iść na południe, do Ma'arrat. To wielka twierdza. Jak ją zdobędziemy, zyskamy panowanie nad całą Syrią. A wtedy już żadne miasto nam się nie oprze.

Belzebub wspomniał głupią gębę zdrajcy Piąchulca. Jego pogardliwy rechot, gdy wysyłał go na śmierć. Kpinę w głosie i oczach, ten triumf i radość, że jego znów na wierzchu. Nie! Tego nie można było puścić płazem! Nie, nie, nie! I jeszcze raz nie!

–To idziemy na Aleppo – zdecydował Kalikst. – Za cesarskimi.

–Ale powiadają, że Ma'arrat...

–Głupiś! Ma'arrat to solidna twierdza, bez machin oblężniczych jej nie zdobędziemy! Wyginie wielu naszych, a... a Pan Nasz nie chce przecie, aby dobrzy chrześcijanie ginęli na próżno! Lepiej podążać w ślad za zbrojnymi Komnena. Posłużymy się nimi jak narzędziem. Oni w gruz obrócą mury, wyłamią kraty i stępią zęby seldżuckiej hydry. My, idąc za nimi, dobijemy ją! Zadamy jej śmiertelny cios, sami nie roniąc ni kropli krwi! A potem zajmiemy miasto. Wszystko skarby Aleppo będą nasze, zagarniemy je, nim basileusowi wojacy zdążą cokolwiek tknąć.

Wielebny podrapał się po skroni. Sapał, z wyraźnym wysiłkiem roztrzásając to, co rzekł Strategos.

–Dobrze gada! – zawyrokował w końcu. – Po co mamy marnować naszych! Znać, że przepowiednia się nie myliła. Oto wódz, jak się patrzy! Wie, jak dużo zdobyć, niewiele tracąc!

W tej chwili z hukiem rozwarły się drzwi. Wbiegło dwóch krzyżowców, prowadząc na postronku Saracena. Musiał być to ktoś znaczny: turban miał biały, a na nim lśniący klejnot. Jego kolczuga lśniła brązem i złotem. Na nogach nosił buty z pięknej skóry zdobione srebrną nicią.

–Patrzcie go, jaki cudak! – wrzasnął Kudłacz. – Toż to ani chybi sam sułtan!

–Okup będzie, kupa złota! – krzyknął radośnie Sycylijczyk.

Draby podskoczyły do jeńca i jęły go szarpać za brodę.

–Mówże! Coś za jeden?!

–Saraceński król!

–Cesarz Seldżuków!

–Chodźta mu brodę urżniem! Razem z łbem!

–A później nabijemy na szpicę i będzie straszył wrony!

Wtedy wstał Zachariasz i powiedział:

–Zaraz, zaraz! Nie tak szybko. Weźmiem go na męki, niech śpiewa, gdzie Seldżuki, gdzie Saraceny, jakie siły mają i co knują. A skąd on tu?

–Krył się w cytadeli – wyjaśnił jeden z mnichów. – W podziemiach jak szczur. Tam jeno śmieci były i puste beczki. Znać, że chciał przeczekać. Byśmy wyszli z miasta, a on myk! I tyle byśmy go widzieli! Do swoich by uciekł!

Wielebny zatarł ręce z radości.

–Wybornie! Zaraz go damy na męki, powie nam, gdzie iść. Gdzie słabsze siły. W Laodycei czy może w Ma'arrat. Trze mu będzie dupę przypiec, to zdradzi swych kompanów w jeden pacierz.

Kalikst chlapnął do dna potężny haust wina, odsunął z hukiem ławę i burknął:

–Jaka Laodycea? Jakie Ma'arrat? Rzekłem przecie! I postanowiłem, a ja jestem Strategosem! Aleppo! Idziemy tam, gdzie Komnen i jego banda! Za nimi idziem!

Wino szumiło mu w głowie. Trunek oraz sute jadro, jakiego dawno nie miał w ustach, pobudziło jego zmysły i ożywiło skrytego demona.

–Nie! Nie będzie żadnych tam. Żadnych, mówię, odpytywań i jakichś tam okupów! Co mi tam złoto?! Sami przecie gadacie, że jesteście bracia ubodzy i cisi. I że służba Bogu, zwalczanie herezji i Allaszej religii to wasze... hep... nasze, powołanie i psi obowiązek, i powinność.

Przerwał na dwa łyki i prawił dalej:

–Kto nie doświadczył głodu, kto nie znał udręki, nie mając w ustach wina i mięsiwa smakowitego, nie wie, co jest ważne w życiu. Na nic błyskotki, na nic drogocenne klejnoty! Doczesne bogactwo nic nie znaczy, bo po nim zostaje jeno pył i nicość. Nijakiego też nie będzie pożytku ze słów heretyka, Mahometowego dzikusa, co ze stepów przybył i ogłupił lud. Tak samo będzie ogłupiał was ten oto tu Saracen.

Krzyżowcy ucichli. Patrzyli po sobie zdezorientowani, wzruszając ramionami. Wreszcie nieśmiało odezwał się Zachariasz:

–Prawdę rzekł Strategos! Widać, że Bóg przemawia jego ustami. Nie myliła się przepowiednia. To święty człek! I nas, grzesznych, na dobrą drogę prowadzi i wskaże, co słuszne, a co grzechem jest!

Po tych słowach nikt się nie odezwał. Belzebub rwał zębami mięsiwo, rozglądając się za chlebem i oliwkami do przegryzki. Mlaskał ukontentowany, w końcu wytarł palce w kubrak.

–Znaczy, co ma być? – przerwał milczenie Fabian. – Co z tym paniczykiem z Saracenów?

–Jak co? Zaraz ci pokażę!

To mówiąc, Kalikst skoczył ku jeńcowi. Dobył szabli, uniósł ją do góry i krzyknął:

–Jak ciachnę raz go przez łeb, to przetnę na pół?

–Tak od razu? Znaczy jednym walnięciem?

–Nie da rady. Nie ma takiej siły.

Natura łotrów natychmiast podszeptała im szybkie odpowiedzi, choć nie zastanowili się na sensie tego, co gadają. Dopiero po chwili... Dłuższej chwili...

–Eee, znaczy co? Ubić go mamy?

Zamiast odpowiedzieć, Belzebub skoczył na stół, roztrzając misy i dzbany. Połało się wino, bryzgając na biesiadników. Resztki mięsiwa prysły na twarze krzyżowców.

–Skata! – zaklął któryś po grecku, choć z facjaty był to raczej Rus czy inny Słowianin. – No co to ma być?!

Ucichł szybko, widząc, że Kalikst podnosi swą szablę. Całkowicie zaniemówił, gdy ich nowy Strategos wybił się w górę, skacząc na Saracena.

A później...

A później patrzyli z rozdziawionymi gębami, jak jednym uderzeniem rozcina strojnego wyznawcę Allaha od łba po pachwinę. Rozkrojony niczym wół w rzeźni Saracen, a może Seldżuk, kto go tam wie, padł rozplątany na dwa krwawe strzępy. Krew chlusnęła na podłogę, rozlewając się w wielką kałużę.

Walentyń splunął i pokręcił głową z niedowierzaniem.

–Na rany Jezusa Chrystusa, Pana Naszego! Takiego czegoś to żem jeszcze nie widział! To jest coś, Strategos!

–No przecie... – westchnął Fabian. – Ty byś tak, Kudłacz, nie umiał. Nie? Tak jednym cięciem... Ciach! I już mamy dwóch sułtanów, he, he...

–A ty byś potrafił?! Akurat... Łba byś mu nawet za jednym razem nie odciął.

Tę próżną gadaninę uciął Zachariasz:

–Pan nam daje nowy znak, że oto nadszedł nasz Strategos Boga! Zatem idziem na Aleppo!

–Na Aleppo! – zakrzyknęli chórem krzyżowcy.

* * *

Rankiem wyruszyli w dalszą drogę. Najpierw zwiadowcy na rącznych koniach z Arabii. Kalikst, korzystając z pełni władzy, posłał ich w ślad za wojskiem Komnena. Później uformował jeszcze trzy grupy szpiegów. Jedna poszła ku górą, w stronę przełęczy, z której miał nadejść basileus. Drugiej nakazał jechać do portu Saint-Simeon. Słuchać, co gadają tamtejsi, kto przyplywa, a kto wypływa. Trzeci oddział ruszył na południe, by śledzić ruchy hord Seldżuków. Czy szykują się do kolejnych bitew? A może uchodzą, zostawiając puste miasta?

Dopiero po opuszczeniu Antiochii Belzebub zrozumiał, jak wielką armią przyszło mu dowodzić. Krzyżowcy odziani w złachane habity i postrzępione riasy, okryci zdartymi z trupów kolczugami, kaftanami i zbrojami zalewali całą dolinę rzeki Ororites. Kolejne szeregi zakonników ciągnęły się aż po horyzont, nawet gdy miasto znikło już z oczu.

A jacy oni tam zakonnicy?! – myślał z drwiną Kalikst. – Banda, oprychy, szumowiny! Plugawe zabijaki, zbóje i złodzieje jako ci, którymi dowodziłem. Ubrali się w suknie świętych, bełkoczę o Bogu i Chrystusie, bredzą o swej misji, a naprawdę to tylko jedno im w głowie... Gardła podrzynać, dziewczki gwałcić i brać łupy. A po sobie pozostawić tylko zgliszcza, płonące ruiny i siwy dym... I za to ich lubię!

Zaśmiał się do swoich myśli. Iść na czele takiej hałastry to najlepsze, co mogło mu skapnąć z nieba.

–Hekatontarchos, he, he – mruknął pod nosem. – A ja żem myślał, że to już wyżej nie da rady wejść. A tu proszę... Strategos Boga... Ha, ha, ha! Tośmy teraz z Komnenem jak kamraty...

Rechotał upojony szczęściem i winem pociągany z bukłaka, który zdawał się nie mieć dna, jakby Pan Nasz po raz wtóry powtórzył cud z Kany Galilejskiej.

* * *

Obudził go smród ryb i głośnie mlaskanie. Otworzył oczy.

Nad sobą obaczył ohydny mordę Purrhosa. Dwugłowy demon pluł cuchnącą pianą niczym wściekły pies. Lewą łapę czy rękę, jak to zwać, oparł na piersi Kaliksta. Prawą położył na jego gardle, jakby chciał pokazać, że gdy zechce – zadusi go jednym ruchem.

Obydwa łby wisiały tuż nad czołem Belzebuba. Ten z paszczą ział smrodem. Ten z oczami świdrował go wzrokiem.

Kalikst szarpnął się, by zrzucić z siebie obrzydłe członki demona. Na nic. Czerwona bestia trzymała mocno.

–Dhhh... Ghhh – wycharczała.

Pomocy! Weźcie tę ohydę ze mnie! Zatluczcie to!

Tak pomyślał, ale nie mógł wydobyć głosu. Popatrzył na boki. Strażnicy przed namiotem najwyraźniej spali schlani wywleczonym nie wiedzieć skąd winem.

–Phom... Phomm – wystękał tylko, jednak zaraz Purrhos zdusił jego słowa.

–Dhh... – odpowiedział mu demon. – Dhjo... Dhjoog... Dhjooo-geee-eeenhes!

Diogenes! – zrozumiał Kalikst. – To potrafi mówić? Ten obmierzły stwór gada!

–Dhjooo-geenhes – charczała mu nad głową bestia. – Zhaaa... Zhaaa... Zhaaa...

Tego słowa czerwony potwór już nie umiał wymówić.

–Zhabić – wyskrzeczwał za niego Belzebub. – Zabić! Zabić Diogenesa!

–Zhabić! – potwierdził Purrhos i splunął na twarz Kaliksta żółtą flegmą.

A potem zniknął w mroku. Tylko smród pozostał.

–Miałem zabić Diogenesa – szeptał Belzebub. Kręciło mu się w głowie. – Pan mój kazał mi zatopić puginał w sercu uzurpatora. I wydobyć jego krew. Zabić! Krew!

Powtarzał te słowa, trzęsąc się z zimna.

–Zabić basileusa... Zabić... – bełkotał, jakby się szaleju najadł.

Nie mógł już zasnąć do brzasku, dręcząc się myślą, że jego pan nie okaże ani krzty litości. Nie będzie miał zrozumienia dla niepokornego sługi.

I choć gdzieś tam, w zakamarkach jego postrzępionej duszy odezwał się cichy głos szepczący: Nie masz pana nad sobą, sam jesteś sobie władcą, królem, basileusem, nie musisz słuchać szalonego starca, to zaraz przyszło otrzeźwienie.

–Gdy tylko dopadnę uzurpatora, mam zatopić w jego sercu puginał – wymamrotał w otępieniu. – Jest to specjalny nóż. Wewnątrz ostrza ma kanalik połączony ze zbiorniczkiem w rękojeści. Gdy wbiję puginał w serce Diogenesa...

Wciąż snujący się w powietrzu fetor demona odebrał mu dech. Pozostały tylko niespokojne myśli.

Rozdział 12

–Krzyżowcy, powiadasz? – Roman Diogenes walnął pięścią w stół. Puchar z winem zatrzęsł się, rozlewając kilka kropli trunku na mapę. – A co to za jedni?

–Dzicz z Zachodu, panie. – Józef Tarchaneiotes starł rękawem plamę z pergaminu i stuknął palcem, pokazując Aleppo. – Są teraz tu! Weszli do miasta, gdy tylko nasze wojska ruszyły na Ma'arrat. Mordują bez litości, nawet starców i dzieci, kobiety gwałcą, a potem zarzynają. Mężczyzn nabijają na pale, obdzierają żywcem ze skóry lub rozdzierają na strzępy końmi dla uciechy.

–Jakże to? Przecież seldżuckich obrońców Aleppo ludzie Komnena wycięli w pień! Kto tam się mógł ostać?

–Widać nie robi im różnicy, czy kto do Boga się modli, czy do bałwana saraceńskiego, Allaha. Cóż się dziwić? To zbieranina najgorszych szumowin z całej Europy. Z Italii, z ziem Franków, nawet z Rusi. No i ze wszystkich zakątków Cesarstwa. Zwiążą się zakonem Braci Krzyżowych lub krzyżowcami, jakby śluby boże poczynili, jednak to zwykli zbóje i rzezimieszki.

–Ha! To jak banda, którą prowadzi na przedzie Komnen. A wielu ich? Jakie mają uzbrojenie?

Tarchaneiotes oderwał wzrok od mapy i zaczął przechadzać się wokół stołu.

–Są słabo uzbrojeni – rzekł. – To znaczy mają to, co znajdą po drodze, co złupią i ukradną. Ale siła ich, powiadają, że nawet dwie dziesiątki tysięcy ich ciągną. Gina jak gzy, ale zaraz nowi do nich dochodzą. Nie wiedzieć skąd i jakim psim zmysłem. Jakby cała Europa pozbywała się swego najplugawszego robactwa.

–A dowódca? Kto nimi kieruje?

–Zwą go Strategosem Boga, iście po naszymu. Ale kto zacz i jakie ma zamiary, to nikt nie wie. Wysłałem do Aleppo swoich szpiegów, ale jeszcze nie wrócili i wiem tyle, co ludzie gadają. Jedno jest pewne: nie są groźni dla nas.

Basileus podniósł ze stołu miecz, który dociskał brzegi mapy i patrzył długo na błyski kaganków pełzające po ostrzu.

–Że nie są groźni, to oczywiste. Uzbrojona w kije hałastra nie może się równać z najlepszymi wojskami Cesarstwa Rzymskiego. Pytanie: czy my możemy tę dzicz okiełznać i użyć do swoich celów?

Władca oderwał wzrok od klingi i spojrzął na swego generała. Wyraz jego twarzy wystarczył za odpowiedź.

–W takim razie, póki trwa wojna, niech robią, co chcą – zdecydował Diogenes. – Gdy wybijemy Seldżuków, rozgonię tę bandę na cztery wiatry, a prowodyrów każę stracić. Krzyżowcy... Dobrze sobie!

* * *

–Krzyżowcy? Czy jak tam gadasz o nich? – Nicetas Wielka Pięść z wysiłkiem sięgnął do michy z mięsem. Syknał z bólu: rana na plecach wciąż się jąrzyła. Złapał ociekający tłuszczem udziec barani i wbił w niego zęby.

Wit Wodnik popijał tylko wino. Przytaknął:

–Ano krzyżowcy. Naszło się wiary z Zachodu i zewsząd. Wodzów nad sobą nie mają, tylko gwałcą, mordują i rabują. Wolni są.

Korzystają z życia.

–Mhmmm – mruknął z pełną gębą dryblas. – A to blatnie. Czyli kiedy? Dziś w nocy?

–Nie, musisz się jeszcze wykurować. Przecie ty ledwo mięcho w łapie trzymasz. Myślisz, że co? Że nie widać, jak krzywisz gębę z bólu? Że nie słychać, jak syczysz, gdy cię kto lekko tylko w ramię klepnie? Ty się, chłopie, nie łap za nic cięższego niż ten udziec i dzban wina.

–My się już tym zajmiemy – poparł brata Waldemar Jałmużnik. – Ty se tu tylko żryj żarełko, chlej winko, siedź wygodnie, a my se damy radę z resztą.

Nicetas popatrzył nań jak na wiejskiego przygłupa, nie okazując jednak ani cienia złości. Otarł tłuszcz ciekący po brodzie i rzekł:

–Co ty mi tu, koproskilo, wciskasz za bzdury? Myślisz, że co? Żem ja baba, co pod pierzyną dupę będzie grzać i patrzeć, jak inni robią dobrą robotę? Powiem wam coś, ryże przygłupy. Teraz jest ostatnia chwila. Basileus rozłożył nieopodal obóz, pół dnia drogi od naszego. Rychło ruszymy, by zdobywać Laodyceę. Pierw my, za nami władca. Strategosi Diogenesa wejdą nam na głowę i diabeł jeno wie, gdzie nas pošlą i co nam każą. A może pozbyć się będą chcieli? Wtrącą do lochów albo w niewolę oddadzą Saracenom jako okup za jakiegoś dupowatego paniczyka, co miecz by chciał za ostrze chwytać, bo nawet nie wie, gdzie rękojeść. Co teraz będzie, to nikt nie wie. Niepewny jest nasz los i jak mamy to zrobić, to teraz, nie ma co czekać.

Oderwał zębami wielki kawał mięsa i żując, z pełnymi ustami zakończył swoją tyradę:

–Oczywiście pozwolę wam zająć się robotą, a co tam! Tylko róbcie tak, żebym ja mógł to wszystko zakończyć po mojemu. Ale nic beze mnie, ryże przygłupy!

Wodnik wetknął palec do nosa. Dłubał w nim zawzięcie,

rozmyślając z widocznym wysiłkiem.

–Ano dobra, niech tam ci będzie. My będziemy twoimi rękami. Masz łapy słabe jeszcze, to my ci naszych użyjemy.

Waldemar wszedł mu w słowo:

–Idzie o to, że masz dziurę w plerach, ranę nad łokciem, a do tego mordę poparzoną, jakby cię na ruszt zamiast prosiaka wzięli. Kozika do patroszenia ryb nie potrafisz chwycić, to nie strugaj herosa. Nie mówię już nic o tym kulasie szpotawym, co ci się jeszcze nie zrósł.

Dryblas nie dał się przekonać.

–Ano mam gębę poparzoną i dziurę w plecach. Więc dlatego muszę to być ja, a nie ty i brat. Wy możecie, owszem, trochę pomóc, ale przecie sami gównu zrobicie. Jedną łapę mam obolałą, ale drugą sprawną i ta jedna jest jak was dwóch razem wziętych, ryże kurduple!

Jalmużnik splunął pod nogi i machnął ręką.

–Jak tam sobie chcesz. Ale jak cię połamię do cna, to my nie będziemy czekać. Krzyżowcy też nie będą się oglądać na takiego tępego ćwoka jak ty.

–Aaa, braciszku krzyżowi... – zamruczał Wielka Pięść, puszczając mimo uszu przytyki Żmudzina. – Coraz bardziej mi to podchodzi. Bo tutaj, mówię ja wam, będzie tak, że się żyć w ogóle nie da.

* * *

Wieczorem rozpoczęli przygotowania. Najpierw ryży bracia poszli za obóz, z trudem przekonując Nicetasa, by został. Nie tylko z powodu ran. Tak wielkie chłopsko po prostu zbyt zwracało na siebie uwagę.

Wit z Waldemarem chwilę kręcili się po obozie, zagadując do siedzących przy ogniskach wojaków. Tu wypili kilka łyków wina, tam uszczknęli trochę mięsiwa z rożna, temu coś rzekli, z innym pożartowali i nagle znikli w mroku.

Wyłonili się z niego po drugiej stronie obozowiska, tam gdzie stali ponurzy klibanophoroi. Uzbrojeni po uszy strażnicy pilnowali niewielkiego wgłębienia w skale obudowanego drągami i osłoniętego grubym płótnem żaglowym.

Żmudzini przekradli się w pobliże wnęki i przywarli do ziemi. Obserwowali okolicę.

–Widzisz jakiegoś? – szepnął Waldemar.

–Jednego. Tam jest, o widzisz, ten cień. Gdzieś jeszcze drugi być musi, wczoraj ich dwóch tu było. No i trzeci dalej.

–To ilu w końcu?

–Trzech.

–Ale teraz widzisz dwóch?

–Nie, teraz to jednego.

–Gamoto! Z tobą tak zawsze! Idziemy i kończymy ich.

–Czekaj! A mleko?

–Ano tak. Dawaj.

Wodnik sięgnął do zawiniątka przytroczonego do pasa. Odwinął

skórzany zwój, wyciągając z niego cztery strzałki z mlekiem czarownic. Dwie podał bratu.

–Wiesz, ile chodzenia było za tym? Saraceny naszego dekoktu nie znają. Ani Syryjczyki. No ale trafiłem takiego jednego kupca z Laodycei. Antymos go zwał. Gada, że go ta wojna zrujnowała i nie idzie normalny handel. To się zabrał za towar, którego próżno szukać na straganach Konstantynopola. Mleko czarownic, trucizny, nawet al-haszisz, co go Saraceny zjadają, żeby do walki mieć większy zapas. Trzyma się z dala od bitew, ale teraz jest tu w takiej wiosce niedaleko. Broń też ma niezgorszą, lepszą niż to, co można na Turkach zdobyć...

–Ćśśś... Zawrzyj mordę! Co mnie jakiś handlarz obchodzi?! Trzymaj strzałki i idziemy!

Zakradli się bliżej składziku. Stali poza kręgiem mdłego światła rzucanego przez pochodnię zatkniętą na drągu. Obserwowali.

–Ty bierz tego tutaj. Ja tamtego.

–A ten trzeci?

–Strzałek może nie starczyć.

–To trzeba go będzie uciszyć innym sposobem.

Na ich szczęście zbrojni padli po małej dawce mleka czarownic, która zwykle nie wystarczała na dorosłego chłopca. Albo towar, którym handlował Antymos, był lepszej jakości niż w stolicy, albo kupiec nie wiedział, że dekokt łatwo rozrzedzić zwykłym kozim mlekiem.

Dość, że strażnikom wystarczyło po jednej strzałce. Usnęli cicho jak dziecięta i nim narobili rumoru, waląc się z całym okrywającym ich żelastwem na plecy, Żmudzini uciszyli trzeciego.

Wpadli do składziku, nie dbając już o pozory. Mieli przy tym więcej szczęścia niż pomysłu. Gdyby w okolicy znalazł się jeszcze

jeden strażnik, raczej nie uszliby z tej przygody z życiem.
Pięćdziesiąt kroków dalej siedziało przy ognisku ośmiu zbrojnych.

Wytoczyli ze skalnego wgłębienia niewielką beczułkę. Wit skradał się przodem, bacząc, czy droga czysta. Waldemar człapał za nim, posapując z wysiłku. Narzucił ładunek na plecy. Ledwie trzymał się na nogach.

–A niech... – wydyszał. – Trza było wziąć Nicetasa. Z dziurą czy bez, lepiej by sobie z tym poradził.

Szli ślamazarnie, jednak jakimś cudem udało im się ominąć zbrojnych Aleksego Komnena. Gdy dotarli z powrotem między ogniska swoich kompanów, nikt nie zwracał na nich uwagi. Wszyscy byli zbyt pijani.

Żmudzini łatwo opuścili obóz. Potoczyli beczułkę daleko w kamienną pustynię, między skały i wąwozy.

* * *

Basileus rzucił wściekłe spojrzenie na twarz Roussela de Bailleul. Najemnik poczynał sobie zbyt śmiało.

–Zdobyliśmy Antiochię, jak było w umowie – powiedział. – Jednak złota nie nabraliśmy tyle, by wyrównać nasze rachunki. Albo miasto było już wcześniej splądrowane przez Seldżuków, albo też kronikarze łgali, opisując jego bogactwa. Toteż przypominam o umowie i proszę o zwrot długu.

Roman Diogenes zerwał się z krzesła. Długimi krokami przechadzał się po namiocie, wreszcie stanął przed Normanem i wydyszał:

–A to już nie moja wina, że nie potrafiłeś w najbogatszym mieście pogranicza zebrać dla siebie i swoich ludzi tyle złota, by stało się zadość. Nie jestem twą niańką, de Bailleul, i twa niezaradność mnie nie interesuje.

Najemnik udawał obojętność. W środku jednak buzował. Po raz kolejny potwierdziły się jego podejrzenia, że władca Konstantynopola chciał ich jeno wykorzystać w swych wojennych rozsadach. I nie zamierzał płacić.

–Panie, ale nie taka była umowa. Ja się nie skarżę, że łupy z Antiochii niezbyt mnie usatysfakcjonowały, choć przyznam, że liczyłem na więcej. Ale dałeś słowo, panie, że zdobywszy miasto, będziemy mogli odejść, zabierając nie tylko to, co znajdziemy za jego murami, ale także złoto, które winien nam jesteś jeszcze z dawnych czasów.

–Wojna wciąż trwa...

–Ale my w niej nie będziemy uczestniczyć. Ja wiem, panie! Liczyłeś, że wyginiemy wszyscy albo przynajmniej ja i moi najbardziej zaufani ludzie, i nigdy nie zgłosimy się po należność. A jednak przeżyliśmy i teraz domagam się zwrotu solidów.

Basileus z rezygnacją opadł na krzesło. Cała złość nagle mu odeszła.

–Dobrze, de Bailleul... Oddam ci to złoto, ile tam chcesz. Chociaż przychodzisz w złej chwili. Trwa wojna i czeka nas najważniejsza bitwa o główny port tego wybrzeża. Złoto potrzebne jest na inne wydatki, a co więcej, nie mam go tu aż tyle. Swoje solidy odbierzesz w Cezarei, gdzie przenieśliem tymczasem dwór z Konstantynopola. Tam też zgromadziłem zapasy złota niezbędne do prowadzenia wszelkich działań wojennych. Zarządza nimi, wedle moich dyspozycji, logoteta ton oikeiakon. On wypłaci ci wszystkie należności co do nummi.

Roussel de Bailleul spojrział zdziwiony na Diogenesa. Co ta szczwana hiena znowuż planuje? Jaki fortel obmyśliła? –

zastanawiał się.

–Panie, rad jestem, że doszliśmy do porozumienia. Ale wnoszę, że twa nagła łaskawość nie bierze się znikąd...

–Owszem, masz słuszność, Rousselu. Otrzymasz ode mnie stosowny glejt i pismo dla logotety, jednak dopiero gdy zdobędziemy Laodyceę. Nie mogę pozbywać się swych najdzielniejszych oddziałów w przededniu tak ważnej bitwy. Zdobycie drugiego portu pozwoli mi umocnić panowanie na morzu. Nadejdą nowe posiłki i nie będę musiał was już dłużej przetrzymywać. Będziecie wolni.

–Ale to oznacza dodatkowe koszty. Zdobycie Antiochii, Aleppo, Ma'arrat i teraz Laodycei... Stawka rośnie. Mając w pamięci twoje kilkuletnie problemy ze spłaceniem długów, z oddaniem nam naszych pieniędzy, mogę podejrzewać, że i tym razem coś się nie powiedzie. Wybacz, panie, ale moi ludzie przestali już ci ufać.

–Ale ufają jeszcze tobie, a ty ich przekonasz, że warto podjąć ostatnią walkę.

–Skąd taka pewność, panie? Nie jestem twym poddanym, czoło chylę przed tobą tylko dla zachowania dworskiej etykiety, ale nie jako wasal.

Basileus zniecierpliwiony machnął ręką, jakby opędzał się od muchy.

–Nużą już mnie twoje buńczuczne słowa, za które powinienem nabić cię na pal. O wcześniejszych problemach z wypłatą należności możesz zapomnieć. Wtedy były lata chude, gdyśmy scalali rozdzierane cesarstwo. Teraz jesteśmy na wojnie. Na wojnie zdobyczej i zwycięskiej. Słusznej politycznie i opłacalnej pod każdym innym względem. Złota nie zabraknie dla nikogo. Kto jest z nami, może tylko zyskać.

Najemnik zacisnął usta. Wściekłość walczyła w nim z chciwością. Diogenes pomógł wygrać tej drugiej.

–Rozliczymy się po bitwie, masz na to moje słowo! Oddam wszelkie należności i nie będę trzymał cię dłużej w szeregach mej armii. A teraz, Rousselu, udaj się z powrotem do swego obozu, byś zdążył przed zmrokiem.

* * *

Przez cały dzień snuli się bez celu, czekając wieczora. Nicetas od południa stosował przyspieszoną kurację, pochłaniając kolejne dzbany kwaskowatego wina, jedyne, jakie zostało po złupieniu twierdzy Ma'arrat. Trunek nie był dozwolony, jednak Strategosi przymykali na to oko. Dopóki wojacy nie brali się między sobą za łby i nie było trupów, wodzów nie obchodziło pijaństwo. Zwłaszcza na trzy dni przed kolejną bitwą.

Dryblas kurował się z tak wielkim zapałem, że gdyby to miało trwać dalej, wieczorem nie trafiłby o własnych siłach nawet do kloaki. Wit Wodnik załatwił sprawę jak doświadczony medyk, który wie, że różnym dawkowaniem leku osiąga się różne cele. Dolewał mu wina tak ochoczo, że Wielka Pięść wkrótce spadł pod ławę całkowicie zamroczony.

–Coby tylko zdążył podnieść dupsko przed północą – mruknął Waldemar, gdy wyciągali go spod nóg pozostałych biesiadników.

–Ma osiem godzin z okładem. Akurat się wyśpi i będzie jak noworodek. Trzeźwy i niewinny. Znasz go przecie. Ma wprawę.

Fortel Wodnika nie zawiódł. Nicetas chrapał cały dzień przy ognisku rozciągnięty jak kłoda, lecz gdy nadeszła noc i zrobiło się trochę chłodniej, skoczył dziarsko na nogi. Potoczył wokół wzrokiem, ochlapał twarz wodą z wiadra i wychrypiał:

–No, to chodu! Ukręcimy gnidzie jaja!

* * *

To nie było jednak takie proste. Tyberiusz Piąchulec nigdzie nie ruszał się bez swojej świty. Zbrojni towarzyszyli mu, gdy chodził po obozie, zaś jego przyboczny – Hygin Chytrus – nie opuszczał go także podczas narad w namiocie. Krzykliwy entuzjazm Nicetasa niewiele tu pomagał – trzeba było czekać na dobrą okazję.

Trójka przyjaciół cierpliwie śledziła swego hekatontarchosa. Ten nie przemęczał się specjalnie. Tuż po zmroku obszedł okolicę, bacząc, czy wszystko jest, jak być powinno. I było: strażnicy pilnowali wejścia do obozu, oprychowaci żołnierze spokojnie chlali wino, a na niebie świecił księżyc. Zadowolony Piąchulec zdał raport Strategosowi Komnenowi i dziarskim krokiem pomaszerował do swojego namiotu, by tam oddać się rozkoszom pijaństwa.

–No i co? Teraz będzie przelewał z pełnego w próżne, znaczy z dzbana w swe gardło, a my, zamiast robić to samo, całą noc spędzimy z dupą w gównie – narzekał Wielka Pięść.

Zaiste, pięć kroków za namiotem hekatontarchosa rósł cyprys, pod którym podpici wojacy załatwiali swe potrzeby. Hultaje nie zadawały sobie trudu, by chodzić do odległej kloaki. Dowódcy za sranie pod namiotem byli gotowi wbić na pal, ale nie mogli pilnować każdego i w każdym miejscu obozu.

Jakąś godzinę po północy Piąchulec wytoczył się ze swego namiotu. Chwiejnym krokiem poczłapał w stronę drzewa.

Tam, ledwie opuścił portki, nadział się na koniuszek puginału

Jałmużnika. Aż obryzgał sobie nogi z wrażenia. Chciał krzyknąć, ale zaraz spadła mu na usta ciężka łapa Nicetasa, a Wodnik przydzwonił Tyberiuszowi w łeb kawałkiem drąga. Setnik padł na twarz, ryjąc nosem we własne szczyny.

Nim zdolali go skrępować i odciągnąć w bok, z namiotu wychynął Hygin.

–Panie, cóż tam? Czy wszys...?

Umilkł nagle, bo strzałka z mlekiem czarownic rzucona przez Wita wbiła mu się w oko. Tylko jęknął z bólu i zaraz padł.

Skoczyli w przód z odkrytymi nożami pewni, że zaraz z namiotu wysypią się pozostali kompani hekatontarchosa. Jednak nie. Tamci byli już na tyle zamroczeni, że łoskot walącego się Chytrusa nie zrobił na nich wrażenia.

–To co teraz?

–No co? Hygina damy w krzaki, tam za drzewem. A tego zabieramy.

–Nie – zaprotestował Nicetas. – Bierzemy obu.

Przed oczami stanęła mu scena, gdy pędzili z Kalikstem rydwanem, uchodząc przed pościgiem Seldżuków. Głupia, roześmiana gęba Chytrusa, te jego pogardliwe, kaprawe oczka i włócznia, która przeszła pierś Muhammada... Nie, Hyginowi też się należało.

–Nie damy rady! Dwóch nie dźwigniemy!

–Wy weźcie Piąchulca. Ja zajmę się tą gnidą.

–Nie podolasz – protestował Wodnik. – Przecież jesteś podziurawiony jak...

Wielka Pięść nie dał mu dokończyć. Zarzucił Chytrusa na plecy niczym worek z pszenicą. Nie słuchając, co mają w tej sprawie do

powiedzenia bliźniacy, zagłębił się między namioty. Nawet nie syknął z bólu.

* * *

Kamienna pustynia, skalne wąwozy. Suchy wiatr i zacinający w oczy kurz. Blade światło księżyca.

–Gdzie teraz? – zapytał Nicetas. – Gamoto, którędy dalej? Konie zaraz nogi połamią w tych dziurach.

–Nie bój nic. Znamy drogę – zapewnił Wodnik, jednak trochę zwolnił, uważniej patrząc pod nogi. Klucząc wśród ostrych głazów i rozpadlin, prowadził za uzdę wierzchowca ze spętanym Piąchulcem przewieszonym przez siodło. Za nim szedł Jałmużnik. Ten wiózł na grzbiecie swojego zwierzęcia Hygina, zaś na końcu jechał Wielka Pięść.

–Idziemy na samą górę – tłumaczył Wit. – Tam jest taki skalny jęzor wysunięty w stronę obozu. Będą mieli co podziwiać, jak nie teraz, to rano. Nie dopadną nas, bo nie znają drogi, za ciemno na szybki pościg. A my w tym czasie damy nogę w drugą stronę. Zjedziemy z gór drogą na północ. I tyle nas będą widzieć!

–I do krzyżowców!

–Tak, stamtąd pojedziemy prosto do braciszków. Wolność, ziomek! Będziemy wolni!

Na te słowa Nicetas zawył z radości, aż echo poszło.

–Haaa! Woolność! Haaa!

–Zawrzyj mordę, jeszcześmy za blisko obozu! Posłyszają nas!

Na dole nikt nie zwrócił jednak na to uwagi. Za to ocknął się Chytrus.

–Co...? Co jest...? Czego...? – bełkotał. – Kto wy? Wypuście!

Waldemar uciszył go jednym mocnym ciosem w ucho.

* * *

Na szczycie wzniesienia obaj więźniowie się ocknęli. Tym razem jednak Żmudzini pozwolili im na wybuchy strachu i nienawiści.

–Co to ma być, koproskilo?! Co wy tu...? Skata! – klął wściekle Piąchulec, gdy obalili go z siodła na ziemię. Szarpał się, próbując zerwać więzy. – Kurwiesyny, co to za błazeństwa?! Rozwiązać mnie!

–To nie błazeństwa, Tyberiusz! Mamy pewne rachunki do wyrównania. Nie będzie ci do śmiechu, o nie! My się za to trochę pośmiejemy!

Hekatontarchos ryknął wściekle i przeturlał się w bok. Jednym szarpnięciem związane na plecach ręce przełożył do przodu, po czym chwycił za strzemień konia, na którym go przywieźli. Dał susa w górę i po chwili siedział już w siodle z nogami zwieszonymi z boku niczym niewiasta. Zanim jednak zdołał umknąć, dostał w łeb maczugą od Waldemara. Spadł z wierzchowca zalany krwią.

–Widzieliście go, jak na konika wskoczył? Na nic te cyrkowe sztuczki, Piąchulec. Nie uciekniesz sprawiedliwości.

Hygin Chytrus, widząc to wszystko, tylko mełł przekleństwa, jednak nie próbował ucieczki. Nie do końca rozumiał, co się dzieje. Wiedział jedno – jest źle. To nie zakończy się zwykłym obiciem mordy.

Przecucie go nie myliło. Ryży bracia zaciągnęli skrepowanego wojaka na skraj przepaści. Nie, nie zrzucili w dół. Zaczęli przykuwać łańcuchami do skały.

–To na nic, zaraz złamię ci rękę – pogroził Wit, gdy Chytrus próbował się wyrwać. Nie poskutkowało. Więc Wodnik uczynił, co obiecał.

Wycie Hygina obudziło nieprzytomnego Tyberiusza. On też zawisł na skale z ramionami wyciągniętymi na boki jak skazaniec na krzyżu. Łańcuchy trzymały mocno. Mogli tylko pluć z wściekłością i rzucać puste groźby.

–Kurwiesyny! Niech no tylko moi was dopadną! Zdrajcy! Nabiją was na pal. W dupska wam wrażą kołki, takie cienkie, żeby was za szybko nie rozerwało. Żebyście kwiczelili jak cioty, gdy im dogodzić, koproskilo! Będziecie zdychać przez miesiąc!

Nicetas podsunął mu swą wielgachną piąchę pod sam nos.

–Nikt nas nie dopadnie, a nawet jeżeli, to ty już tego nie zobaczysz. Samżeś zdrajca! Pamiętasz, co było nad Orontes? Pamiętasz, jak zabiłeś Muhammada? A potem jak chciałeś ubić mnie? Wspomnisz, jak zdradziłeś Kaliksta i jak zginął!

–Skata! Wy męty! Szumowiny! Śmieci!

–Pamiętasz... A jak nie, to zaraz sobie przypomnisz. Zginiesz tak jak on – zapowiedział dryblas i skinął na Żmudzinów.

Ci już czekali z beczułką igró pyr i zapaloną pochodnią. Waldemar odbił korek, po czym uniósł baryłkę nad głowę Piąchulca. Oleista ciecz spłynęła po twarzy i piersi skazańca. Wsiąkła w odzienie, ściekła po nogach do butów.

–Nie żałuj mu, lej hojnie, niech nasiąknie!

–Dla drugiego musi starczyć – odparł Jałmużnik, wskazując brodą Hygina. – Zresztą jak mniej, to lepiej. Nie zdechnie tak od razu! Będzie powoli się smażył jak mięsko na ruszcie.

–Niee! Nie rób tego!!! – wrzeszczał Piąchulec. – Nie zabijesz chyba swojego hekatontarchosa?! Nie dopuścisz się takiej zdrady! Nie zrobisz tego, kurwisynu!

–A ty co? Samżeś rękę przyłożył do zdrady. Kalikst Belzebub był twoim hekatontarchosem. A tyś go zdradził i zabił. Wodnik, dawaj pochodnię!

Strażnicy w obozie dostrzegli nagły wybuch ognia w górach na horyzoncie. Nie słyszeli jednak wycia umierających, ich przeraźliwego skowytu, nie czuli swądu palonych ciał.

Nie rozumieli, cóż znaczą płomienie. Strategos Komnen kazał wyruszyć zwiadowcom, a reszcie wojska przygotować się do odparcia ataku Seldżuków.

Ten jednak nie nastąpił. Wkrótce ogień na skałach dogasi, a zwiadowcy wrócili z wieściami.

Nikogo nie ma. Turków ani widu, ani słyhu.

Zwęglone zwłoki Piąchulca i Chytrusa odkryli dopiero przed południem, gdy dotarli na miejsce kaźni.

Nicetas, Wit i Waldemar pędzili w tym czasie do Aleppo.

* * *

Starzec w czerwonej riasie jęknął z bólu. Zatoczył się w tył i upadł na plecy. Ostre krańce kamieni poszarpały szatę szybko nasiąkającą krwią.

Eremita zasłonił dłońmi oczy. Choć był ślepy, widział. Teraz widział to najgorsze. To, czego nie chciałby nigdy zobaczyć, nawet za cenę odzyskania wzroku. Obrazy, jakie wymalowało słońce na jego przykrytych bielmem oczach, były niczym puginał raniący jego serce, jak maczuga łamiąca jego kości. Jak trucizna wypalająca żyły.

–Nie... Odejdź... Precz... – wycharczał resztką sił, przekręcając się na bok. Złapał rękami za kolana i tak tkwił ogarnięty gorączką, chociaż słońce grzało najmocniej jak mogło o tej porze roku.

Gdy zaczęło powoli chylić się ku zachodowi, starzec zebrał siły. Wstał i nie zważając na pieczenie otartych pleców, ruszył w stronę swojej samotni.

–Już czas... Już nadszedł czas.

Macając kijem, szybko zszedł na dół wzgórza. Minał przełęcz z wyschniętym jeziorkiem i kamiennymi okruchami skał, aż dotarł do znajomej już ścieżyny, która wiodła na szczyt góry Throni.

Gdy dotarł do celu, przystanął z twarzą obróconą na wschód. Zimny wiatr szarpał jego brodą i strzępami szkarłatnej riasy.

Starzec uniósł ramiona i zawołał:

–Już czas... Przybywajcie! Już nadeszła ta chwila.

Zaraz posłyszał łopot skrzydeł. Jastrzębie zataczały coraz ciaśniejsze koła, zlatując niżej z krzykiem, czując, że dzieje się coś nowego, nienaturalnego, aż wreszcie przysiadły na wyciągniętych nadgarstkach pustelnika.

Tym razem eremita nie miał ze sobą skórzanych rękawów, które chroniłyby go przed ostrymi pazurami ptaków. Nie dbał o to. Czując ciepłą krew ciekącą po łokciach, wyskrzeczwał pełen ekscytacji:

–Powstrzymajcie plugawego sługę Satanaela! Uratujcie chłopaka! Już! Teraz! Lećcie! Na wschód! Laodycea! Tam! Lećcie! Pies Satanaela musi wreszcie oddać żywot. Na wschód!

Powtarzał to jeszcze długo, nawet gdy łopot ptasich skrzydeł umilkł w oddali.

Rozdział 13

–Patrz no! – rzekł Sycylijczyk, trzęsąc odciętą głową kilkuletniego dzieciaka. – Seldżucki pomiot! Dziabnąć mnie chciał! Nożykiem! Tom mu łeb urznął!

Fabian rżał z uciechy, jednak Kaliksta jakoś to nie bawiło. Czerwony demon nękał go co noc, plując smrodliwą śliną, obezwładniając fetorem śniętych ryb. I powtarzał to swoje Dhjooogeenhes. Nijak nie szło się od bestii uwolnić. Nawet w murach Aleppo Purrhos potrafił znaleźć drogę do komnaty Belzebuba. Przypominał o powinności wobec jego pana.

Kalikst nie mógł przez to spać.

–Zabić Diogenesa... – mruknął, nie kontrolując już tego, co mówi.

–Co? Kogo zabić? – zdziwił się Sycylijczyk. – Bachor chciał mnie ubić, ot co!

–Gamiso malaka! Zabierz to ode mnie! Co mnie jakiś gnój obchodzi?! Po co mi łeb jakiegoś osranego szczyła! Precz mi stąd, głąbie!

Fabian zmył się jak niepyszny, mamrocząc przekleństwa.

Aleppo gorzało. Odkąd miasto opuściły wojska Aleksego Komnena, panowanie w nim objęli krzyżowcy. Aleppo odzyskane – jak to

mówili między sobą, dziwując się, że ludzie basileusa okazali taką lekkomyślność: nie wyplenili seldżuckiego ani saraceńskiego robactwa. Dzielni mnisi-biedacy ochoczo zabrali się do pracy, wypełniając obowiązki, którym nie podolali Rhomaioi. Uliczki Aleppo spłynęły czerwienią: dzielni bojownicy Boga nie patrzyli, czy to Saracen, czy Syryjczyk. Pod nóż poszli Armeńczycy, Żydzi, chrześcijanie i wyznawcy Allaszej herezji. Wszyscy zasłużyli na śmierć – toż tu sami zdrajcy, spiskowcy i kaci!

Belzebuba to jednak nie radowało. Dawniej znalazłby w tym najprzedniejszą zabawę. Teraz jednak, dręczony przez czerwonego śmierzdźla z dwiema głowami, nie potrafił odnaleźć już dawnej radości.

Szedł uliczkami ogarniętego piekłem Aleppo. Wojska Komnena wraz z najemnikami i bandziorami z karnych hekatontarchii, zdobywając miasto, dokonały już swego: gdy krzyżowcy weszli za mury, przywitał ich trupi smród, tureckie głowy zatknięte na tyczkach, zrujnowane mury i płonące domostwa. Zniszczenie i pożoga – pomyślał wtedy Kalikst, jednak prawdziwe pandemonium ujrzał dopiero wtedy, gdy Walentyn, Fabian i reszta kompanii ruszyła, by oczyścić miasto z plugastwa.

–Naprzód, bracia! Bierzta ich! Seldżuka palić i mordować, i zdrajców Armeńczyków razem z nimi! Naprzód, bracia! Nuże! – nawoływał Belzebub.

A jednocześnie czuł, że to wcale nie on komenderuje, to nie jego ludzie z rżeniem i rechotem biegają za każdą żywą duszą, jaka się uchowala w Aleppo. Patrzył na to wszystko jak na zdobną mozaikę w domu jakiegoś wielmoży. Widział płomienie, widział miecze w rękach walczących, widział płacz, gwałt i snujący się wokół czarny dym. Jednak wszystko to było nierealne, odległe, jakby ułożone z kolorowych kamyczków.

Myślał tylko o jednym. Nie, już wyrzucił z głowy chęć zemsty na Piąchulcu. Cały czas nienawidził bydlaka, śmiał się na myśl, że będzie przypiekał mu stopy, że wyłupie oczy, odrąbie ręce i nogi, a potem zostawi okaleczonego kadłubka na pastwę losu i zdziczałych

kundli. Takie wizje nachodziły go niekiedy, jednak co innego wypełniało jego duszę. Czy też to, co z niej zostało.

Czerwona bestia, cuchnący demon nie dawał mu spokoju. Budził go w środku nocy, gdy Kalikst leżał zamroczony winem w objęciach miejscowych dziwek ocalonych przez braciszków z uwagi na ich jakże pożyteczny fach. Purrhos rozpruwał kobietom brzuchy, odrywał głowy, a potem pochylony nad Belzebubem cedził z charkotem:

–Dhjooo-geenhessss... Dhjooo-geenhes!

Raz Kalikst skoczył na demona z szablą, tnąc – jak mu się zdało – prosto w szyję z oczami i nosem. Czerwony stwór sprytnie umknął. A potem łupnął go mocarną łapą, orząc policzki pazurami. Belzebub padł zalany krwią, z dzwonieniem w uchu.

–Zhaaa... Zhabić! – powtarzał cuchnący potwór. Znikał, gdy nadbiegali strażnicy chroniący Strategosa.

Zakonnicy-biedacy wkrótce spostrzegli, że z ich wodzem dzieją się dziwne rzeczy. Raz, że zamiast chędożyć, krwawo rżnie dziwki i odcina im głowy. To jeszcze nie budziło zdziwienia, w końcu rzecz zwyczajna, jedni lubią na łożu, drudzy na stojaka... Ale dla jakiej przyczyny przywódca jest potem taki roztrzęsiony?! Telepała nim gorączka, bełkotał coś nieskładnie, oczy mu lśniły niczym wilkowi ze stepu. Wokół ust toczyła się piana.

–Strategos postradał rozum – zaczęli szeptać między sobą.

–Ja to tam żem od początku gadał, że on jakiś taki... Nie jest nasz, to obcy.

–Wielebny się mylił? To nie jego wskazywało proroctwo?

–Musi, że się pomylił. Zwiódł go szatan. No jak inaczej? Turków i zdrajców Syryjczyków z Armeńczykami pospołu nie chce w boju rezać. Ale z kurwami w łożnicy rozprawia się, jakby bitwę na śmierć i życie toczył. A kurwów nie ma dużo, inni też by chcieli poswawolić.

Co to za wódz, co swym żołnierzom dziwek nie da, chociaż sam już skorzystał?

–Pewnikiem masz rację. To było fałszywe proroctwo. Tak gadali zrazu cicho, niepewnie, później coraz głośniej. Wreszcie Walentyn się zniecierpliwił:

–Co jest, Strategos? Choryś? Zara znajdziem ci medyka. Saraceny są w tym biegłe, co jak co...

–Znajdziecie medyka? Ha, ha, ha! Gdzie, jak żeście wszystkich żywych stałą po gardle potraktowali?! Gdzie tu chcesz, głąbie, najść jakiegoś medyka, ha?

Kudłacz wzruszył ramionami.

–No to Rościslawa zawołamy. On też zna się na zdrowotnych miksturach i ziołach. Ranę umie opatrzyć i gorączkę zbić.

–Nie trza mi Rościslawa – warknął wściekle Belzebub. – Nie trza mi żadnego medyka, choćby i biegłego Saracena!

–To co, Strategos? Czemu nie prowadzisz nas na chwałę Boga do następnej bitwy? Czemu dziwkom brzuchy rozpruwasz, a nie chcesz dalej wieść krucjaty w imię Pana?

Kalikst nie miał dłużej do niego cierpliwości.

–Precz mi z oczu, durna beko sadła! I tak nie zrozumiesz, szkoda nawet na ciebie języka strzępić!

A gdy Walentyn zamarł zdziwiony, sądząc że to żart, Belzebub wyrwał z pochwy szablę i ciął tamtemu nad głową. Kudłacz z sapaniem i gniewnym mruczeniem poszedł w swoją stronę.

* * *

Tej nocy Kaliksta znów dopadł demon. Obudził fetorem ryb, ale z zaślinionej gardzieli nie wydobył się żaden dźwięk. Purrhos cicho poświstywał przez nos, smutno patrząc na swego Pana. W łapach tulił niczym dziecię zakrwawioną wątrobę wyszarpniętą komuś to z trzewi.

–Czego chcesz?... Czego...? – wymamrotał Belzebub. Po tym wszystkim widok i zapach demona przestał budzić w nim obrzydzenie i strach. Przygniatały go tylko zmęczenie i rezygnacja.

Zwłókł się z łoża i trąc powieki, doczłapał do fotela w rogu komnaty. Niegdyś ten pokój musiał zajmować nie lada wielmoża. Syryjczyk lub Seldżuk, dobrze postawiony, bo opływał w zbytki. Ściany pokryte kilimami, zdobione tace, dzban na wino, kielichy z wielkimi jak pięść rubinami, szable ze złotymi rękojeściami zawieszane na ścianie. No i ten baldachim spływający barwnym jedwabiem.

I krew na suficie.

–Czego chcesz, śmierdzielu?! Będziesz długo mnie dręczył?...

Czerwony demon nie wydał nawet jęknięcia. Wpatrywał się szklanym wzrokiem w Belzebuba i tylko cicho fukał, oddychając, jakby mu brakło powietrza.

–Wiem, tak, wiem... Mam zabić uzurpatora. Wiem. Pamiętam. Ale dlaczego właśnie teraz? Dlaczego teraz mnie nachodzisz co noc i dręczysz swoim smrodem? Dlaczego nie miesiąc temu ani dwa?

Bo dopiero teraz Diogenes ruszył na wojnę i nie chronię go barbarzyńskie demony – przemówił niespodziewanie stwór. A właściwie nie tyle przemówił, co Belzebub usłyszał go w myślach. Głos bestii rozbrzmiewał mu wewnątrz głowy basowym tonem niczym ryk bawołu. – Dopiero teraz możesz go zabić.

–Gamoto! Ty potrafisz mówić?! Jak człowiek? – Kalikst mało nie spadł z łoża.

Mogę i nie mogę. Mogę w myślach twych, nie mogę w dźwiękach. Ty zabij. Zabij!

–Dlaczego...? Dlaczego dopiero teraz do mnie mówisz?

Wcześniej nie było o czym... Wcześniej Diogenes schowany za ochronnym kręgiem demonów, nie mogłeś go zabić. Teraz możesz. Teraz jest już w Antiochii. Jest tu niedaleko. Musisz porzucić ich. Porzucić tych... Iść. Musisz iść, wracać do Antiochii i zabić uzurpatorów. Pan każe... Paaan!

Belzebub bezwiednie przytaknął: Tak, tak, masz racje, demonie. Przecież Pan mi kazał. Mym zadaniem jest zabić basileusa i jego krew wessać do kanalików puginału. Tak, jak polecił Pan. Taki wydał mi rozkaz, a ja jestem temu posłuszny.

Zaraz jednak przyszła inna myśl: Czarny Mnich, kim on jest? Kim jest i czego ode mnie chce? Teraz ja jestem panem, ja tu rządę, a na moje rozkazy są dwie dziesiątki tysięcy gotowych na wszystko krzyżowców, dzielnych wojowników za wiarę. Dlaczegoż mam się wysługiwać jakiemuś mnichowi z dalekiej krainy, który nie ma nade mną żadnej władzy? Nie ma nic... poza tym demonem.

Purrhos jakby słyszał te myśli. Wbił się Kalikstowi w głowę swoim widmowym zawodzeniem:

Pan dał ci czas, byś mógł odnaleźć nowego siebie i przygotować się do swej misji. Teraz nie ma odwrotu, Teraz nadszedł czas, a ty nie masz drogi ucieczki. Zabić Diogenesa masz. Zabić. Uciekać nie możesz. Twoja armia nie pomoże. Zabiję ja ciebie.

Demon opuścił wzrok i spojrzał na trzymany w łapach strzęp ludzkiego ciała. W nagłym ataku głodu wgryzł się w wątrobę, tryskając na boki krwią. Gdy skończył posiłek, bez jednego dźwięku ruszył ku wyjściu. Nim Belzebub zdążył wykonać choćby ruch ręką, zniknął w mroku nocy.

Kalikst skoczył w ślad za nim. Rozwarł szeroko drzwi.

Za progiem na podłodze leżało zmasakrowane ciało Rościstawa.

* * *

Nazajutrz, gdy Belzebub raczył się na śniadanie przednim winem z Cypru, przyszedł Walentyn.

–Strategos – rzekł – ja muszę z tobą dwa słowa zamienić.

Kalikst rzucił mu niechętne spojrzenie. Niespiesznie odgryzał małe kęski z baraniego udźca. Popijał chłodnym trunkiem o żółtawej barwie.

–To jest bardzo ważna rozmowa. Muszę z tobą jedno wyjaśnić. Zdradzić ci pewną tajemnicę – zachęcał Kudłacz, roztaczając wokół woń zjełczanego tłuszczu i winne wyziewy.

–No czego?

Tamten rozejrzał się nerwowo, podrapał po brodzie i szepnął:

–Nie tu. Chodźmy stąd, gdzie indziej... Przejdźmy się po mieście. Złe uszy słuchają. A to ważna rzecz.

Belzebub ledwie się powstrzymał, by nie zrzucić go ze schodów. Ostatnio wszyscy coś od niego chcieli. Nakłaniali do rzeczy, na które nie miał ochoty. Jednak ruszył niechętnie, otarłszy palce w jedwabny obrus.

–Pamiętasz, Strategosie, proroctwa? Cztery znaki, po których

wielebny Zachariasz rozpoznał, że to ciebie dotyczy przepowiednia?

–Ogień, woda, ziemia, powietrze... Tak, takie było proroctwo. I cóż z tym?

–Ano się wielebny skapował, że to nie ty.

Kalikst spojrział gniewnie na Walentyna. Czuł nadciągające problemy wdzierające się w jego nowe życie niczym hałaśliwa horda ze Wschodu.

–Jak nie ja? Przecie to ja!

–Toż ja nie gadam nic o proroctwach. Jestem tylko prosty człek, miecz wiem, jak trzymać i jak nim śmierć zadawać. O boskich znakach i wyroczniach nie mnie sądzić. To wielebnego przeznaczenie. Tyle, że to właśnie wielebny teraz prawi, że się omylił. Żeś ty nie jest naszym Strategosem z przepowiedni. Bo ledwie żeśmy weszli do Aleppo, to miast na rzeź nas prowadzić i do boju porwać, chodzisz, jakbyś rozum postradał. No i ten Rościsław...

–Przecie mówiłem. Nie jam go ubił. To czerwony demon o dwóch głowach go posiekał, rozszarpał, by zasiać we mnie strach. Wielebny najlepiej powinien wiedzieć, że i Pana Naszego demon kusił, a cóż mnie dopiero!

–Gadają, że żadnego demona nie było. Nikt go nie widział. Mówią, że to tyś naszego brata pomordował, choć on nawet miecza nie nosi. Zaczęli nasi różne rzeczy głądzić.

–Ciekawe nader... No i co z tym teraz?

Niby od niechcienia oparł dłoń na rękojeści szabli. Ta rozmowa podobała mu się coraz mniej. A więc mówią, że nie jest już Strategosem Boga?

–Ja tam nie wiem. Widzę, żeś chwał, co się zowie, i potrafisz

wzbudzić w ludziach zapał do walki o słuszną sprawę. Wiem, że umiesz mieczem wywijać i niestraszny ci ogień walki. A dla mnie to najważniejsze, nie tam jakieś prorocтва czy inne klesze wydumanki. No widzę, żeś swój chłop. Tylko że...

Belzebub zaśmiał się nerwowo. Naprawdę niewiele brakowało, by wyszarpnął szablę i odciął ten brodaty, kudłaty łeb bełkoczący coś na jego temat. A kim ty jesteś, koproskilo, by oceniać mnie, Strategosa Boga, Kaliksta Belzebuba!?! – miał na końcu języka.

Jednak nie. Powstrzymał złe myśli. W końcu Walentyn nie okazywał – póki co – wrogich zamiarów.

–No mów, skoro żeś zaczął!

–...Tylko że jakeśmy zdobyli Aleppo, to niektórzy zaczęli gadać, że nie ma w tobie wiary ani zapału. Że nie rzniesz saraceńskich pomiotów jak przystało na chrześcijanina, że brzydzisz się krwią Seldżuka, jakbyś nie na Strategosa Boga był stworzon, tylko na jaśnie wielmożę jakiegoś, co do bitwy o słuszną sprawę nie stanie, bo jest za miękki i strach go ogarnia.

–Łgarstwa! Któż tak twierdzi?! Mówże! – Kalikst złapał tamtego za brodę, przyparł do muru mijanej rezydencji i zaczął szarpać, aż oczy Walentyna nabiegły krwią. Drugą ręką ułapił za gardło i dusił. Giń, gnido! – buzowało mu w głowie w rytm krwi tętniącej w nabrzmiąłych żyłach na skroni. – Zdychaj zdrajco, judaszu! Znam cię! Judasz! Zdrajca!

–Sthra... tegos, przhe... stań... – wycharczał Kudłacz. – Ja... szecie z thobą... thrzyma...

Poluzował uścisk, ale dalej przyciskał Walentyna do ściany domu.

–No więc czego?

–Wielebny gada, że musi znowuż poddać cię próbie i przekonać się, czy to chodziło o ciebie, czy nie. Chce cię poddać próbie żywiołów. Ognia, wody... Po kolei. Jak wyżyjesz, znaczy, żeś nasz.

Belzebub cisnął Kudłaczem o bruk. Nim chłopisko zdołało się pozbierać, przywalił mu pięścią prosto w nos. Chrupnęły kości, na twarz Walentyna spłynęła ciepła posoka.

–Co, pętaku? Co ty, ćwoku, chcesz powiedzieć? O co ci w ogóle chodzi?

–Strategos, przestań...

–Jaki masz w tym interes, żeby mi o tym wszystkim gadać, co?

–No przecież właśnie mówię... A ty walisz po mordzie, jakby nie wiem co.

–Wstawaj. I nawijaj!

Kudłacz niemrawo dźwignął się z kupy błota, rozcierając krwawiący nos. W oczach błyskały mu złe ognie, jednak mówił spokojnie:

–Chodzi o to... Twój poprzednik, zwał się on Eulaliusz Paschalis, zginął bohatersko w boju już dobrych kilka miesięcy temu. Ubili go, gdyśmy jeszcze nie mieli takiej siły. Gdyśmy ogniem tępili herezję i niewiarę wśród Serbów. Ci plugawcy, choć wiarę heretycką jakąś wyznają, siłę w sobie mają niecodzienną, musi diabelską, do bitki są skorzy i w niej wprawni. No i ubili nam wodza w pułapce w górach. Miast wybrać najsilniejszego spośród nas, wielebny czekał na znak. No i po miesiącu przyszło objawienie.

Przerwał, ocierając krew. Zaklął pod nosem i mruknął:

–Wina byśmy wypili, coby nie gadać tak po próżnicy. Gwałtownyś, Strategos, bijesz bez opamiętania. Widać, żeś nasz pan.

Kalikst cierpliwie wysłuchał biadoleń Kudłacza, w końcu jednak doszedł do wniosku, że nic nie osiągnie, waląc go po mordzie i rzucając w błoto.

–Dobra, otworzymy w tawernie bukłak.

Jakiś kwadrans później Walentyn opowiadał dalej już nieco udobruchany:

–Przyszło objawienie. Bóg zjawił się w nocy wielebnemu i powiedział, po jakich znakach rozpoznać nowego wodza.

–Woda, ogień, ziemia, powietrze. Już to wiem, co dalej?

–Od pół roku, miast iść naprzód i zdobywać miasta, błąkami się w poszukiwaniu nowego wodza. Najpierw to wszyscy chodzili jak święci, w uniesieniu, pewni, że zara jakiś cud nastąpi, niebiosy się otworzą i na chmurze spłynie nasz nowy Strategos. No ale później... Nic nie było, mijał miesiąc za miesiącem. Bracia poczęli się buntować, były bitki i mordy między nami. Wielu odeszło, by złączyć się z innymi zakonami.

–To są jeszcze jakieś inne?

–Ano pewno, że są! Jest Zakon Jezusa Króla, co chcą nawracać modlitwą i ogniem, są też Prawi i Sprawiedliwi, którzy powiadają, że to wszystko spisek wiadomych sił. Inni też są, a wszyscy ciągną do Ziemi Świętej. Im więcej nas, tym lepiej, ale musimy być jednością, a nie drzeć koty ze sobą i tworzyć nowe bractwa tylko po to, by później walczyć o wpływy.

Kalikst sapnął z niedowierzaniem. Prostak i cham, jakim się jawił Kudłacz, teraz pod wpływem wina potrafił zdobyć się na niegłupie myśli.

–No i potem, jakżeśmy cię znaleźli, to wszystkim było za jedno, czyś ty ten z wizji, czy przybłąda jakiś. Byłeś mógł nas poprowadzić. Chcieli wszyscy, coby wielebny przestał gonić za wiatrem i brał to, co Bóg daje, czyli ciebie. Pierw gadał Zachariasz, że tyś nie jest boskim wybrańcem, bo powietrza zabrakło, znaczy czwartego żywiołu. Aleśmy go przekonali, że powietrze to wiatr, co wiał mocno od tygodni. Na to wielebny rzekł, że owszem, wicher duje, ale żywiołu ziemi nie pokonał, co znaczyć miało, że się nie liczy. I dalej mówił, żeś nie nasz. Ale jam go przekonał, Strategos. Bo przecie

nie zawsze żywiły walczą przeciw sobie. Czasem wespół idą. Koniec był taki, że wielebny uznał cię za naszego posłańca od Boga. Za wodza.

–Zaiste, nie błędził dłużej – pokiwał głową Belzebub, uważnie przyglądając się Walentynowi, czy czasem nie łże. Wyglądało jednak, że mówił prawdę.

–Ano. Ale teraz znów go naszło. Gada tak: Trzeba go poddać próbie jeszcze raz. Znaczy najpierw ogień...

Kudłacz zawiesił znacząco głos. Rozejrzał się na boki jakby w obawie, że ktoś będzie podsłuchiwał. Że później doniesie.

–I co z tym ogniem? – Kalikst napełnił mu kubek winem. Stuknęli się.

–Ogień, Strategos. Ogień! Rozumiesz? Zachariasz każe cię poddać próbie ognia. To jest tajemnica, więc sza! Ja ci tego nie mówiłem! Ale będzie tak: wyciągną cię w nocy z łoża i powiodą na stos. Podpalą. Jak wyżyjesz, to będzie następna próba. Wody. A później ziemi. I powietrza. Wszystkie cztery, jak było w majakach wielebnego.

Belzebub zrozumiał. Zachariasz zawsze zdawał mu się niespełna rozumu, ale teraz jego szaleństwo osiągnęło apogeum. Próba ognia na stosie... Tego nikt nie mógł przetrwać.

–Kiedy to będzie?

–W nocy. Dziś w nocy przyjdą po ciebie. Spętają i powiodą na stos. Podpalą. A jak przeżyjesz, będzie próba wody...

–Ha, ha! Jak przeżyję, powiadasz?

–Tak, Strategos. Mnie też się to wydaje ucieszne. Myślę sobie, że czyś ty od Boga przyszedł, czy też nie, chyba nikomu by taka próba na zdrowie nie wyszła.

–Dobrze gadasz. Nawet Jezus Chrystus był tylko człowiekiem i na krzyżu żywota dokonał. Co tam dopiero na stosie!

–Zatem jest tylko jedno wyjście z tej sytuacji.

Kalikst podrapał się po brodzie.

–Jakoś nic mi nie przychodzi do głowy. Nic takiego, co by mi się podobało.

–To może się nie podobać, ale to jedyny sposób. Musisz zabić wielebnego. Zabić go, nim nastanie północ. Bo inaczej on zabije ciebie. Musisz go zabić tak, by wszyscy bracia nie mieli wątpliwości, że to gniew Boży. A ty to potrafisz, Strategos. Znasz takie sztuczki.

–Ano znam – przyznał Belzebub.

* * *

–Znam ja te sztuczki – mruknął, zatapiając się w mroku. Słońce zachodziło za murami Aleppo, zalewając ulice miasta czerwienią. Czerwień lała się też skądinąd: dzielnym krzyżowcom jeszcze mało było uciech. Rżnęli Saracenów, wyciągając ich z najgłębszych dziur i piwniczek. Przy czym znaczenie słowo Saracen zyskało już dawno całkiem nowe znaczenie: mógł nim być wyznawca Allaha, Syryjczyk, Armeńczyk, nawet Żyd czy chrześcijanin, który nie należał do bractwa i w złej godzinie znalazł się w złym miejscu.

–Ściągnij swą siłą mrok. Przywołaj ciemność, niech okryje cię niczym skrzydła. Niech noc stanie się tobą, a ty stań się nocą – ciągnął swą recytację Kalikst. Biegł po wąskich uliczkach Aleppo owiewany chłodnym powiewem nadchodzącej nocy. Skryty pod płaszczem nocy, niewidzialny dla ludzi.

Musisz zabić wielebnego. Zabić go, nim nastanie północ – te słowa brzęczały mu w uszach jak ponure memento. Ścisnął mocniej rękojeść pugiuału. Jak odebrać życie szalonemu Zachariaszowi, nie budząc podejrzeń jego popleczników? Nie... To niewykonalne. Za mało czasu. Trzeba zaczekać na lepszą sposobność. A nagłe ruchy, nerwowe działania do niczego nie prowadzą. Niecierpliwi przegrywają.

Saraceński pałacyk, który zajmował wielebny, umiejscowiony był w południowej części miasta, nieco na uboczu, z dala od zgiełku śmierci. Niegdyś musiał żyć tam znaczny pan. Za wysokimi murami z białego kamienia rozciągał się pachnący kwieciem, pełen zieleni park. Za nim – rezydencja z różowych kostek granitu ozdobiona zielonymi i czarnymi kostkami, zwieńczona fantazyjną wieżyczką niczym minaret. Zachariasz szybko polubił to miejsce, zapominając o cnocie ubóstwa, którą głosił. Dostępu do pałacyku pilnowali zbrojni o ponurych gębach, z nagimi mieczami lśniącyymi w blasku zachodzącego słońca.

Belzebub wbiegł w bramę do ogrodu, niemal depcząc po palcach strażnikom. Ci go, rzecz jasna, nie widzieli. Szybkimi krokami dopadł gęstwę krzaków dzikiej róży i tam przywarł do ziemi, nasłuchując.

Po parku kręciło się kilku zbrojnych. Braciszkwie, cicho rozprawiając między sobą, przemierzali ogrodowe alejki bez żadnego planu ani rytmu, znać, że fach strażnika był im jednak obcy. To miało swe dobre i złe strony. Dobre, bo łatwo było ich przechytryć, nie wiedzieli, do czego jest zdolny sprytny złodziej. Złe – bo nie znali rutyny i diabli wiedzą, co im mogło nagle strzelić do łbów.

Obserwując ich, Kalikst zyskiwał coraz większą pewność siebie. Nie, te zapite łajzy w niczym nie mogły mu zagrozić. Oni tylko patrzyli. Nie mieli czujnego ucha, więc nie słyszeli, jak Belzebub stąpa główną aleją w stronę wejścia do pałacyku. Dla nich był jeno wiatrem szumiącym pośród liści.

Oparł dłoń na zdobnym uchwycie podwójnych drzwi. Nasłuchiwał. Wewnątrz panowała cisza.

I wtedy zawrócił. Puścił się biegiem ku bramie, nie dbając już o pozory. Drobne kamyczki, którymi wyłożone były alejki, zgrzytały mu pod stopami. Wskoczył na ulicę.

–Zabiłbym cię, wielebny, z niewysłowioną rozkoszą – mruknął do siebie. – Tak bez powodu, bo w sumie nie mam nic do ciebie. Ale na to przyjdzie jeszcze czas...

Teraz biegł z powrotem do miasta. Po trzech klepsydrach dotarł już na miejsce: do starej cytadeli Qal'at Halab. Wieczór był parny, wygrzane za dnia kamienie promieniowały ciepłem, w dali sennie grały cykady, jednak pomiędzy murami ponurej fortecy ogarniał go narastający chłód. Tu mieli swoją siedzibę bracia krzyżowcy. Także Walentyn i Fabian. Ci, jako zaufani wielebnego, zajęli najlepsze komnaty – na ostatniej kondygnacji, wybudowane z myślą o dowódcach.

Jednak wieczorem łatwiej było ich spotkać w sali biesiadnej trzy piętra niżej. Mdłe światło kaganków i ogień buzujący na palenisku rzucały niemrawe światło, w pomieszczeniu panował półmrok. Belzebub zakradł się do stołu, przy którym obaj raczyli się winem. Niewidzialny słuchał, o czym prawią.

–Basileus bije Seldzuka, jakby mu diabeł sprzyjał – bełkotał Sycylińczyk. – Ja tam swoje wiem, on duszę zaprzedał albo co.

–Głupiś! – skarcił go Kudłacz. – Armię silną zebrał, samych wyszkolonych ludzi, dobrze uzbrojonych. Solidów nie żałował na wyprawę. A i jeszcze ma tych najemników, ciężką jazdę i te oddziały straceńców siejące popłoch ciekłym ogniem igró pyr. Głupie Turki nie wiedzą, co to, i pierzchają, jakby im ktoś w tyłki gorące żelazo wraził. Najemniki i straceńcy czyszczą mu przedpole, a cesarz dobija tych, co się ostali. Ot i cała tajemnica.

–Twierdzę Marre zdobyli, jakby to wioska jakaś była broniona przez pastuchów. A nie umocnione miasto! Musi jakaś magia tu być.

Diabelstwo. Gadają, że to ten szarlatan z Kalabrii... Że to on dał moc Diogenesowi, przez to basileus tylko se idzie i wycina w pień Turków. No a teraz Laodyceę zdobywa. Tam się Seldżuki najsilniej umocniły, to przecie ich port najważniejszy. Dam se obie łapy uciąć, postawię jeszcze dwa worki złota, że zdobędzie je magią z marszu, nim Turki głupie zrozumiały, co się dzieje.

Walentyń odrzucił w kąć obgryzioną kość barania. Wziął łyk wina i przeciągle beknał.

–No i bardzo dobrze! Diabły czy magia, i cóż po tym? Toż dla nas lepiej. Pójdą wojaki basileusa, przyjdziemy my i odbierzemy, co nam należne. Ja tu nie widzę nijakiego zmartwienia. Weselić nam się trza. Jeszcze trochę, a to wszystko będzie nasze. Jak Aleppo. No źle ci tu?

–Morza brak... – rzekł markotnie Sycylińczyk. – No a ta pustynia dookoła... To jest gorsze niżli piekło. Gorąco, duszno, to nie jest miejsce dla ludzi.

Kudłacz wzruszył ramionami. Z Fabiana wychodził czasem mięczak, jakby go z wosku ulepili.

–Chłopie, weź się w garść. Chłapnij wina, przekąś i przestań bredzić. Mówię ci, będzie dobrze. Pierw Diogenes pogoni Seldżuków z Laodycei. Później ruszy dalej, a miasto zostawi nam. Weźmiemy miasto, cesarscy nie podejda, bo nas więcej. Morze będzie nasze, tylko port oddamy basileusowi, coby wiedział, że ma w nas przyjaciół, nie wrogów. Zresztą i tak by nas wykurzyli wcześniej czy później. Mogli se odpuścić twierdze w Aleppo, ale port to zupełnie inna sprawa. Tak czy inaczej, w Laodycei se poczekamy. Ostaniemy na dłużej.

–Wielebny nie dozwoli. Będzie kazał iść dalej.

–He, he, wielebny nie będzie miał nic już do gadania. Jeżeli Strategos nie skrewi.

Nagle do sali wparowała nowa gromada krzyżowców. Rechocząc,

zajęli miejsca przy najbliższym stole. Zaraz wylądowały na nim misy z baraniną i dzbany pełne wina. Oraz lampki oliwne. Nagle zrobiło się jasno. Zbyt jasno. Kalikst cofnął się w cień pod oknem. W kącie cuchnęło rzygowinami i moczem, jednak nie mógł ryzykować, że straci osłonę skrzydeł mroku.

Teraz jednak słabiej słyszał, o czym gadają tamci.

–...Strategosa, jak mu rzekłem o próbie ognia, to... – perorował Walentyn. – Nic nie podejrzewa... załatwiona... zabije...

Kalikst postanowił jednak zaryzykować. Wszedł zza kotary i postąpił dwa kroki w stronę stołu. Zamarł skulony, nadstawiając uszu.

–Strategos nie jest taki głupi – przytomnie zauważył Sycylińczyk. – On jest... No jakiś dziwny... Nigdy nie wiadomo, co myśli. Nie wiem, czy tak łatwo uwierzył w twoje bajki.

–Ty się nie martw, ja wiem, że to połknął. Próba ognia to brzmi tak, że każdy by się zestruchał.

Fabian zerknął niespokojnie na boki i szepnął:

–Zabije wielebnego?

–Dziś. Ma dziś to zrobić, tak go podpuściłem. Kiedy już zadźga starego, moi ludzie wyskoczą z ukrycia i go przyskrzynią. Nie wywinie się. Upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Najpierw załatwimy Zachariasza, a później usuniemy z drogi Strategosa. Powieszają go na najbliższym drzewie za morderstwo wielebnego. A później...

–Tego jeszcze żeśmy nie ustalili – wszedł mu w słowo Sycylińczyk.
– O tym, kto stanie na czele bractwa...

Kudłacz trzasnął go pięścią w szczękę. Fabian runął w tył, zalewając się krwią.

Nikt nie zwrócił na to uwagi.

–Myślałem, że już sobie to wyjaśniliśmy...

Belzebub nie słuchał wściekłych przekleństw Sycylijczyka. Sunąc wzdłuż ściany, ruszył ku wyjściu. Nikt go nie zauważył.

* * *

Noc zapadła na dobre i nie musiał się już kryć w załomach murów. Biegł środkiem ulicy złączony duszą i ciałem z mrokiem, niewidoczny, cichy jak nietoperz. Gdy mijał znudzonych strażników w bramie pałacyku wielebnego, brakowało dwóch godzin do północy. Ścisnął rękojeść puginału i przemknął do wejścia.

Odsłonił skrzydła ciemności, stając przed drzwiami komnaty Zachariasza.

–Zabiłeś... Za... Ale... – bełkotał starzec, gdy usłyszał, co ma do powiedzenia Belzebub.

–Tak, wielebny. Zabiłem Walentyna Kudłacza i Fabiana Sycylijczyka. Jednego po drugim. Pierwszemu poderżnąłem gardło, gdy szedł do dziwki upojony winem. Śpiewał jakąś sprośną piosenkę o chędożeniu, ale jej nie dokończył, bo krew go zalała, ha, ha, ha! Sycylijczyka ubiłem prościej, wsuwając mu ostrze puginału pod żebra. Poszedł szukać swego kompana. Znalazł go i w tej samej chwili powędrował do piekła. Dwa zimne trupy!

Kalikst wyszarpnął zza pazuchy nóż i błysnął ostrzem przed nosem Zachariasza.

–Przypatrz się dobrze, starcze! Tym zabiłem Fabiana. Mam jeszcze

drugie ostrze, moją umiłowaną szablę saraceńską. Nią przeciąłem gardło Walentyna.

Wielebny cofnął się w głąb komnaty. Ze strachu dłonie drżały mu niczym liście na wietrze, oczy lśniły jak kaganki oliwne.

–Przestań! – krzyknął, oblizując spierzchnięte usta. – Po co... Po co mi to mówisz?! Czego chcesz?! Zawołam...

–Swoje strażę? Nie zawołasz, bo ci tutaj, co pilnowali piętra, leżą bez czucia skrępowani jak barany wiezione na rzeź. Tamci na dworze nie usłyszą twoich jęków. Jesteś zdany na mnie.

–Chcesz mnie... zabić? Ty, Strategos Boga?

–Tak, te dwa ostrza przygotowane zostały dla ciebie, wielebny. Nim nadejdzie północ...

Zachariasz z niespodziewaną jak na swój wiek siłą odepchnął Kaliksta i rzucił się do wyjścia. Szarpnąwszy rzeźbiony uchwyt, jednym ruchem otworzył drzwi.

–Starcze, ty nigdzie nie idziesz! – Belzebub złapał wielebnego za włosy i obalił na ziemię. – Powiem ci, jak jest. Owszem, chciałem cię zabić. Bo nie jestem twoim Strategosem Boga. Bo wasza święta krucjata nic mnie nie obchodzi, nie dbam o to, czy was wyrzną Saraceny, czy to wy ich wybijecie. Tyś mnie namaścił na wodza, na Bożego pośląca, ale myliłeś się. Zacie. Com poużywał, to moje. Nie narzekam. To rozkoszne uczucie pławić się we władzy. Korzystać z uroków życia niczym basileus.

–Co ty mówisz?... Przecież prorocstwo...

–Nie przerywaj mi! Słuchaj! Władza, którą mi oddałeś, straciła swój smak, gdy przyszedł do mnie zdrajca. Walentyn. Tak. On. Rzekł mi, że chcesz poddać mnie próbie ognia, a później wody, powietrza i tak dalej. By sprawdzić, czy na pewno zesłał mnie Bóg.

–Znaki były czytelne. Raz okazane nie pozostawiają wątpliwości.

Próba? Próba ognia, mówisz? Nie, ja nic takiego...

–Wiem – przerwał mu Kalikst. – Teraz już to wiem. Podśluchałem zdrajców. Walentyna i Fabiana. Chcieli, żebym zabił ciebie. O tak! Powiem szczerze, miałem na to ochotę, bo wiedziałem, że przyjdzie czas, gdy odkryjesz, że nie jestem wybrańcem Boga.

–Nie, proroctwo... Proroctwo wskazało na ciebie.

–Ja tam nie wiem. Nie czuję się żadnym Strategosem Boga. Ale co tam... Gdybym nie miał nic innego do zrobienia... – Przed oczami Kaliksta zamajaczyły dwa łby Purrhosa. Aż poczuł smród demona i posłyszał jego słowa: Zaaabiiij. – Gdybym nie miał ważniejszej roboty, tobym se dalej używał życia jako wasz wódz. Tylko żałosne spiski tych dwóch pokazały mi, że nic tu po mnie. Opuszczam więc to miejsce, zostawiam was, krzyżowcy. Musicie znaleźć sobie lepszego Strategosa. Prawdziwego, jeżeli w ogóle ktoś taki istnieje.

Starzec słuchał Belzebuba, powoli uspokajając oddech. Opadł ciężko w fotel i wbił wzrok w podłogę.

–Nie zostawiaj nas. Tyle miesięcy szukaliśmy wodza, który będzie w stanie nas zagrzać do czynów. Poprowadzić do zwycięstwa. Bez ciebie znów nadejdzie czas niepewności, lęku i strachu. Musisz z nami zostać. Jesteś Strategosem Boga, cokolwiek by nie mówiły proroctwa. Nie znajdę nikogo lepszego.

Kalikst zaczął się domyślać.

–Zatem od początku wiedziałeś, że przepowiednia nie dotyczy mnie. Że nie jestem wybrańcem Boga.

–Wiedziałem i co z tego?... Najważniejsza jest wiara, a ci dzielni chwaci wierzyli, że jesteś Bożym posłańcem. To ich czyniło lepszymi. Miesiące po śmierci twego poprzednika Eulaliusza Paschalisa były czasem zwątpienia i chaosu. Bracia tracili wiarę, jęły nimi kierować najniższe pobudki, zapominali o Bogu... Zapominali o słusznej walce w imię Pana. I wtedy natrafiliśmy na ciebie. Proroctwo nie zostało do końca wypełnione, ale któż by o to

dbał?! Ja wiedziałem... Wiedziałem. Musisz więc zostać z nami. Musisz dalej prowadzić nas do walki z Saracenami! Tyle miast jeszcze czeka...

–Żegnaj, wielebny. Odchodzę.

Starzec nie zatrzymywał go.

Kalikst ruszył o świcie.

* * *

Zapach wojny ciągnął się po całej Syrii. Opuściwszy Aleppo, Belzebub skierował się drogą na południe, w stronę Ma'arrat. Znać było, że przeszły tędy wojska, że toczyły się bitwy. Puszczone z dymem wioski, splądrowane poletka, trupy pieczone przez rozpalone słońce pustyni. Nieliczni wieśniacy, widząc zbrojnego jeźdźca, kryli się pośród osmalonych dymem zgliszczy.

A przecież przez tę okolicę miała przetoczyć się jeszcze gorsza szarańcza – krzyżowcy. Ci nie zostawiają za sobą ani żywej duszy, obrócą w ruinę wszystko, co ulegnie sile miecza i ognia. Ta kraina nie poznała jeszcze smaku piekła. To miało dopiero nadejść.

Gdy minął twierdzę, w zapachu dymu i zniszczenia pojawiła się nowa nutka, coraz wyraźniejsza. Smród śniętych ryb. Purrhos.

Wkrótce go dojrzał z dala od drogi. Czerwony demon sadził wielkimi susami, utrzymując równe tempo z koniem Kaliksta. Belzebub nie widział jego mordy, jednak przysiągłby – cuchnąca bestia uśmiecha się zadowolona, że oto nadchodzi ta chwila.

Chwila, dla której Purrhos został stworzony.

Rozdział 14

Trzeciego dnia fetor zgniłych ryb nie wywoływał już w jego brzuchu sztormów, nie dusił w gardle, nie wyciskał łez z oczu. Kalikst wciąż jednak okręcał twarz zawojem i starał się płytko oddychać.

–Dhjooo-geenhes... Zhaaabi... – Czerwony demon nie odstępował go ani na krok. Czaił się w cieniu skał, chowając łby przed światłem wiosennego słońca, i tylko sycząc, powtarzał swoje zaklęcie: – Zhaabiiić, zhaaa...!

–Już ty lepiej przymknij mordę, co?... – powtarzał znudzony Belzebub.

Obserwował obóz basileusa. Przed sobą miał przepaść głęboką na jakieś sto stóp, dalej szeroki pas pustynnego stepu urozmaiconego jeno zżeranymi przez wiatr i słońce skałkami. Wojska cesarza stacjonowały na łagodnym wzniesieniu pokrytym kilkunastoma suchymi drzewkami. Między namiotami kręcili się strażnicy, jednak większość zbrojnych chroniła się przed coraz silniejszym upałem w cieniu, siedząc lub półleżąc pod osłoną płóciennych baldachimów. Nie znać było, że nadciąga największa bitwa, jaka miała spustoszyć te ziemie.

Ten pozorny bezruch niepokoił Belzebuba. Wiedział, że władca jest dobrze chroniony, nawet jeżeli wyglądało to inaczej. Długo nie mógł dojść, gdzie odpoczywa Diogenes. Największy i najbardziej zdobny namiot lśniący w promieniach słońca od drogich kamieni i złotych nici, był w istocie miejscem, gdzie władca zwykł naradzać się ze swymi Strategosami. Dopiero z czasem wypatrzył, gdzie basileus chodził na nocny spoczynek. Jego namiot nie różnił się od tych, w których spali prości żołnierze, jednak został umieszczony w środku koła wyznaczanego przez krąg z wozów bojowych. Tam też kręciło się najwięcej zbrojnych.

Kalikst obserwował więc wszystkie drogi dojścia i ucieczki. Patrzył, któredy chodziły patrole i kiedy Roman IV opuszczał swe schronienie. Spojrzał dalej, na linię horyzontu. Z tego, co już zdołał

ustalić, o jakieś pół dnia drogi, jadąc w kierunku Laodycei, rozciągał się drugi obóz, dowodzony przez Aleksego Komnena. A w nim kompani Belzebuba – Wit Wodnik i Waldemar Jałmużnik, o ile przeżyli i nie dołączyli w zaświatach do Muhammada i Nicetasa. No i ten zdrajca, Tyberiusz Piąchulec... Belzebub splunął na myśl o nim. Każdej nocy zasypiał, śniąc o katuszach, jakie będzie zadawał setnikowi, gdy już go dopadnie. Nikczemnik nie zginie zbyt szybko. Jego śmierć trwać będzie całą dobę albo dłużej!

Najpierw jednak czekało ważniejsze zadanie: zabić uzurpatora Diogenesa.

Oderwał wzrok od falującej w słońcu pustyni i wycofał się między skały, tam gdzie rozbił swoje obozowisko. Za dnia bał się palić ogień, by dym nie zwabił ludzi basileusa, musiał więc zadowolić się resztkami wczorajszego posiłku – mięsem chudej kozy, którą dwa dni wcześniej ukradł w jednej z wiosek. Było łykowate, a do popicia miał tylko mętną wodę, jednak nie narzekał. Ogryzł kości do ostatniego włókienka, opróżnił bukłak i ułożywszy się pod skałą, czekał, aż zapadnie mrok.

* * *

Wieczór przyniósł nagłe ochłodzenie. Ziemia i kamienie szybko traciły ciepło zebrane za dnia, a od morza ciągnął zimny podmuch. Kalikst zerwał się z legowiska i przez dłuższą chwilę skakał, przywracając żywsze krążenie krwi. Rozciągnął mięśnie, a potem pochylił się nad wygasłym ogniskiem. Wygarnął z popiołu kawałki spalonego drzewa. Startł je na kamieniu, po czym przyczernił twarz i wierzchy dłoni. Musiał być gotów na każdą sytuację, nie zawsze i nie wszędzie mogły go chronić skrzydła cienia.

Z niechęcią skrył między skały swoją ulubioną szablę. Ta broń

towarzyszyła mu nieprzerwanie od początku, gdy stał się nowym człowiekiem... Od monastynu Czarnego Mnicha. Przeszedł z nią wszystkie bitwy i potyczki, nie zgubił jej nawet wtedy, gdy zdrajca Piąchulec wydał go na śmierć. Trudno, teraz nie mogła mu w niczym pomóc. Tylko przeszkodzić w cichej robocie skrytobójcy.

Zabrał więc puginał, ten z kanalikiem na krew Diogenesa, noszony jak relikwia w skórzanym pokrowcu zawieszonym na piersi, oraz dwa inne noże. Okręcił się w pasie liną i ruszył w dół zboczem. Wąski sierp księżycy ledwie oświetlał drogę, niekiedy nikł za chmurami.

Rybi fetor z nieustanną siłą drażniący nozdrza, sugerował, że Purrhos wlecze się gdzieś za nim. Kalikst przystanął.

–Trzymaj się ode mnie z daleka! Czuć cię na sto kroków, a to mi nie pomoże. Ja przywykłem już, owszem. Ale strażnicy uzurpatora od razu zwachają, że coś jest nie tak. A więc zostańże tu czy gdziekolwiek! Nie leż za mną!

Czerwony demon posłuchał. Smród opadł. Kalikst puścił się lekkim biegiem do obozu Romana IV.

* * *

Wieczór rozpalił w obozie dziesiątki ognisk, odszpuntował beczki z winem, nabił na rożny mięsiwa. Rozbrzmiewał głosami tysięcy wojów krzepiących się w ostatnią spokojną noc przed bitwą. Oślonięty skrzydłami mroku Belzebub przeniknął przez pierwszą linię posterunków straży.

Diogenes znów posłużył się Komnenem i naszymi ludźmi – myślał Kalikst, przemykając między ogniskami. – Puści ich w przód, a sam

będzie oglądał bitwę z daleka. Wejdzie dopiero na dymiące zgliszcza...

Przebiegł jeszcze kilka kroków i padł na ziemię, bo szli strażnicy. Nie widzieli, go, ale wolał nie kusić losu. Blask ognisk odbierał mu niewidzialną osłonę.

–Turki są głupie i tchórzliwe – perorował z przekonaniem jeden z wojów, chrzęszcząc zbroją. – Jak basileus ich wykurzy z portu, to cała północna Syria będzie nasza. A ja mówię, że oni od razu czmychną do Saracenii, tam na wschód daleko, bo wojownicy z nich żadni. Wojna się skończy.

–Głupiś – rzekł na to drugi. – Teraz się dopiero zacznie wojna. Co z tego, że oddali kilka miast? Nie mieli tu zebranych sił, a posiłki atabega z Mosulu to jedna drobina tego żywiołu. Oni są jak piasek zasypujący pustynię. Będzie ich więcej i więcej, bez końca...

Strażnicy przeszli, niczego nie spostrzegając, a Kalikst, lawirując między kolejnymi patrolami, dobiegł do wewnętrznego kręgu namiotów. Pośrodku znajdowało się schronienie cesarza. Na razie jednak panowała tu cisza, nienaturalna cisza.

Upewniwszy się, że w pobliżu nikogo nie ma i nie czeka go żadna niespodzianka, wskoczył na jeden z wozów. Wypełniały go beczki ze świeżą wodą dla władcy i z trudem udało mu się wcisnąć tak, by nikt go nie dojrzał. Naciągnął zawój głębiej na twarz, oparł łokcie na kolanach i zamarł bez ruchu.

Musiał doczekać, aż ucichną głosy w obozie, a Diogenes uda się na spoczynek.

* * *

Nim wyszedł z ukrycia, minęło pół nocy. Księżyc przewędrował po nieboskłonie, tnąc na pół Drogę Mleczną. Kalikst przywołał słowa swej modlitwy do mroku, by na nowo otulić się skrzydłami cienia.

Niewidzialny przeszedł na palcach w stronę namiotu basileusa. Przed wejściem tkwili dwaj warescy gwardziści. Z tyłu dostrzegł sylwetki dwóch kolejnych. Pilnowali, by do władcy nie przedarł się żaden intruz. Byli gorliwcami i wiernymi psami Diogenesa i to nieco komplikowało plany Kaliksta.

W tej sytuacji miał dwie możliwości. Podkraść się z boku i po cichu wykroić dziurę w namiocie. Lub też wniknąć od frontu, przeciskając się między wojami, licząc, że go nie wyczują. Po zastanowieniu się, wybrał jednak ten pierwszy pomysł. Padł na ziemię i powoli czołgał się w stronę namiotu. Stopa po stopie, piędź po piędzi.

A później nóż. Krótkie cięcie, otwór długi na łokieć. Nikt nie usłyszał dźwięku rozdieranej materii. Nikt nie widział – bo nie mógł – jak wślizguje się do wnętrza namiotu basileusa.

W środku było jeszcze ciemniej niż na zewnątrz. Kalikst odczekał, aż wzrok przywyknie do czerni. Wkrótce zaczął rozróżniać kształty przedmiotów. Pośrodku stało wysokie łóże.

Basileus spał spokojnie, leżąc na wznak z ramionami rozrzuconymi na boki. Z lekko rozchylnych ust wydobywał się chrapliwy warkot.

Nic prostszego – pomyślał Belzebub. – Mogę go zarżnąć jak głupiego baranka.

To wzbudziło w nim podejrzenia. Wszystko poszło zbyt łatwo. Zbliżył się na palcach do wyjścia z namiotu i spojrzał przez poły. Waredzy stali nieruchomo niczym skalne posągi.

To nie jest Diogenes – przyszło mu nagle do głowy. – Jakiegoś dziadka podstawili, coby zwieść na manowce skrytobójców i zamachowców.

Przyjrzał się uważnie twarzy śpiącego. W mroku niewiele widział, tylko kształty. Czy starzec miał tę bliznę na skroni, pamiątkę po ranie zadanej przed laty podczas wojny w Bułgarii? I tę drugą, na ramieniu, źle zasklepioną ranę po strzale z tureckiego łuku? Kalikst, upewniwszy się, że mężczyzna śpi głęboko i nie obudzi go dotyk, musnął jego twarz. Tak, miał bliznę, wyraźnie wyczuwalne zgrubienie.

Był też ślad po seldżuckim grocie na ręku. To jednak leżał przed nim Roman IV Diogenes, basileus Rhomaiôn we własnej osobie.

Belzebub nie tracił już więcej czasu. Sięgnął po puginał Czarnego Mnicha. Delikatnie przejechał palcami po ostrzu. Głownia o wężowatym kształcie pokryta była płaskimi rytami. Przekręcił pierścień u nasady rękojeści, wtedy odblokowała się wewnętrzna zapadka, otwierając kanalik na krew.

Chwycił mocno broń i wzniósł rękę do ciosu.

–Diogenes, uzurpatorze... – szepnął. – Pozdrów diabolołów w piekle.

Naraz posłyszał nad głową szum ptasich skrzydeł. Para jastrzębi zataczała wąskie koła, trąc piórami o płótno namiotu.

–Cóż to? Sowa się kołacze?... – mruknął jeden ze strażników.

–To nie sowa... Patrz, to jastrzębie!

–Jastrzębie po nocy? Czary jakieś?

Ptaki zniżyły lot, bijąc pazurami o płótno.

–Kjek, kjek, kjek! – rozległ się nagle wrzask drapieżnika. Chrapliwy i ostry. Zaraz odpowiedział mu drugi ptak, samiczka:

–Kje-ek, kje-ek, kje-ek!

Jej głos był cichszy, za to bardziej melodyjny.

Kalikst wypuścił puginał i złapał się za głowę. Poczł nagły ból, jakby ktoś wlał mu pod czaszkę rozgrzany ołów. W uszach załomotała lawina spadających głązów. Przed oczami załśniły czerwone i fioletowe kręgi.

Ten głos! Skrzek tego ptaka! Było w nim coś znajomego. Nazbyt znajomego! Krzyk jastrzębia obudził w Belzebubie jakieś odległe wspomnienie... Nie wiedział czego. Nie pamiętał. Nie rozumiał.

–Co...? Co się dzieje?... – wybełkotał z wysiłkiem.

–Kjek, kjek, kjek! – wrzasnął znowu jastrząb, a wtedy Kalikst padł z charkotem na kolana. Poczł nagle, że traci pewność siebie, tę nienawiść i złość, która dotąd nim kierowała.

Na zewnątrz zrobił się jeszcze większy harmider.

–Ptaki... Dwa... Nie, to nie sowy... Jastrzębie albo orły! Co z tego, że w nocy nie latają?! Te latają! Coby tylko się basileus nie zbudził... – mówili do siebie Waredzy.

Wkrótce przysli ci z tyłu zwabieni dziwowiskiem, po nich następni dwaj stojący wcześniej za wozem z wodą.

–Kjek, kjek, kjek!

Czerwono-fioletowe kręgi pojaśniały, nagle Belzebub zaczął rozróżniać nowe kształty. Widział jakieś ciemne lochy jakby w zamku... Nie! To była jaskinia! A w niej on ze swoją szablą. I dziewczyna rozpięta na krzyżu z grubych bali. Widział, jak płacze. Słyszał, jak go błaga. Przerażenie w jej oczach i gasnąca miłość. A później błysk ostrza, okrutny śmiech, jego śmiech i koniec.

–Zoe... – wyszeptał. – Zoe...

Za chwilę zobaczył inne obrazy. Była noc. Konstantynopol. Szli na robotę ubrani w czarne złodziejskie stroje. Biegli w cieniu domów, kryjąc się pod drzewami aż wreszcie dotarli do wysokiego muru.

Rezydencja bogatego kupca italskiego, który zbił fortunę, handlując bronią przewożoną między Genuą, Konstantynopolem a Lewantem. Tego dnia dostali zlecenie od konkurenta, który uprawiał ten sam proceder, tyle że z mniejszą skutecznością. Powiedział tylko: Kradnijcie dla siebie, ile zdołacie unieść: złoto, papiery przewozowe, co tam chcecie. A czego nie dacie rady wynieść, zniszczcie, podpalcie, rozsypcie... Żeby drań poznał smak niepewności i wiedział, co to strach.

Stanęli pod murem. I wtedy... Zamiast wspiać się po linie i przeskoczyć na drugą stronę, Zoe przywarła do niego, obejmując go ramionami. Poczował jej usta – wilgotne, pełne miłości, wiecznie niespełnione. Jej dłonie błędzące pod fałdami tuniki, gwałtowne bicie serca i krótki, urywany oddech. Odwzajemnił jej pocałunki, spijając z nich całą słodycz i czułość.

Nagle go odepchnęła, śmiejąc się.

–Mamy robotę, mój demonie miłości... Nie możemy się tak obściskować jak wieśniacy w pszenicy. Skacz przez mur, a ja za tobą!

Zoe! Zoe! Zoe!

To wspomnienie spadło na niego jak pękające niebo. Poczował uścisk na sercu, tracił dech.

A później znowuż: widział jak ją zabija, jak dźga jej kształtną pierś zimnym ostrzem szabli. Jak rechocze uradowany jej nieszczęściem.

–Zoe! Zoe, przebacz mi! – krzyknął, nie dbając już o nic.

–Kjek, kjek, kjek! – wrzasnął jakby w odpowiedzi jastrzęb i zaraz zawtórowała mu samiczka: – Kje-ek, kje-ek, kje-ek!

–Hola! Kto tu?! – Waredzy wpadli do namiotu władcy. Zaśniły pochodnie. Szczęknęły miecze. – Skrytobójca! Łapać go! Zabić!

Padł zemdlny. Puginał z demonicznymi rytmami leżał daleko wbity w

ziemię.

Od śmierci pod mieczami Waregów uratował go basileus.

–Pochwyćcie go – rzekł, zeskakując z łoża. – Skujcie go łańcuchami. Chcę wiedzieć, co to za jeden i kto go nasłał.

* * *

–Chcę wiedzieć, co to za jeden i kto go nasłał – powtórzył podniesionym głosem Roman Diogenes swojemu doradcy, wbijając weń wściekłe spojrzenie. – Bo przecież nie jest to ten skrytobójca, o którym tyle słyszałem. Przecie on już oddał ducha Bogu, czyż nie?

Konsul Filozofów poczerwieniał. Odwrócił twarz, by władca nie widział zmieszania i paniki wykrzywiającej jego spokojne oblicze. Zakaszłał i rzucił półgębkiem.

–Kto go tam wie...

–Co mówisz, Italosie? Głośniej, nie słyszę, co tam mamroczesz!

Starzec czuł narastający niepokój ciężący niczym kamienna kula zawieszona u szyi. Władca był rozsierdzony jak nigdy, a jemu przed oczami stanęły te lata poniewierki, gdy patriarcha Kosma i jego ludzie za punkt honoru postawili sobie skazać barbarzyńcę z Zachodu na wygnanie lub śmierć.

–Panie... – wymamrotał filozof. – To w istocie jest ów zabójca, który przysporzył nam tylu kłopotów.

–Ten, którego rozszarpał twój basiliskos? Ten, którego śmierć widziałeś w swoich magicznych ognikach?

–Panie, ja wiem! Ja rozumiem! Raczysz teraz sobie ze mnie kpić i jak na to spojrzeć tak za boku, to owszem, masz rację. Bo uważasz, że skłamałem.

–A nie skłamałeś? Miał nie żyć! A żyje!

Mędrzec powoli odzyskiwał rezon. Bardzo chciał powiedzieć: Ołgałem cię, panie, bom już dłużej nie mógł znieść, że kryjesz się za moimi prorocत्वami jak zajac. Że boisz się stawić czoła zagrożeniom, na mnie zrzucając kwestię swego bezpieczeństwa. Żeś ode mnie uzależnił losy swojego cesarstwa, a me słowa winny być dla cię jeno wskazówką, a nie wyrocznią. Poświadczyłem nieprawdę, bo nie chciałem, by strach dłużej krępował cię pętami niemocy.

Tego rzec nie mógł, bo nawet najbardziej dobrotliwy władca nie zdzierżyłby takiej zniewagi. Zachował więc te przemyślenia dla siebie i postanowił skierować uwagę Romana Diogenesa w inną stronę.

–Mój panie! Ten człek nie jest zwykłym opryszkiem. Jest ogarnięty władzą demona i to demon daje mu witalną siłę, która przywraca go do życia po śmierci!

Italos przerwał, chcąc nadać swym słowom większej mocy. Skrzywił się teatralnie, by władca nie miał wątpliwości, że mają do czynienia z siłami nieczystymi.

–Mów dalej – rozkazał basileus. – I nie rób scen jak kuglarz na hipodromie. Tłumacz!

–Pamiętasz, ilekroć go oglądałeś w wizjach, czerpiąc siłę z magicznego ognia, zawsze otaczała go mroczna aura. Nigdy nie mogliśmy dojrzeć jego twarzy ani usłyszeć prawdziwego głosu jego mocodawców. Nieraz byliśmy już na jego tropie, już niemal wiedzieliśmy, kto zacz i jak go zabić. Zawsze jednak ktoś, a może coś, jakaś siła, stawiała nam na drodze. Kto przywrócił skrytobójcę do życia? Jaki demon nim włada? A zresztą to nieważne! Co

innego jest ważne!

–Kto chce mojej śmierci? Kto go nasłał?

–Tak, panie! Tylko to się teraz liczy. Wierzę, że uda nam się z niego wydobyć całą prawdę torturami. A później wydać katu. Najpierw odciąć głowę. Później poćwiartować, członek po członku. Każdy z nich następnie spalić w innym miejscu, w osobnym ognisku. Po tym demon już się nie odrodzi, a twój zabójca nie będzie ci więcej zagrażał.

–Dobrze, zatem niech śpiewa ptaszek. Chcę wiedzieć, kto stoi za spiskiem.

* * *

Siedział skuty kajdanami jak galernik, zamknięty w klatce dla dzikich bestii z Afryki. Było mu to obojętne. Duchem błąkał się z dala od tego miejsca.

W głowie wciąż słyszał wrzask jastrzębia: Kjek, kjek, kje! Ptasi głos dźgał go gdzieś w sam środek serca jak mały puginał. Zatrwał krew, nie pozwalał zebrać myśli.

Co to za ptak? – nieustannie powtarzał sobie to pytanie. – Dlaczego mnie nęka? Dlaczego jego krzyk wydaje mi się tak znajomy...?

Do klatki podszedł basileus Diogenes.

–Panie, ostrożnie – ostrzegł go Italos. – Jest skuty, ale wciąż może rzucić na ciebie zły urok. Wystarczy mu złe spojrzenie...

–Nie wygląda mi na takiego... Coście mu za miksturę zadali?

Trzęsie nim, jakby miał zaraz wypluć język.

–Nic, panie. To musi być zła magia, która teraz z niego uchodzi. Nie radzę się zbliżać.

To jeszcze bardziej rozochociło władcę. Sięgnął po szablę i wsadził jej koniec między pręty. Drasnął jeńca w ramię. Ten nawet nie jęknął. Toczył rozbieranym wzrokiem, jakby w ogóle nie dostrzegał, co się dzieje.

–Mówże! Kimże jest twój pan? Z czyjego działasz zlecenia?

Mój pan?... – myślał Belzebub. – Kim jest mój pan, no właśnie?...

Nie pamiętał. Nie wiedział. Czało się w nim niejasne wspomnienie mrocznej mocy, siły potężnej jak głębia morza, bezkres oceanu, wyniosłej jak najwyższe szczyty pokryte czapami śniegu. W zakamarkach pamięci przechowywał wspomnienie strachu i niepewności, jakie wiązały się z obcowaniem z cieniem, z jego głębią i zimnem. Z kim? Z czym? Odkąd usłyszał wrzask nocnego jastrzębia, nie mógł sobie przypomnieć. Nie wiedział, kim jest, kim był, dokąd podążał.

Z czasem wygrzebał z otchłani zapomnienia jakieś strzępy. Konstantynopol... Gildia złodziei... Wtedy nie miał żadnego pana nad sobą. Był lojalny wobec organizacji, wykonywał pewne zadania, ale nikt nie był dysponentem jego woli. Mógł robić, co uznał za stosowne i warte uwagi.

Mistrz Atanazy? Nicetas? Zoe?

Tak! Piękna Zoe! Jego wierna towarzyszka, jego najlepszy przyjaciel, jego... kochanka.

Powoli wracała mu świadomość dawnych chwil. Obrazy z przeszłości uderzały w niego niczym kamienna lawina, rozbudzając ukryte wspomnienia.

–Zoe... – wyszeptał. – Zoe, ja cię zabiłem... Kochana... To nie

może być! Ja cię zabiłem!

–Zoe? – czujnie podchwycił basileus. – Kim jest Zoe? Czy to twój mocodawca? Oj, chyba nie... Mówże! Co kryjesz?

–Ja... Ja nic nie pamiętam... – wybełkotał Kalikst. – Nie wiem, kim jestem. Te ptaki...

–O co, do diabła, chodzi z tymi ptakami? Dlaczego w nocy zaatakowały mój namiot dwa oszalałe jastrzębie? I dlaczego ten idiota teraz o tym bredzi? To nie ma sensu! Italosie!

–Tak, mój panie!

–Taki jesteś mądry! Konsulem Filozofów się mienisz! Zatem przedstaw mi logiczne wytłumaczenie tej sytuacji! Dlaczego ten głupiec chciał mnie zabić? Dlaczego bełkocze coś bez sensu, miast wydać swego zleceniodawcę i iść na ugodę? I o co, zaprawdę, chodzi z tymi jastrzębiami? Dlaczego te ptaki latają nocą?

Italos bezradnie rozłożył ręce.

–Musi to być...

–Tak tak, wiem. Jakaś ciemna magia! Dość już mam twych kłamliwych słów, które nic nie wyjaśniają, ale mają sprawić wrażenie, że coś wiesz. A ty nie wiesz nic. Więc teraz już zamilcz!

Mędrzec cofnął się, chowając dłonie w połach szaty. Roman Diogenes odrzucił szablę. Wsunął dłoń przez szpary klatki, złapał jeńca za tunikę i rzekł:

–To dzięki tobie Komnen zdobył Antiochię. Ty jesteś tym cichym bohaterem, który wdarł się do miasta i wprowadził tam moich ludzi. Przez wzgląd na to jestem skłonny pójść na pewne ustępstwo. Zapomnę, że cię znaleźli z puginałem przy moim łożu. Żeś prawie spełnił swe zadanie i zatopił ostrze w moim sercu. Chcę tylko jedno wiedzieć: kto chce moje śmierci, kto cię przysłał? Wyjaw to, a daruję ci życie. Zostaniesz wygnany na tereny wroga. Jeżeli

przeżyjesz, uchodząc od szabel Saracenów, to twój zysk. Zatem gadaj! Kto!

Kalikst długą chwilę walczył jeszcze z mrokiem niepamięci, próbując wydobyć z jej bezmiaru coś, co byłoby prawdą, a nie kolejną ułudą.

–Nie pamiętam... Nic nie wiem! – krzyknął rozwścieczony. – Dajcie mi spokój! Dajcie mi umrzeć, skoro i tak chcecie mnie zabić! Nic nie wiem! Nie pamiętam!

Wtedy nagle znów posłyszał krzyk jastrzębia:

–Kjek, kjek, kjek!

–Tylko nie to... – wyszeptał.

–Znowu te ptaki – powiedział Roman IV. – Co to ma znaczyć?...

–Kjek, kjek, kjek!

–Dlaczego... – bełkotał Kalikst. Poczł pulsujący ból pod skroniami.
– Co... Co się znów dzieje?!

Nagle zaczęły spływać na niego niekontrolowane obrazy, chaotyczne, bezsensowne, nieuporządkowane, jednak powoli wydobywał z tego coraz wyraźniejsze wspomnienia. Krzyk jastrzębia podzielał najpierw jak salwa z igró pyr, później stał się lodowatym górskim potokiem.

Przypomniał sobie, kto go zniewolił. Powrócił ból, który odczuwał, wisząc w klatce nad przepaścią. Narastała w nim rozpacz i tęsknota za Zoe.

–Dobrze... – wystękał, trzęsąc się jak w febrze. – Dobrze, cesarzu. Powiem ci, co wiem... Zdradzę ci, kto chciał być moim panem i uczynił mnie swym niewolnikiem. Słuchaj więc uważnie, bo więcej tego nie powtórzę.

* * *

Basileus skinął na Italosa.

–Wiesz, co robić?

–Tak, panie. Żadnej litości. Jeszcze dziś pošlę ludzi, by załatwili sprawę.

Diogenes rozejrzał się dyskretnie wokół siebie. Obóz tętnił życiem, trwały przygotowania do bitwy. Plotkę o nocnych wydarzeniach w namiocie władcy przyćmiły wieści spod Laodycei. Oddziały Komnena wraz z normańskimi najemnikami zamknęły miasto żelaznym pierścieniem. Szpiedzy donosili, że Seldżycy nie mieli szans, by utrzymać się zbyt długo. Widok wież oblężniczych obłożonych mokrymi skórami, plujących ogniem greckim przerażał ich niczym szatani z piekła. Konstrukcje pchane przez sprytnych Rhomaioi przypominały im jakieś ogromne dzikie zwierzęta, potwory z siódmego kręgu piekła strzykające płomieniami spomiędzy zębów. Rzecz jasna, zdawali sobie sprawę, że to tylko narzędzia bojowe Rumów, jednak dusze niewiernych ogarniał narastający lęk. Lęk przed tym, co nieuchronne. A nie wiedzieli jeszcze, że wkrótce nadciągną większe siły prowadzone przez samego basileusa.

Mimo harmidru, jaki panował w obozie, Roman IV wolał odciągnąć filozofa na bok. Tej rozmowy nie mógł nikt słyszeć, a zacisze namiotu przestało już być tak bezpieczne.

–Chodź ze mną i posłuchaj uważnie. Chcę, żeby ta sprawa była załatwiona perfekcyjnie.

Mędrzec posłusznie ruszył za władcą, który dziarskim krokiem

wszedł między namioty. Gestem nakazał ochraniającym go Waregom trzymać się z dala. Ignorując pozdrowienia oficerów i pełne szacunku okrzyki swych żołnierzy, poprowadził swego doradcę poza obóz. Dopiero gdy stanął na szczycie niewielkiego wzgórza nieopodal, uznał za stosowne wyjaśnić, w czym rzecz.

–Italosie, to sprawa delikatna i nikt się nie może o tym dowiedzieć. Nie w tym rzecz, że mam jakieś obiekcje natury ogólnej. Prawdę mówiąc, wręcz powinienem dokonać tutaj pokazowej egzekucji, co by polepszyło morale dworu oraz powstrzymało innych spiskowców. Jednak przez wzgląd na basilissę Eudoksję muszę schować dumę i zaprzestać myśli o pokazowej karze. No dobrze, chodzi o basilissę oraz rody, które mogłyby wykorzystać taki pretekst do wzniecenia buntu.

Filozof pokiwał głową. Zerwał suchą trawkę i żując jej łodygę, stwierdził:

–Rozumiem, panie. Gdybyśmy byli w Konstantynopolu, moglibyśmy trzymać rody na krótkiej smyczy. Tam by do żadnych buntów nie doszło i taka pokazowa egzekucja utrzymałaby w ryzach spiskowców. Jednak tutaj, z dala od szerokiej perspektywy, jaką daje Konstantynopol, z dala od pałacu, swych logotetów, skarbcza i gwardii pałacowej, z dala od ustalonego porządku, który od setek lat jest gwarantem trwania cesarstwa, tutaj musisz zachować pewną powściągliwość, panie.

–Słusznie prawisz, mój wierny Italosie. – Cesarz był wyraźnie ukontentowany, że jego doradca tak dobrze zrozumiał go w tej delikatnej kwestii. – Otóż całkowicie masz rację i aż mnie korci, by odłożyć karę na później i nałożyć ją już po zwycięskiej kampanii w świetle dnia.

–Ale któż wie, czego dopuściliby się zdrajcy, nim nadeszłaby ta chwila? Nie wolno im pobłażać, czyż nie tak, panie?

–Nie możemy tam posłać nikogo z naszych ludzi. Nawet nikogo z tych, którzy znają naszych ludzi i winni im są przysługę. To musi być ktoś, kogo będę mógł wykorzystać do zlikwidowania

niewygodnych spiskowców, a później, gdy skończy się wojna, przykłądnie ukarać na otarcie łez Eudoksji.

–To najlepsze rozwiązanie i mam już kogoś na oku. Obiecałem im pełne ułaskawienie w twoim imieniu, panie, oraz adekwatne do wagi sprawy wynagrodzenie w złotych solidach.

Basileus popatrzył z niepokojem na swojego doradcę.

–Ułaskawienie? Zaraz! Ty nie mówisz o tych oberwańcach, którzy uciekli Komnenowi? O tym kuternodze i dwóch ryżych braciach?

–O nich właśnie mówię.

–Oszalałeś, zdradzą nas jak inni! Uciekną, nie wykonają roboty albo później rozpuszczą złe języki po pijanemu.

–Panie, to są opryszki z Konstantynopola. Będą wdzięczni, gdy zwrócimy im wolność i pozwolimy wrócić do miasta w zamian za pewną przysługę. Będą trzymać gęby na kłódkę, tego jestem pewien. Usta zamknie im wisząca nad nimi zemsta rodu, a jak się nawet wygadają w pijackich majakach, to i tak nikt nie da wiary ich historiom. A jak da, to jakby własnymi rękami sobie stryczki ukręcili. Nie mają powodów, by gadać. Zresztą jest na to jeszcze inny sposób. Pozbędziemy się ich, nie brudząc sobie rąk. Mam już wszystko przygotowane.

–Twoje gierki mnie niepokoją, Italosie. Skąd pewność, że we trzech dadzą radę? Lepiej dobrać im jeszcze kilku ludzi, tych tam oberwańców i łajdaków. Będzie z tego jakiś pożytek.

Konsul Filozofów pokręcił głową. Szarpiąc brodę, popatrzył podejrzliwie na boki.

–Nie możemy, panie. To się wyda! Zważ na jedno: tych trzech uciekło z twej służby. To zdrajcy i tchórze, którzy nie chcieli oddać życia za cesarstwo i świętą wiarę chrześcijańską. A do tego, wyobraź teraz sobie, uciekając z armii Aleksego Komnena, dokonali rabunku i mordy na mieszkańcach przypadkowego domostwa.

Dziwnym trafem zaszlachtowali dobrze urodzonych. Dla złota. Ale duży oddział, cała wyprawa już nieco burzy ten mit. Ludzie zaczną gadać, że basileus szykował wielką wyprawę. Powstaną plotki. Ludzie będą snuć domysły, dlaczego skazańcy nagle odzyskali wolność i to w trakcie wojny.

–Słusznie prawisz, ale cały czas nie przekonałeś mnie, jak ci trzej mają podołać zadaniu.

–To wyuczenni złodzieje. Skraść czyjeś życie to dla nich jak przywłaszczyć sobie mieszek z solidami. To musi być cicha robota. Pod osłoną nocy, z puginałem w dłoni, a nie najazd z mieczami i pochodniami. A o to, by tych trzech poradziło sobie nie gorzej, niż cała hekatontarchia, zadbam już ja. Dam tym opryszkom coś, co w nocy zapewni im przewagę. Widzenie sowy. Z pewnym małym dodatkiem. Tym samym sposobem rozwiążemy też problem gadatliwości. Nim dotrą do Konstantynopola, wyplują z krwią swoje własne płuca.

–Trucizna?

–Działająca bardzo powoli, ale skutecznie.

Władca rozmyślał długą chwilę, patrząc na smugi dymu wijące się nad obozem. Wreszcie obdarzył Italosa wzrokiem pełnym niechęci i rzekł:

–Dobrze... Niech zatem będzie, jak mówisz. Uwolnij tych łajdaków, tylko dyskretnie. Upozoruj ucieczkę, później puścimy za nimi pościg, ale w innym kierunku. I wykorzystaj ich dla sprawy. Zadbaj, żeby tym razem wszystko poszło jak należy.

–Tak będzie! Już tak to rozegram, że wyjdzie na nasze. Powiedz mi jeszcze, panie, co uczynimy z tym niedoszłym skrytobójcą? Każesz go nabić na pal?

Basileus w zamyśleniu targał brodę.

–Nie – postanowił wreszcie. – Wydał swoich mocodawców,

wcześniej wykazał się męstwem podczas zdobywania Antiochii. Nie mogę go w tej sytuacji tak po prostu nabić jak owcę na rożen. To by podkopało morale moich żołnierzy. Dlatego kara będzie inna. Znajdź mi kata. Niech publicznie zetnie mu głowę.

Rozdział 15

Dwa dni później ogniowe oddziały Aleksego Komnena poczyniły wyłom w murze obronnym Laodycei. Natychmiast wdarli się tam najemnicy, a gdy wschodnia brama stanęła otworem, do miasta wjechali klibanophoroi. Tureccy obrońcy, którzy osobiście doświadczyli zawziętości i męstwa Rumów oraz ich piekielnego ognia igró pyr, nie zwlekali. Gdy tylko posłyszeli tętent kopyt cesarskiej jazdy, rzucili się w panicznej ucieczce do portu, by skorzystać z ostatniej szansy na uratowanie głów. Starzy mieszkańcy Laodycei zatrzaskiwali z łomotem drzwi i okiennice domostw, licząc na to, że zdobywcy nie puszczą ich dobytku z dymem. Byli jednak tacy, którzy zdecydowali się podjąć walkę, wspierając seldżuckie oddziały ulokowane wewnątrz miasta. Rozgorzało tam prawdziwe piekło.

Kiedy szpiedzy donieśli basileusowi najnowsze wieści z pola bitwy, ten zaraz wydał rozkaz wymarszu. Gdy prowadzone przezeń oddziały dotarły pod mury Laodycei, wciąż trwały jeszcze walki.

Ustały wieczorem. Łuny płonących domów i statków w porcie rozświetlały noc, zdałoby się, że to zachód słońca wciąż trwa i trwa mimo nadchodzącej północy.

Przez ten czas Kalikst tkwił za kratami zakuty w łańcuchy. Jego klatka została wciągnięta na wóz, a czterech ponurych kawalerzystów pilnowało, by jeniec bezpiecznie dotarł na miejsce przeznaczenia – do miejskich lochów.

Dopiero w Laodycei przestał słyszeć jazgot pary jastrzębi. Ptaki, które wcześniej cały czas towarzyszyły mu ze swoim kjek, kjek, kjek, teraz szybowały wysoko ponad zasnutymi dymem dachami budynków. Ich nawoływania ginęły w zgiełku miasta, w wyciu zarzynanych ofiar, w trzasku palonych domów.

Strażnicy powlekli go do przysadzistej wieży w pobliżu portu. Pociągnęli krętymi schodami w dół, nie szczędząc razów i grubych słów. Wiezienie było puste, choć kamienną podłogę znaczyły długie ślady krwi, a w pomieszczeniu cuchnęło śmiercią i strachem.

Dostał zimną celę, w której smród rozkładu i kałuże krwi były jeszcze większe. Strażnicy nie zdjęli mu jednak łańcuchów.

–Ej, wy tam, gady! – warknął Belzebub. – Co jest? Bransoletki to se zabierzcie, co!

–Milcz, bydlę! – ryknął ich dowódca. – Zostaniesz skuty, jak jesteś. Aż do egzekucji. I zawrzyj gębę, radzę ci. Chyba że chcesz, żebym ja to zrobił tym... – Strażnik znacząco uniósł wielką maczugę nabijaną kolcami.

–Do egzekucji... – szepnął Kalikst i już więcej się nie odzywał. Leżał na gnijącej kupie siana, próbując zebrać myśli.

Później zapadł w męczący sen.

Obudził się z kłującym uczuciem niepokoju. Co gorsza, niezbyt pamiętał wydarzenia ostatnich dni. No tak – zamach na uzurpatora się nie powiódł. Tyle wiedział. Ale co było przyczyną porażki? Co powstrzymało go przed zatopieniem puginału w sercu Diogenesa? Był przecież tak blisko! To pamiętał doskonale! Przypominał sobie, jak muskał ryty na głównej noży, jak przekręcał ukryty pierścień w rękojeści. Był tak blisko wykonania zdania. Ale co mu przeszkodziło?... Tego nie pamiętał.

Podpełzł do krat. W głębi korytarza dojrzał nieruchome sylwetki strażników podobnych do rzeźb. Nie, nie wyglądali na takich, których można przegadać i przekupić.

–Gamoto! – zaklął cicho. – Jak ja was, gady, nienawidzę! Jak ja bym wam te głupie łby porozbijał... Gdyby nie te łańcuchy, inaczej byśmy pogadali.

Na górze zdobywcy miasta dogaszali ostatnie pożary i dobijali rannych. Laodycea była zdobyta!

* * *

Następnego dnia strażnicy gdzieś znikli, a pobitewny zgiełk ucichł. Gdy ze skwierczeniem zgasła ostatnia pochodnia, lochy ogarnęły ciemności. Z zewnątrz nie docierały tu żadne dźwięki, Belzebub słyszał tylko kapanie wody ściekającej po ścianie, szelest wiatru w szparach, czasami w któreś z cel pisał szczur.

Najpierw tylko leżał, próbując przebić wzrokiem ciemności. Galopujące myśli pędziły w bezkresną czerń jak bojowy rydwan ciągnięty przez oszalałe z bólu konie. Z czasem mdłe światło przenikające przez niewielkie okienko w końcu korytarza przywróciło naturalne kształty kratom i grubo ciosanym kamieniom ścian.

Wstał i pobrzękując łańcuchami, doczłapał do krat.

–Ejże! Jest tam kto?! Gady!

Chwycił za pręty i zaczął szarpać kratę. Poruszyła się o włos, wyrobiony kamień zazgrzytał, jednak po jakimś kwadransie szarpaniny więzień zdał sobie sprawę, że nic z tego. Widać przez lata futryna się nieco obluzowała, ale właśnie tyle – lata – musiałby trząść żelaznymi prętami, by odzyskać wolność.

Ruszył więc w drugą stronę, na koniec celi. Obmacywał ściany, szukając obluzowanych kamieni. Sekretne przejście wykute i wykopane przez innych więźniów, zamaskowane granitowym blokiem? Szybko zdał sobie sprawę, że to głupota. Opadł więc zrezygnowany w kącie, opierając policzek o zimną powierzchnię

mur.

Do wieczora niewiele się zmieniło. Gdy zaszło słońce, znikła też ta drobina światła sącząca się przez jedyne na tym poziomie okienko. Wtedy na dobre zatracił rachubę czasu, a pomieszczenie znów zalała ciemność, którą niespokojny umysł mógł wypełniać dowolnymi kształtami.

Rydwan myśli pędził z łoskotem ku niewidocznej przepaści...

Później zasnął. Obudziło go łomotanie w kratę. Gad przyniósł jedzenie.

–Masz tu, żryj! Żebyś nie padł za wcześnie...

–Co przyniosłaś, szynkareczko? – zaczepnie zapytał Kalikst. – Wina bym jeszcze popił, ino lekko schłodzonego, tak jak zwykle!

–Ja ci, malaka, dam! Naszczać ci mogę do miski, będziesz miał wino!

Strażnik wsunął naczynie w szparę pod kratą i podzwaniając mieczem, poszedł na górę. Tyle dobrego, że zostawił nową pochodnię.

Belzebub sięgnął do miski. Rozgotowana i nieco zatęchła kasza polana tłuszczem. To i tak więcej, niż mógł oczekiwać. Wylizał naczynie do dna.

Wkrótce pochodnia zgasła, a po strażnikach nie było ani śladu. Kalikst leżał, słuchając kapania wody w celi obok.

Nazajutrz koło południa usłyszał chrzęst zbroi i dziarskie kroki kilku strażników. Szli, niosąc pochodnie, prosto do jego celi.

Ten, który przyniósł mu wcześniej kaszę, otworzył kratę i pierwszy wszedł do środka.

–A gdzie wino? Przecie zamawiałem – zachichotał Kalikst.

–Morda! – ryknął gad i kopnął go w twarz. – Zaraz odechce ci się żartów. Idziesz spotkać się z katem! Bierzemy go!

Zbrojni wywlekli go na korytarz i powiedli krętymi schodkami w górę. Gdy wyszli z więzienia, aż się zachwiało – światło dnia boleśnie wbiło mu igły pod powieki. Zamknął oczy i pozwolił prowadzić się jak baran na rzeź, nie wiedząc wcale, dokąd go wiodą.

Spotkać się z katem – tyle powiedzieli...

W końcu rozchylił ostrożnie powieki. Mrugając, przyzwyczał oczy do słonecznego blasku. Wprowadzili go na plac pełen rozochoczonej gawiedzi.

–Idzie! Wiodą go! – darła się tłuszcza.

–Czarownik! Zdrajca! Morderca!

–Szybciej! Co się guzdrzą?! Jak sami nie umita, dajta go nam!

Belzebub popatrzył po wykrzywionych nienawiścią twarzach. Byli tu miejscowi Syryjczycy, którzy mieszkali w Laodycei, zanim jeszcze przyszli Turcy. Byli Armeńczycy, byli Żydzi, byli Rhomaioi. Byli także wojacy z oddziałów cesarza, dojrzał nawet kilka znajomych twarzy ze swojej hekatontarchii. Widowisko przyciągnęło wszelkiej maści włóczędów, opryszków, bandziorów i oberwańców ogałających trupy na polach bitew. Teraz cała ta szumowina spłynęła do miasta zwabiona czymś nowym – egzekucją.

Wojna rozlała tyle krwi, zostawiła za sobą tyle trupów, że kolejna śmierć nie powinna budzić już większych emocji. Każdego dnia ginęła w mękach setka niewinnych, jeżeli nie tysiąc. Odbierano im życie na wszelkie możliwe sposoby, daleko bardziej okrutne niż katowskie ścięcia. Odrąbывano głowy, odcinano ramiona, nogi, palono, sieczono mieczami, przebijano włóczniami i szpikowano strzałami.

To jednak była wojenna codzienność. A oprawca, katowski topór, pień ustawiony na środku miejskiego placu – o, tego dawno nie oglądano! No i – jak pomyślał Kalikst w przyływie wisielczego humoru – to był znak pokoju. Wspomnienie tego, że nie zawsze będą toczyć się tu bitwy i oblężenia. Egzekucja za najdrobniejszą choćby przewinę była dla wielu obietnicą, że wojna odejdzie i znów nastaną lepsze czasy. Takie widowisko było równie miłe, co przejazd basileusa rozrzucającego tłuszczy solidy ze swej przepastnej sakiewki.

Strażnicy poprowadzili Belzebuba w stronę drewnianego podwyższenia, pięściami i pałkami torując sobie drogę wśród wyjącego z uciechy tłumu. Gawiedź najchętniej rozszarpałaby skazańca już tu, zanim dojdzie do miejsca kaźni. Zbrojni ledwie uchronili go przed pięściami i pałkami, nie byli jednak w stanie powstrzymać lecących kamieni. Kalikst osłonił głowę ramionami.

–Morderca! Spiskowiec! Zdrajca!

Patrząc na twarze poczerwieniałe z ekscytacji, na rozszerzone z nienawiści oczy, na krzywe zęby i złamane nosy, nie miał wątpliwości. Gawiedź przyszła tu bynajmniej nie z miłości do basileusa. Bo jakież uczucia wobec konstantynopolitańskiego władcy mógł żywić syryjski sprzedawca ryb, który przez lata płacił podatki Fatymidom, później był ograbiany przez Seldżuków, a teraz zobaczył nowego pana – Romana IV. Umęczony wojną motłoch pożałował igrzysk. A kogo ścinają i za co, to już furda. Bez znaczenia, byle było widowisko, theatron. Nic to, że wokół trup ściele się jak piasek na plaży, że krew niewinnych znaczy wszystkie drogi do i z Laodycei. Tamto rzecz zwyczajna – jakiś żołnierz zabija drugiego albo morduje miejscowego chłopca, bo jest głodny i napiłby się wina. Któż by widział w tym jakąkolwiek przyjemność?! Ale publiczne ścięcie skrytobójcy, który zamierzył się na wielkiego pana? O, to są prawdziwe igrzyska!

Kalikst obserwował okolicę. Na tarasie okazałej rezydencji położonej w północnej części placu siedział sam basileus w towarzystwie swoich Strategosów, logotetów, sług i osobistej gwardii Waregów.

Chociaż na placu było wielu żołnierzy z jego hekatontarchii, nie dojrzał nigdzie ryżych Żmudzinów Nikogo ze swych najlepszych ziomków.

Pewno wszyscy zginęli jak Nicetas... – westchnął. A przecież w głębi duszy tliła mu się isierka nadziei, że kompani wyratują go z opresji. Zorganizują ucieczkę, odbiją, ocala... Ale nic z tego. Starzy przyjaciele zawiedli.

–He, he, widzisz, zdrajco? – zagadnął strażnik, dowódca oddziału, który przywłókł go na stracenie. – Widzisz ten motłoch? Każden jeden by ci gardło własnoręcznie poderznął. I jeżeli liczysz na cud, to zapomnij. Cudu nie będzie, nikt cię nie uratuje. He, he!

Gad nie kłamał. Gdyby miała nadejść pomoc, stałoby się to już. Patrzył nerwowo na boki, jednak nic, po ziomkach ani śladu.

–Może czekają na ostatnią chwilę... – mruknął. – Może chcą wybrać lepszy moment...

Czuł jednak, że się oszukuje. Że jak pająk snuje pajęczyne, pajęczyne złudzeń i miraży. A później sam w nią wpada, szamocząc się niczym mucha.

–Oprawco! Nie zwlekaj! Utnij mu łeb i rzuć na pożarcie psom!

Zobaczył go: spodziewał się odzianej na czarno postaci z twarzą ocienioną kapturem. Miał tego ujrzał Saracena rosnącego na jakieś siedem stóp, w czerwonych portkach wyszywanych złotą nicią, w białej koszuli i narzuconym na nią zielonym kubraku. Jego twarz porastała krótka, misternie wycięta broda, spod nosa zwisały fantazyjnie zawinięte, natłuszczone wąsy. Na wygolonej do skóry czaszce zbierały się kropelki potu.

–Gamoto! Co to za cudak? – jęknął Kalikst. Saracen trzymał w ręku długi, prosty miecz o kunsztownie zdobionej rękojeści, na której błyszczał zielony, lśniący kamień.

* * *

–Jezu Chryste, a co to za przebieraniec?! – wystękał Italos. – To on ma dokonać egzekucji?

–Ha, ha, ha! Dobry jest, czyż nie? – Basileus był w wyśmienitym humorze. Skinął na sługę, by ten przesunął nieco baldachim chroniący władcę przed słońcem. W tym czasie drugi z pachołków nalał chłodnego białego wina i podsunął tacę z oliwkami, małżami i wędzonymi sardynkami. – To jest, mój drogi filozofie, seldżucki sułtan Mehmet Mustafa. Do niedawna był tu panem i władcą, rzekłbyś nawet, srogim bogiem jak jakiś Zeus.

–On to raczej jakiś Allah.

–Niech będzie Allah! Więc był tu niczym Allah albo drugi po nim. Jak mi doniesiono, podczas oblężenia, owszem, starał się i zmyślnie kierował swoimi wojskami, a gdyśmy się wdarli do miasta, uciekał jako jeden z ostatnich. Pierw chciałem go ubić albo skazać na jakieś wymyślne tortury i śmierć. Spalić żywcem na przykład. Ale później pomyślałem, niech weźmie udział w moim przedstawieniu, za to daruję mu życie.

–Gdyby nie okoliczności, rzekłbym, że winno być na odwrót. Schwytanego seldżuckiego dowódcę ścina nasz bohater... Szkoda tylko, że nasz bohater okazał się również zdrajcą.

Italos patrzył na podest. Saracen ostrzył swoje narzędzie spokojnymi, długimi ruchami. Tłum ryczał w zniecierpliwieniu.

–Kacie! Nie zwlekaj! Utnij mu łeb i rzuć na pożarcie psom!

–Zabij go! Nie ostrz, tylko już zabij!

Nagle mędrzec uświadomił sobie, że widział tę scenę! To przecież ta wizja, którą miał po donosie Jeroboama, pomocnika żydowskiego kupca! Ale przecie wtedy wyglądało to zgoła inaczej. Według tamtego objawienia, złodziejasek miał być skazany już parę dobrych tygodni temu. Łeb miał mu odciąć nie turecki sułtan, tylko kat w czerni, anonimowy i cichy, w milczeniu zadający śmierć. Gdyby wtedy lepiej oszacował czas i miejsce, nie pomyliłby się w ocenie sytuacji, a basileus pojmałby skrytobójcę już wcześniej!

–Jak mogłem się tak pomylić... – szepnął, skubiąc brodę. – To mogło kosztować życie nie tylko władcę, ale także i mnie.

–Co mówisz, Italosie?

–Ten Czarny Mnich, panie... Nie wiem, kto to jest, ale udało mu się kilka razy pokrzyżować nam plany. Wciąż nie wiemy, kto to jest i jakie ma zamiary. Może nam jeszcze nastreczyć sporo kłopotów. Cały czas nas zwodził i boję się, że jeszcze się nie poddał.

Basileus gestem nakazał mu zamilknąć. Na podest wyszedł logoteta odziany w białą tunikę z zielono-złotą lamówką, strojny i oficjalny, tak jakby znajdował się na dworze w Konstantynopolu, a nie w szarej od dymów pożarów Laodycei. Wyciągnął rękę ponad tłum i o dziwo – gawiedź umilkła nieco, dzięki czemu urzędnik mógł odczytać wyrok:

–Z woli Bożej miłosiernie nam panujący autokrator basileus Rhomaión, hagios, nikes, Roman IV Diogenes, władca Cesarstwa Rzymskiego, zdobywca Armenii, Bułgarii, Serbii, Sycylii i Syrii, przez Boga naznaczony do panowania nad ludem chrześcijańskim, na mocy prawa i protokołu skazał obecnego tu Kaliksta zwanego Belzebubem, do niedawna żołnierza, którego obowiązkiem była walka w imię basileusa, którego powinnością było oddanie żywota, gdy tylko zaszłaby taka potrzeba. Jednakże ów Kalikst Belzebub z podkuszania szatana, z inspiracji odwiecznych wrogów cesarstwa podniósł był zbrojną rękę na naszego pana, basileusa Rhomaión Romana IV Diogenesa. Za ten czyn winien zdrajca ponieść powolną i bolesną śmierć na palu, by w cierpieniu miał czas

zrozumieć ogrom swej zbrodni i ukorzyć się przed Bogiem. Jednak mając na względzie wcześniejsze zasługi Kaliksta Belzebuba...

Nazbyt długa przemowa zaczęła już nużyć tłum, który i tak nader cierpliwie czekał na obiecane widowisko. Szum wzmógł się, poleciały obelgi i przekleństwa.

–Malaka! Wal się!

–Kończ już!

–Kacie, do roboty!

–Niech kat go obraca!

Basileus rzucił w ciżbę wściekłe spojrzenie. Wstał, potoczył gniewnym wzrokiem po placu.

–Widać, że to wschód, Italosie. Że te prowincje nie zostały jeszcze należycie nauczone szacunku dla majestatu. Patrz! Nawet nie dadzą logotecie odczytać wyroku. Czasami nachodzi mnie myśl, że lepiej było ostawić te ziemie Saracenom, Seldżukom, Żydom... Niechby się sami tu tłukli i wyrzynali, bo nigdy nie będą należeć do świata rzymskiej, europejskiej kultury.

–Warto mieć te prowincje w posiadaniu, panie. Dają dostęp do dróg handlowych na całym wschodzie...

–Nie musisz mi przypominać, filozofie! Właśnie po to ruszyłem na tę wojnę. Jednak spójrz na te wrzeszczące gęby. Na te skudłane brody, brudne turbany i mycki. Jakżeż ci ludzie różnią się od mieszkańców Konstantynopola...

Logoteta zakończył swą mowę, co gawiedź przywitała gardłowym wyciem i jeszcze gorętszymi okrzykami zachęty, by już natychmiast dokonać egzekucji.

Mehmet Mustafa zakończył ostrzenie miecza.

* * *

Kalikst cicho klął pod nosem. Wyglądało na to, że nie miał co liczyć na ziomków. Żywi czy martwi nie zamierzali go uratować, a teraz już było za późno. Pomocnicy kata przykuli skazańca do stalowego pierścienia na podłodze podestu, osobno każdą rękę i nogę. Klęczał więc z twarzą przy pieńku rozciągnięty jak rozgwiazda.

Wtedy po drewnianych stopniach weszła nowa postać – prezbiter odziany w białą riasę, na która narzucony miał czarny phelonion ze złotym krzyżem wyhaftowanym na plecach.

–Błogosławiony Bóg nasz w każdym czasie, teraz i zawsze, i na wieki wieków – rozpoczął swą modlitwę kapłan. – Królu Niebieski, Pocieszycielu, Duchu Prawdy. Który wszędzie jesteś i wszystko wypełniasz, Skarbie Dobra i Życia Dawco, przyjdź i zamieszkać w nas, i oczyść nas od wszelkiej zmyzy, i zbaw, o Dobry, dusze nasze...

Belzebub przerwał pienia duchownego:

–Jeżeli myślisz, że mnie naciągniesz na te swe spowiedzi, klecho, to lepiej daj se spokój. Twój Bóg jakoś nigdy mi nie pomagał, to i ja teraz nic nie mam do niego.

–Błuźniesz, synu! W godzinie śmierci winieneś okazać pokorę i strach przed Bogiem, wyznać grzechy i prosić o przebaczenie.

–Odejdź, klecho! Nikomu nie jestem nic winien, o nic nie będę prosił.

Saraceński kat złapał Kaliksta za poszarpaną tunikę i pchnął do przodu, przyginając mu kark do pnia. Pomocnicy naciągnęli

łańcuchy, niemal wykręcając stawy Belzebuba.

–Koproskilo, boicie się, co?! – zawołał do nich skazaniec. – Że wam nawieję spod miecza tej cioty wystrojonej? Tylu was na jednego!...

Kat stanął w szerokim rozkroku i podniósł miecz.

Wtedy Kalikst usłyszał krzyk jastrzębia.

–Kjek, kjek, kjek! – ponad placem rozniósł się chrapliwy wrzask drapieżnika. – Kjek! Kjek!

Zaraz zawtórował mu drugi ptak, nieco ciszej:

–Kje-ek, kje-ek, kje-ek!

Belzebubowi zakręciło się w głowie. Zapomniane, wypierane z pamięci obrazy wróciły z siłą rozzłoszczonego byka. Przeniknął go ból, jakby zwierzę uderzyło go i poniosło bezbronno na swych rogach, a później zrzuciło w błoto i tratowało racicami.

–Kim ja jestem?... – wystękał Kalikst. – Co się dzieje? Co to za przeklęte ptaki?

Ostry głos jastrzębia przywołał z mroku kolejne obrazy.

–Zdradziłem Czarnego Mnicha... – szeptał do siebie skazaniec. – Zdradziłem Dukasów... Wyjawilem wszystko basileusowi. Jestem zdrajcą? Zdrajcą? Nie! To przecież oni! To przecież oni zabili Zoe! Ja zabiłem Zoe! Przez nich! Przez czarnego szarlatana! I miałem zabić autokratora. Co się dzieje? Co jest z moją głową?

Nieprzyjemny szum narastał. Oczy Kaliksta zaszły łzami, jakby dusił go dym. Sęczki w deskach podestu zapłonęły czerwienią, później fioletem, następnie zzieleniały. Pulsowały kolorami, a pod czaszką Belzebub słyszał łoskot fal rozbijających się o cypel Saragikos.

–Krrrek, krrrek, krrrek! – Głos ptaka zyskał nagle jakąś zgrzytliwą nutę. Kalikst czuł, jakby mu po głowie przeskakiwały ząbki piły.

Wtedy Belzebub poczuł nagle smród śniętych ryb. Fetor był tak intensywny, że zakotłowało mu się w żołądku. Wnętrznosci podeszły do gardła, naraz jednak przyszło otrzeźwienie. Kolorowe blaski przed oczami znikły, tarcie piły ustąpiło, uspokoił myśli.

Usłyszał gardłowy ryk Purrhosa. Kątem oka spojrzał w tył.

Czerwony demon wdarł się na podest. Jednym skokiem dopadł Saracena. Ten, wciąż stojąc z mieczem uniesionym do ciosu, wyprowadził uderzenie w jeden z łbów potwora. Żelazo zaświszczało, przecinając powietrze – bestia w porę uskoczyła. Mehmet Mustafa dopiero wówczas uświadomił sobie, co za stworzenie go atakuje. Źrenice oczu powiększyły mu się do rozmiarów złotego solida. Rozdziawił gębę i z brzękiem opuścił miecz.

Stał tak przerażony i bezbronny. A Purrhos machnął łapskiem, odrywając pazurami dłoń Saracena – tę, w której trzymał miecz. Drugi cios wyrwał mu z twarzy szczękę. Seldżucki sułtan z charkotem padł na deski. Z krwawej rany na twarzy wydobywały się różowe bańki.

Demon podbiegł do pieńka. Kilkoma szybkimi szarpnięciami zerwał łańcuchy, uwalniając skazańca. Pochwycił jeden ze stalowych warkoczy i wzięwszy szeroki zamach, uderzył nim na odlew w tył.

Tym ciosem skosił dwóch nadbiegających strażników. Uderzenie było tak silne, że wyrwało zbrojnym miecze z rąk i obaliło ich na podłogę. Skamieniały ze strachu prezbiter stał niczym posąg, mamrocząc słowa modlitwy.

–Królu Niebieski, Pocieszycielu... – Wyciągnął zeszywniałą dłoń, w której dźurzył pozłacany krucyfiks.

Czerwona bestia nie okazała cienia strachu przed krzyżem. Rzuciła się na duchownego i jednym kłapnięciem paszczy oderwała mu głowę. Czaszka chrupnęła, a spomiędzy warg demona pociekł mózg zabarwiony krwią. Widać jednak ta przekąska nie była w

smak Purrhosowi. Zaraz wypluł głowę prezbitera i rozstawił szeroko ramiona, by odeprzeć atak nadbiegających strażników.

W tłumie zebrany na placu wybuchła panika. Gawieź, niedawno jeszcze tak spragniona krwawego widowiska, teraz z okrzykami przerażenia szukała najszybszej drogi ucieczki. Wokół podestu nagle zrobiło się pusto. Najbliższe szeregi zaczęły napierać na tych, co stali dalej. Tamtych blokowali jednak gapie, którzy przybyli na miejsce kaźni jako ostatni. Dotychczasowe okrzyki zachęcające kata zastąpiły teraz jęki rannych i zdeptywanych na śmierć ludzi.

Na taras zajmowany dotąd przez basileusa wyszli łucznicy. Nim jednak zdążyli napiąć cięciwy, Kalikst skoczył w tłum, mieszając się z gawiedzią. Przebiegł kilka kroków i utknął.

Poleciała pierwsza chmura strzał. Groty zadudniły w deski podestu, kilka dosięgło Purrhosa. Demon wyrwał je z ciała, a wokół rozeszła się nowa fala rybiego smrodu. Zawył, pokazując łucznikom, że ich pociski nie są mu straszne.

Nim łucznicy zdążyli znów napiąć cięciwy, czerwona bestia pognąła za Kalikstem. Przeskoczyła nad jego głową i zaczęła torować mu drogę, machając łapskami, jakby przedzierała się przez gęste zielsko na dzikiej łące. Jednak zamiast liści i łodyg traw na boki leciały krwawe ludzkie strzępy. Dłonie, nogi, głowy...

Belzebub wykorzystał zamieszanie. Kilkoma szybkimi ruchami omotał wokół dłoni i nóg majtające się kawałki łańcucha, by nie przeszkadzały mu w biegu.

Przerażeni ludzie wrzeszczeli, pędząc przed siebie jak oszalałe bydło.

–Sam diabolos! Koniec świata!

–Matkobosko, święty Klemensie, święty Pantaleonie, ratujcie nas!

–Mordują! Saraceni! Uciekać!

Kalikst pomknął za nimi, pokrzykując:

–Piekło się rozwarło! Armagedon! Sąd Boży nadchodzi! Szatani mordują chrześcijan! Uciekać!

Niesiony ludzką falą, dopłynął do wąskiego zaułka. Dalej nie dało się już iść – wybuchła bijatyka, ludzie okładali się pięściami, deskami, wyrwanymi skądś drągami. Ktoś sięgnął po nóż, pociekła krew. Belzebub nie czekał, aż awantura ucichnie. Wdrapał się na ramiona osiłka przed sobą. Nim ten zdążył go strząsnąć, przeskoczył na plecy jakiejś grubej baby. Ta nawet nic nie poczuła – przerażona rozpychała obfitym biustem skotłowaną gawieź blokującą przejście. I w ten sposób przemknął do wylotu uliczki. Zeskoczył między tłukących się obwiesiów i schylony dotarł do następnego zaułka. Skręcił weń.

Nagle poczuł szarpnięcie. I drugie, które posłało go na bruk.

–To ty jesteś! Co mieli cię ściąć!

Nad nim stał krępy bandzior gładko wygolony na łbie. Chytre oczka biegały na boki, jego umięśnione łapy ścisnęły koniec łańcucha przy nodze Kaliksta.

–To teraz będziesz mój, znaczy złapałem cię.

Mówił po grecku, ale nie trzeba było wprawnego ucha, by wychwycić słowiański akcent. Serb albo Bułgar, diabli go nadali!

–Wstawaj! Zawiodę cię tera prościutko do cesarza, to i nagrodę dostanę.

Belzebub szarpnął nogą, jednak na próżno, to bydlę miało mięśnie równie mocne co stalowe okowy pozostałe na jego przegubach i kostkach.

–To jak mam wstać, jak trzymasz? – spytał Kalikst. – Łańcuch za krótki, musisz puścić.

–Takiś sprytny? Poluźnię, a ty wtedy nawiejesz? He, he, nic z tego! Leż! A teraz odkręć obydwą łańcuchy z ramion i dawaj ręce na plecy.

Zrobił, jak rozkazał oprych. Odwinął długie na łokieć metalowe warkocze i ułożył wzdłuż tułowia.

–Dobra, teraz mordę do kamienia i ani ruchu.

Krępy osiłek puścił łańcuch i skoczył mu na kark. Nim jednak zdołał pochwycić Belzebuba w zapaśniczym uścisku, ten wywinął się błyskawicznie. Napastnik był jednak czujny – w jednej chwili powrócił do pozycji stojącej, zacisnął pięść i z obrotu wyprowadził cios wymierzony w szczękę Belzebuba.

Prawie mu się udało. Kalikst poczuł muśnięcie powietrza, gdy sękaty kułak przeleciał o włos od jego nosa. Nie czekał, aż oprych poprawi drugim uderzeniem. Zdzielił go pod oko swobodnym końcem łańcucha. Poprawił drugim, waląc w środek czaszki. Krępy z charkotem upadł na kamienie, z rozciętego łba poleciała krew.

–Za cienki jesteś, przyjacielu – syknął Belzebub. Okręcił z powrotem łańcuchy wokół przegubów i zdjął z Serba, a może Bułgara, pas z przytroczonym dwustronnym czekaniem. Po namyśle zdarł z rannego skórzany kubrak. Był poprzecierany, porozdzierany, ale i tak lepszy niż brudne strzępy tuniki. – Nagiego odzialesz, Bóg zapłać! – rzucił zbirowi na odchodne.

Biegł tak długo, aż ucichła wrzawa wywołana przez atak demona. Wkrótce dotarł do dzielnicy portowej, niegdyś zapewne pełnej gwaru i ruchu, dziś zasnutej dymami, cichej. Tu toczyły się ostatnie walki, gdy uciekające na okręty niedobitki Seldżuków odpierały ataki żołnierzy basileusa. Po starciach pozostały zmasakrowane trupy ludzkie i końskie oraz ruiny kilku domów puszczonych z dymem przez Turków dla zmylenia pościgu i spotęgowania bałaganu. W zatoce portowej wciąż jeszcze płonęły maszty kupieckiej galery zbyt wolnej, by uciec przed zapalającymi strzałami Rhomaioi.

Kalikst nie wiedział, co robić. Powinien uciekać jak najszybciej, nie miał nawet butów, nie mówiąc już o koniu, zaś zamiast solidami w mieszk, pobrzękiwał zerwanymi kajdanami u rąk i nóg. Czekać do nocy? Wtedy byłoby łatwiej umknąć, skryć się w cieniu i po cichu opuścić miasto, a potem uciekać byle dalej. Ale któż wie, co jeszcze wydarzy się przed nadejściem nocy?! Cesarz wyśle wojsko na miasto, by stłumić panikę, zamknie wszystkie bramy, obsadzi mury żołnierzami, a innych puści w pogoń za zbiegiem. Żeby chociaż mógł pozbyć się tych pierścieni z metalowymi ogniwami!

Pobiegł wzdłuż nabrzeża w naiwnej wierze, że gdzieś znajdzie jakąś zapomnianą łódź... Woda pokryta była grubą warstwą połamanych i nadpalonych desek, zdechłych ryb i śmieci, pośród tego wszystkiego dryfowały trupy. Nie znalazł nic, co nadawałoby się do pływania.

Ruszył z powrotem do miasta w stronę pełnej kramów uliczki przechodzącej – co odkrył dopiero później – w suk. W tej części miasta nie było już tak spokojnie jak w porcie. Wśród zrujnowanych sklepików, ograbionych składów i poprzewracanych straganów grasowały miejskie złodziejaski plądrujące wszystko, co się jeszcze ostało po bitwie o miasto. Belzebub nie wchodził im w drogę. Tamci też przemykali chyłkiem w obawie, że zaraz wmaszerują tu strażnicy, by zrobić porządek.

W jednym z domostw przylegających do suku znalazł trochę wędzonych ryb. Zeschły niemal na wiór, ale Kalikst złapał jedną i począł ją chciwie to ssać, to podgryzać. Oszukawszy nieco głód, ruszył na dalsze poszukiwania.

Najważniejsze – pozbyć się żelastwa u nóg i na rękach. Gdzieś tu musiał być jakiś warsztat, kuźnia albo chociażby narzędzia, którymi mógłby wybić nity z kajdan. Z tą myślą przemierzył kilka następnych uliczek, jednak nic nie znalazł.

Nagle usłyszał głosy nadchodzących żołnierzy. Gdyby to przynajmniej byli jego kamraci z oddziału bojowego! Ale nie, to była piechota basileusa przetrząsająca miasto i wyłapująca niedobitki Seldżuków. Gdyby odnaleźli Kaliksta, natychmiast dowlekliby go

przed oblicze władcy. Umknął więc w najbliższą bramę, niegdyś broniącą dostępu do okazałej rezydencji.

Roztrzaskane wierzeje i wszechobecny bałagan wskazywały na to, że dom już wcześniej został doszczętnie splądrowany. Mimo to Belzebub wkrótce odkrył prawdziwy skarb: skrzynię pełną odzienia. Najwidoczniej należała do jednego ze sług, sądząc po gatunku i fakturze materiału. Zrzucił z siebie kubrak zabrany zbirowi, potem zdarł resztki swojego ubrania. Podarł na pasy koszulę z cienkiego płótna i owinał nimi przeguby, zakrywając kajdany, jak też zwisające ogniwa łańcucha. Teraz wyglądało to niczym opatrunek nałożony na opuchnięte ręce. Tak samo zasłonił żelastwo na nogach, po czym przypasał miecz i naciągnął na siebie długą tunikę do ziemi, białą z niebieskim wzorem ozdabiającym brzegi rękawów. Na to narzucił lekki burnus z białej wełny. Zakrył twarz kapturem i upewniwszy się, że żołnierze już przeszli, ruszył w stronę bram miasta.

Liczył na to, że idąc spokojnie, odziany w czyste szaty, nie wzbudzi niczych podejrzeń. Wyglądał jak jeden z miejscowych, Syryjczyk albo Armeńczyk, sługa wysłany przez swego pana po sprawunki. Długi czas przemierzał puste ulice, lawirując między trupami i stertami śmieci. Wkrótce dotarł do miejsca, w którym zniszczeń wojennych było mniej, za to więcej ludzi. Nie widać już było oznak paniki albo też kręcący się tu mieszkańcy miasta nie wiedzieli nic o ataku czerwonego demona zajęci codziennymi sprawami. Obecność w Laodycei samego basileusa gwarantowała im, że unikną zwyczajnych żołdackich rzezi, gwałtów i podpaleń. Pierwszym edyktem Romana Diogenesa po zdobyciu miasta było przyznanie rodowitym mieszkańcom miasta praw i gwarancji nietykalności. Nie bez przyczyny. Władcy zależało, by Laodycea – ważny port i ośrodek handlu – jak najszybciej odzyskała dawną świetność i umożliwiła regularne dostawy towarów z Seleucji i Konstantynopola.

Na jednym z przewróconych straganów Kalikst znalazł wiklinowy kosz. Wziął go, by jeszcze bardziej upodobnić się do mieszkańców podążających za swoimi sprawunkami. Kilka razy mijały go patrole żołnierzy, jednak nie wzbudził niczych podejrzeń.

Chwilę grozy przeżył przy bramie miejskiej, gdzie strażnicy uważnie lustrowali każdego wchodzącego i wychodzącego. Było dosyć gorąco, więc ich podejrzliwość wzbudził kaptur burnusa, pod którym Belzebub krył twarz.

–Ty! Coś za jeden? Pokaż gębę! – rozkazał jeden z żołdaków, zastępując mu drogę. – Możesz ty Turek?! Zdejmuj to!

Kalikst niespiesznie odsłonił twarz i śmiało spojrział w oczy strażnika.

–Hm, no na Seldzuka to ty mi nie wyglądasz... – mruknął tamten. – Ale czekaj! Ja cię skądś znam! Skąd ja cię znam?

–Tego nie wiem, panie. Zapewne widziałeś mnie wcześniej, bo przechodziłem przez tę bramę już nieraz – odparł spokojnie Belzebub, jednocześnie kładąc dłoń na rękojeści ukrytego miecza. – Mój pan posyła mnie w interesach, dziś już przemierzałem tę drogę dwa razy.

–Nie, ja cię gdzieś indziej widziałem – upierał się strażnik i zawołał do swych kompanów: – Gamoto! No skąd ja znam tę gębę, niech mi ktoś powie.

Kompani tylko pokręcili głowami.

–A po co ci właściwie ten koszyk?

–Pan mi nakazał nazbierać ziół zdrowotnych na okłady. Rosną za miastem niedaleko pod drzewami. Pan mój, znany i szanowany obywatel Laodycei, został ranny, gdy bronił domu przed seldzucką dziczą, która uciekając w popłochu, chciała wzniecić pożar. Pan mój dobył miecza i poprowadził nas do boju, by pomoc basileusowi. Stąd tyle ran na mym ciele, ale, chwalić Boga, nic mi nie dolega. Zaś mój pan nie miał tyle szczęścia. Dostał...

–Dobra, idź już zbierać te zioła! – machnął ręką znudzony tą przemową zbrojny.

Belzebub naciągnął kaptur i wszedł w bramę.

Rozdział 16

Dwieście kroków za miastem pozbył się koszyka i zaczął iść szybszym krokiem. Po godzinie marszu przeklął własny pośpiech, który nakazał mu opuścić miasto bez konia. Może dałby żołdakom basileusa więcej okazji do pojmania, jednak teraz, człapiąc w pełnym słońcu z nogami poobcieranymi przez kajdany, był w takim samym stopniu narażony na wpadkę. Rozglądał się wokół, oczekując, że już zaraz zza tej tam skały albo zza tamtej kępy drzew wyskoczy oddział zbrojnych, którym wyraźnie przykazano: Ma być żywy, cały nie musi.

Zamiast pościgu dojrzał wkrótce parkę jastrzębi. Szybowały w oddali spokojne i wolne. Nie słyszał ich głosów, jednak już same sylwetki ptaków wzbudziły w nim to dziwne uczucie bezwładu. W głowie narastał szum, przed oczami migały kolorowe płatki.

–Co się ze mną dzieje?... – wyszeptał. Po suszonych rybach teraz czuł pragnienie potęgowane przez narastający skwar, jednak nie to było przyczyną osłabienia.

Wiedział jedno – musi uciekać byle dalej na północ, w stronę Aleppo, tam szybciej znajdzie pomoc. A później – do Konstantynopola. Wspomnienie rodzinnego miasta podziałało nań jak dzban wina wypity kilkoma szybkimi łykami. Zabić cesarza? Zabić Czarnego Mnicha? Iść na wojnę z Seldżukami? Mścić się za upodlenie, niewolę i śmierć Zoe? Myśli przelatywały przez głowę Kaliksta, tłukąc się pod czaszką jak spłoszone nietoperze.

Przystanął. Wpatrzony w wirującą na niebie parkę drapieżników opadł na kolana.

–Co się ze mną dzieje?... – wymamrotał, walcząc z pulsującym szumem rozsadzającym czaszkę. Zakrył uszy dłońmi, jednak to tylko wzmocniło hałas. – Dość już! Co to jest?

–To twoja dusza – usłyszał cichy głos.

–Boże... – wyszeptał Belzebub. – Ja chyba umieram. Czy to głosy z piekła... Co to jest?...

–To twoja dusza – znów odparł ten sam głos.

Kalikst z wysiłkiem podniósł wzrok. Jakieś dziesięć kroków przed nim majaczyła czerwona drgająca plama. Potarł oczy, zamrugał. Gorące powietrze falowało, zniekształcając obraz.

–Co... Co to jest? Kim jesteś? Czym?

–Moje imię nic ci nie powie – usłyszał. – Zważ mnie Czerwonym Pustelnikiem. Nieważne. Nie ma na to czasu.

–Kim jesteś? Gdzie ty jesteś?

–Jestem... pustelnikiem. Gdzie jestem? Daleko. To nie jest w tej chwili najważniejsze. Teraz widzisz jeno odbicie mojej sylwetki niczym miraż na pustyni. Me ciało znajduje się daleko stąd, a ja nie mam zbyt wiele czasu, by wszystko ci tłumaczyć. Posłuchaj!

Belzebub wstał i zrobił kilka kroków w przód. Rozmyty kształt nabrał ostrości – ujrzał przed sobą ślepego starca w szkarłatnej riasie.

–Zapewne zadajesz sobie pytanie, skąd ten szum w twojej głowie, gdy tylko na niebie pojawiają się te dwa jastrzębie. Ten większy, o bardziej chrapliwym głosie, przechowuje w sobie część twojej duszy. Ten ptak to w pewnym sensie ty. Można tak powiedzieć.

–On to ja?

–Pamiętasz Czarnego Mnicha? Co ja się zresztą pytam, przecież to twój pan i twoje przekleństwo, zależnie od tego, jakie siły na ciebie działają! Ten heretyk dokonał okrutnego czynu na twojej nieśmiertelnej duszy. Rozbił ją na dwoje, odrzucając to, co dobre. Zostawił to, co najbardziej pasowało do jego zamiarów. Wyrwał z ciebie twą dobroć, miłość, uczciwość. Po to, byś był mu ślepo

posłuszny. Po to, by mógł cię wysłać ze skrytobójczą misją.

–Co? O czym ty mówisz? Przecież ja żyję! Nikt mi duszy nie odebrał. Nie jestem trupem! – Kalikst postąpił jeszcze trzy kroki do przodu. Widział zmarszczki na twarzy starca, ale jego sylwetka wciąż pozostawała niewyraźna, jakby utkana z czerwonej mgły.

–Żyjesz... I nie żyjesz zarazem... To, co zostało w tobie, to, co zwiesz duszą, jest wszystkim, co w tobie najgorsze. Odbierając ci dobro i uczciwość, Czarny Mnich uczynił cię tępym narzędziem mordy. Nie był jednak w stanie zrobić jednego: zabić odebranej ci części duszy. Umieścił ją w tym ptaku, w jastrzębiu, licząc na jego rychłą śmierć. Ale ja go uratowałem. Gdy krąży ci nad głową, odzywa się w tobie utracone jestestwo. Zaczynasz przypominać sobie rzeczy, które heretyk wypalił torturami i cierpieniem. Ty i jastrząb na tę krótką chwilę łączycie się połówkami duszy, stając się jedną istotą, chociaż w dwóch ciałach.

Belzebub przykucnął, podniósł z ziemi kamień i cisnął nim w kierunku starca.

–Precz, maro! Precz, diabolosie! Czego chcesz?

Pocisk przeleciał przez widmowe ciało eremity i spadł w oddali, wzniecając kłęby kurzu.

–Nie wierzysz moim słowom albo nie rozumiesz ich. Nic w tym dziwnego, więc nie będę teraz wszystkiego ci tłumaczył. Wyciągnij tylko ramię i pozwól, by usiadł na nim jastrząb. Wtedy pojmiesz, w czym rzecz.

Kalikst niechętnie uczynił, czego chciała zjawa. Zaraz usłyszał zgrzytliwe krrek, krrek, krrek! i jastrząb, zatoczywszy kilka coraz mniejszych kręgow, łagodnie przysiadł na przedramieniu Belzebuba. Mimo łańcucha i owijającego go płótna pazury ptaka lekko drasnęły skórę, wyciskając z niej drobne kropelki krwi.

–Musisz postarać się o skórzany rękaw, by lepiej chronił cię przed szponami jastrzębia – powiedział starzec, jednak Kalikst już go nie

słyszał. Dotknięcie ptaka przeniosło go wstecz w czasie i na inne miejsce. To już nie były niejasne wspomnienia wywoływane przez krzyki parki drapieżników. Nagle zrobiło się ciemno. Czuł stęchły zapach tufowego monastynu, smród trupich braciszków i śmierci.

Znów zobaczył Zoe. Wisiała rozpięta na krzyżu z grubych bali. Naga i pokrwawiona, zardzewiałe warkocze łańcuchów do krwi oplatały jej ramiona i uda. Mimo strupów i zaschniętych śladów czerwieni, mimo czarnych, posklejanych brudem włosów wciąż emanowało z niej piękno.

–To ty... – wyszeptała Zoe. – Teraz wiem, że to ty. Prawdziwy. Kochany...

–Przecież mówiłem – usłyszał Kalikst własny głos. – To ja jestem.

Wtedy z mroku wyłoniła się jeszcze jedna postać.

–Dość tych gruchań – rozkazał nagle Czarny Mnich. – Zabij ją!

A po chwili rzekł z jeszcze większym naciskiem:

–Nuże! Zabij ją! Nie zwlekaj, bo goście radzi obejrzeć widowisko. – Odwrócił się do kogoś skrytego w cieniu. – Jak widzisz, panie, mamy tu przykład bezgranicznej, ślepej miłości. Ale miłość to uczucie przegranych, miłość to słabość człowiecza, a więc trzeba się jej wyzbyć, by osiągnąć swój cel. Miłość jest ślepa, więc ten, co ją odczuwa, również jest ślepcem. Nasz urodzony zabójca nie może czuć miłości. Jak się jej ostatecznie wyzbędzie, będzie gotów... Nuże, no zadaj jej cios i zakończ to przedstawienie!

Nie od razu spełnił ten rozkaz, ale bynajmniej nie z litości... I to było jeszcze gorsze niż samo morderstwo... Wreszcie klinga Belzebuba weszła głęboko, aż po jelec, w środek brzucha dziewczyny. Z rany jęła sączyć się krew.

Szarpnął ją za włosy. Zoe zawyła rozdzierająco, jednak zaraz umilkła. Z ust pociekła jej spieniona czerwień.

–Dlhaczhego?... – wycharczała dziewczyna. – Khoch... Khochałam cię... Dlhaczhego mnie zabijasz...?

Dlaczego ją zabiłem? Dlaczego? Zabiłem! Zabiłem! – powtarzał w myślach. Pod czaszką poczuł łupanie, ogarnęła go oślepiająca fala jasności, która wkrótce zaczęła stopniowo przygasać. Później już była tylko ciemność. Ocknął się po kilku klepsydrach z twarzą przy ziemi. Jastrząb krążył mu nad głową, cicho pokrzykując.

–Ona żyje – usłyszał nagle.

Z wysiłkiem uniósł głowę. Widmowy starzec wciąż stał na drodze utkany z czerwonego dymu.

–Co...?

–Ona wciąż żyje. Zoe. Nie zabiłeś jej.

Belzebub zerwał się na równe nogi. Podbiegł do pustelnika. Chciał pochwycić go za ramiona, lecz jego dłonie przeniknęły przez miraż.

–Gadaj! O czym ty mówisz? Przecież pamiętam! Wbiłem jej szablę! A potem skrzyłem kark.

–Nie ma czasu na wyjaśnienia. Nie teraz. Mogą cię pojmać w każdej chwili. Jeżeli chcesz ująć pogoni i przywrócić to, co utraciłeś, przywrócić swoje dawne życie, musisz dotrzeć do mojej pustelni.

–Gdzie?

–Na Cyprze. W górach Troodos.

–Jak mam się tam dostać?

–Zawróć do miasta. Jeszcze dziś do portu w Laodycei zawinie kupiecki statek z Famagusty. Idź tam i zaokrętuj się. Statek wypłynie w rejs powrotny jutro rano. Gdy już będziesz w Famaguście, musisz kierować się do środka wyspy, w stronę wzgórza Throni.

–Złapią mnie. Jestem zbiegiem.

Starzec w szkarłatnej riasie rozcapierzył palce i powoli zacisnął dłoń w pięść. Kalikst poczuł, że kajdany obejmujące jego przeguby i kostki, pękają.

–Odwiń szmaty i pozbądź się żelastwa – nakazał pustelnik. – Zawróć do miasta, jednak zanim do niego wejdiesz, weź kosz, który porzuciłeś za murami. Gdy skierujesz się jakieś tysiąc kroków boczną drogą idącą od bramy, dojdiesz do niewielkiego jeziora, dużej kałuży właściwie. Na jego brzegach rosną zioła, bardzo aromatyczne. To jest ostrowonka, poznasz na pewno. Wypełnij nimi kosz i wracaj do miasta. Pamiętaj: jesteś sługą swojego pana. Nikt cię nie zaczepi.

Belzebub zaczął odwijać płótno z przegubów. Stalowe obręcze wyglądały tak, jakby ktoś je rozłupał równo na dwie części. Nie wyglądał już jak zbieg, raczej jak zabiegany chłopiec na posyłki.

–Tym zmylisz żołdaków basileusa, ale nie oszukasz Purrhosa. Bestia będzie podążać za tobą krok w krok. Chociaż teraz uratowała cię od śmierci, wkrótce obróci się przeciwko tobie. Gdy zaczniesz uciekać, oddalając się od Diogenesa, gdy stanie się jasne, że nie wykonasz zadania, dwugłowy demon zabije cię.

–To co robić?

–Nie mam dość mocy, by przenieść cię do mojego eremu, ani sam nie mogę pokonać drogi do ciebie przez mrok bezczasu. Mogę ci jednak pomóc w inny sposób: weź to!

Starzec wyciągnął dłoń, w której błysnął srebrny łańcuch z zawieszonym na jego końcu równoramiennym krzyżem. Perłowa masa zabarwiona na błękitno zaśniła w świetle słońca.

–To jest amulet, który powstrzyma Purrhosa – wyjaśnił pustelnik, wypuszczając łańcuch spomiędzy palców. – Nie będzie mógł cię zabić. Pamiętaj jednak, że krzyż nie uchroni przed pazurami i kłami

bestii innych ludzi, którzy znajdą się blisko ciebie.

Belzebub podniósł talizman. Ramiona krzyża pulsowały różnymi odcieniami błękitu niczym falujące morze lub niebo, na którym wiatr przepędza chmury. Pośrodku skrzyły się złote litery, jednak Kalikst nie potrafił ich rozczytać. Nie była to greka ani łacina, ani nawet ruska cyrylica. Symbole nie przypominały żadnego z alfabetów, jakich używały chrześcijańskie narody.

–Zawracaj do miasta i jak najszybciej dostań się na Cypr – rozkazał starzec. – Zostawiam ci jastrzębia jako towarzysza niedoli. Będzie ci przypominał, kim jesteś i jaki jest twój cel. Dbaj o niego. Jeśli podróż się przedłuży, musisz zapewnić mu pożywienie, bo sam nic nie upoluje. Gdy zginie, na zawsze pozostaniesz tylko cieniem siebie samego. Żywym trupem pozbawionym najpiękniejszych części duszy. Bestią, która potrafi tylko nienawidzić.

Drugi z ptaków zniżył lot.

–Kjek! Kjek! Kjek! – zawołał śpiewnie, przeleciawszy nad głową Belzebuba. Rozpoznał głos samicy.

–Ją zabieram – rzekł starzec. – Gdyby nie jej pomoc, jastrząb z twoją duszą dawno już by zdechł. Ale teraz będzie pomagać mnie. Będzie moimi oczami w górach.

To powiedziawszy, eremita w szkarłatnej riasie zniknął. Kalikst chwilę stał, wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą widział sylwetkę starca.

To miraż – pomyślał. – Omam zesłany przez słońce, głód i zmęczenie.

Zimny dotyk srebrnego łańcucha z błękitnym krzyżem przekonał go, że to nie był sen na jawie.

* * *

–A! To znowu ty! Co tam masz? – zapytał żołdak przy bramie.

–Zioła. Takie, jak mi nakazał pozbierać mój pan.

–Pokaż! Co to za zielisko?

–To jest... hmm... ostrowonka.

–Na okłady?

–Na okłady. I nie tylko. Mówią, że od tego przyrodzenie sterczy lepiej niż u byka, a twardsze jest niż kamień. Można heblować całą noc, a sił nie ubędzie.

–Ha, ha, ha! To takie rzeczy twemu panu na myśli! No dobrze, idźże. Bo pan pewnie czeka u wrót swego haremu i nogami przebiera, he, he. Ech, te Syryjczyki, Saraceny... Tylko jedno im w głowie.

W mieście zapanował już spokój. Trupy gapiów rozszarpanych przez Purrhosa uprzątnięto, ci, co ocalili, rozeszli się, opowiadając znajomkom, czego byli świadkami. Pewnie na trzech słuchaczy zrazu jeden uwierzył, dopiero za kilka dni ludzie zaczną się zastanawiać, czy czasem ta sama pogłoska powtórzona przez dziesięciu ludzi nie jest jednak prawdą. Teraz najważniejsze było uprzątnąć swoje domostwa, zebrać dobra, które ocalały, otworzyć sklepy i rozstawić kramy. Na roztrząsanie, ile jest racji w opowieści o demonie, przyjdzie czas wieczorem, w tawernie przy dzbanie wina.

W porcie niewiele się zmieniło. Fale miały połamanymi deskami i zdechłymi rybami, pośród których dryfowały trupy. Morze musiało je przynieść z głębszej wody – na drugim końcu nabrzeża Kalikst dostrzegł wóz grabarzy, zbierających zwłoki poległych. Będą mieli

tutaj jeszcze kilka dni roboty.

Dalej zobaczył statek, o którym mówił pustelnik. Był to okręt wojenny przebudowany na jednostkę kupiecką. Pokład dromony aż dudnił od stóp tragarzy wynoszących z ładowni worki ze zbożem, beczki z winem i paki ze skórami. Belzebub pokręcił się między nimi, wreszcie wypatrzył kapitana.

–Ludzi do pracy wam nie trzeba?

–Widzisz tego grubego z czerwona gębą? To Konstantyn. Dowodzi tragarzami. Może coś będzie miał.

–Chce płynąc na Cypr. Zabrać się na pokład.

–A umiesz coś? – Wilk morski tasował go pogardliwym spojrzeniem. – Wyglądasz mi na chudziaka.

–Różnych rzeczy się w życiu miałem. Dam se radę z każdą robotą.

–Pływałeś kiedyś? Znasz się na marynarskiej robocie? Do tego trzeba mieć krzepę i nie bać się wody.

–Dam radę.

–A niech tam! I tak nie mamy dość ludzi. Kilku poszło na służbę do basileusa, ledwośmy przybili do Laodycei. Skusiły ich łupy wojenne. Jakby nie wiedzieli, że najlepsza robota podczas wojny to handel. Ale nie płacę dużo! Dostaniesz stawę, dzban wina i sto nummi na dzień.

–Niech będzie. Chcę tylko dopłynąć do Famagusty.

–Wyruszamy jutro rano, tuż po wschodzie słońca. Nie pętaj się bez potrzeby, nie zachlej, nie chodź na dziwki, bo nie będziemy czekać.

Kalikst spojrział w niebo. Wysoko, pomiędzy lekkimi chmurkami szybował jastrząb. Lepsza część jego duszy.

* * *

Dopiero gdy port rozmył się w oddali skryty za mokrą bryzą, Belzebuba opuścił skurcz żołądka, który towarzyszył mu od chwili, gdy wrócił do miasta. Strój sługi chronił go przed przypadkowym zatrzymaniem, szybko jednak zauważył, że po Laodycei krążą patrole, które ani chybi mają za zadanie pochwycić go i z powrotem zawlec na ścięcie. Śmiał się w duchu z naiwności żołdaków basileusa. Nawet gdyby postawili na nogi wszystkich zbrojnych, którzy ruszyli na wojnę z Seldżukami, po zmroku nie mieliby szans. Skryty pod skrzydłami cienia prześlizgnąłby się na mury, a z nich zszedł po linie tak jak to robił już nieraz. Z drugiej strony musiał jakoś dotrzeć do wieczora i te dłużące się chwile napawały go nieustannym niepokojem. W nocy nie wyzbył się obaw – siedział w kącie tawerny, obserwując spode łba pijących marynarzy i węszących wszędzie żołnierzy. Później poszedł spać do wspólnej izby, bo osobne zajęli kupcy i oficerowie ze statku. Leżąc pomiędzy sapiącymi, chrapiącymi, burczącymi i pierdzącymi majtkami ze statku, cuchnącymi starym potem i wypitymi trunkami, nasłuchiwał, czy nie nadchodzą gady, by z powrotem zabrać go za kraty.

Nic jednak się nie zdarzyło. Noc minęła spokojnie, nie licząc mordobicia, jakie miało miejsce tuż pod oknami tawerny. Doszło do niego między rabusiami zwabionymi przybyciem dromony a żołnierzami pilnującymi statku. Pobite opryszki szybko uciekły, jeden tylko został, wypuszczając czerwone bąbelki z rozharatanego gardła.

Na morzu Kalikst zapomniał o strachach Laodycei. Słuchał huku fal, łopotu żagli, jęczenia wiosł w dulkach i odległego, ale wciąż wyraźnego wrzasku jastrzębia. Ptak szybował nad statkiem, a wtedy Belzebuba nachodziły wspomnienia. Złe wspomnienia. Ból i rozpacz w oczach Zoe, rechotliwy śmiech czarnego heretyka...

Jak to możliwe, że Zoe żyje? A może widmowy starzec kłamał, by dać mu nadzieję?

Zatopiony w myślach nie spostrzegł nawet, gdy dłonie z całej siły zaciskane na linach żagli zamieniły się w krwawą miazgę. Wrzeszczenie bosmana plującego najgorszymi przekleństwami brzęczało mu w uszach jak mucha. Coś, na co się nie zwraca uwagi, przynajmniej dopóki owad nie lata nad głową. Machinalnie wykonywał polecenia, a w zasadzie naśladował ruchy innych, bo nie rozumiał zupełnie, czego właściwie chce ryczący bosman.

–Wybieraj grota szot! Ruchy, adelfi, ruchy! Gamoto!

Belzebub robił, co mógł, jednak nie szło mu to za dobrze. W głowie rozbijały się wspomnienia, serce kłuła tęsknota. Lina coraz boleśniej parzyła dłonie. Upadł na deski, ciągnąc za sobą resztę majtków.

Stary wyga podskoczył do nich i ryknął:

–Do kurwiej nędzy! Co to ma być, adelfi? Do dupy z taką robotą! Gamo! Widać, że świeżynka! Pływałeś kiedyś? – zwrócił się do Kaliksta. – Znasz choć trochę marynarską robotę?

–Noo... prawdę mówiąc, statki widziałem tylko w porcie. W Konstantynopolu.

Twarz bosmana zalała czerwień wściekłości. Otworzył usta, by ryknąć i wyrzucić z siebie następny potok przekleństw, nagle jednak machnął ręką i wskazał na maszt.

–Wejdźże na górę. Siedź tam i patrz na boki. Nie chcę cię widzieć ani słyszeć. Chyba że dojrzysz okręt piratów. Wtedy drzyj mordę, ile dasz radę.

–Pewnie. To umiem robić. – Zmęczony Belzebub uśmiechnął się głupkowato.

–Precz stąd! Na górę!

Kalikst nie zwlekał. Złapał za linę i zaczął się wspinać po maszcie ze zręcznością, która zadziwiła marynarzy.

–A jednak! Jednak coś umie! Skacze lepiej niżli małpa.

Na szczycie masztu znajdowała się niewielka poprzeczna belka z podczepioną u spodu siecią. Nie było to zbyt wygodne miejsce, jednak Kalikst, nie myśląc długo, objął nogami reję, przewiązał się w pasie liną i tkwił tam, patrząc na jednostajne morze.

Gdzie nie spojrzeł – skłębione fale, na których tańczyły słoneczne refleksy. W oddali majaczyła Syria ledwo widoczna jako wąski szary pasek. Wkrótce dojrzał jeszcze coś – czarny punkcik zbliżający się szybkim lotem do ich statku. Jastrząb! Kaliksta znów ogarnęły zawroty głowy, jednako znacznie słabsze niż dotąd. Utracona część duszy, teraz niesiona na ptasich skrzydłach, boleśnie wdzierła się do jego serca, jednak za każdym razem cierpienie było mniejsze. Zamknął oczy, starając się uspokoić ściśnięty żołądek.

Nagle poczuł, że spada. Że leci z szeroko rozłożonymi ramionami prosto na pokład, na głowy pracujących majtków. Przerażony otworzył oczy i krzyknął:

–Kjek! Kjek! Kjek!

Zobaczył wtedy siebie siedzącego na rei, obwiązanego linami. Przytulonego do masztu z głową opuszczoną na piersi. Wtedy zrozumiał. Widział oczami jastrzębia! Czuł jego skrzydła, jego lekkość podczas swobodnego lotu pod chmurami. Nie wiedział, skąd ten dar i czy to coś dobrego, czy też zły omen, przekleństwo rozbicia duszy między człowieka i ptaka. Radować się czy rozpaczać? Nie myślał o tym. Tylko znów wrzasnął:

–Kjek! Kjek! Kjek!

Za chwilę był już sobą. Podniósł głowę, ciągnąc wzrokiem za odlatującym drapieżnikiem.

Wiatr od morza zacinał lekkim chłodem. Belzebub naciągnął kaptur burnusa. Ubranie, niegdyś lśniąca bielą, teraz przypominało łach żebraka, jednak dawało ochronę przed wichrem. Przyłożył głowę do masztu i słuchał monotonnego łoskotu fal i furkotu żagli. Nawet nie spostrzegł, gdy zapadł w drzemkę.

Znów widział scenę, gdy zabija Zoe. Ostrze szabli wdzierające się w brzuch dziewczyny i ohydny rechot Czarnego Mnicha. Cierpienie i rozpacz utraconej miłości w gasnących oczach jego ukochanej.

–Nie... – mamrotał. – Nie zabiłem cię, Zoe. Nie! Przebacz!

Obudził go znajomy fetor gnijących ryb. I ryk jak łoskot lawiny.

Purrhos wisiał na szczycie masztu, ściskając olinowanie żagla. Większy łeb, ten z paszczą, wisiał Kalikstowi nad uchem, paraliżując hałasem i smrodem. Mniejsza główka, osadzona na ruchliwej szyi, wiła się niczym wąż, w jej ślepkach płonęła furia, nozdrza dyszały wściekle.

Liny żagla zaczęły pękać, więc czerwony demon złapał za maszt. Drewno zatrzeszczało złowróźnie.

–Dhjooo-geenhesssss... Dhjooo-geenhes!

Belzebub szarpnął linę, która utrzymywała go na rei. Na próżno. Pod wpływem obciążenia węzły zacisnęły się na kamień. Nie było ucieczki od stwora, wisiał jak kurczak spętany na straganie handlarza drobiem.

Co gorsza, z pasa, który od wejścia na pokład nosił pod burnusem, znikła jego nowa broń – dwustronny czekan odebrany opryszkowi z Laodycei.

–Dhjooo-geenhesssss... Zaaabijjj! Terrrasss!

Wściekle oczka świdrowały Kaliksta niczym rozpalone do białości stalowe wiertła.

–Zabiję... – wycedził w odpowiedzi, starając się nie wciągać powietrza nosem – ale twojego stwórcę i pana. Tego cuchnącego heretyka kryjącego twarz przed słońcem. Zabiję go jak nic!

Dwugłowy ryknął, plując żółtawą śliną. Maszt huśtał się jak trzcina na wietrze, trzeszcząc przy tym coraz bardziej niepokojąco.

–Zhabijj! To roskas, Paanaa...

Przeklęte sznury! Teraz Belzebub przeklinał swoją głupotę, że poza czekaniem nie zabrał ze sobą noża. Chociażby małego kozika do strugania patyków! Wszystkie skarby świata za kozik do strugania patyków!

–Rosskass... Zhabić! Pan kazał!

–To nie jest mój pan, bestio! Idź precz i powiedz temu staremu capowi, że przyjdę i poderżnę mu gardło.

–Nie.

–Co nie?

–Nie poderżniesz – wydyszał całkiem wyraźnie, po ludzku Purrhos i sięgnął łapą ku gardłu Kaliksta. – Ja cię teraz uduszę.

Rozcapierzył paluchy pokryte jakąś dziwną czerwonoszarą mazią. Nagle je cofnął i zawył, jakby go palili żywym ogniem.

–Ból! Skąd? Co to?

Kalikst dopiero teraz sobie przypomniał – to ten krzyż, który dał mu starzec! Wyszarpnął łańcuch spod koszuli i mocno ścisnął połyskujący talizman, by bestia nie wyrwała mu go z ręki. Pamiętał przecie, jak łatwo rozprawiła się z łańcuchami, kiedy mieli go ścinać.

–Ból! Co to? Skąd masz? – Demon odchylił większy łeb i świstał

cicho przez zęby w niespokojnym oddechu. W oczach małej główki pojawił się strach. Kalikst dostrzegł to.

–Ha! A więc boisz się! Dobrze gadał starzec!

Stwór chuchnął, niemal pozbawiając Belzebuba przytomności. Kalikst na chwilę oślepl.

–Wynocha, czerwony śmierdzielu! – wystękał. – Do swego pana, precz!

Kolejne chuchnięcie jak wybuch wulkanu. I gniewny charkot. Dwugłowa bestia wyciągnęła łapę, by pazurami wydrapać mu oczy, wyszarpnąć język, a na koniec zgruchotać czaszkę.

Belzebub zasłonił się krzyżem. W Purrhosajakby piorun strzelił. Bestia zaskrzeczała krótko, zwolniła uchwyt i machając długimi ramionami, poleciała w dół. Za chwilę rozległ się tam trzask drewna i przeciągłe wycie.

Zapadła niepokojąca cisza. Kalikst nie słyszał ani ryków potwora, ani wrzasku załogi biegnącej z nagimi ostrzami, by posiekać bestię na strzępy. Morze szumiało, wiatr kotłował zbiegające fale, ale w tej wodnej muzyce brakowało jednego tonu. Wiosła! Wiosła galery zwiślały smętnie jak skrzydła rannego ptaka.

Z trudem zdołał rozsuptać węzły – zajęło mu to jakieś pół kwadransa, jednak przez ten czas z dołu nie doszedł go żaden głos. Gdzie załoga? Dlaczego nie czyni rejuwachu jak zawsze?

Schodząc na pokład, zaczął powoli rozumieć. Marynarze leżeli na pokładzie zwaleni na deski niczym wory, tkwili nieruchomo, jakby zapadli w ciężki sen. Ani śladu krwi, żadnych oderwanych członków, rozwłóczonych flaków...

A jednak nie żyli. Wszyscy. Belzebub chodził od ciała do ciała, szukając w nich jakichkolwiek oznak życia czy chociażby oznak wewnętrznej walki, oporu, cierpienia. Nie. Majtkowie nie oddychali, ich serca nie biły, krew nie pulsowała w żyłach.

Bosmana znalazł na rufie kilka kroków od stanowiska sterników. Leżał na plecach z martwym wzrokiem skierowanym w niebo. Na jego twarzy wciąż widniał gniewny mars, jakby nawet oddawszy ducha diabłu, poganiał swych majtków w rejsie do piekła. Rozłupana na pół czaszka zalewała pokład szaroczerwoną mazią.

Jak umarli? Im dłużej Kalikst oglądał ciała, tym mniej miał pomysłów. Trucizna? Nie, mieli spokojne oblicza, ani śladu cierpienia. Cios puginału w serce, uderzenie mieczem przez głowę? Nie, nie było krwi. Uduszeni? Żadnych oznak, karki też całe – nikt ich nie skręcił.

Pośrodku tego trupowiska leżał Purrhos. Ten dla odmiany wciąż dychał, tkwiąc nieruchomo w dziurze, jaką wybił w pokładzie, spadając z masztu. Belzebub przyjrzał mu się bliżej. Większa głowa stwora wpadła do szczeliny między deskami i tkwiła w niej całkowicie schowana. Szyja małego łebka zgięta nienaturalnie w trzech miejscach przypominała węża nasyczonego połkniętym prosiakiem.

Zostawił Purrhosa i pobiegł do wejścia pod pokład. Gdzieś musi być choć jeden żywy człowiek! Kapitan, kupcy, ich pomocnicy, skazańcy przy wiosłach!

Wszędzie, gdzie tylko zajrzał, widział ten sam obraz: nieruchome ciała pogrążone w wiecznym śnie. Bez śladów cierpienia, bez oznak walki. Kapitan siedział przy stole w swej kajucie z twarzą opartą o blat wyłożony mapami. Kupcy także martwi.

Zszedł niżej, na pokład galerników. Z trudem otworzył drzwi – blokowało je wielkie cielsko nadzorcy z batem w garści. Wewnątrz przywitał go duszący smród fekaliów i dwieście nagich ciał wiszących na nieruchomych wiosłach. Zatykając nos, obszedł całe pomieszczenie galeryjką strażników. Nawet tu nie dostrzegł śladów walki, jakby Bóg zlitował się nad skazańcami i jednym ruchem dłoni odebrał im dusze i oddał na pokutę Szatanowi. Nie ma wątpliwości, że po galerze tortury w piekle mogły być jeno wybawieniem.

Wrócił na górę. Dusiło go narastające przerażenie na myśl, że został sam na pokładzie dromony z nieprzytomnym, ale wciąż żywym i morderczym demonem, oraz kilkoma setkami cichych trupów. Co dalej? Jak dotrzeć na Cypr? Jak dotrzeć na jakikolwiek suchy ląd?

Dopiero teraz spostrzegł, że statek pchany łagodnymi, ale stanowczymi podmuchami wiatru, powoli płynie w stronę słońca. Nie wiedział, jaka była pora dnia, ale oceniając położenie żółtej kuli na niebie, wywnioskował, że galera zoczyła na południe, obierając kurs na opanowaną przez Seldżuków Palestynę. To nie było miejsce, do którego chciał się dostać. Już lepiej pójść na dno razem z galera, trupami marynarzy i czerwoną hydrą.

–Zhaabić... – doszło go nagle z tyłu stłumione burczenie. Podskoczył, jakby mu ktoś przyłożył rozpalonym prętem w piętę. Demon się obudził!

Pobiegł w jego stronę, chwytając po drodze swój czekan. Wziął zamach, spodziewając się ataku bestii, jednak dwugłowy dalej leżał z głową między połamanymi deskami.

Mamrocze bez przytomności – odetchnął z ulgą Kalikst. – Zaraz się jednak obudzi i wtedy krzyż może już nie wystarczyć do obrony.

–Jakżeś ty się tu dostał, demonie?... – wyszeptał. Czy czerwony śmierzdel potrafił pływać jak delfin, czy też sprytnie przyczaił się w ładowni między pakami towarów wiezionych przez kupców do Famagusty?

Podszedł na prawą burtę. Szalupa ratunkowa! Niewielka łódź zawieszona na obitych stalą wysięgnikach. Zajrzał do środka – trzy ławki, dwie pary wiosel. Mogło się tam zmieścić najwyżej osiem osób, może dziesięć. Licząc z łajbą z lewej burty, w sumie nie więcej niż dwadzieścia osób. Kupcy, kapitan, oficerowie, może jeszcze ktoś... Zwykli majtkowie i galernicy w razie katastrofy mieli iść na dno i gnić tam jako pokarm dla ryb.

Obejrzał dokładnie mechanizm wysięgnika. Do opuszczenia łodzi

potrzebne były dwie osoby. Pięknie! Postanowił jednak zaryzykować. Poluzował blokadę z jednej strony. Łańcuch zaczął przesuwając się z terkotem, łódka poszła w dół. Zbyt szybko! Ledwo zdołał z powrotem wsunąć klin na miejsce. Teraz na drugą stronę. I to samo. Zdjął blokadę, opuścił łańcuch, po chwili unieruchomił. Szalupa zjechała kilka stóp poniżej linii pokładu, jednak jej dziób wisiał za wysoko. Po kilku takich próbach wreszcie obniżył łódź tuż nad powierzchnię morza.

W końcu opadła na grzbiety fal. Zaryła rufą w toń, hojnie nabierając wody niczym chochła zupy.

–Gamoto! – zaklął, biegnąc do drugiego łańcucha. Zwolnił klin i dno łodzi z głuchym pacnięciem opadło na morze. Co najmniej w czwartej części szalupę zalało.

Opuścił więc na dół wiadro, którego majtkowie używali do szorowania pokładu. Przetrzęsawszy całą galerę, przyniósł też kolejne łupy: beczułkę ze słodką wodą, trochę suszonego mięsa, flaszkę wina, gruby koc i dwa zakrzywione noże. Wcisnął to wszystko do skórzanego worka podróżnego z kajuty kapitana i zrzucił do szalupy.

Z zabitego żołnierza, jednego ze strzelców stanowiących ochronę statku, zdjął łuk i sajdak. Zebrał też strzały od jego kompanów i umieścił w łodzi.

Zszedł pod pokład.

Nie było go niecały kwadrans.

Wybiegł w pośpiechu. Wskoczył do drugiej szalupy i kilkoma mocnymi uderzeniami toporka rozłupał jej poszycie.

–Teraz czas zająć się śmierdzielem – mruknął. Chwycił mocniej rękojeść czekana i stanął nad wciąż nieprzytomnym Purrhosem. Gdzie to bydlę ma serce? – zastanawiał się. – Parę ciosów i sprawa załatwiona. Tylko gdzie walić?

W końcu rąbnął demona w mały łepiek, tak by strzaskać nos i oczy.

Jak nie będzie widział i czuł, to już połowa sukcesu.

Ostrze rozcięło skórę bestii i ześlizgnąwszy się, wbiło w deski pokładu.

–Gamo... – jęknął tylko Kalikst.

W tej samej chwili czerwony stwór zaryczał rozdzierająco i skoczył na równe nogi. Krew zalewała mu czoło, jednak rana była niewielka.

Przecież takim ciosem rozłupałbym czaszkę wołu – przemknęło Belzebubowi przez myśl. – A jego tylko drasnęło!

Purrhos otarł wierzchem łapska krew z czoła. Wydał z siebie gniewne wycie i skoczył na Belzebuba.

Ten jednak trzymał już pulsujący błękitnym światłem krzyż.

–Precz, szkarado! Precz ode mnie!

Demon wściekle wywijał ramionami, jednak bał się zbliżyć. Syczał i pluł, ryczał i charczał, ale nie podszedł do swojego wroga bliżej niż na cztery kroki.

Cofając się, Kalikst dotarł do burty. Dwugłowy potwór człapał za nim krok w krok. Nie mógł zaatakować, jednak jakaś szczątkowa inteligencja mówiła mu, że wciąż jest w stanie pokrzyżować plany Belzebuba.

–Zhaabić! Dhiogenesa! Ty...!

–Sam zabij, skoro tak! Już swoim fetorem możesz wydrzeć mu ducha! Precz ode mnie!

Nim Purrhos cokolwiek powiedział, Kalikst jednym uderzeniem czekana odciął linę, do której była przywiązana łódź. Skoczył przez

burtę, mając nadzieję, że nie wyląduje na pokładzie szalupy, tylko tuż obok niej. Ta łódka nie wyglądała na zbyt stabilną, zwłaszcza że nabrała sporo wody.

Morze było chłodniejsze, niż myślał. Jakby zima wciąż jeszcze nie odeszła!

Młócił ramionami, by jak najszybciej dopędzić szalupę unoszoną przez falę i by się rozgrzać.

Za sobą posłyszał ryk demona. Jednak odwrócił głowę dopiero wtedy, gdy już wpełzł na łódź. Nie zwlekając, wyciągnął wiosła, umieścił je w dulkach i jął jak szalony nimi obracać.

Krypa była ciężka i niezgrabna, a woda, która wlała się do niej podczas niefortunnego opuszczania, zalała dno powyżej kostek.

–Nie będzie lekko – wysapał.

Nieraz pływał łodzią po Złotym Rogu, ot chociażby po to, by okraść statki Italczyków w Galacie. Tyle że wówczas zazwyczaj deskami machał Nicetas! Wiosłował jednak dalej, by jak najszybciej oddalić się od dromony.

Gdy spojrział w tył, już płonęła. Chciwe języki ognia wysunięte z otworów na pokładzie galerników lizały burty, a nadbudówkę na pokładzie otaczała czapa czarnego dymu. Z głośnym trzaskiem pękały skrzynie z jedwabiem, przyprawami i olejkami z dalekiego Hindu. Drogocenny towar uzyskany przez kupca w zamian za broń i żywność dla wojska zadziałał niczym igró pyr – nagle środkowa część pokładu eksplodowała, wyrzucając pod niebo płomień długi jak pół masztu. Zaraz zajęły się od niego żagle. Wiatr rozniósł ogień na nietknięte jeszcze części statku. Dromona w mgnieniu oka zamieniła się w gorejącą kulę powoli osuwającą się w morską toń.

–Gdzie jesteś?... – spytał cicho Kalikst.

Dwugłowa sylwetka mignęła na tle płomieni, słysząc było wycie potwora, później jednak czerwony demon zniknął i ucichł. Pochłonał

go pożar? Skoczył w fale? A może za sprawą jakiejś magii przeniósł się na bezpieczny ląd? Belzebub zadrżał na tę ostatnią myśl. Magia! To by tłumaczyło niespodziewaną obecność śmierdzącego na pokładzie galery!

–Przeklęty czarny szarlatanie! – mruknął Kalikst. – Gdzieżeś teraz przeniósł tę swoją hydrę? Czeka na mnie na Cyprze? A może płynie pode mną jak ryba i tylko patrzy, by uderzyć od dołu?

Poobcierane dłonie paliły go od ściskania wiosła, ramiona i plecy pulsowały narastającym bólem, który z każdą minutą odbierał mu nadzieję, że ta przygoda będzie miała swój dobry koniec. W przerwach próbował wylać wodę chlupoczącą mu pod nogami na dnie szalupy, jednak mimo wszystkich wysiłków wciąż było mokro.

Gdy słońce zaróżowiło niebo nad horyzontem, całkowicie opadł z sił. Nie wiedział, dokąd płynąć – gdzie nie spojrzeć, szaroniebieska toń kotłowana przez zimne podmuchy wiatru. Żadnego lądu. Nawet najmniejszej wysepki! Nic. Zległ na dnie łodzi i okrywszy się pledem, pozwolił, by szalupę niosły fale. Wreszcie zasnął.

Zapadła noc. Od południa wiał mocny wiatr, pchając łódkę w dal, zdałoby się – na skraj świata. A Belzebub w sennych marach wciąż uciekał przed Purrhosem.

Gdy się przebudził, świtało. Wicher ustał, a morze było płaskie niczym ława w tawernie.

Na dziobie siedział jastrząb.

–Kjek! – powiedział tylko.

–Kjek, kjek... – odparł zrezygnowany Kalikst, rzucając przed siebie kawał suszonego mięsa. – Lepiej byś mi drogę pokazał.

Ptaka pochwycił kasek, jednak nie zjadł go od razu. Najpierw trzymał w dziobie, później upuścił pod nogi i przytrzymując pazurami, wyszarpywał niewielkie kawałeczki.

–Wiem, że nie jesz ludzkiego żarcia, tylko surowe. Nie mam nic lepszego.

Jastrząb zdawał się rozumieć. Szarpał mięso z takim zapalem, jakby trzymał w szponach jeszcze żywego królika.

Belzebub też zjadł odrobinę, popijając resztką wody z beczułki. Cały dzień wiosłowania pobudził jego pragnienie, ale wiedział, że kolejnego już nie przeżyje.

–Znajdź ląd, powiedz, gdzie mam płynąć...

Jego skrzydlaty towarzysz niedoli skinął łbem w niepokojąco ludzkim geście. Zerwał się do lotu i poszybował w dal. Belzebub poczuł nagłą falę ciepła, jednak tuż po niej przyszedł niespodziewany chłód, który pokrył jego ramiona gęsią skórką.

Wtedy spojrzął na świat oczami ptaka. Nic, tylko niebieskoszara toń, miejscami wręcz czarna. Po kwadransie lotu ogarnęło go znużenie, głowę wypełniał mu monotony szum. Nie wiedział już, czy śni, czy majaczy, czy dalej mknie pod niebem.

Nagle serce zabiło mu mocniej. Okręt! Smukła dromona średniej wielkości. Niebieskie żagle, niebieski kadłub – tak malowane były jednostki pływające we flocie basileusa. Płynęła na Cypr? Do Seleucji? A może do Laodycei? To bez znaczenia, niech płynie nawet do jaskini Iwa, do samego Diogenesa. Lepsze to niż dryfowanie w łupince bez celu i kierunku.

Nawieję w porcie, zanim się połapią, co i jak – przemknęło Kalikstowi przez myśl. – Do Famagusty dotrę następnym statkiem.

Pozwolił, by ptak swobodnie opadł niżej, tuż nad wierzchołki masztów. Przyjrzał się bliżej załodze niebieskiej dromony. Poczł falę gorąca.

To nie byli Rhomaioi. Turbany, zawoje, szerokie portki, zakrzywione szable... Śniade gęby ponure jak najczarniejsza noc, z utęsknieniem wypatrujące samotnych żagli na morzu. Piraci.

Seldżycy! Po nich Kalikst nie mógł się spodziewać ratunku.

Jastrząb cicho wleciał ponad dromonę, a potem wyżej i wyżej. Zawrócił i zataczając szerokie koła, dalej piął się ku chmurom. Belzebub, patrząc jego oczami, starał się odnaleźć choć niewielki skrawek ładu.

Tylko spienione fale, postrzępione chmurki w oddali i mewy pierzchające na widok drapieżnika. Wyglądało na to, że bestia zaatakowała dromonę w miejscu, z którego do wszystkich portów było równie daleko.

Nagły huk przerwał obserwację oczami jastrzębia. Przeciągły łoskot rozdzieranego drewna był niczym chrzęst łamanej kości, równie bolesny i nieprzyjemny. Później Kalikst poczuł uderzenie w tył głowy. I zabrał go mrok.

Rozdział 17

–To ten dom – Wit Wodnik wyciągnął ramię, wskazując na budynki otoczone zielenią. – Rezydencja Dukasów.

–Niczego sobie – przyznał z podziwem jego brat.

Dołączył do nich Nicetas. Podczołgał się na brzeg wzgórza i spojrzał w dół.

–Obłowimy się i to całkiem nieźle. Czuję to.

Leżeli tak skryci między trawami w cieniu kapeluszowatej skały o barwie tłącego się popiołu.

Wiosna w Kapadocji pokryła okolicę soczystą zielenią, gdzieś tam syjąc białym kwieciem. O tej porze roku nawet w południe słońce nie piekło zbyt mocno, nie tak jak wtedy, gdy żar późnego lata zamieniał tę krainę w pustynię. Lekkie powiewy wiatru znad gór niosły ze sobą zapach świeżych ziół. Na polach i łąkach pracowali koloni, udrażniając kanały doprowadzające wodę, doglądając kielkującego zboża i wiodąc bydło na pastwiska. Wioski

rozbrzmiewały stukotem narzędzi, brzęczeniem owczych dzwonek, szczekaniem psów.

Tylko wokół siedziby Dukasów panowała cisza. Rezydencja położona z dala od najbliższej wsi – zdawało się – zastygła w oczekiwaniu tak samo jak trójka złodziei.

–Zobaczcie – szepnął Waldemar. – Brama zamknięta. I nikogo nie widać. Pochowali się.

–Czyli wiedzą. Zaczaili się na nas. Wiedzą, że przyjdziemy.

Jałmużnik potwierdził skinieniem.

–Musimy poczekać do wieczora – zdecydował i wymacał pod kaftanem niewielką buteleczkę z grubego szkła wypełnioną żółtopomarańczowym płynem. Oleista ciecz chlupotała cicho. – Starzec dał nam tyle widzenia sowy, że starczy na nas trzech na całą noc. Wtedy pójdziemy obaczyć, co i jak. Bo teraz, jak się tylko ruszymy, to nas wezmą na strzały. Widzicie te otwory wokół bramy? Tam na pewno tkwią łucznicy gotowi posłać nam kilka grotów w tyłek.

–Popatrz na dach – zwrócił uwagę Wodnik. – Za tymi płaskorzeźbami, tam też są stanowiska. Mogą prowadzić ostrzał, nawet gdy wejdziemy za bramę.

Wielka Pięść wskazał końcem noża niewielki gaj oliwny otaczający od północy mury posiadłości.

–Zobaczcie tam! Drzewa idą niemal od tych wzgórz aż do samej rezydencji. Możemy tamtędy się przekraść i polipać z bliska. Trzeba objechać szczyt z drugiej strony i zejść zboczem.

To był dobry plan, więc odczołgali się z powrotem do koni. Niecałe dwa kwadransy później cicho stąpali po miękkiej trawie w zagajniku. Gdy doszli na jego skraj, przywarli do pni. Dostrzegli z tyłu domostwa stajnie, jednak niezbyt wielkie, na kilkadziesiąt koni najwyżej, co oznaczało, że straż pilnującą rezydencji stanowili

głównie piesi i łucznicy. To ułatwiało ucieczkę, jednak nie rozwiązywało najważniejszego problemu: jak wejść do środka?

Za stajniami wypatrzyli niewidoczne na pierwszy rzut oka koszary. Otaczał je osobny mur od strony rezydencji opleciony winoroślą. Wzdłuż niego rosły przycięte przez ogrodnika cedry. Widać Michał Dukas lubił spokój i odosobnienie, jednak nie zaniedbywał bezpieczeństwa. Nie chciał mieć swych zbrojnych stale na widoku, ale mimo to zawsze pod ręką.

–Ani żywej duszy – stwierdził Wit. – Nie podoba mi się to.

–Mur jebutnie wysoki. Z każdej mańki – poparł go brat. – Zanim przejdziem, naszpikują nas z ukrycia żelazem. Trudna sprawa.

–Dlatego mamy widzenie sowy – przypomniał Wielka Pięść. – Czekajmy do zmroku. Wtedy oni będą musieli się bać nas. A nie my ich.

–Zapalą pochodnie na dziedzińcu. Będzie jasno jak w dzień. Wtedy żadne magiczne oleje nam nic nie pomogą.

Czekali więc. Siedzieli na skraju gaju oliwnego, wypatrując zbrojnych albo i kogokolwiek. Tak minęło pół dnia.

Pierwszy zniecierpliwiał się Nicetas. Nim Żmudzini spostrzegli w czym rzecz, dryblas ruszył w dół z nagim mieczem, jakby szedł na wojnę.

–Gruby! A ty gdzie?! – wołał go półgłosem Wit. Jednak nie odważył się pobiec w ślad za nim. Brat Wodnika tylko klepał się w czoło w wymownym geście i mruzczał:

–Ogłupiał do reszty, koproskilo. No ogłupiał, przecie go ubiją jak nic!

Patrzyli obaj, jak Wielka Pięść spokojnie dochodzi do muru, idzie w jego cieniu aż do samego końca – do rogu, za którym znajdował się plac przed główną bramą. Później zniknął im z oczu. Panowała

cisza, jakby nigdy nic się nie działo.

Nie czekali kwadransa, gdy Nicetas znów się pojawił. Nie zważając na chromą nogę, biegł podekscytowany i coś wołał. Czy raczej próbował coś wyartykułować, jednak bezskutecznie.

–Brama... Ech! Łuczników... Koszary... Uff! Gada...

Żmudzini przypatrywali mu się ze zdziwieniem.

–Rozumiesz coś z tej jego paplaniny? – zapytał Waldemar.

–Dostał w dupsko z łuku! Skopali go strażnicy! A teraz biegnie po pomoc.

Jednak dryblas przyniósł inne rewelacje. Gdy już złapał oddech i pociągnął kilka potężnych łyków z bukłaka, rzekł spokojnie:

–Brama jest tylko przymknięta, ale niezaryglowana. Nie ma żadnych łuczników, nikogo! Ani jednego gada! Koszary puste.

Jałmużnik wydał usta w wyrazie politowania. Zaczął tłumaczyć:

–Widać wszyscy schronili się w domu. Podejź bliżej, to łucznicy zrobią ci z dupy jeża.

To wzbudziło wątpliwości Wita.

–Jak mu mogą zrobić z dupy jeża, skoro będzie szedł przodem? Znaczą dupę będzie miał z tyłu...

Wielka Pięść złapał ich za karki i tryknął czołami, by przestali pleść bzdury. Pomogło. Nicetas mógł wreszcie opowiedzieć, co widział:

–Zajrzałem w każdy kąt, do koszar, na bramę, za dom. Żadnych gadów nie ma. Ani jednego konia w stajni. Do domu nie wchodziłem, ale wygląda, jakby nikogo w środku nie było. Patrzcie, nie ma dymu! Nie ma psów na obejściu. Ta rezydencja jest opuszczona.

–Czyli... zaraza?

–Nie... Nie widziałem znaków. Wygląda to tak, jakby wszystkie Dukasy spakowały dobytek i ruszyły hen. Zresztą chodźcie za mną! Zobaczycie sami.

Rzeczywiście, za bramą panowała absolutna cisza i porządek. Nie było też żadnych śladów moru – świeżych mogił, popiołu z ognisk, w których palono szmaty i naczynia używane przez chorych, nic z tych rzeczy. Dziedziniec wyglądał tak, jakby pan opuścił swe włości, wybierając się w daleką podróż. Tylko dlaczego nie zostawił sług ani straży, a na bramie nie założono rygli? Szybko odkryli, że również dom jest otwarty i pusty. Przetrzęsali go komnata po komnacie, nie mogąc uwierzyć, że Dukasowie nie zostawili ani jednego zbrojnego, który miał strzec ich dóbr. Wyzbyli się obaw, gdy dotarli do piwniczki i wytoczyli pękata bekę z czerwonym winem.

* * *

–Pany nawiały, my mamy ich dom, czego chcieć więcej! – rechotał Nicetas, sadowiąc się na wielkim, misternie zdobionym krześle, osadzonym na okrągłej płycie z czerwonego porfiru. – Patrzcie na mnie! Jestem basileus! Wydaję wam rozkaz: macie pić!

Pili więc, jak kazał cesarz Wielka Pięść. Jednak Waldemar nie miał tak doskonałego humoru.

–Zapominasz o jednym. Mieliśmy zabić Michała i Andronika Dukasów, a ich rezydencję podpalić. Nakraść przy tym ile się da. Te dwie rzeczy są do zrobienia, ale co z Dukasami? Żeby dostać pełne ułaskawienie, mieli my posłać wielmożów na ucztę do piekła.

A tak Diogenes wciąż ma nas w garści. Jak złapie, nie popuści.

–A ty dajesz wiarę tym jego obietnicom? – zapytał dryblas między jednym a drugim łykiem wina. – Ułaskawienie? Wolność? Coś ty, bracie, nie znasz dworskich? Zawsze cię okantują. Ja tam w żadne ułaskawienia nie wierzę.

–To po coś tu dupę targał?

–A co, źle jest? Powiedzieli, gdzie jest bogato, ilu gadów będzie, którądy wejść. Jeszcze dali widzenie sowy na blatną robotę. To co, miałem nie iść, jak złoto samo w łapy wpada?

–Co racja, to racja...

–No właśnie.

* * *

–To znowu ty, starcze – warknął wściekle Belzebub. Złość rozpalająca jego serce tłumiała ból rozbitej głowy, poobcieranych ramion i stłuczonych kolan. Patrzył na szczątki łodzi i na skały. – Co ja tu właściwie robię? Kim ty w ogóle jesteś?

Mnich w czerwonej riasie stał na postrzępionej skale uformowanej przez wodę i wiatr na podobieństwo wielkiej pięści zaciśniętej do ciosu. Bryza rozwiewała szatę eremity, furkocząc materiałem w rytm szumu morza.

Nie odpowiedział na pytanie Kaliksta, jakby nie tylko postradał zmysł wzroku, ale także słuch.

–Ej, ślepcze! Kim ty w ogóle jesteś? Co to za miejsce? – Belzebub za plecami miał spienioną toń wściekle bijącą o kamienie. Fale rozlewały się również po bokach i tylko z przodu, za skałą starca, rozciągało się wąskie pasmo lądu. – Do diabła, mówże! Co to za

przeklęta pustynia?!

Pustelnik uczynił znak krzyża, po czym bez słowa odwrócił się i pewnie krocząc po kamieniach, ruszył w głąb cypla. Czy wyspy. Czy cokolwiek to było.

–Wracaj tu, stary capie! Jeszcze nie skończyliśmy gadki! – Kalikst pomacał się po pasie. Nóż! Wyszarpnął ostrze i sycząc z bólu, pognął za szkarłatnym mnichem.

Ten, o dziwo, mimo że ślepy, radził sobie, jakby całe życie spędził na tych skałach. Okrywszy siwą głowę kapturem, kroczył wąską ścieżką, lawirując między zębiastymi skałami.

Jego obojętność i milczenie jeszcze bardziej rozsierdziło Belzebuba.

–Zabiję! Serce wydrę i rzucę rybom na pożarcie! Stój, ty stare próchno! Gamoto!

Biegł, starając się zapomnieć o pieczeniu ran. Sól coraz silniej gryzła jego porozdzierane członki, co tym bardziej nasilało wściekłość i nienawiść.

Mnich wyszedł już spomiędzy skał. Wciąż idąc dziarskim krokiem, zagłębił się między kolczaste krzaki wyrastające tym gęściej, im dalej byli od brzegu. A więc to nie wyspa! A przynajmniej nie skupisko postrzępionych skał pośród morza, lecz większy ląd, na którym zieleniły się krzewy, ba!, nawet drzewa – co Kalikst dojrzał w oddali. Nie myślał jednak o tym zbyt długo. Wyspa czy ląd, to nie miało teraz znaczenia! Ważne jest jedno! Dopaść starego capa i poderżnąć mu gardło!

–Co, pękasz?! Chodu dajesz, dziadek! Gamo, gamo, Gamotooo!

Mnich w czerwonej riasie zagłębił się pomiędzy niewysokie cyprysy zniekształcone od sztormów i nadmorskich burz. Gdy Belzebub wyszedł spomiędzy skał, puścił się biegiem w jego kierunku.

–Kjek! Kjek! Kjek!

Krzyk jastrzębia był dlań jak cios w łeb. Jakby świat stanął do góry nogami i zwałił mu się na głowę. Migająca między gałęziami szkarłatna szata eremity nagle przybrała kształt płomienia. A później Kalikst posłyszał huk. Błysk ognia powalił go na ziemię.

–Kjek! Kjek! Kjek! – zawołał jeszcze raz jastrząb, a Belzebub poczuł, że nagle cała wściekłość, nienawiść i ból duszy uchodzi zeń jak powietrze z dziurawego rybiego pęcherza.

–Pomocy... – wystękał i znów zapadł w mrok.

* * *

–Masz! Pij!

–Co...?

–Pij!

Posłuchał. Przyłgnał ustami do bukłaka i chciwie sączył wodę, która zdawała mu się teraz lepsza niżli wszystko wino, jakie wychlał w życiu. Pił tak długo, aż osuszył skórzany worek, wtedy zamknął oczy, oswajając otaczające go dźwięki.

Turkot wozu i stukot kopyt. A fale morskie? Nie! Morze pozostało już tylko wspomnieniem. Słyszać było za to krzyk ptaka stłumiony przez chmury i wiatr. Słuchał tego z niezrozumiałą dla siebie rozkoszą, wreszcie uniósł powieki.

–Ptak poleciał za daleko.

–Co...? – Belzebub skierował wzrok na starca. – O czym ty...
Czekaj! Pamiętam! Byłeś tam, na skałach! A łódź...

–Łódź się rozbiła, kiedy widziałeś oczami jastrzębia. Ale powiadam: ptak poleciał za daleko, a ty, miast patrzeć, gdzie płyniesz, dałeś się ponieść pod niebo. Cóż, nie ma w tym nic dziwnego, wiem aż nazbyt dobrze, jak to jest patrzeć oczami innej istoty. Jastrząb odleciał daleko, hen na północ, niemal do wybrzeży Anatolii, ty zaś rozbiłeś swoją szalupę o brzeg.

–Jaki...? Jaki brzeg, gdzie jestem?

–Na Cyprze, oczywiście. Dotarłeś tu, gdzie wiodło cię twoje przeznaczenie, chociaż nie najłatwiejszą drogą. Początkowo czekałem na cię w Famaguście.

Kalikst dźwignął się wyżej. Niewielką dwukólkę, na której leżał, ciągnął czarny osioł. Powoził, stojąc, ślepy mnich w szkarłatnej riasie. Jechali przez opustoszałe kamieniste równiny porośnięte bladozielonymi drzewkami oliwnymi, zdziczałymi, jakby od pokoleń nie dotknęła ich ludzka ręka.

–Ptak odleciał za daleko i nie tylko straciłeś panowanie nad łodzią, ale także spojenie z dobrą częścią swojej duszy. Byłeś jak dawniej: opanowała cię żądza mordy i pragnienie śmieci. Ale ta słabość minie. Jeszcze trochę czasu i będziesz potrafił utrzymać jedność z jastrzębiem nawet wówczas, gdy odleci na drugi kraniec świata. Będziesz potrafił widzieć jego oczami, nie tracąc przy tym panowania nad własnym ciałem.

–Kim jesteś?

–Już zadałeś mi to pytanie. A ja ci wtedy odpowiedziałem. Moje imię nie ma znaczenia, bom swoje życie i swoje jestestwo poświęcił Bogu. Mówią na mnie Czerwony Pustelnik. Tak też możesz nazywać mnie w myślach.

–Jesteś ślepy!

–Ślepy, cóż to znaczy? Nie widzę oczami, którymi Bóg mnie obdarzył przy narodzinach. Taka jednak była wola Pana. Teraz widzę oczami wszelkiego stworzenia, ot, chociażby tego osła. Stąd nie lękaj się, bo widzę, dokąd prowadzi ta droga. Nie wpadniemy w górską przepaść, nawet gdy będziemy podążać jej skrajem.

Belzebub w zamyśleniu sączył wodę.

–Co z Zoe?! Teraz już możesz mi powiedzieć, w czym rzecz. Czy to możliwe, że jej nie zabiłem?

Starzec milczał chwilę, jakby wypróbując cierpliwość Kaliksta.

–Nie zabiłeś – rzekł w końcu. – Przynajmniej nie jej ciało i nie jej duszę.

–Co ty gadasz, starcze?! Żyje czy nie?

–Byłeś gotowy ją zabić i zrobiłeś to, w swoim mniemaniu. Nie zawahałeś się, nic nie wstrzymało twojej ręki, gdy wbijałeś ostrze pod pierś ukochanej. Patrząc zatem z tej perspektywy, dokonałeś tego czynu i ona nie żyje. Bo dopuściłeś się zabójstwa w swej duszy.

–Na świętego Mikołaja, patrona złodziei! Co to ma wszystko znaczyć? Dlaczego gadasz tak pokrętnie jak pijany tragarz wykopany z tawerny?

–Chcę, byś zrozumiał wszelkie aspekty swych czynów. Owszem, Zoe żyje, gdy spojrzymy na to z punktu widzenia wszystkich poza tobą. Bo nie przebiłeś swą szablą Zoe, lecz jej sobowtóra, pozbawioną duszy postać stworzoną na jej podobieństwo.

–Jak mój bliźniak!

–Jak twój bliźniak, a właściwie bliźniacy. Czarny szarlatan stworzył ich co najmniej sześciu, a śmierć połowy z nich mogłeś oglądać zawieszony w swej klatce. Pozostałych zabijał na oczach Zoe, utrzymując ją w przekonaniu, że to ty cierpisz i giniesz. Myślisz, że

ktokolwiek przeżyłby takie katusze? Nawet golem ulepiony z ludzkich zwłok.

–Czyli zabiłem golema Zoe?! – Serce Kaliksta wypełniła radość, jakby duszkiem wypił dzban słodkiego wina z Gruzji. – Ale przecież...

Starzec nie dał mu dokończyć.

–Nie wiedziałeś o tym, że to nie jest Zoe. Gdyby miał jej sobowtóra szarlatan przykuł do krzyża prawdziwą Zoe, zabiłbyś ją tak samo jak golema. Nie zawahałbyś się ani przez jeden oddech. Dlatego powiadam: jesteś zabójcą Zoe, choć jej nie zabiłeś. Chcę, żebyś o tym pamiętał.

–Co z nią jest?

–Czarny szarlatan przetrzymuje ją w swym upiornym monastyrze. W klatce, tak jak ciebie niegdyś więził. Tyle że w innej sali.

–Torturuje ją...?

–Nie tak jak ciebie. Choć nie wątpię, że już sama niewola jest dla niej wystarczającą katuszą.

Belzebub wrócił wspomnieniami do tej chwili, gdy śmiejąc się, zanurzył koniec lśniącego ostrza w powabnym ciele dziewczyny. Nie, wtedy tak o tym nie myślał. Nie istniało dlań piękno ani miłosne pożądanie, tylko zwierzęca chuć. Znał tylko jedno uczucie – nienawiść. Więc to nie była Zoe? Ale skąd w takim razie pamiętała tyle szczegółów z ich życia? Przecież odpytywała go, sprawdzając, czy nie jest kolejnym golemem.

Czerwony eremita zapytany o to tylko wzruszył ramionami.

–Cielesne podobieństwo to tylko jeden z elementów szatańskiej układanki. Równie ważna jest mimika, wypowiedane słowa, a przede wszystkim pamięć. Nie stałbyś się zabójcą idealnym, gdybyś nie miał pełnego przekonania, że zabijasz Zoe.

Chrzęst kół wozu i stukot oślich kopyt usypiał. Słońce grzało teraz najsilniej jak mogło, pośród listowia leniwie grały cykady. Kalikst starł zmęczenie z oczu. Dopił resztkę wody i zwiesił nogi z dwukółki, niemal szurając stopami o kamienie.

–Nie rozumiem jednak, po co to wszystko. Po co Czarny Mnich tworzył sobowtóra Zoe? I dlaczego kazał mi zabić jego, a nie prawdziwą Zoe? Po co się tak trudził?

–Na te pytania, mam nadzieję, sam wkrótce znajdziesz odpowiedzi. Mogę się tylko domyślać, że golemy Zoe zostały stworzone w tym samym celu co twoje. Najpierw rozdzierał twą duszę widokiem mordowanych bliźniaków. Gdyby to nie wystarczyło, rozpocząłby inne przedstawienie. Codzienne dręczenie Zoe. Aż do skutku, by rozerwać w tobie to, co dobre, i to, co złe.

Po zastanowieniu, starzec szepnął jeszcze:

–Albo też... – Albo?

–Albo też chciał wyuczyć Zoe sztuki bezwzględnego i cichego zabijania jak ciebie. Na wypadek, gdybyś ty zawiódł. A zawiódłeś.

–Zawiódłem...

–Toteż już sam nie wiem, co gorsze. Może ten pomiot Satanaela już wie, że nie wykonałeś zadania, że nie zabiłeś basileusa. Dlatego może posłać dziewczynę, by to ona wbiła puginał w serce władcy Konstantynopola.

–Muszę ją uratować – postanowił Kalikst. – I to natychmiast!

–Musisz naprawić wiele błędów, jakie popełniłeś. Odpokutować za wiele krzywd, do jakich się przyczyniłeś. Ale najpierw musisz mi towarzyszyć w drodze do mej pustelni. Tam powiem ci, jak pokonać szarlatana w czarnym habicie.

* * *

Nadszedł wieczór, a po nim noc. Mnich w czerwonej szacie ani na chwilę nie zatrzymał dwukółki. Przeciwnie, jeszcze przyspieszył, bijąc lejcami biednego osiołka, który powinien już dawno paść od nadmiernego wysiłku.

–Starcze, zmrok zapadł. Nie widać drogi, nawet księżyc skryty za chmurami...

Eremita zachichotał cicho.

–Wciąż zapominasz, że jestem ślepcem. Światło dla mnie nic nie znaczy. Jest jak opowieść w nieznanym języku, nie ma dla mnie żadnej treści.

–Ale osioł! Osioł przecież nic nie widzi, więc i ty nie możesz kierować wozem jego oczami. Tylko patrzeć, jak głupie bydle wciągnie wóz w przepaść.

–Teraz to ja go prowadzę! W nocy nie trzeba oczu, wystarczy dobrze słuchać. A tej zdolności mnie dobry Bóg jeszcze nie pozbawił, przeciwnie, wyostrzył ją. Po zmroku, gdy świat usypia, słyszę, jakbym widział.

I jakby na dowód swych słów mocniej strzelił lejcami, zmuszając osiołka do szybszego galopu. Zwierzę przebierało kopytkami w takim pędzie, że aż wóz zaczął podskakiwać na kamieniach.

Kalikst zsunął się na brzeg platformy, gotów, by w każdej chwili zeskoczyć, nim dwukółka spadnie w przepaść.

Mijały jednak godziny, a katastrofa nie nastąpiła. Zmęczenie zamykało Belzebubowi powieki, usta bezwiednie otwierały mu się

do ziewania. W końcu uległ temu uczuciu. Wciągnął nogi do wozu i przytulił twarz do desek.

Obudziły go pierwsze promienie słońca, ledwie przebijające się zza linii szczytów w oddali. Mnich stał nieporuszony z głową oświetloną pierwszym blaskiem dnia niczym Helios na swym rydwanie. Nie okazywał najmniejszych oznak zmęczenia podobnie jak osioł dzielnie stukoczący kopytami.

–Diabolos nie onos – mruknął Kalikst, patrząc z podejrzliwością na niezmordowane zwierzę. Pierwsze promienie słońca kładły się na jego czarnej sierści ognistą czerwienią. – Każdy inny by padł. I to jeszcze przed nocą.

–Każdy inny, ale nie ten – odparł starzec.

–Jest silniejszy niż para koni... Macie tu takich więcej, starcze?

–Jest tylko ten jeden – uciął mnich.

Belzebub wzruszył ramionami. Gdy słońce śmieiej wyjrzało zza skał, zaczął uważnie rozglądać się po okolicy. Droga szła teraz krętym szlakiem, pnąc się do góry między łagodnymi szarymi zboczami.

–Czy to już? Dojeżdżamy?

–To dopiero góry Pentadaktylos. Do Troodos jeszcze daleko.

–Ile?

–Dzień i noc jazdy.

–Jeszcze cały dzień mam się telepać dwukólką zaprzęzoną w czarnego osła?!

–Tak, cały dzień i całą noc.

–Starcze, po co ty mnie właściwie wiesz do tych swoich

Troodos?! To nie zbliża nas ani na krok do Czarnego Mnicha. A Zoe? Muszę ratować Zoe, szkoda czasu na modły w twojej pustelni.

–Jest kilka powodów, by jechać do Troodos. Mógłbym wymienić wszystkie po kolei. Ale wystarczy, byś wiedział, że jeden z nich właśnie biegnie za nami.

Belzebub skoczył na równe nogi, wpatrując się w kamienistą dróżkę. Nie dostrzegł nic, świat ledwie budził się do życia. Czy to miała być jakaś zagadka słowna, których tak chętnie używał eremita w szkarłatnej riasie?

–Nic nie widzę!

–Polegaj na innym zmyśle.

–Słuch? Słyszeć też nic nie słyszę...

–Poczuj zapach...

Teraz zrozumiał. Mogło chodzić tylko o jedno. Purrhos!

Tak też było w istocie. Jednak nim Kalikst poczuł tak znajomy fetor gnijących ryb, minęły bodajże jeszcze ze dwa kwadransy.

–Już czas – uznał mnich i ściągnął wodze. Osioł zwolnił, wreszcie przystanął. Starzec zeskoczył z wozu dziarsko niczym młodzik, ściskając w rękę swój kostur. Stał pośrodku drogi, czekając, aż nadejdzie dwugłowa bestia. Belzebub po krótkim zastanowieniu ścisnął nóż i stanął obok mnicha.

Purrhos zaatakował, wyskakując z przepaści, jakby był ptakiem, a nie dwugłowym demonem o człecznych kształtach. Podbiegł do starca, szerokim łukiem omijając Kaliksta. Już jego słodkawy, mdlący smród wystarczył, by uśmiercić hekatontarchię najdzielniejszych wojów Diogenesa. Po policzkach Belzebuba spłynęły łzy. Żołądek podchodził mu do gardła.

–Boże... On z każdym dniem śmierdzi coraz silniej – wystękał.

–Chroni cię medalion – przypomniał eremita. – Odejdź w tył! Nie podejdzie do ciebie. Ja się z nim rozprawię.

Starzec uniósł ramiona i rozcapierzył palce. Szepnął coś w nieznanej Kalikstowi mowie. Powtarzał obce słowa jak modlitwę, miarowo i coraz głośniej:

–Pâta-nô tbishyañtat pairi mazdísca ârmaitishca speñtasca, nase daëvî druxsh nase daëvô-cithre nase daëvô-frakarshte nase daëvô-fradaiti...

Demon zrazu nic sobie z tego nie robił. Stanął trzy kroki przed eremita, plując cuchnącą śliną. Spojrzał na Belzebuba, po jego mordzie przemknął grymas wściekłości. Medalion! Bestia nie mogła mu nic zrobić, więc obróciła wzrok na starca. Przykucnęła, szykując się do skoku.

–Apa druxsh nase apa druxsh dvâra apa druxsh vînase apâxedhre apa-nasyehe mâ mereñcainîsh gaëthî astvaitîsh ashahé, nemascâ ýâ ârmaitish îzhâcâ. Ashem vohû...

Nagle czerwony stwór znieruchomiał. Później skulił się, osłaniając mniejszy łeb dłońmi. Drugą głowę opuścił na pierś, jakby nie było już w niej życia. Z rozchylnych warg ciekła żółtawa ślina.

–Pâtâ-nô tbishyañtat pairi mazdísca...* – powtarzał mnich swe dziwne słowa.

Purrhos jął się powoli cofać, jego małe oczka krzyczały z bólu, nozdrza drgały, z wściekłością wypuszczając powietrze.

Belzebub pomyślał, że to dobry moment, by zająć demona od tyłu i korzystając z jego nieuwagi, rozbić łby jeden po drugim. A później je odciąć, rozszarpać całe ciało, spalić, by już nigdy więcej nie czuć za plecami oddechu cuchnącego fetorem śniętych ryb.

Wtedy jednak stwór zaczął się cofać, jakby przeczuwał, co go czeka. Plując na boki, przeczłapał kilka kroków w tył, wreszcie oderwał łapy od łba i ruszył pędem w dół drogi. Znikł tak szybko, jak się pojawił.

–Panie, wybacz mi to... – mruknął mnich. – Tobie tylko ufam...

–Co to za dziwne zaklęcia, którym odstraszyłeś bestię? Słyszałem już kiedyś takie słowa. Tak mówił czarny szarlatan. Tak samo...

–Nie tak samo. A teraz chodź, jedziemy dalej. Demon został przepędzony, ale jeszcze wróci. Następnym razem nie będzie tak łatwo. Musimy unieszkodliwić go raz na zawsze, bo inaczej nigdy cię nie opuści. Medalion może nie wystarczyć.

* * *

–I co?

–I nic. Przejechali. A u ciebie?

–Czysto.

–Szybko dałeś nogę. Coś za szybko. Wracaj i lipaj dalej, czy kogo nie ostawili.

–Nie ostawili, przeciwnie widział dobrze! Przyspieszyli jeszcze, jakby sami pękali, że ktoś na nich filuje.

–Więc to nie Dukasy. Jakieś insze paniska, skoro żaden nawet na bramę nie spojrział.

Patrzyli, jak przez drogę wiodącą obok rezydencji przetacza się oddział zbrojnych. Żołnierze prowadzeni przez trzech dumnych jak pawie wielmożów eskortowali dwa wyładowane po brzegi wozy. Co wieźli, tego nie sposób było określić – ładunek szczelnie okrywały wielkie płachty żaglowego płótna. Konie zaprzężone parami z wysiłkiem ciągnęły tajemnicze dobro, kopyta ciężko zapadały się w piaszczystym trakcie. Konwój otaczała rzednąca chmura kurzu, długa i siwa niczym broda starca.

–I nam by się taka fura przydała – sapnął Nicetas.

–Mamy dwukólkę.

–Dwukółka za mała. I nie na te piachy na drodze... Na dwóch kołach nie przejedziesz. A gdzie twój brat?

Waldemar wzruszył ramionami i splunął.

–A co, ja jego niańka jestem?!

–Głupiś! – ryknął Wielka Pięść. – Miał pilnować rezydencji od strony ogrodu. Ci zbrojni tacy sztywni, niby na nic nie zwracają uwagi, a tam może szpiegi podchodzą od tyłu między drzewami, dla niepoznaki obierając najtrudniejsze wejście.

Kurzawa ciągnąca się za orszakiem zdążyła już opaść. I zobaczyli jedynie ogony wierzchowców tylnej straży falujące w szybkim kłusie. Żmudzin lekceważąco machnął dłonią.

–Eee, co by mieli tak cudować! Byli, pojechali i tyle...

Dryblas długo rozglądał się po dziedzińcu i po żółkłych łąkach okalających mur posiadłości. Gdy zdobył pewność, że kolumna wojskowych na dobre znikła za wzgórzami, zakomenderował:

–Skoro tak, to dymaj po braciszka, a ja zejdem do piwniczki i przytacham beczułkę. Minęło południe, czas przepłukać gardło i zaznać trochę ochłody w cieniu.

* * *

–Dobrze, mój chłopcze. Weź osła. Idź tą drogą obok wielkiej skały w dół aż do granicy lasu. Na jego skraju jest wioska. Odszukaj gospodarza, którego zważ Zenon Mały. Powiedz, że przysłała cię mnich z Throni i poproś o wóz. Płaski, na czterech kołach. Jedź do lasu. Tam zetniesz...

Przerwał mu śmiech Kaliksta.

–Ha, ha, starcze! Czyżbyś już całkiem odszedł od zmysłów? Nie przyjechałem tu jako parobek do pomocy w twoich pracach domowych. Miałeś mi pomóc odzyskać Zoe i wykończyć czarnego obłąkańca!

Mnich skierował na niego swe przykryte bielmem oczy z takim wyrazem twarzy, jakby wciąż widział. Belzebub poczuł się nieswojo. Odwrócił wzrok w stronę chmur, gdzie coraz to śmigał czarny cień jastrzębia. Towarzyszyła mu płowa samiczka.

–Przecież właśnie ci pomagam... – rzekł cicho eremita. – Parobka, wbrew temu co myślisz, mnie nie potrzeba. A jakbym potrzebował, to nie musiałbym dwie doby powozić bez snu i jadła, by akurat ciebie ściągnąć z nadmorskich skał. Mam tu wiejskich chłopaków. Tobie pomagam, więc teraz siadaj na wóz i jedź.

Zamilkł, nie spuszczając jednak z Kaliksta niewidomego spojrzenia. Belzebub przysięgłby, że starzec w tej chwili widział go doskonale, i już milczał gotowy spełnić polecenie. Niepokojącą ciszę gór mącił tylko krzyk ptaków. Nawet wiatr ucichł.

–Skąd ten drugi jastrząb? Ten mniejszy? – zapytał po dłuższej chwili Kalikst.

–Przywołałem go. To samica... Ona sprawiła, że ptak, w którym szarlatan z Kapadocji uwięził część twojej duszy, nie padł z głodu. Przyznam też, że stała się mym wiernym towarzyszem, przynosząc jadło dla nas obu. Myślę, że zostanie ze mną, gdy się to wszystko zakończy.

–Gdy się zakończy... Dobrze, starcze. Niech ci będzie. Nawiozę tego drewna. To jeszcze raz powiedz mi, gdzie znajdę tego wieśniaka...

* * *

Gdy wrócił z wozem wyładowanym dragami, starzec wskazał mu miejsce nieopodal swej pustelni. Dał do ręki łopatę i rozkazał:

–Tutaj. Kop.

W Belzebubie aż się zagotowało. Warknął wściekle, obracając w myślach najplugawsze przekleństwa. Jednak martwe spojrzenie mnicha nagle ostudziło jego złość. Tylko splunął, wyrzucając z siebie całą nienawiść, po czym w milczeniu jął ryć ziemię.

–Nie wygląda to zbyt dobrze, ale zaufaj mi. I gdy dokopiesz się na głębokość pasa, obwiąż się liną, której koniec przytwierdź do tej skały, tam – starzec bezbłędnie wskazał odgięty do tyłu głaz w kształcie sterczącego w górę zęba.

–I niby po co mam kopać?

–Nie pytaj głupio, tylko rób, co każę!

Kalikst machnął ręką.

Ostrze łopaty zgrzytało na kamieniach, szczerbiąc się na brzegach.

–Kilof by się przydał...

–Nie mam takiego narzędzia. Chyba że chcesz iść po nie do wsi. Tam mają na pewno.

–To już wolę tym...

Gdy przebił się przez wierzchnią warstwę kamieni, o dziwo poszło mu już łatwiej. Niżej leżał pokład zbitej ziemi zmieszanej z piaskiem. Nim słońce weszło na szczyt swej wędrówki, stał już w wykopie po brzuch.

–Lina... – przypomniał sobie. – Gamoto! Miałem się nią obwiązać już wcześniej! Ciekawe tylko po co...

Ledwie wypowiedział te słowa, poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Ledwie zdążył wyskoczyć na brzeg rowu, wbijając pazury w ziemię. Usłyszał huk, ogarnęła go chmura kurzu, a gdy opadła, spojrzał pod nogi. Wisiał nad ciemną jamą bez dna.

–Nie posłuchałeś mych słów... – zauważył ze spokojem mnich. – A ostrzegałem.

–Skąd wiedziałeś?

–Zadajesz zbyt wiele pytań... To, co musisz wiedzieć, zostanie ci w odpowiedniej chwili przekazane. Ale nie to i nie teraz. Teraz lepiej wyjdź stamtąd, jeżeli nie chcesz skrzyć sobie karku.

Belzebub wygramolił się na skraj przepastnej studni i spojrzał w dół. Słońce nie sięgało dna jamy, co tam dna – ledwie lizało wylot! Kalikst wrzucił do środka kamyk. Spadał długo, zbyt długo, aż stuknął z cichym echem.

–Podziemna jaskinia. Na dole wąska jak komin, jednak bliżej powierzchni jej szerokość wynosi tyle, co dwa wozy ustawione

jeden za drugim. Ściany są gładkie, nie ma bocznych korytarzy...

–Już rozumiem, o co ci chodzi. Ale nie rozumiem, jak chcesz to zrobić. Coś mi podpowiada, że znów będę musiał robić jakieś głupie rzeczy, nie zadając pytań.

–Powiem ci, co masz zrobić. Ale najpierw poszerz dziurę, tak byś miał z każdej strony po pięć kroków. Jak skończysz, przyjdź do mnie, to powiem, w czym rzecz.

* * *

Kiedy odrzucił w bok swój medalion, kiedy stał przywiązany liną do skalnego zęba, kiedy mnich zatrzaskał na głucho drzwi swej pustelni, pozostały mu jeno wątpliwości. Węszył zdradę i podstęp.

–Ale po kiego...? – przekonywał się w myślach. – Po kiego starzec miałby robić takie sztuczki, no po kiego?

Na to pytanie nie potrafił znaleźć odpowiedzi, jednak niepokój pozostał. Stał odziany w lichą tunikę, bezbronny, wznosząc modły, by liche poszycie okrywające jamę nie rozerwało się pod jego ciężarem.

Purrhos wypełził zza kępy krzewów porastających zbocze. Stapał powoli, nasłuchując i węsząc.

–Powinieneś zdechnąć od swojego własnego smrodu – mruknął Kalikst, łapiąc się za nos. – No nuże, dawaj tu, bo nie będę tak stał jak kariola w porcie. No dawaj!

Demon skradał się, rzucając na boki krótkie spojrzenia. Szukał mnicha. Widać, że egzorcyzmy w nieznanym Belzebubowi języku

wypaliły w bestii piętno strachu.

Teraz więc bali się obaj, Kalikst i Purrhos.

Strach czerwonego stwora rychło jednak ustąpił. Gdy demon nie dostrzegł nigdzie starca, ruszył z nieludzkim, diablím rechotem ku swojej ofierze.

Lecz kiedy tylko stanął na zapadni, poszycie się zerwało. Kalikst i Purrhos polecili w dół, wrzeszcząc wniebogłosy – pierwszy z przerażenia, drugi z wściekłości.

Belzebub przeleciał trzy kroki w głąb dziury i poczuł szarpnięcie, które odebrało mu dech. Bestia spadła na samo dno pułapki, waląc łbami o kamienie.

Dał się słyszeć głuchy łoskot, a później zapadła cisza.

–No i po strachu. Potwora mamy z głowy – rzekł mnich, wyciągając Belzebuba.

–Jakim znowu strachu, starcze?! Myślisz, że mnie taka śmierdząca rybą hydra może ot tak przeląć? Nie takie rzeczy widziałem, nie takie potwory pokonywałem, nie na takie roboty się chodziło w starych, dobrych czasach w Konstantynopolu. Raz kiedyś...

Starzec przerwał te przechwałki.

–Jak powiadam, potwora mamy z głowy. Pierw jednak, póki tamten leży nieprzytomny po upadku, pogłęb dziury pod kratę. Wsuń w nie dragi, a później umocnij je kamieniami i ziemią. Nie chcesz chyba, żeby twój cuchnący cień wyskoczył na powierzchnię.

–Przecie siedzi w dziurze! Głęboka na dziesięciu chłopa albo i więcej. Ścian nie ułapi, to jak ma wyleźć na zewnątrz?

–Ułapi, nie ułapi... Bestia ma w sobie spryt, którego umysł ludzki nie ogarnia. To diabelski spryt, więc nigdy nie wiesz, czego się spodziewać.

–A właściwie czemuż go nie ubijemy? – zapytał Kalikst, strząsając w czeluść kamień wielkości arbuza. Skąła leciała długą chwilę, wreszcie spadła ze szczękiem na dno jaskini. – Jak mu zrzucimy lawinę na łeb...

–Myślisz, że po co wysyłałem cię do wsi po wóz, a później do lasu? – przerwał mu pustelnik. – Po com kazał ci ciąć drągi, jaki był cel w kopaniu tej pułapki właśnie tu i aż tak głęboko? Toć mogliśmy go zrzucić w przepaść, gdyby tylko chodziło o zabicie demona. Znam tu parę takich rozpadlin, wypełniają je kości zwierząt i ludzi zebrane chyba od dnia, gdy Pan stworzył ten świat. Nie, przyjacielu! On mi jest potrzebny.

Kalikst tylko pokręcił głową. Nie mówiąc ani słowa, zaczął umacniać kraty nad skalną studnią.

Rozdział 18

Czarny Mnich zatrzęsł się ze śmiechu.

–Głupcy – mruknął z mściwą satysfakcją. – Głupcy łapią się na lep władzy, zaszczytów i Pan wie jeszcze czego. A teraz nadeszła chwila, by ich wszystkich upokorzyć. By odebrać im moc i powitać Satanaela!

Odwrócił się, wtedy podszedł doń jeden z trupich braciszków. Szkielet skryty pod splewiałym habitem o barwie nocy dzierżył w swych kościstych dłoniach poczerniałą drewnianą tacę, na której leżały dwa identyczne puginały o rzeźbionej rękojeści.

–Taaak! – rzekł w uniesieniu mnich. – Ha, ha! Głupcy! Gdyby nie wasza dążność za nikczemnymi zaszczytami tego świata, miałbym na głowie o wiele więcej zmartwień! Pieniądze, władza, doczesne rozkosze... Małość i nikczemność. A ja to wykorzystam ku chwale Pana!

Pochylił się nad kamiennym katafalkiem. Z namaszczeniem odsłonił materię spowijającą czarną deskę, matową i naznaczoną

żarłocznymi kłami czasu.

Czarną Ikonę.

Nie przypominała obrazów malowanych w natchnieniu przez oddanych Bogu geniuszy. Nie licząc warstwy pyłu i brudu, jej powierzchnia była jednolita, pozbawiona najmniejszego śladu pędzla artysty.

Upiorny starzec sięgnął po pierwszy puginał i uniósł go do oczu.

–Oto jest... Krew największego władcy pośród śmiertelników. Krew cesarza, który swą władzę utrzymał, igrając z siłami mroku. To stąd jego moc. Nie wzięła się z męstwa ani mądrości. Wzięła się z wiedzy tajemnej. Nie jego wiedzy, ale przezeń wykorzystanej.

Przekręcił guzek umieszczony w górnej części rękojeści. Na czarną deskę spłynął wąski strumyczek krwi. Zalśniła w świetle pochodni, po czym wtopiła się w kurz.

–Dobrze... Taaak... – mruknął mnich. Przesunął ręką ponad powierzchnią ikony, rozcierając wilgotną czerwień po drewnie.

Wyciągnął dłoń po drugi puginał.

–A teraz krew zdrajcy. Zdrajcy i prawdziwego władcy zarazem. Gdyby nie magia Diogenesa, to on siedziałby dziś na tronie w Konstantynopolu. Nie ten jednak wygrywa, komu przeznaczenie pisane, lecz ten, kto potrafi owo przeznaczenie pochwycić...

Na ikonę spadły leniwe krople krwi. Kapały powoli, z cichym pluskiem. Starzec sycił się tym dźwiękiem, pochylając głowę nad deską.

Roztarł szkarłat po drewnie i odrzucił puginał w tył. Ostrze z brzękiem przetoczyło się po kamieniach i spadło poza krawędź skalnego języka. Długo leciało w dół, w mroczną czeluść, ze zgrzytaniem tłukąc o ściany rozpadliny.

* * *

–Klasztor w Kapadocji, który już poznałeś, był niegdyś siedzibą naszego bractwa. W tym odosobnionym miejscu poświęcaliśmy się modłom i pracy, żyjąc zgodnie z naukami naszego ojca duchowego Bogomiła.

–Aaa, to ta sekta... – syknął z niechęcią Belzebub. – Bogomili! Czciecie diabła i przeczyście, że Chrystus zmarł na krzyżu. No i chędożycie owce. Tak klechy w Konstantynopolu gadają, no i ludzie w tawernach.

Starzec tylko pokręcił głową. Szurając sandałami, podszedł do krzywego stolika i sięgnął po dzban z wodą. Napełnił kubek.

–To kalumnie, rzucane z rozmysłem przez biskupów – rzekł, zaspokoiwszy pragnienie. – Tworzone po to, żeby pijana gawiedź w gospodach, żłopiąc wino, mogła w sobie podsycać nienawiść do nas, innych. Nie bez przyczyny: nie uznawaliśmy tego, co stanowi fundament zniewolenia was przez hierarchów. Święte obrazy, ikony, sakramenty, pogańskie w swej istocie święta oddalające lud od esencji wiary. To prawda, nie uznajemy krzyża, bo to narzędzie mordy, a Jezus, czyli Logos, nie umarł ukrzyżowany. Śmierć jego była pozorna, on jeno uwolnił się od doczesnego ciała, pokazując nam, że materia stworzona przez Satanaela to marność. Bogomił nauczył nas, że to nie Bóg Ojciec stworzył materię, a z niej cały świat i człowieka, lecz jego wyrodny syn Satanael. To z materii bierze się wszelkie zło i plugastwo, a jego przeciwieństwem jest duch. Logos przybył na ziemię, by głosić nam dobrą nowinę, że prawdziwe życie, to życie duchowe w Bogu...

Przerwało mu głośnie siorbanie. To Kalikst nalał sobie wody i zasysał ją jak odpływ przepelnionego akweduktu. Wypił pół kubka,

resztę wypluł na ziemię.

–Ohyda, wina bym się napił! Siadłbym w jakiejś tawernie, by snuć opowieści o plugawcach z kapadockich bezdroży.

–Czyżbyś znów utracił duchowe połączenie z jastrzębiem? Twe słowa kryją w sobie złość i nienawiść.

Belzebub skrzywił usta i cisnął kubkiem w kąt.

–Lata gdzieś tu, czuję. Chociaż sam nie wiem, czy nie lepiej, jakby przestał mnie dręczyć swoim jazgotem. No a ty, starcze, mów do rzeczy. Co z tym szarlatanem z Kapadocji? Nie musisz mnie nawracać na swoją herezję, ja tam z Bogiem po swojemu gadam i wiem, że klechy to takie same złodzieje jak my.

–Nie nawracam cię, to próżny trud. By odbudować twoją duchowość, potrzebowałbym lat, a nie czas ku temu. Twa biedna dusza musi jeszcze pozostać w ciemności...

Przerwał, słysząc niecierpliwe sapanie Kaliksta.

–No już dobrze. Mówię, o co chodzi, ale ty mi nie przerywaj. A więc... Mieszkaliśmy w kapadockich jaskiniach skromnie, biednie i cicho, nikomu nie wadząc. Klasztor, który wykuliśmy w tufowych skałach, oddalony był od wszelkich osad ludzkich. Żyliśmy w nim zgodnie z naukami Bogomiła. Rzadko widywaliśmy wędrowców, ludzie omijali ten zakątek. On przybył pod koniec lata, gdy słońce zmieniło Kapadocję w rozpaloną pustynię. Nikt nie znał jego prawdziwego imienia, a wstępując do naszego bractwa, przyjął imię Tarazjusz. Do zimy tamtego roku Tarazjusz żył godnie razem z innymi mnichami, zgłębiając pisma i traktaty filozofów. Z czasem jednak zaczął się od nas duchowo oddalać. Zanegował nasze przekonanie o marności materii, twierdząc, że to nie tylko przyczyna powstania ludzkości, ale także dar dla niej, dar Syna Bożego, z którego trzeba należycie korzystać. Miał oddawać się modłom i zgłębianiu nauk naszych ojców duchowych, rył w zakamarkach klasztoru korytarze, nie wiadomo jak długie i dokąd prowadzące. Miękka skała poddawała się jego narzędziom,

odkrywając nieznane nikomu skalne szczeliny i jaskinie. To pozwoliło mu z zaskakującą łatwością tworzyć podziemnie struktury, do których nikt z nas nie miał odwagi się zapuścić. Wtedy zyskał przydomek Mroczny, bo krył się w ciemnościach swych labiryntów. Tarazjusz Mroczny.

Starzec przerwał, wskazując ręką na dzban. Belzebub bez słowa, bez najmniejszego grymasu zniecierpliwienia napełnił mu kubek wodą.

–Pewnego dnia Tarazjusz zaginął. Niektórzy bracia mówili, że zabłądził w podziemnych korytarzach. Że wszedł tak głęboko, iż nie wiedział, jak wrócić.

–Mogło tak być – wtrącił Kalikst. – Ja coś o tym wiem. Ledwom sam kopyt tam nie wyciągnął.

Mnich pokręcił głową.

–Jednak tak nie było. Tarazjusz Mroczny wrócił po miesiącu, wiodąc ze sobą bestię. Golema złożonego niepojętą, ciemną mocą z człowieczego ciała i kozła, którego łeb osadził na ludzkich ramionach. Nadszedł nocą, gdy większość z nas spała. Razem ze stworem dokonał rzezi naszych braci, podrzynając im gardła we śnie. Tych, którzy zdołali zbiec, dopadał człowiek-koziół i wyszarpywał im wnętrzności. Był bardzo szybki, o wiele szybszy, niżbyś się spodziewał. I okrutny jak nikt. Bracia umierali w bólu. Tylko ja przeżyłem. Gdy rozpoczęła się rzeź, miałem uciekać w stronę wyjścia z klasztoru, pobiegłem korytarzem wykutym przez Tarazjusza. Tam odkryłem całą prawdę. Bóg mnie ocalił, kierując me kroki w inną stronę. Mordercy nie sądzili, że ktoś odważy się wejść w ich labirynt, a dobry Pan uśpił ich zmysły i zwiódł pogoń. Bóg ukazał mi też, co kryło się w podziemiach.

Przerwał, trąc ze zmęczenia zasłonięte bielmem oczy. Ciężko dysząc, oparłszy dłonie na kosturze, wyszedł przed swą samotnię. Skierował twarz ku słońcu, szepcząc niezrozumiałe dla Kaliksta słowa.

–Wtedy straciłem wzrok – przemówił wreszcie. – W kazamatach tego szaleńca spędziłem rok. Całe dwanaście miesięcy w ciemnościach, chłodzie i tufowym pyłe sypiącym się ze skał. Przeżyłem, pijąc wodę spływającą po ścianach jaskiń. Żywiłem się porostami, mchami i robactwem, które Ignęło do złego, do tego, co robił tam Tarazjusz. Wiem, zaraz zapytasz, dlaczego nie uciekłem. Nie mogłem. Szaleniec odciął mi drogę, jakby wyczuwał moją obecność. Posługując się mroczną magią, ożywił trupy wymordowanych braciszków, czyniąc z nich swą straż i służbę. Ciało pozbawione dusz podniesione do nędznego półżywota... To było pierwsze z jego dalszych plugastw. Umarłacy nie tylko pilnowali wyjścia, ale jęli jeszcze bardziej pogłębiać labirynt, budując pod klasztorem prawdziwe podziemne miasto. Moje dwanaście miesięcy spędzonych w tym miejscu naznaczone było nieustanną ucieczką.

W górze rozległ się wrzask jastrzębia. Przysłaniając oczy dłońmi, Kalikst obserwował jego lot, wreszcie wyciągnął ramię, zachęcając ptaka, by usiadł. Gdy jastrząb to zrobił, pogłaskał go po piórach. Dał czas starcowi na zebranie sił do dalszej opowieści.

–Błąkałem się tam tak długo, aż odkryłem w jednym z nowych korytarzy wąską szczelinę. Szło od niej powietrze, w którym wyczuwałem zapach suchych traw, słyszałem szum wiatru i nawoływania ptaków. Pewnej nocy wybiłem tam dziurę i wyczołgałem się na zewnątrz. Nadszedł ranek, ale dla mnie słońce przestało już znaczyć to, co znaczyło wcześniej...

–A Czarna Ikona? Co z tym obrazem, który wszyscy tak chcieli zwinąć? – Belzebub wypuścił jastrzębia, z uśmiechem patrząc na jego szerokie skrzydła.

Twarz mnicha na chwilę rozjaśniała.

–Zaraz do tego dojdziemy. Pewno sobie zadajesz pytanie, co kierowało Tarazjuszem? Czy tylko szaleństwo, czy jednak coś więcej? Szaleństwo może też... Ale to nie wyjaśnia wszystkiego. Czuliśmy Logosa jako Bożego posłańca, który miał poprowadzić ludzkość do świata duchowego. Tarazjusz przeszedł na drugą

stronę. Uznał, że materia jest równoważna duchowi, zaś czyn Satanaela, który obdarzył anioły ludzkimi ciałami i w ten sposób stworzył pierwszych ludzi, to czyn wielki i dokonany z woli i na polecenie Boga Ojca. Z czasem całkowicie odrzucił nauki Logosa, twierdząc, że młodszy brat czuł zawiść z powodu wielkiego dzieła Satanaela i chciał uwieść ludzkość, odebrać ją Demiurgowi. Czarny Mnich, w którym nie było już nic z dawnego Tarazjusza, całkowicie oddał swą duszę Satanaelowi, próbując go naśladować. Lepił swoje golemy i demony, za budulec biorąc ludzkie ciała. Nadawał im najdziwniejsze kształty.

–Hmmm, wiem coś o tym... – Belzebub aż się zatrzęsł na wspomnienie bestii, którą spotkał w podziemiach na swej drodze do klasztoru.

–Wiele z nich nie przeżywało dnia, jednak były i takie, które egzystowały na tym świecie miesiącami i żyją do dziś.

–O tym również wiem...

–Skoro wiesz, to teraz czas na poznanie czegoś nowego – zdecydował nagle starzec. – Idź ćwiczyć z jastrzębiem.

–Ale... Miałeś mi powiedzieć, co z tym fantem... No, z Czarną Ikoną.

–Nie teraz. Musisz poznać zgubioną część swojej duszy. By na zawsze związać ją z tym, co zostało w twoim ciele. I żeby nigdy więcej...

* * *

–I żeby nigdy więcej nie zdarzyła ci się taka przygoda jak wtedy na

morzu, gdy straciłeś łódź – mrucał Kalikst, przedrzeźniając gderanie mnicha, wiedział jednak, że stary człowiek ma rację.

Ćwiczył każdego dnia. W świetle słońca i o zmroku. Gdy żółta kula rozjaśniła świat, wydobywając z najgłębszych zakamarków kształty i kolory, ptak chętnie poddawał się woli człowieka, jednak wieczorne i nocne loty były wbrew jego naturze. Z początku jastrząb stawiał duży opór, kiedy Belzebub podrywał go pod chmury w świetle księżyca. Z czasem jednak przywykł, polegając wówczas tylko na słuchu.

–Posmakuj, czym jest ślepotą – mówił później mnich, kiwając głową. – Ta wiedza i ta umiejętność może kiedyś ci się przydać. I uratować życie.

Jastrząb i człowiek spleceni jedną duszą... Kalikst szybko nauczył się kierować skrzydłami ptaka, używać jego zmysłów. To dawało mu poczucie euforii. Już nie tylko mknął pod niebiosami niesiony przez jastrzębia jak jeździec na koniu. Teraz sam był ptakiem. W tych chwilach czuł, jak palce niemal zamieniają mu się w pióra, czuł pod nimi opór powietrza, wiatr szarpiący chmurami ponad ziemią. Sam też dał cenny dar zwierzęciu. Przywrócił mu umiejętność samodzielnego polowania. Słaba, czująca wstręt do przemocy część duszy Belzebuba już nie miała nad nim takiej władzy. I ptak sycił głód, łapiąc zające, wiewiórki i gołębie. Kalikstem wstrząsały niepokojące dreszcze, gdy rozrywał dziobem jastrzębia świeże mięso, gdy rozbryzgiwał krew i łamał drobne kostki.

Zaczynali od kręgów zataczanych nad okolicznymi wzgórzami, jednak każdego dnia ptak wykonywał coraz dalsze loty. Jak powtarzał mnich, cała sztuka polegała na tym, by widzieć oczami jastrzębia, ale nie tracić też kontaktu z tym, co się działo na ziemi.

–Wtedy, na łodzi dałeś się ponieść – tłumaczył starzec. – Skończyło się jeno na jej rozbiciu. Jednak pomyśl, co będzie, gdy podczas zespolenia ktoś zada ci cios puginałem w serce.

Ale nie to stanowiło najpoważniejsze zagrożenie i Kalikst z dnia na dzień coraz wyraźniej zdawał sobie z tego sprawę. Musiał utrzymać

duchową więź z oddzieloną częścią swej duszy, by znów nie stać się bezrozumnym skrytobójcą na usługach Czarnego Mnicha. W pierwszych dniach spędzonych w górach Troodos to nieustanne poczucie istnienia gdzieś obok drugiego jestestwa powodowało w nim ataki wściekłości. Odszcze kiwał się wtedy swojemu gospodarzowi i uciekał na samotne wędrówki po górach.

Pewnego dnia coś w nim pękło. Tłamszona złość na świat, na mnicha, na ptaka, na góry, na Zoe, na Nicetasa, czająca się tuż obok nienawiść, żądza krwi i awantur – wszystko to ustąpiło, złagodniało, ulatując z jego duszy jak dym rozwiany przez ciepły cypryjski wiatr. Mknąc pod chmurami zespolony z jastrzębiem, czuł spokój i szczęście. Wtedy wracał myślami do Konstantynopola, do beztróskich dni z Zoe, wspólnych wypraw nad zatokę i nocnych pijaństw w portowych zaułkach z Nicetasem.

Po dwóch tygodniach ćwiczeń potrafił utrzymać więź z jastrzębiem, gdy ten miał za sobą pół dnia lotu. Już nie tylko patrzył z góry na pobliską wioskę, z której pożyczał wóz od Zenona Małego. Szybko odkrył, że nieopodal jest druga wioska, a za nią szeroki trakt wiodący z gór w dół, w stronę morza. Droga prowadziła między migdałowymi sadami obsypanymi różowym kwieciem, gajami oliwnymi, winnicami.

Tego dnia dotarł daleko... Dojrzał nawet spokojną sinoniebieską toń. Wtedy zawrócił.

* * *

Starzec stał nad więzieniem Purrhosa i nasłuchiwał.

–Ciekawe... Już tyle dni nie dajemy mu pożywienia, a on nic sobie z tego nie robi. Co prawda nie cuchnie już tak ohydnie jak

wówczas, gdy szedł naszym tropem, jednak wciąż wyczuwam w nim witalną siłę, która utrzymuje go przy życiu.

Belzebub z trudem powstrzymał mdłości.

–Mniej cuchnie? Chyba na odwrót! Wali od niego jak nigdy, aż mnie skręca!

–To jego odchody i jego zapach, który wsiąkł w ziemię. Ale on sam, a czuję to, zatracą już swą woń.

–Czy możemy powrócić do ważniejszych spraw? Mija kolejny dzień, a ty, starcze, nie odsłoniłeś przede mną całej tajemnicy. Chcę wiedzieć, co jeszcze nikczemnego uczynił Czarny Mnich! Chcę wiedzieć, jak go pokonać!

Z dołu usłyszeli basowy pomruk demona. Kalikst zakrztusił się od smrodu, jednak na mnichu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

–Chodźmy więc – rzekł eremita.

Ruszył dziarskim krokiem w stronę cienia.

–Dziwisz się, że dawkuje ci wiedzę o twym wrogu – powiedział, gdy spoczął na kamiennej ławie przed swą samotnią. – Robię to nie bez przyczyny. Musisz dojrzeć duchowo do prawdy. Musisz nauczyć się więcej, by ją w pełni pojąć i zrozumieć czego od ciebie oczekuję.

Z pełnym rezygnacji westchnieniem Belzebub usiadł obok mnicha.

–Ja to rozumiem. Gdy patrzę na świat oczami jastrzębia, poznaję prawdziwego siebie i inaczej spoglądam na to, co było. Ale... – zerwał się i podniósł głos. – Ale na miły Bóg, Zoe w niewoli! Muszę ją ratować! Przecież sam mówiłeś, że ten satanaelski szalenciec może jej użyć niczym narzędzia, jak wcześniej mnie! Kto wie, czy już nie rozerwał jej duszy i nie posłał w ślad za basileusem.

–Tego nikt nie wie. Chciałbym zdjąć z twych barków niepokój o losy ukochanej, ale dopóki nie będziesz gotów, niewiele wskórasz.

Owszem, mógłbym posłać cię wprost przed oblicze plugawego apostaty. Zapewniam cię jednak, że w dwa oddechy znów trafiłbyś do klatki zawieszanej nad czeluścią.

Kalikst musiał przyznać mu rację. W bezpośrednim starciu z Czarnym Mnichem nie miał najmniejszych szans. Choć od czasu, gdy w kapadockim monasterze pojmali go trupi braciszki, na jego ciele i duszy pojawiło się wiele nowych blizn, to wciąż pozostawał tym samym drobnym złodziejaskiem z Konstantynopola.

–Dla ciebie wszystko zaczęło się od ikony... – stary człowiek podjął swą opowieść. – Zwą ją Ikoną Satanaela, choć gdybyś ją ujrzał, nie dostrzegłbyś na niej żadnego malowidła. Tylko czarną powierzchnię naznaczoną warstwą brudu.

–Tak. To pokazałeś mi w tej wizji...

–Nie jest to jednak brud, lecz krew! W ten obraz wsiąkła krew wszystkich czy niemal wszystkich ofiar szarlatana. Najpierw byli moi bracia z klasztoru zarżnięci jak bydło z pomocą człowieka-kozła. Tutaj muszę ci wyjaśnić, czym naprawdę jest Czarna Ikona. Trzy wieki temu w Anatolii i Armenii istniał kult Ikony Chrystusa Pantokratora z Tephrike. Pierwsze cudowne uzdrowienie, jakie się dokonało dzięki temu obrazowi, miało miejsce w 746 roku. Od tego czasu, jak wieść niesie, dzięki pocałunkom wiernych złożonym na malowidło co kilka lat dochodziło do kolejnych niezwykłych przypadków, czyjaś choroba cofała się albo nawet ustępowała zupełnie. Podług nas, bogomiłów, te cuda były sprawką Satanaela, który pogłębiając u wiernych kult ikon i bałwochwalstwo, oddalał ich od prawdziwej wiary. Lud kochał kawałek deski, a nie Logosa, i tylko upadły syn Boga Ojca znajdował w tym radość. Dwie dekady temu ikona Chrystusa Pantokratora z Tephrike zaginęła w tajemniczych okolicznościach. Pojawiła się na powrót, nie wiedzieć skąd, w rękach Tarazjusza!

–Zajumał cud-ikonę! No to niezły z niego złodziej!

Starzec zgromił Belzebuba wzrokiem. Opowiadał dalej:

–Po rzezi w naszym monasterze sługa Satanaela zlał krew zabitych do wielkiego kotła i zaczął powoli gotować w niej ikonę. Warzył tak długo, aż wizerunek Pantokratora się rozmył. Każdej następnej ofierze szalencie toczył krew, którą kropił na powierzchnię ikony. Ale nie to jest najstraszniejsze! Ikona, teraz czarna i pozbawiona jakiegokolwiek malowidła, skropiona krwią ofiar w odpowiednim momencie ujawni wizerunek Satanaela. Wtedy też zyska swą największą moc, tak jak chciał Tarazjusz.

Kalikst przypomniał sobie tę chwilę, gdy tkwił schowany nad kopułą podziemnej kryjówki gildii złodziei. To od tego się wszystko zaczęło! Gdy podsłuchiwał słowa mistrza Atanazego. Gdy wyruszył na wariacką wyprawę, by udowodnić nie wiadomo co i nie wiadomo komu.

–Nie jest to obraz ani nic, co mogłoby cieszyć oko jakiegoś bogatego próżniaka, a jednak... – powiedział w zamyśleniu – Jednak komuś zależało na zdobyciu tego odrażającego przedmiotu.

–Myślisz o tym zleceniodawcy, który zwrócił się do konstantynopolitańskich złodziei?

Belzebub poderwał się i chwycił eremitę za rękaw.

–Gamoto! O to się właśnie rozchodzi! Kto to był i czego chciał?!

Stary mnich pomarkotniał. Długo nic nie mówił, wreszcie szepnął:

–To byłem ja...

–Ty?! Jakże to? Atanazy mówił, że jakiś bogaty paniczyk czy ktoś tam! Nie gadał nic o ślepcu żywiącym się korzonkami i resztkami mięsa niedojedzonymi przez jastrzębia!

–Eh... Tak to wyglądało... Tak on to widział, więc mówił prawdę. Można pan obiecujący skrzynie złota...

–Wyglądało?! – Kalikst szarpał rękaw riasy eremity, a w oczach

zapłonęły mu ognie. – Starcze, mów, co wiesz!

Musiałbym ci więcej powiedzieć, niż chcesz usłyszeć – pomyślał mnich w czerwonej szacie. – Musiałbym ci powiedzieć, jak zradziecki karzeł Metody zabił Atanazego na polecenie Eutymiusza. Musiałbym ci powiedzieć, jak doprowadziłem do upadku gildii złodziei, zbyt powierzchownie patrząc w przyszłość, którą sam stworzyłem. Powiem ci, na pewno! Jestem ci to winien. Ale nie teraz. Gdy się to już wszystko skończy, poznasz ostatnie chwile Atanazego i wrócisz do Konstantynopola go pomścić.

–No więc?! Gadaj, starcze!

Ślepy eremita westchnął ciężko.

–Atanazy, jak mówię, widział możnego pana, który przedstawił mu się jako Manuel Orestes z Pafos. Młody, postawny, dostatnio odziany, z dumnym, pewnym siebie spojrzeniem. Ów człek obiecał Atanazemu dziesięć skrzyń złota i drogich kamieni w zamian za zdobycie Czarnej Ikony. Nie naciskał zbyt na szybkie podjęcie zlecenia, lecz zostawił szkic planu, który pozwalał na wstępne obmyślenie strategii wyprawy. To niezwykle pobudziło wyobraźnię mistrza, można rzec, zaślepiło go. Widzisz, patrząc na to z punktu widzenia gildii, to jednak rację miał Eutymiusz. Zlecenie Manuela Orestesa wikało konstantynopolitańskich złodziei w pokrętną politykę, która ich przerastała. Jednak gdyby wszystko przebiegło, jak to zaplanowałem, kradzież Czarnej Ikony mogłaby się udać. Niestety po drodze musiał się w to wmieszać pewien średnio zdolny złodziejaszek...

–Średnio zdolny, tak?...

–Palce ma zręczne, jednak w umyśle chlupotało mu więcej wina niż oleju – z uśmiechem pokiwał głową pustelnik. – Porwał się z grabiami na słońce, jakby to był zgniły arbuz.

–Dobra, dość już tego! Mów, co to za Manuel! Skąd go nająłeś?

–Manuela nigdy nie było. Pojawił się jedynie w umyśle Atanazego

jako wspomnienie, które naprawdę nigdy nie istniało. Zaszczepiłem je w pamięci mistrza, gdy spał. Rano, budząc się, przypominał sobie spotkanie i rozmowę, do której nigdy nie doszło. Za pierwszym razem na stoliku znalazł mapę podziemnych przejść do monasteru Czarnego Mnicha. Ta istniała, bo nakreśliłem ją ręką Atanazego przy jego całkowitej nieświadomości, gdy spał. Tyle mogę... Stwarzać iluzje, zsyłać obrazy i tylko niekiedy przenosić niewielkie przedmioty jak ten talizman, który uchronił cię przed atakiem cuchnącego demona. Atanazy poddał się iluzji. Cały czas sądził, że w rzeczy samej odwiedził go majętny pan z dziwną, acz korzystną propozycją.

Belzebub zawył z wściekłości. Zacisnął pięść i ledwie powstrzymał się, by nie rozkwasić starcowi twarzy.

–Więc to ty! To ty jesteś wszystkiemu winien! Ty ołgałeś mistrza, a i ja się na to nabrałem! Iluzja! Czary!

–Rozumiem twą złość, ale nie miałem innej sposobności, by zachęcić mistrza do podjęcia się tego zadania. Jestem zbyt stary, by podróżować tak daleko. Jednak pomijając formę, treść odpowiadała prawdzie. Nie kłamałem co do szczegółów zlecenia.

–Ha, ha, ha! A skrzynie ze złotem? Gdzie je masz?! Jak chciałeś je przekazać po udanej złodziejskiej robocie naszej gildii? Łżesz, starcze! Łżesz! I powiem ci coś! Twój plan co do mnie tyle mnie ciekawi, co łajno twojego osła! Opuszczam cię! Nie dam się dłużej mamić!

Mnich w czerwonej riasie wstał gwałtownie, odpychając Kaliksta. Jego twarz wykrzywił grymas zniecierpliwienia. Szczupła sylwetka urosła nagle, jakby ubyło mu ze trzydzieści lat. Dyszał niczym rozsierdzony lew.

–Stój! I zamilcz! – ryknął. – Dość tego! Nic się nie nauczyłeś! Nic nie rozumiesz! Zawsze byłeś drobnym pętakiem niezdolnym do niczego wielkiego, bo brak ci cierpliwości i nie potrafisz na pewne rzeczy spojrzeć z boku! Dość! Zamknij gębę i słuchaj!

Ten niespodziewany wybuch wściekłości starego mnicha zaskoczył Belzebuba. Opadł na ławę z ustami otwartymi ze zdziwienia.

–Skrzynie ze złotem były, są i będą. Będą tak długo, dopóki ktoś, może ty, ich nie zabierze. Owszem, przyznaję, nie mam złota tutaj. Ale tak stanowiła umowa z Atanazym! Powiedziałem mu, że gdy ukradnie Czarną Ikonę, wskażę mu miejsce, gdzie seldżucki pirat Tzachas skrył swe łupy zebrane podczas morskich wypraw przeciwko italskim kupcom. Tzachas ma dziesiątki takich sezamów, o większości nie wie nikt poza nim. Mnie udało się poznać tajemnicę jednego z nich. Umiejscowiony jest na wybrzeżu Morza Czarnego o dzień drogi od Konstantynopola. Blisko, choć został ukryty tak przemyślnie, że jeszcze przez tysiące lat nie znajdzie go nikt, chyba że będzie wiedział, gdzie szukać.

–Tyle że pirat wcześniej zgarnie, co jego! – burknął Kalikst.

–Nie. Właśnie nie! Odkąd basileus Diogenes poszedł na wojnę z Seldżukami, Tzachas trzyma się z dala od Konstantynopola i północnych wybrzeży cesarstwa. Na Morze Czarne tym bardziej nie wpływa, bo zbyt łatwo może nadzieć się na bojowe dromony Romana IV uzbrojone po czubki masztów, które płyną, by zaprowadzić porządek na wodach wokół Syrii, Palestyny i Egiptu. To złoto cały czas tam jest i można je zdobyć! Nie kłamałem Atanazemu! To on ukrył fakt, że zdobycie złota wymagało następnej wyprawy. Inna rzecz, że byłby to po prostu spokojny rejs po łupy. I tyle. Żadnego ryzyka, więc i wspominać nie było warto. Więc pomyśl: jeżeli nie Atanazy, to ty możesz jeszcze zdobyć to złoto. Dziesięć skrzyń...

–Chcesz mnie kupić? Uspokoić moją wściekłość, że zdradziłeś Atanazego i mnie popchnąłeś do zdrady?! To jest... – Belzebub szukał słowa, ale każde znane mu przekleństwo zdawało się za mało plugawe.

–Gra toczy się o coś ważniejszego niż skrzynie z błyskotkami! A za to, że masz w tym udział, możesz winić tylko siebie. Odkąd podsłuchałeś mistrzów w podziemnej kryjówce w Konstantynopolu, wpadłeś w sidła Czarnego Mnicha. To był właśnie ten moment.

Wszedłeś w drogę temu szarlatanowi, a on wykorzystał cię do własnych celów. By zdobyć to, co dla niego było najbardziej cenne.

Ta prawda długo nie docierała do Kaliksta. Cóż było cenne dla Czarnego Mnicha? Co miał właściwie zdobyć? Wreszcie przypomniał sobie.

–Krew basileusa Diogenesa! – wykrzyknął.

–Tak. Krew basileusa, którą miałeś mu przynieść w kanalikach specjalnie przygotowanego puginału.

–Nie rozumiem. Po co to wszystko?

–Jesteś pewien, że chcesz to teraz słyszeć? To długa opowieść i lepiej, byś przemyślał to, co ci rzekłem.

–Chcę wiedzieć!

–Cesarz Roman IV Diogenes za sprawą swojego doradcy i maga posiadał i użył części tej samej wiedzy, którą pozyskał Czarny Mnich... I muszę przyznać, że również i ja. To wiedza, którą znali starożytni, wiedza pochodząca od pierwszych ludzi: aniołów uwięzionych w ciałach, które zlepił Satanael. Dzięki tej niemal zapomnianej, dawnej sztuce Roman Diogenes wielokrotnie uszedł śmierci. I przez to zmienił dzieje świata, bo to nie tylko swój los.

Zza kamiennej ściany pustelni wyjrzało słońce, rzucając rozpalone promienie na twarz starca. Ten mrugnął zniecierpliwiony. Gestem nakazał przesunąć się Belzebubowi głębiej w cień. Sam też się w nim skrył.

I ciągnął opowieść:

–Pierwszy raz basileus miał ponieść śmierć w 1072 roku dziesięć miesięcy po bitwie pod Manzikert. Jeden z jego generałów, Andronik Dukas, miał go wtedy zdradzić. Gdyby ten plan się powiódł, Diogenes poniósłby klęskę w walce z Turkami, a później trafiłby w ręce sułtana Arp Arslana. Ten przyjąłby go godnie i po

krótkiej niewoli wypuścił. Jednak zdrajcy pochwyciliby go, oślepił i doprowadzili do śmierci od ran. Podła i nikczemna śmierć, jednak Roman IV zdołał temu zapobiec. To był, jak mówię, pierwszy, ale nie ostatni raz. Śmierć miała dopaść Diogenesa na Sycylii, w Bułgarii, w Serbii, w Konstantynopolu, zawsze jednak udawało mu się wyrwać z jej szponów. Igrając ze swym przeznaczeniem, został nie tylko najpotężniejszym człowiekiem na ziemi, ale także wpłynął na bieg dziejów.

Wtedy Kalikst znów mu przerwał. Warknął z chytrym uśmieszkiem:

–Ha, mędrcze! A powiedz, co mi jest sądzone? Jakie jest moje przeznaczenie? Może na próżno się staram, bo i tak pisana mi rychła śmierć, co? Uratuję Zoe czy tamten szaleniec obedrze mnie ze skóry?

Mnich uciszył go gestem dłoni.

–Tu nie chodzi o przeznaczenie! Rzekłbym nawet: nie ma nic takiego jak przeznaczenie. Twój żywot może potoczyć się taką drogą, na jaką go skierujesz. Tyle że na nasze wybory wpływa nasza niewiedza. Nie wiesz, co będzie jutro, więc nie spęta cię strach przed tym, co nieuchronne. Basileus posiadał wiedzę o przyszłości, której nie zdobył nikt pośród ludzi.

–Oprócz Czarnego Mnicha i ciebie.

–Tak, również oprócz mnie. Przyznałem to już.

–Czyli wiesz, co szykuje mi los?

–Wyobraź sobie przyszłość jako gałęzie drzewa, które wyrastają z jednolitego pnia terażniejszości. Nie wiesz, która gałąź uschnie, a która wyda owoce. Wskażesz najsilniejszą, a jutro uderzy w nią piorun i rozłamie na pół. Roman Diogenes zawsze wiedział, których gałęzi unikać. Wiedział, które nie wydadzą owoców. Przez to wpływał nie tylko na swoje losy, ale także na przyszłe dzieje całego cesarstwa. Uchodząc wielokroć śmierci, wygrywając bitwy, podejmując określone decyzje, zyskał potęgę nie z tego świata. Stał

się niczym serafin stojący na czele hufca aniołów. Jakże inaczej wyglądałby świat, gdyby nie podszepty cesarskiego maga z Kalabrii, Jana Italosa... Gdyby nie wiedza Diogenesa o drzewie czasu. Dziś na tronie w Konstantynopolu siedziałby Nicefor Botaniates. Przed nim przez siedem lat cesarzem byłby Michał Dukas. Seldżycy, miast cofać się w głąb Azji, pustoszyliby Anatolię, na zgliszczach świata chrześcijan budując nowe państwo.

–Dukas? To przecież...

–Tak, to brat Andronika wygnany z Konstantynopola. Spiskowiec, który knował z Czarnym Mnichem. Ten sam, którego spotkałeś w monastyrze. Jego niepowstrzymana żądza władzy zadecydowała także o twoim losie. To on potrzebował oddanego, pozbawionego skrupułów zabójcy, który nie zawaha się przed skróceniem żywota Romana Diogenesa.

Na wspomnienie tej chwili, gdy Andronik cedził: Zaiste, panie. Racysz nas nie lada widowiskiem, w Belzebubie zawrzała krew. Pamiętał ów dzień doskonale – brat zdrajcy Dukasa kryjący się w półmroku i Czarny Mnich stojący nad dymiącymi od świeżej krwi zwłokami sobowtóra Kaliksta. Wtedy nie zwrócił uwagi na tę konwersację, nie zastanawiał się nad słowami, które padły, teraz jednak znaczenie tamtej sceny uderzyło go z całą mocą. Wtedy nim handlowano niczym bydlęciem na targu, jak niewolnikiem. Będzie zdolny zabić czy też nie – to jedyne kryterium oceny towaru. Wiele by dał, by cofnąć czas do tego dnia. Jego szabla weszłaby głęboko w serce Dukasa. Czarnego szarlatana zostawiłby sobie na koniec.

–Nie pojmuję jednego – powiedział. – Bracia Dukasowie mieli powód, by najać skrytobójcę. Ale jaki interes miał w tym szalony mnich? O solidy nie dbał, tego jestem pewien...

–Krew...

–Co? Co masz na myśli?

–On potrzebował krwi do swych niecznych celów. Nie krwi jakiegokolwiek, lecz krwi płynącej w żyłach najpotężniejszego

człowieka na doczesnym padole. Cesarza Romana Diogenesa.

–Ach, rozumiem! Niebieska krew szlachetnie urodzonych...

–Nie żartuj! Tu chodzi o co innego. O krew człowieka, który zmienił bieg dziejów, korzystając z wiedzy niedostępnej dla zwykłych śmiertelników.

–Dalej nie rozumiem.

–Czarna Ikona jest czymś więcej niż tylko obrazem. Jest...

–Bramą do piekła, przez którą przeleje się lawa z diabelskich kotłów i zaleje ziemię. Tak gadali, słyszałem!

–Nie przerywaj mi! Żadna brama, żadne kotły! W ten kawałek drewna umaczany we krwi wsiąkło tyle bólu, cierpienia, łez i rozpacz, że zawarte jest w nim całe zło świata, całe bluźnierstwo przeciwko Bogu, zaprzeczenie tego, co przyniósł nam Logos. Gdy w Czarną Ikonę wsiąknie krew basileusa Diogenesa jako ostateczny czynnik Satanael objawi się Czarnemu Mnichowi, a następnie wniknie w jego ciało, tak jak Logos wniknął w ciało Jezusa, syna Maryi z plemienia Judy.

Zamilkł na chwilę, trąc czoło, jakby szukał najlepszych słów, którymi mógłby wyrazić powagę sytuacji.

–Czarny Mnich stanie się Antychrystem, człowieczym wcieleniem Satanaela. Będzie krzewił w ludziach zło pochodzące od zdrajcy swego Ojca i Boga. Nikt go nie pokona, nic nie będzie w stanie powstrzymać hord demonów tworzonych przezeń z ludzkich zwłok. Będzie nieśmiertelny, a za cel postawi sobie odebranie ludzkości Logosowi. Nauki głoszone przez Jezusa Chrystusa, zostaną wzgardzone, wyszydzone, wreszcie zapomniane. Ludzie cisi, słabi, uczciwi zginą pod nożami łotrów i szubrawców albo pójdą w ich niewolę, by służyć im jak psy. Bo Satanael stworzył ludzi na swoje podobieństwo i takimi chce ich na wieki utrzymać. Nie chce ludzi Logosa przepętnionych miłością, praworządnych, godnie pracujących na swój kawałek chleba.

Belzebub zwiesił ze smutkiem głowę.

–Jestem złodziejem... A teraz do tego skrytobójcą. Kradnę i zabijam, nie jestem cichy, nie jestem uczciwy i praworządny. To stawia mnie po tej drugiej stronie, nie po twojej.

Starzec wstał z kamiennej ławy i chwycił młodego towarzysza za ramię. Ścisnął je i cicho rzekł:

–Ty nic o sobie nie wiesz. Nie wiesz, co zrobisz, gdy życie podda cię prawdziwej próbie. Wstań i spójrz w słońce. Zamknij oczy, a później pozwól, by jasność idąca z nieba ukazała ci twoją przyszłość.

* * *

Turecki nadzorca niewolników kopnął miskę. Cienka polewka ugotowana z podgniętej rzepy chlusnęła Kalikstowi na nogi. Gliniane naczynie głośno potoczyło się po bruku i pękło, uderzywszy o niewysoką podmurówkę.

–Dosyć obżarstwa! Do roboty, świnie! Ładować, ładować! – darł się łamaną greką Seldżuk, nerwowo szarpiąc wąsa. Z żółtawych oczu tryskała nienawiść i nieskrywana złość.

Jego pan, genueński kupiec, nakazał mu uwinąć się z robotą do wieczora. Statek miał być załadowany, nim zajdzie słońce, a o świcie ruszyć w rejs. Ale jak wypełnić polecenia, skoro niewolników zdiesiątkowała zaraza, a ci, co przetrwali, ruszali się jak szarańcza w miodzie?

Łoił ich po grzbietach batem, aż krew tryskała, jednak na niewiele

się to zdało. Było zbyt gorąco i przemęczeni, skatowani ludzie popadli w otępienie. Pałace uderzenia bicia traktowali jak coś oczywistego niczym ukąszenia gzów.

Konstantynopol płonął. Wielki pałac basileusów zasnuła gruba kołdra dymu i choć ostatnie dobra rozkradzione ze skarbca, zerwane ze ścian razem z lśniącym porfirem już dawno zdobyły rezydencje wielmożów w Genui i Wenecji, to z dawnej siedziby władcy wciąż dochodził stukot młotów i odgłos burzonych murów. Wszak i różowe, błękitne czy też zielone marmury z podłóg przedstawiały jakąś wartość.

W porcie trwał gorączkowy załadunek. Z północy nadciągała dzika horda cara Bułgarów zwanego Iwanem Grekobójcą. W jego wojskach szli też Rusowie, Armeńczycy, Turcy z północy... Spieszyli, by odbić dla siebie Konstantynopol z rąk krwawej armii seldżucko-italskiej.

Kalikst zacisnął usta i uciekając spod bata, ruszył wraz z innymi na rampę załadunkową. Ramię rozharatane w ulicznej bójce wciąż krwawiło. Brudna rana pulsowała bólem, strużka cuchnącej ropy sączyła się na jego zgrubiałe palce dłoni. Dotąd jakoś sobie radził, jednak gdy nadzorca zwiększył tempo prac, znosił to coraz gorzej. Widok przysłaniały mu czarne motyle, pod czaszką słyszał szum tysięcy skrzydełek, czuł ich muśnięcia na twarzy i na całym ciele.

Chwycił skrzynię i dał znak Nicetasowi. Poderwali ładunek, przenosząc go na szerokie rzemienne pasy. Teraz na pokład galery, a później...

Nagle poczuł rozdzierający ból w łokciu. Ramię zwiotczało jak odcięta gałąź, a skrzynia zjechała ze skórzanych pasów na bruk. Pękła. Ze środka wysypały się złożone talerze inkrustowane rubinami...

Turek wpadł w szal. Cisnął w bok swój bat, zamiast niego chwytając grubą maczugę nabijaną kamieniami. Doskoczył do Belzebuba i walił go po plecach tak długo, aż niewolnik znieruchomiał w kałuży krwi.

* * *

–To jest moja przyszłość? – wyszeptał, wodząc skołowaciałym językiem po wysuszonym podniebieniu. – Niewolnik w Konstantynopolu łupionym przez obce armie barbarzyńców?

Eremita w czerwonej riasie pociągnął go w cień i nakazał sięść na kamiennej ławie. Sam począpał do wnętrza swej samotni. Po chwili przyniósł dzban i kubek.

–To jeden z możliwych wariantów – tłumaczył, gdy Kalikst łapczywie wlewał w siebie wodę. – Jak już rzekłem, two losy mogą potoczyć się różnymi drogami. Gdybym nie ocalił dobrej części twojej duszy, to być może ty rozdawałbyś bity w płonącej stolicy upadłego imperium. Tak, wtedy bez wątpienia odnalazłbyś się ze swym złem w tym chaosie, wypływając zawsze na wierzch. Jednak pomyśl o innych. O swoim przyjacielu Nicetasie...

–On już nie żyje – przerwał mnichowi Belzebub. – Byliśmy razem na rydwanie, kiedy... – Urwał i głośno przełknął ślinę. – Biedak nie żyje na pewno.

–Być może, ale skąd w tobie taka pewność? Zoe też uważałaś za martwą... Właśnie, a Zoe?... Czy ona poradziłaby sobie w takim świecie? Nie, i tego akurat możesz być pewien, umieć żyć wśród takiego zła to nie zależy tylko od ciała, ale w większej części od duszy. Chyba zaczynasz to rozumieć, bo przecież odzyskałaś swą duszę. Prawie odzyskałaś, w każdym razie nie jesteś już tym samym zabójcą jak miesiąc temu. Więc gdy zlekceważysz Czarnego Mnicha i jego plany, taka przyszłość, jaką widziałeś, może się dla ciebie wypełnić, jest najbardziej prawdopodobna.

–Ale nie jedyna...

–Chcesz zobaczyć inną przyszłość? Taką, w której jesteś galernikiem na okręcie egipskiego pirata? A co powiesz na żywot beznogiego żebraka pełzającego w rynsztokach Filipopolu?...

–Dość! Wystarczy! – Belzebub uniósł ręce, jakby w ten sposób chciał powstrzymać napór słów starca. – Cóż zatem robić?

–Wyruszysz jutro. Tylko strzeż się podstępów wiwerny...

Rozdział 19

Droga urwała się jak skórzany pas przecięty krótkim uderzeniem topora. Belzebub przystanął zdezorientowany. Nie, szlak nie zbaczał nigdzie ani też nie przysypała go lawina. Nie podmył strumień i nie zarósł trawą. Po prostu kamienisty trakt dochodził do ostrego zbrocza porośniętego karłowatymi drzewkami i ginął przygnieciony górą.

–Gamoto – wyszeptał zrezygnowany.

Owszem, starzec mówił, że musi wejść w tę część gór Troodos, której nigdy nie skalala ludzka stopa. Że będzie musiał wdrapać się w miejsce, którego unikały nawet zwierzęta. Potraktował te słowa jako miejscową przypowieść – ot, tutejsi górale wydeptali drogę do kamieniołomu, z którego brali marmur do budowy chlewików. A że dalej nie potrafili się przedrzeć, stworzyli opowieść o szczytach sięgających ponad chmury i przepaściach bez dna. I czających się tam potworach. Teraz jednak dostrzegł w tym źdźbło prawdy – po prostu nie wiedział, gdzie dalej iść.

Kieruj się na północ, najdalej jak się da – mówił mu starzec. – A gdy zwątpisz, to idź dalej, nie wahając się.

Co to znaczy? – pytał. – Dlaczego tak kręcisz i nie powiesz wszystkiego wprost?

Musisz mi zaufać. I zaufać sobie samemu. Nie pytaj, tylko ruszaj w

drogę.

Czerwony mnich szczenił słowa. Nie chcił zdradził tajemnicy. A może po prostu jej nie znał? W końcu był jeno ślepcem...

Belzebub wdrapał się na zbocze, raniąc dłonie o ostre krawędzie kamieni. Słońce leniwie sunęło po bladym niebie, zalewając Troodos oślepiającą bielą.

Światłne igielki ukłuły go w źrenice. Opuścił powieki.

I wtem na szyi poczuł chłodny dotyk ostrza.

–Nie ruszaj się... – usłyszał szept.

Nie ruszał się. Nawet nie otworzył oczu.

–Chcesz ją zabić? – To był głos kobiety. Wtedy spojrział.

Ciemne włosy związane w gruby warkocz, oliwkowa skóra, lekko skośne oczy. Nie była stąd, to jasne. Saracenka? Nie, za ciemna. Nubijka? Kitajka? Nie, nie przypominała żadnej z tych nacji, których przedstawiciele przecierali szlaki imperium. Również jej strój wskazywał na obce pochodzenie. Czarny kaftan ze skóry ciasno opinał jej kształtne piersi. Nogi wojowniczkii tylko częściowo osłaniała spódniczka do kolan, zaś jej łydki okrywały sznurowane cholewy wysokich butów.

–Kim jesteś? – wyrwało mu się głupie pytanie, jednak nie dostał odpowiedzi. Docisnęła mocniej sztych miecza, aż spłynęła krew.

–To ja pytam – powiedziała ostro. – Mów! Chcesz ją zabić?!

–Niby kogo? Tę przerośniętą jaszczurkę?

Sapnęła wściekle:

–To jest wiwerna. Rozumiesz? Wiwerna!

–Cokolwiek powiesz! Tak długo, jak trzymasz mi ten nożyk przy gardle, będę z tobą zgodny.

–Czyli przybyłeś ją zabić, co?

Na pół oddechu nacisk jej miecza osłabł. Wykorzystał tę chwilę, jak potrafił najlepiej. Odchylił się w tył, schodząc z linii ostrza. Potem skoczył w bok, przetaczając się po kamieniach i nim zdążyła rozplatać mu głowę, zaatakował ją puginałem od dołu. Lewą ręką przytrzymał uniesione do ciosu ramię dziewczyny, prawą przytknął jej nóż do policzka.

–No, królowo! Nie ruszaj się, bo stracisz nieco na urodzie. I od razu odrzuć swój miecz.

Posłuchała. Klinga zazgrzytała po kamieniach.

–Doskonale. A teraz odpowiem ci na twoje pytanie. I sam zadam. Nie, nie chcę zabić przerośniętej jaszczurki.

–Wiwerny.

–Teraz ja cię mam na ostrzu, nie zauważyłaś?

–Wszystko jedno. To jest wiwerna.

–Że jak? Wierna czy niewierna? – sam zaśmiał się ze swojego żartu. – Nie chcę jej zabić, ale ty, rozumiem, masz taki zamiar.

Opadło w niej napięcie. W skośnych oczach zaśniły weselsze iskierki.

–Jeżeli mówisz prawdę, to dobrze... Dobrze, że nie chcesz jej zabić. Ale czego tu właściwie szukasz?

Belzebub opuścił puginał i patrzył w zdumieniu na dziewczynę.

–Czego ja tutaj szukam? Szwendam się po górach, zaglądam tu i tam. Jak to często robią takie chwaty jak ja. Nic nadzwyczajnego.

Ale bardziej ciekawi mnie, co ty tutaj robisz? Czyżbyś nawiała z saraceńskiego haremu? Co tu robi taka sztuka jak ty? Sama! I jeszcze z jakiej przyczyny napada innych wędrowców?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Wesole iskierki w jej oczach zgasły.

–Chyba już czas na mnie – mruknęła. Podniosła miecz, schowała go za pas i ruszyła w dół zbocza.

–Hej, królewno! Jakże to tak?! – zawołał za nią Kalikst. – A ty gdzie? Ledwośmy się poznali, a ty już uciekasz? Co z tą wiwerną?

Przystanęła na chwilę, jednak nie odwróciła głowy.

–Zabiję ją! Po to tutaj przyszedłem! Twoja wiwerna nie dożyje świtu. Wracaj!

Wzruszyła ramionami i dalej szła w dół zbocza.

Chciał biec za nią, jednak nagle znów oślepiło go słońce. Zasłonił oczy dłońmi i mrugał, aż spod powiek znikły kolorowe płatki.

Gdy spojrzał w dół, skośnookiej już nie było.

* * *

Dalsza droga biegła łysym grzbietem skalnym porośniętym na bokach pokrzywionymi drzewkami. Szedł, wspominając słowa starca w czerwonej riasie.

Jeżeli zadawałeś sobie kiedyś pytanie, dlaczego założyłem pustelnię na Cyprze, w górach Troodos, to już znasz odpowiedź –

tłumaczył mu eremita. – Tak, chodziło, rzecz jasna, o Czarnego Mnicha. Po tym, jak ledwie uszedłem z życiem z rzezi, którą urządził w naszym monasterze, poprzysiągłem mu zemstę. Później, Bóg dał, wyrzuciłem ze swego serca nienawiść, a z nią myśl o zemście, lecz nie zmieniło się jedno: przekonanie, wręcz pewność, że muszę powstrzymać plugawego sługę Satanaela. Długo nie znałem jego sekretu. Snułem domysły i kolejne plany, pytałem Logosa i Boga Ojca o to, jak pokonać Czarnego Mnicha. Wreszcie poznałem prawdę. Wtedy opuściłem Kapadocję i znalazłem swoje miejsce tu, w cypryjskich górach.

Wkrótce Kalikst dotarł do końca kamiennego grzbietu. By iść dalej, musiał wdrapać się na drzewo i po gałęziach na położoną wyżej półkę skalną. U jej stóp po drugiej stronie ujrzał łagodną przełęcz przeciętą wąską ścieżyną wydeptaną, jak sądził, przez zwierzybę.

Zeskakując po skałkach, dobiegł do dróżki. Ruszył nią, kierując swe kroki na północ. Szedł tak przez trzy kwadransy, wreszcie przystanął.

–Dziwne – mruknął. – Tu już chyba byłem...

Potoczył wzrokiem po niedalekich szczytach. Ta góra w kształcie przewróconego dzbana, gęsto porośnięta dzikimi drzewkami oliwnymi, i ta druga, niczym ścięty na końcu grot strzały... To miejsce wyglądało zbyt znajomo.

–To tylko mi się zdaje – przekonywał sam siebie. – Nie może być inaczej. Tu podobne są wszystkie szczyty, doliny, stare gaje i przełęcz. To nie Konstantynopol, gdzie każdą uliczkę znaczą inne wspomnienia...

Znajdując otuchę w tych tłumaczeniach, powędrował dalej, jednak po kolejnym kwadransie przystanął bezradny. Drożyna znikła gdzieś pośrodku niewielkiej łączki, zaś przed nim wyrosło strome zbocze inkrustowane szarymi skałkami o ostrych krawędziach. Popatrzył na boki. Nie, tam nie było drogi. Łąka opadała w dół aż na skraj urwiska. Musiał więc drapać się do góry.

Ruszył, nie tracąc czasu. Słońce na niebie powoli wędrowało na zachód, szukając miejsca, w którym skryje się przed nadchodzącą nocą.

–Nigdy tam nie dojdę – jęknął, zlizując krew z dłoni rozharatanej o krawędź skały. Osuwające się za nim kamyczki ciągnęły warkocze kurzu. – Przeklęte miejsce, gdzie ja w ogóle jestem? Po co ja tam idę?

Opadł zrezygnowany, kryjąc twarz w dłoniach. Wylał na język ostatnie kropelki wody z bukłaka i zległ bez sił, kryjąc głowę w cieniu.

–Kjek, kjek, kjek – posłyszał odległy krzyk jastrzębia. Ptak sunął po niebie opromieniony blaskiem niezmiennie gorącej ognistej kuli.

–Ja cię kiedyś zabiję – burknął Belzebub.

Wołanie skrzydlatego towarzysza podróży szło echem po przepaściach. Zwielokrotniony przez góry wrzask tylko nasilał poczucie beznadziei Kaliksta. Jak nigdy dotąd czuł, że wciąż pozostawał mieszczuchem, dzieckiem Konstantynopola. W wąskich uliczkach portowych pełnych bocznych zaułków i niskich dachów czuł się najlepiej. Znał na pamięć wszystkie przesmyki między rozległymi placami, akweduktami, między rezydencjami otoczonymi wysokimi murami z kamienia. Wiedział, jak przemknąć przez miasto, unikając straży i szajek pijanych zbirów szukających zwady. Ale tu, w Troodos, tracił orientację, gdy tylko mijane wzgórze odstaniało niewidoczny dotąd grzbiet, zmieniało swój kształt, a łagodne zbocza urywały się nad bezdenną czeluścią.

Przyłożył czoło do kamienia, wspominając nie tak odległe przecież chwile. Myślał o Zoe: Gdzie teraz jesteś, jak cię uratować?

–Kjeeeeek! – tym razem jastrzęb zawył mu nad samą głową, jakby podsuwając odpowiedź.

–Tak, muszę iść. Przecież wiem, dokąd i po co...

Dźwignął się, sycząc z bólu. Rana na dłoni puchła w oczach jak bochen chleba wypiekany o świcie. Mimo to poczłapał do góry, bo cóż mu pozostało?

Wspinaczka na szczyt zajęła mu jakieś sześć kwadransów. Wrażenie, że znał to miejsce, pogłębiło się. Minał rząd pachnących migdałowców i wyszedł na szeroki trakt.

–Nie... Albo już oszalałem ze szczętem.

Na wprost niego znajdowała się pustelnia mnicha w czerwonej riasie.

–Ha, ha, ha – trząśł się ze śmiechu starzec. – A więc jesteś!

–To nie jest śmieszne – wyskrzeczwał Kalikst. – Daj mi lepiej coś do picia, bo padnę zaraz i nie wstanę.

Eremita sięgnął po bukłak wypełniony świeżą wodą źródlaną. Wiedział, o co poprosi skołowany wędrowiec.

–Co, to też wypatrzyłeś w swoich wizjach? – mruknął Belzebub. – Że przyjdę zmordowany jak stara chabeta po całym dniu orki? Wyszuszony jak rozgwiadza wyrzucona przez morze na kamienie?

–Woda to w tych górach najcenniejsze dobro, przynajmniej dla tych, którzy nie znają drogi i nie wiedzą, dokąd iść.

Kaliksta ogarnęła nagła furia. Ryknął na eremitę:

–Starcze, ty sobie ze mnie żarty stroisz! Kazałeś iść szlakiem, który robi wielkie koło i zawraca na tył twojej pustelni. Poszedłem i co? Stoję tu, a Zoe umiera dręczona przez bestię w czarnym habicie. Chcesz, żeby umarła, a ja razem z nią?

Pustelnik tylko wzruszył ramionami i zawrócił do swojego eremu. Belzebub pobiegł za nim.

–Odpowiedz mi! Co to za gra?

–Przecież ostrzegałem cię. To ona, wiwerna. Będzie tak kierować twoimi krokami, że nigdy nie odnajdziesz jej jaskini. Zawsze powrócisz tu, skąd przyszedłeś.

–Zawsze? Czyli nigdy jej nie dorwę?! To co mam robić?

–Będzie wpływać na twój umysł tak długo, jak długo będzie czuć w tobie nienawiść i nieokiełznane pragnienie zemsty.

Usiedli na kamiennej ławie przed pustelnią. Mnich przemył ranę Kaliksta i obłożył ją kompresem z rozmoczonych ziół. Dziwne, ale ból szybko ustąpił. Tylko delikatne mrowienie między palcami przypominało mu o ostrych skałach na zboczu.

–Powiedz mi, co widziałeś, słyszałeś, czułeś. Dokładnie! Odkąd znikł ci z oczu dach mojej samotni...

Gdy Kalikst skończył mówić, starzec pokiwał głową i stwierdził:

–To ona.

–Ta czarna panna? Zmieniła postać? Znaczy się to była wiwerna?

–Tak. I zarazem nie. Nie do końca.

–Czy to jakiś nowy wykład z twojej heretyckiej filozofii? To w końcu tak czy nie? Nie może coś być i nie być zarazem.

–Może czy nie może, to inna dyskusja. Ludowe bajania mówią o tym, że wiwerny potrafią przybrać postać człowieczą, że tak zmienione wchodzą do wsi i miast, by tam szukać swoich ofiar. Nie, zapomnij o tych bujdach rodem z przydrożnej karczmy! To, co widziałeś, to emanacja umysłu wiwerny. Gdybyśmy mówili o człowieku, rzekłbym: to była jej dusza, duchowa postać zwykle skryta w ciele czarnego gada.

Dalszą opowieść przerwał mu rechot Kaliksta.

–Duchowa? Starcze, ładnie mi tu nawijasz swoje mowy mędrca, ale ja wiem, jak było. To nie był żaden duch! Przyłożyła mi ostrze pod brodę! Ktoś mniej cwany ode mnie już leżałby tam z rozdartym gardłem zimny i martwy jak gruda lodu!

–Szkoda, że nie byłeś tak cwany, gdy zawróciłeś z właściwej drogi, miast iść dalej w góry... Powiadam, ona gra w twoim umyśle. Gra twoim strachem, niepewnością, czasem wściekłością, ale też i tęsknotą. Niewiasta, którą spotkałeś na swej drodze, to wytwór twojego umysłu.

–Ale... Rozmawiałem z nią! Była prawdziwa!

–Na ten temat mógłbyś poprowadzić dysputę z Platonem. Tak, ten filozof zgodziłby się, że duchowa emanacja umysłu wiwerny, czarna wojowniczką o skośnych oczach to prawdziwy byt, idea, a reszta to jeno odbicie idei. Jednak w twoim wypadku platońska ontologia nieco zwodzi: musisz zmierzyć się z duchową emanacją, by dotrzeć do jej materialnej postaci. Co więcej, winienesz zlekceważyć ducha, by odnaleźć ciało.

–Platon dostał kosę we flaki zeszłej wiosny – powiedział z przekonaniem Belzebub. – Głęboko mu weszła, nikt by nie przeżył. Ale o duchach to nigdy nie gadał.

–Chyba mówimy o innym Platonie...

–Platon Pokrak, złodziej z Blacherny. Dobry chłopak był, tylko głupi. Po co się rwał do mordobicia z Armeńczykami, kiedy był sam, a ich pięciu?

Starzec nie był jednak ciekaw rewelacji z Konstantynopola. Wstał, otrzepując riasę z kurzu.

–Lepiej wypocznij, bo jutro o świcie wyruszasz w dalszą drogę – rzekł, wchodząc do swej pustelni. – I pamiętaj, że tym razem twoja podróż może skończyć się znacznie gorzej niż tylko pobłądzeniem w górach.

* * *

–Kalikst! Tutaj jestem! Ratuj mnie!

Przystanął oniemiały. Zoe kurczowo obejmowała pochylony nad przepaścią konar steranego życiem cedru. Odślonięte przez lawinę korzenie drzewa chwytały kamienisty skraj urwiska niczym chciwa dłoń syryjskiego kupca złote solidy.

–Tutaj! Pomóż mi!

Dziewczyna bujała się na gałęzi, wprawiając pień w niebezpieczne drżenie. Chmury suchego pyłu i drobiny skał sunęły w dół niczym piasek w klepsydrze. Jeszcze kilka oddechów, a się przesypie, kończąc żywot tak rośliny, jak i człowieka.

–Co się gapisz?! Przecież to zaraz spadnie!

–Zoe? Co ty tu robisz?

–Najpierw mnie ratuj, później będziesz zadawać pytania.

Wiedział, że wiwerna znów płata mu figle, bawiąc się jego wspomnieniami. Że znów chce sprowadzić go z właściwej drogi. To jasne, gadzina liczyła na to, że skoczy na ratunek dziewczynie i przeciąży pień cedru. I że spadnie w przepaść, ciągnąc za sobą lawinę.

Z drugiej strony jednak... Już raz wydał Zoe na śmierć, już raz ją zdradził, a teraz... Teraz chciał ją odzyskać. Pochwycić w ramiona i już nigdy nie puścić. Być z nią zawsze. Aż do śmierci. Patrzył na dziewczynę podrygującą na konarze. Ta sama buzia aniołka, te same żywe iskielki w oczach, krótkie czarne włosy. Męski strój, w

jakim widział ją ostatnio...

–Skąd ty się tu w ogóle wzięłaś?

–Gamoto! Będziesz zadawał głupie pytania, aż spadnę?!

–Odpowiedz mi, to cię zdejmę.

–Uciekłam z niewoli Czarnego Mnicha. Udało mi się otworzyć klatkę, a potem nawiałam do podziemi. A teraz jestem tu, by ci pomoc, najdroższy...

–Jesteś tu... By mi pomóc... – powtórzył powoli, smakując każde słowo.

–Tak, musimy razem go pokonać. A teraz zdejmij mnie! Szybko!

Nie mógł przestać się na nią gapić. Tak, to ona! Zoe, którą już raz zawiódł. Zoe, która uratowała mu życie, posyłając do piekła dwóch oprychów z anatolijskiego gościńca. Która poszła za nim do ponurego monasteru, bo tak kazała jej miłość.

Z nią mógłbym uciec gdzieś na koniec świata – pomyślał. – Co mi tam Czarny Mnich, Czerwony Mnich, co mi tam mnichy we wszystkich kolorach i ich heretyckie bajania... To bajdurzenie bez krzty sensu! Z Zoe dam nogę do Italii albo jeszcze dalej, do Franków. Zapomnę o heretykach, o basileusie, o czarnej wiwernie...

–Zaraz ci pomogę. Tylko powiedz mi jedno! Jak się tu dostałaś? Jak dotarłaś z Kapadocji w cypryjskie góry?

–No wiesz... Nawiałam z monasteru. I jestem tu...

–Wiesz co, ja cię chyba tu zostawię. Chętnie bym popatrzył, jak spadasz, ale muszę już iść!

–Kalikst! Znów chcesz mnie zdradzić? Znów chcesz mnie porzucić?

–Żegnam.

–Co ty robisz? Oszalałeś?! Ratuj mnie!

Odwrócił się na pięcie i ruszył w dalszą drogę. Nie patrząc w tył, puszczając mimo uszu przekleństwa i błagania dziewczyny, zaczął wspinaczkę na kolejne wzgórze. Wkrótce zgięty nad przepaścią cedr znikł mu z oczu.

Wtedy przysiadł na skale i odczekał dłuższą chwilę. Gdy wrócił na skraj urwiska, po Zoe nie było już śladu. Ale drzewo pozostało samotnie zapatrzone w skalną czeluść.

Zaśmiał się triumfalnie, choć tak naprawdę, w głębi duszy czuł żal, smutek i niepewność.

A jeżeli tam naprawdę była Zoe? Prawdziwa...

* * *

Szybko wyzbył się swych wątpliwości. Następnym razem spotkał Zoe, gdy przechodził wąską ścieżką biegnącą skrajem wąwozu, na którego dnie płynął strumień. Tym razem dziewczyna nie wzywała pomocy. Stała na linowym moście zawieszonym nad przepaścią, rzucając mu promienne uśmiechy.

–Kalikst... Chodź do mnie! Pokażę ci lepszą drogę!

Przyspieszył kroku, puszczając jej słowa mimo uszu. Gdy się obejrzał, mostu ani Zoe już nie było. Tylko poryty ostrymi kamieniami wąwóz.

Później kusila go dzbanem wina, widokiem nagich piersi, ostrzegała

przed nadciągającą lawiną.

Belzebub nie reagował na jej zaczepki. Mruczał tylko:

–Nie nabierzesz mnie. Wiem, że jak cię posłucham, to ta lawina spadnie mi na łeb.

Starął się koncentrować na celu swej wędrówki. Tym razem częściej korzystał ze wzroku jastrzębia. Przed wspinaczką wlatywał na jego skrzydłach i patrzył, co jest po drugiej stronie. Nim zszedł z głównej drogi, skręcając w boczną ścieżynę, posyłał ptaka, by pokazał mu, dokąd prowadzi nowy szlak.

Swojej ukochanej już więcej nie zobaczył. Za to na jego drodze stanął Nicetas.

–Zabiłeś ją... Zabiłeś Zoe! – ryczał, ściskając wielgachną maczugę nabijaną stalowymi guzami. Z jego oczu biły pioruny. – Ja to wiem! Wszystko wiem! Wbiłeś jej szablę pod serce! A później gadałeś, że nie wiesz, o co chodzi.

Kalikst chciał go zignorować, ale namolny ton i oskarżenia Wielkiej Pięści wzbudziły w nim wściekłość. Na kilka chwil usunął w cień świadomość tego, że rozmawia z wytworem własnej wyobraźni.

–Nie zabiłem! Co ty możesz wiedzieć, przygłupie!

–Łżesz! Zarżnąłeś ją jak prosiaka, zgwałciłeś, gdy wydawała swe ostatnie tchnienie, a potem jeszcze rżnąłeś głupa. Nie mam pojęcia, gdzie jest Zoe, pewnie wróciła do miasta... Tak nawijałeś, a jam ci wierzył! Myślałem, żeś przyjaciel! A ty zwykłym zdrajcą jesteś!

Te słowa jeszcze bardziej rozżłościły Belzebuba. Chwycił za rękojeść czekana i uniósł broń do góry w znaczącym geście.

–Zamilcz! Nie tak było! Gównu wiesz i nie tobie mnie osądzać!

–A co? Nie zabiłeś jej? Gdyby zamiast bliźniaczej Zoe była ona prawdziwa, też byś ją ubił!

–Gadasz jak ten starzec! Precz mi z oczu! Przecież nie istniejesz! Jesteś iluzją!

Dryblas walnął maczugą w skałę. Kamienna bryła zadrżała, po czym pękła z rumorem, wzniecając kupę kurzu.

–Nie istnieję? Ten głaz też tak do mnie powiedział! Zobacz, co z niego zostało!

Przeklęta gadzino! – pomyślał Kalikst. – Zwodzisz mnie, wyciągasz z zakamarków mojej pamięci to, co najbardziej wstydlive, podłe i zdradzieckie. Za to mam ochotę cię zabić, wręcz powinienem to zrobić, ale nie dam ci tej satysfakcji. Wiedz jedno: nie dam się zwieść!

–Ha, ha, ha! Tchórz i zdrajca! Oto, kim jesteś! – darł się Nicetas. – Gardzę tobą, koproskilo! Zawsze traktowałeś mnie jak matola! Myślałeś sobie: wielki, silny i głupi, takie poczciwe bydlę, z którym można pójść na wino, obić komuś mordę, ale któremu nigdy nie mówi się prawdy. No przyznaj, czy nie tak było? Czy nie tak jest nadal? A ja zawsze uważałem cię za prawdziwego przyjaciela! A ty jesteś nic niewart! Śmieć! Już teraz rozumiem, dlaczego Żmudzini tak na ciebie psioczyli! Widzieli z boku to, na co ja byłem ślepy!

Tego już Belzebub nie zdzierzył. Rzucił się z wyciem w stronę Wielkiej Pięści, mierząc weń swoim czekanem.

Wiwerna tylko na to czekała. Miraż Nicetasa wykonał nagły zwrot w tył i pomknął pędem ile sił w nogach.

Kalikst za nim.

Dopiero po kilku krokach spostrzegł, że nogi dryblasa młóca powietrze, zaś pod nimi rozciąga się przepaść. Jakby wielkie chłopisko biegło po niewidzialnym moście.

Tyle że żadnego mostu tam nie było. Jedynie czeluść głęboka na jakieś siedemdziesiąt stóp. Nim Belzebub się zorientował, było już

za późno. Stracił grunt pod nogami i zjechał po stromym kamienistym zboczu w dół.

Od niechybnej śmierci uchroniła go natura złodzieja i czekan gorączkowo ściskany w prawej dłoni. Czując, że grunt usuwa mu się spod nóg, w ostatnim odruchu desperacji sieknął na oślep ostrzem w nadziei, że o coś zaczepi.

Zawisł na nieco spróchniałym pniu zwałonego drzewa. Toporek rozorał korę, uwalniając chmurę popielatego pyłu, po czym zarył się w ocalałym kawałku twardego drewna. Belzebub zacisnął wargi, modląc się w duchu do Logosa, Satanaela i Boga Ojca, by kłoda utrzymała ciężar jego ciała. Jego błagania zostały wysłuchane – przez kogo, tego już nie chciał dociekać. Z wysiłkiem wypęzł na brzeg urwiska, ryjąc kolanami, stopami i lewą dłonią w kamienistej ziemi.

Długo leżał, aż wyrównał oddech. Wtedy wstał i nie patrząc za siebie, pobiegł w dalszą drogę.

–Zdrajca! Bydlę! Tchórz! – posłyszał za sobą wściekły ryk Nicetasa, jednak nie zwracał już nań uwagi.

W duchu przeklinał wiwernę, eremitę w czerwonej riasie i Czarnego Mnicha.

* * *

Wędrował ostrożnie, z rozwagą, nie pozwalając, by miraż zwiodył go z właściwego szlaku. Nieraz przystawał, wysyłając jastrzębia na wszystkie strony świata, by ujrzeć, co kryją przed nim góry. Gdy skrzydlaty drapieżnik wracał, Kalikst nakazywał mu lecieć jeszcze raz, by mieć pewność, że wiwerna nie ma fałszywymi obrazami

również ptaka. Jak się okazało, nie był to nadmiar ostrożności. Tę jedyną drogę odnajdywał zawsze tam, gdzie wcześniej straszyla osłonięta cieniem rozpadlina, gdzie oczy skrzydlatego drapieżnika wypatrzyły gęstwę karłowatych drzewek, wreszcie tam, gdzie była wcześniej lita skała niedostępna niczym mur obronny otaczający Antiochię.

Dzięki tej przezorności nie zabłądził, jednakowoż wędrówka przebiegała nad wyraz powoli. Belzebub nawet nie spostrzegł, gdy szczerwieniałe słońce zaszło za szczyty, a góry Troodos przykrył płaszcz ciemności.

Gdy zapadł zmrok, postanowił rozbić obóz. Wyszukał wgłębienie pod spiętrzoną stertą wielkich jak domy głazów. Zebrał kilka naręczy suchych gałązek, pożółkłe od dziennego żaru liście i trawy, po czym skrzesał niewielki ogień. Wygrzebał z podróżnego tobołka dwa kawałki suszonego mięsa. Zjadł jeden, drugi rzucił jastrzębiowi.

–Nie chcesz tego szamać, co? – mruknął, patrząc jak ptak bez zapału dziobie twardy płąt. Jakby miał do czynienia z podeszwą starego buta, a nie z baraniną. – Ale przecież sam nic nie upolujesz, więc wcinaj, bo nic innego nie mam.

Skrzydlaty drapieżnik przekrzywił łeb, jakby chciał powiedzieć: Gdyby nie część twojej duszy, jadałbym lepiej od ciebie. Nie starą baraninę, ale to zajaczka, to gołębia, to młodą kozicę.

Belzebub tylko wzruszył ramionami. Dobył z worka płaszcz i okrywszy się nim, natychmiast zapadł w sen.

Obudził się, gdy do świtu brakowało jeszcze dobrych czterech godzin. Ścisłej rzecz biorąc – obudziło go dźgnięcie miecza w policzek. I słony smak krwi ściekającej mu na usta.

Ciemnowłosa wojowniczką. Ona. Wiwerna. W rtęciowym świetle księżycy wyglądała jeszcze mniej realnie niż za dnia.

–Jesteś... Znów... – szepnął, ścierając nadgarstkiem resztki snu z powiek.

–Jestem... Znów... Tym razem, by cię zabić.

–Ha, ha! Nie zabijesz mnie.

–Kalikst Belzebub z Konstantynopola. Zginął zaszlachtowany w górach Troodos. Zresztą co ja mówię! O takiej nędznej szumowinie nikt nie będzie pamiętał. Po prostu znikniesz. Zniknie twój duch i pamięć o tobie.

–Królowo, ty jak zawsze pięknymi strofami do mnie gadasz! Ale powiem ci coś!

Zacisnął dłoń na klindze i odepchnął ostrze od twarzy. Spod jego palców zaczął się sączyć wąski strumyczek krwi.

–Piękne, ale mnie na to nie nabierzesz. – Uniósł rękę przed oczy. – Wiem, że ty to ona. Wiem, że jesteś... Emi... emo... emonacją czy jak to tam. Starzec mi wszystko wytłumaczył. Ty jesteś wiwerną. Jej duchem. I zsyłasz na mnie fałszywe obrazy. I zwodzisz na drogi, które są przepaściami.

Skośnooka wojowniczką odjęła miecz i schowała go za pas. Rana na dłoni Kaliksta znikła.

–Czego chcesz i po tu idziesz? – zapytała szorstko.

–Jakby ci to powiedzieć...

–Jeżeli twoim celem jest jad z ogona wiwerny, możesz być pewien, że otrzymasz ów rzadki specyfik. Prosto w serce, gdy tylko zbliżysz się do niej bliżej niż na sto kroków.

–Ha, ha! Doprawdy? A dlaczego od razu nie przylecisz tu do mnie i nie rozszarpiesz mnie jak sowa mysz skrytą w trawie? Ja, powiem szczerze, nie wahałbym się ani chwili. Jak możesz zabić wroga, to zabij go teraz, bo jutro może być za późno.

Wstał i podszedł do dziewczyny, tak że niemal czuł jej oddech.

Pachniała kwiatem migdału, trawą rozgrzaną przez słońce i mokrą ziemią. W świetle księżycy jej oczy lśniły niczym dwa złote solidy.

–Udajesz, że ty to nie ona, a ona to nie ty? Dalej próbujesz mnie omamić i skierować mą drogę w przepaść? Chyba już wystarczy tego. Dałem się nabrać raz czy drugi, teraz jestem mądrzejszy o te kilka guzów i rozharataną łapę. Rozharataną na skale, nie o twój miecz – zaznaczył.

Czarnowłosa powtórzyła tylko:

–Czego chcesz?!

Belzebub sięgnął do pasa. Wyjął zza niego czekan i rzucił pod nogi wojowniczeki.

–Nie jestem łowcą gadzich ogonów. Nie wiem nawet, co to za jad, o którym mówisz. Nie chcę z tobą walczyć. Prawdę mówiąc, nie chciałem się też drapać po tych opustoszałych górach. Niosę tę broń nie przeciw tobie, lecz dla obrony.

–Próbujesz mnie zwieść słowami. Nie mam tyle cierpliwości, by tego słuchać.

Chociaż noc ścisnęła góry chłodem potęgowanym przez długie powiewy wyjącego wiatru, Kalikst cały się spocił. Otarł ciepłą wilgoć z czoła i zamrugał, przepędzając spod powiek pstrokate płatki barwne niczym kwiecie na targu w Konstantynopolu.

Gdy rozejrzył się, wojowniczeki już nie było.

–Przeklęta gadzina... – mruknał.

* * *

Przed południem dotarł do góry, którą starzec opisał jako śpiącego olbrzyma wspartego na maczudze. Patrząc na szczyt, Kalikst zastanawiał się, skąd ślepy eremita tak dobrze znał to miejsce, chociaż nigdy tu nie był, nawet nie potrafił dokładnie wskazać drogi. Kazał Belzebubowi kierować się przeczuciami i badać teren wzrokiem jastrzębia. Czyżby i mnich odbywał loty w umyśle ptaka? Może więc wiedział znacznie więcej, niż ujawnił? Może teraz wszystko obserwował skryty w blasku słońca pod niebem?

Śpiący olbrzym w rzeczy samej przypominał giganta opierającego swój brodaty łeb na potężnym drągu nabijanym kamiennymi kolcami. Na szczyt, gdzie miała znajdować się jaskinia wiwerny, prowadziła wąska ścieżyna zagubiona wśród cyprysowej gęstwy. Ruszył nią, karczując gałęzie zwisające niczym ramiona upiorów. Na pniach drzew znać było ślady ognia, ich skręcone konary wiły się w niemym cierpieniu. Chwytały Kaliksta, znacząc powierzchnię jego skóry drobnymi ukłuciami, jakby do życia potrzebowały nie słońca i wody, lecz kropelek ludzkiej krwi.

Im bardziej siekł w nie czekanem, z tym większą furją dźgały go swymi igiełkami. Dopiero gdy wdrapał się wyżej, karłowate cyprysy ustąpiły miejsca suchym trawom i szarym kamieniom. Tuż za linią lasu czekała na niego wojowniczką.

–Nie mogę cię zabić tutaj – syknęła wściekle. – Wiem, że o tym wiesz. Ale podejdź wyżej... Zbliź się tylko, a rozszarpie cię bez litości.

Wtedy Kalikst powiedział coś, co pozbawiło ją pewności siebie.

–Kiedy to się stało?

Rzuciła mu pytające spojrzenie i fuknęła ze złością.

–Kiedy przestałaś być sobą – ciągnął – bo coś wdarło się do twojej duszy i odmieniło cię jak nigdy? Rok temu czy półtora? Coś odebrało ci zdolność do kierowania swoim losem. Coś podszyło cię

lękiem, niepokojem, zabiło w tobie dumną, wolną wiwerkę, panią gór Troodos.

Skośnooka spojrzała nań uważnie z iskierką zainteresowania, ale wciąż nie wyrzekła ani słowa.

–Może nie pamiętasz tego dnia – mówił dalej Belzebub. – Może nawet nie wiesz, że teraz nie jesteś tak wolna jak kiedyś.

–Czego chcesz? – przerwała mu ostro. – Po co mi to mówisz? Chcesz mnie zwieść i urzec swoimi słowami, w których brak sensu i prawdy? Nie uda ci się to!

Westchnął ciężko i odwrócił wzrok ku niebu, jakby tam szukał natchnienia. Wiedział, że gdy wejdzie do jaskini gadziny, będzie tak, jak mu groziła. Jej pazury rozniosą go w krwawy strzęp, nim zdąży wypowiedzieć imię ukochanej. A może nie? Może to, co w niej tkwiło obcego, pozbawiło ją prawdziwej siły i tylko słowa jej zostały, tylko pogrożki rzucane w nadziei, że lęk zawróci go z tej drogi.

Spojrzał ponownie w ciemne oczy dziewczyny i powoli powiedział:

–Jesteśmy podobni... Trochę. Ty boisz się, że wejdę do twojej jaskini i będę chciał odciąć twój ogon, by zdobyć cenną truciznę. Ja... Ja też mam swoje obawy... No i połączył nas jeszcze ktoś. Pewien człowiek, którego zła wola może na zawsze pogrążyć nas jeszcze bardziej.

Podszedł do wojowniczkę. Stał przed nią na wyciągnięcie ręki.

–Potrafisz czytać w moich myślach, dostrzegając obrazy, których nawet ja już nie pamiętam. Nie widzisz jednak moich prawdziwych intencji i stąd twój strach.

–Strach... Ha, ha... Nie staraj się zasiać go we mnie! – prychnęła.

–Nie dostrzegasz tego, co jest we mnie naprawdę, więc wejdź jeszcze raz i ujrzyj wszystko. Wejdź do mojej duszy, nie będę się

bronił. Wejdź i zobacz, po co tu naprawdę przyszedłem. Otwieram dla ciebie swoją duszę. Podaję jak na tacy.

Najpierw na jej twarzy zobaczył kpiący uśmiech. Później spoważniała. Nagle Kalikst usłyszał szum szybko przechodzący w ryk i ogarnęła go ciemność.

* * *

–Nie rozumiem... Kim on jest?...

Łoskot spadających głązów rozsadzał mu czaszkę od środka. Żołądek pulsował, wypychając do gardła kolejną porcję żółci. Wypluł ją, trzęsąc się od kaszlu. I jeszcze raz.

Teraz dopiero pojął, że dotąd wiwerna zaledwie głaskała powierzchnię jego umysłu, tylko muskała duszę, nie decydując się wejść głębiej. Gdy jednak na to pozwolił, poczuł pełnię jej siły. I wolałby drugi raz tego nie doświadczyć.

Dopiero po piątym ataku bólu zaczął cokolwiek widzieć. Długo tarł oczy kufakami.

Skośnooka wojowniczką zdawała się tego nie dostrzegać.

–Kim on jest, powiedz mi – powtarzała.

–Przeklęty satanaelski szarlatan... – wystękał. – Czarny Mnich... A w tobie jest część jego duszy.

Nagle osłabienie odeszło jak pod wpływem magicznego balsamu. Stał prosto i wyrzucił z siebie wszystko to, co chciał jej powiedzieć.

–Ta bestia w ludzkiej skórze wyrwała część mojej duszy, by uczynić ze mnie zabójcę. Idealnego mordercę, który nie ma skrupułów, który nie czuje lęku, którego nigdy nie dręczą wyrzuty sumienia. Rozbił moją duszę niczym dzban! Wyrwał z mojego serca nie tylko lęk przed śmiercią, ale także miłość, przyjaźń, lojalność, honor i wierność. Posłał mnie ze śmiertelnym zadaniem, by na zawsze zmienić losy świata. Widziałaś to w mojej głowie, widziałaś każdy mój dzień. Każdy dzień udręki i upokorzeń, niewoli i upodlenia.

Na nieboskłonie dryfowały białe chmury. Nagle zgęstniały i przybrały barwę wulkanicznego pyłu. Słońce straciło swój blask, a Troodos ogarnął niespodziewany chłód.

–Czarny Mnich nie był zły do cna – mówił dalej Kalikst. – Sumienie i wiara, w której żył przez lata, powstrzymały go przed największymi zbrodniami. Jednak by się tego wyrzec, sam na sobie dokonał okrutnego czynu: rozbił swą duszę, wrywając ludzką część, zostawiając diabelstwo, które poświęcił Satanaełowi. Rozbił swą duszę, tak samo jak uczynił to mnie z pomocą swoich trupich braciszków. Człowieczeństwo Czarnego Mnicha jest w tobie... Albo gdzieś obok ciebie... Bo żadna istota na tym świecie nie ma tyle mocy, by zabić duszę. Może zabić ciało, ale nie duszę. Może ją jedynie roztrzaskać, rozedrzeć na strzępy. Dlatego też Czarny Mnich ukrył swoje człowieczeństwo w tobie, górskiej wiwernie z Troodos. Dlaczego w tobie, a nie w płochym króliku? Gdyby królika rozszarpał jastrząb, ta część jego duszy odeszłaby na zawsze, znikła, może nawet umarła, czyli spełniłoby się jego marzenie o tym, czego sam nie był w stanie dokonać. A może jednak nie był tak do końca przeświadczony, że powinien spalić za sobą wszystkie mosty?

–Łańcuch – powiedziała niespodziewanie wojowniczką.

–Co?

–Jego rozbita dusza jest moim łańcuchem. Jestem nim przykuta do skały i nie mogę się uwolnić. Nie potrafię go rozerwać, niewoli mnie i trzyma w tym jednym miejscu na szczycie góry.

–Łańcuch... – szepnął Belzebub. To niezbyt pasowało do tego, co opowiadał mu eremita w czerwonej riasie, nie pokrywało się też z jego własnymi doświadczeniami.

–Mija już dwudziesty miesiąc, odkąd nie mogłam rozprostować skrzydeł ponad szczytami... Już prawie nie pamiętam, cóż to znaczy unosić się nad chmurami, pod samym słońcem, patrząc z wysokości na góry, cyprysowe lasy, ludzkie wioski... Jego dusza, jak mówisz, spętała mnie w mej jaskini niczym w najgłębszym lochu skazańców. Ale z jakiej przyczyny to zrobił, po co...

Z jej twarzy znikł grymas wściekłości, w oczach wojowniczkę załśniły smutek i tęsknota.

–Pewnej ciemnej, bezksiężycowej nocy góra, na której właśnie stoisz, zadrżała, a moją jaskinię wypełnił łoskot i ogień. Poczułam oparzenie na karku. Ból był tak silny, że straciłam świadomość. Przebudziłam się, gdy wokół panowała już cisza. Z łańcuchem na szyi. Do dziś nie wiedziałam, czyja to sprawa, kto mi to uczynił i dlaczego...

Zadrżała, gdy czekan Kaliksta przeciął ze świstem powietrze tuż nad jej głową.

–To teraz już wiesz. A ja przyszedłem, żeby to zakończyć. Przetnę łańcuch i uwolnię cię od strzępów duszy Czarnego Mnicha.

Popatrzyła na niego bez nadziei. Złożyła usta w dzióbek, po czym odwróciła się i wskazała kłębowisko pogiętych przez wiatr krzewów.

–Idź tą drogą, nie zbaczając z niej, aż dojdiesz do mej jaskini. Tam będę na ciebie czekać.

Karłowate krzaczki jak na komendę przechyliły się, odsłaniając wąską, krętą ścieżynę prowadzącą w górę zbocza. Belzebub ruszył nią, lecz po chwili coś sobie przypomniał. Przystanął.

–Jednego nie rozumiem. Kiedy... – zaczął, jednak gdy spojrzął za

siebie, skośnookiej już nie było.

Rozdział 20

Słodki smród gnijącej padliny odebrał mu dech, jakby wielka pięść łomotała go pod żebra. W ustach poczuł gorzki posmak, tym mocniejszy, im bardziej próbował połknąć go wraz ze śliną. Stał oparty o skałę, zgięty wpół, czekając, aż pulsowanie żołądka ustanie, a sprzed oczu znikną różnobarwne drobinki.

Wreszcie przemógł się i ruszył ku wejściu do jaskini. Stopy zachręściły na stercie połamanych zwierzęcych kości oblepionych strzępami mięsa, zjełczanego tłuszczu i płatami porozrywanej skóry.

Tylko tak mogę zaspokoić głód – postanowił w myślach. – Łańcuch trzyma mnie na uwiecznej, więc jak mam polować? Przywabiam siłą woli zwierzęta, które znajdują się w pobliżu przełęczy. Drobne gryzonie, węże, żaby, przelatujące nad górami ptaki... Większych zwierząt nie uświadczysz. Tylko raz zbłąkała się tu kozica... Kiedyś wzgardziłabym takim pokarmem, dziś tylko te stworzenia utrzymują mnie przy życiu. Wypluwam ich szczątki jak najdalej od legowiska. Przez miesiące moja jaskinia stała się cmentarzyskiem, a musisz wiedzieć, że ten fetor jest dla mnie równie bolesny, jak dla ciebie.

Kalikst nic nie powiedział. Wstrzymując dech, przebrnął przez stertę odpadków. Ogarnął go półmrok i dopiero po kilkunastu oddechach zaczął cokolwiek dostrzegać w ciemności.

W głębi zamajaczyły coraz bardziej wyraźne kształty. Długa szyja połyskująca w półmroku równym rzędem łusek. Na niej osadzony był płaski łeb jaszczurki, wielkiej jaszczurki, która jednym kłapnięciem szczęki mogłaby połknąć cielę. Gdy jego oczy na dobre przywykły do cienia, dostrzegł parę mocno umięśnionych nóg, które podtrzymywały wychudłe ciało osłonięte zwisającymi smętnie skrzydłami. Skóra wiwerny była niczym smoła, na jej powierzchni odbijały się niewyraźnym blaskiem promienie słońca przemykające do wnętrza jaskini.

Otworzył usta, by wypowiedzieć słowa powitania, wtedy jednak

ujrzał coś, co odebrało mu pewność siebie. Ogon, długi i giętki niczym wąż, zawisł na wyciągnięciu ramienia od jego twarzy. Mimo smrodu zwierzęcych trucheł wyraźnie poczuł siarkowy zapach trucizny, skroplonej na kolcu o kształcie puginału.

Wiwerna z hałasem wypuściła przez nos powietrze, wzniecając chmurę pyłu. Załomotała ciężkimi łapami i powiedziała do Belzebuba w myślach:

Jeżeli przybywasz tylko po to, by zdobyć truciznę z mojego ogona, dam ci ją natychmiast. Nim zdążysz mrugnąć, wbiję ci kolec w oko. Nim zdążysz poczuć ból, jad sparaliżuje twe członki i oślepniesz. Nim zdążysz otworzyć usta do krzyku, twoja dusza opuści ciało.

Zaniemówił. Choć przeżył takie rzeczy, które niejednego przemieniłyby w bełkoczącego szaleńca, dopiero teraz poczuł, czym jest prawdziwy strach. Zdrętwiały mu nogi, a w kolanach poczuł dziwną miękkość. O wiwernach słyszał niejedną pijacką opowieść, gdy upojeni winem oberwańcy przechwalali się w karczmach swoimi przygodami z dzikich krain. Kwitował to kpiącym śmiechem, myśląc: Ubił wieśniak grabiami wyrosniętą jaszczurkę i teraz bajdurzy. Inni przytaczali także legendy o smokach – wielkich jak domy, plujących ogniem. Nie wierzył w te bajdy, spodziewając się, że gdyby przyszło mu walczyć, wiwerna z gór Troodos nie sprawi większego problemu niż stado wściekłych kundli buszujących w śmietniku na tyłach portowego targu. Jednak w lśniącej czerni kolcu zwisającym nad jego głową dojrzał coś więcej niż tylko śmierć...

–Nie... – wymamrotał. – Nie przybyłem, by cię skrzywdzić. Przecież rzekłem. Prawdę powiedziałem. Zabierz to ode mnie! – Po chwili zastanowienia wydusił jeszcze jedno słowo: – Proszę...

Bestia posłuchała. Cofnęła się krok w tył, opierając ogon na rumowisku drobnych kamieni wyścielających jaskinię. Jej skrzydła płasko przylgły do łuskowatego ciała. Kalikst nie potrafił powstrzymać głośnego oddechu ulgi.

–Ty naprawdę istniejesz... – mruknął, przetykając ślinę. – A

myślałem, że to jeno kolejna iluzja. Że to miraż i sen na jawie... Że będziesz jak ta wojownicza ze skośnymi oczami, kolejna zjawa, która znika prędzej, niż zdążyłbym mrugnąć...

Z nozdrzy wiwerny wydobył się obłok siarkowego oddechu.

Wiele jest jeszcze rzeczy, których rasa ludzka nie objęła swym wzrokiem, słuchem ani umysłem. Wybacz jednak, że nie będę opisywać ci całej złożoności świata i odkrywać przed tobą jego kolejnych tajemnic. Zrób to, co obiecałeś. Przetnij mój łańcuch i uwolnij mnie.

Belzebub mocniej ścisnął rękojeść czekana i postąpił trzy kroki naprzód.

* * *

Józef Tarchaneiotos rozwinął na stole mapę. Przez dwie klepsydry wpatrywał się w linie wykreślone na planie, kiwając z zadowoleniem głową. Wreszcie podniósł wzrok i gestem zaprosił basileusa.

–Panie, zechciej spojrzeć. Naniósłem na papier linie wyznaczające nasze ostatnie sukcesy. Seldżycy nie będą długo się opierać. Jutro, jak Bóg da, zdobędziemy Baalbek. Gibelet, Bejrut, Sydon nasze. Plugawi wyznawcy Mahometa nie mają już żadnej twierdzy aż do Damaszku. Twój szpieg donoszą, panie, że nasi sprzymierzeńcy Fatymidzi są bliscy zdobycia Hebronu. Kleszcze wokół Seldżuka zaciskają się.

Roman Diogenes w milczeniu pokiwał głową, muskając opuszkami palców granice nowych ziem cesarstwa, jednak zmarszczył czoło, gdy spojrzał niżej, na Palestynę.

–Nasi egipscy przyjaciele dopiero oblegają Hebron? To nie zaszli daleko przez te miesiące. Kalif gra na zwłokę, szczędzi żołnierzy...
– Cesarz sięgnął po chleb i kilka oliwek. Przekąsił i odruchowo wyciągnął rękę w stronę kielicha. Powstrzymał się jednak, widząc, że służba nie doniosła jeszcze napełnionej amfory. – Ale z drugiej strony odwlekanie przez kalifa marszu na Palestynę grozi mu utratą kontroli nad tym krajem. Czy zamierza zdobyć Jerozolimę, czy to również pozostawia nam?

Strateg uderzył palcem w zwoje rozłożone na stole.

–Panie, jakkolwiek by nie było, widać dla nas nową sposobność. Kalif nie kwapi się z wprowadzeniem swoich wojsk do Palestyny, choć nie wiemy, czy ze słabości, czy z rozmysłu. Cokolwiek nie knuje, pozwala nam to z większą śmiałością spojrzeć na przyszłą mapę świata. Jest to mapa, w której Palestyna stanowi część cesarstwa, jak za Justyniana.

–Hm, taką właśnie mapę zawsze chciałem wyrysować – stwierdził z zadowoleniem basileus.

Zaraz inna myśl zaczęła zaprzętać jego uwagę: Boże, przecież to już było! Już te słowa kiedyś wypowiedziałem. Tarchaneiotes, jego mapa, Fatymidzi pod Hebronem... To już było! Ale kiedy?!

–Duszo jest! – rzekł głośno. – Podajcie mi coś do picia!

Po chwili trzymał w dłoniach kielich wypełniony lekko schłodzonym białym winem. Wtedy sobie przypomniał.

To przecież ten obraz pokazał mi Italos w swoich wizjach! Tak, pamiętam dokładnie! Wtedy, w jego ponurej wieży, w Konstantynopolu! Pokazywał mi różne sceny z przyszłości w świetle kolorowych ogników świec... Świec o kształtach demonów. Jednak to było przed moją śmiercią. Skrytobójca z puginałem mierzący w me serce pojawił się w kolejnym obrazie. A więc teraz na odwrót, zmieniłem swe przeznaczenie! A może nie? Może wciąż grozi mi śmierć?

Zapytany o to Jan Italos pokręcił głową z uśmiechem.

–Obrazy nie muszą układać się chronologicznie – tłumaczył. – To strzępy wizji tego, co może być albo będzie wcześniej czy później. Widziałeś dwa obrazy. Jeden się nie spełnił, drugi tak.

–Nie spełnił? – wycedził Diogenes. – Masz na myśli ten z mapą?

Konsul Filozofów jakby zmałał.

–Nie, wiesz dobrze, panie, że mówię o tym z zabójcą. Ten się nie spełnił.

–Czy nie wzniósł na mnie zatrutego ostrza? Czy nie zamierzył się, by przynieść mi śmierć?

–Wzniósł, ale nie opuścił. – Italos niechętnie mówił na ten temat.

Jego fatalna pomyłka i kłamstwo, jakoby basiliskos rozszarpał spiskowca, wciąż były powodem przytyków władcy. Cesarz nie marnował żadnej okazji, by wypomnieć mu błędy. Kto wie, może cierpliwość Romana IV wyczerpie się i jednak po czasie uzna, że między złą radą a spiskiem niewielka różnica?

–Zebraliśmy już wszystkie kamyczki tworzące tę mozaikę magii, przeznaczenia i spełnienia – powiedział z emfazą mędrzec, by odwrócić uwagę basileusa. – Już wiemy, że niebezpieczeństwo minęło, a ty, panie, jesteś na najlepszej drodze do zwycięstwa! Jutro zdobędziesz Baalbek, a już wkrótce zapanujesz nad całą Palestyną. Fatymidzi ustępują pola, co daje ci boskie prawo, by zająć te ziemie i uczynić Jerozolimę stolicą nowej prowincji cesarstwa. To będzie cesarstwo jak za Justyniana... Roman Diogenes nie dał się zwieść.

–Ładnie mi tu kadzisz, filozofie. Pamiętam jednak, że w twej samotnej wieży na Saragikos dym z diabelskich świeczek pokazał mi kolejną scenę, w której cesarzem jest Michał Dukas. Nie ja! Więc się pytam: gdzie jest teraz Michał Dukas?! Dlaczego nie mam jego głowy na srebrnej tacy?! Gdzie twoje zuchy, ten kuternoga i dwaj

ryży bracia, którzy mieli wyrównać moje rachunki ze zdrajcami?
Dlaczego jeszcze nie nie słyszę o tragicznej śmierci Dukasów?
Mówże, Italosie!

Konsul Filozofów odwrócił wzrok. Nie znał odpowiedzi na te pytania.

* * *

–Tylko gdzie jest teraz Michał Dukas?... No gdzie ta menda w złotej tuniczce przyczaiła dupę?! – grzmiał Nicetas, groźnie machając pochodnią.

Wit Wodnik w odpowiedzi tylko smarknął w palce. Płomienie malowały na jego ryżej gębie pomarańczowe zygzaki.

–A co tam! – burknął Waldemar. – A co tam Dukas! Nie ma go, pewnie kipnął. Zbóje go może napadli albo co. Myśmy swoje zrobili. Chałupę żeśmy splądrowali, nabrali co cenne, resztę spalili...

Płonąca żagiew ciśnięta ręką Nicetasa pociągnęła za sobą sznur iskier i wąski warkocz dymu. Spadła na ostatnią stertę suchego drewna przetkanego sianem. Języki ognia wzbily się ku niebu jak głodne smoki i ogarnęły żarem puste stajnie i pomieszczenia straży.

Posiadłość Dukasów otulały coraz gęstsze kłęby dymu. Płomienie sięgnęły już pierwszego piętra pałacyku, zdobne mozaiki sypały się z głośnym chrzęstem ze ścian jak kamienie w górskiej lawinie.

–Głupie głąby jesteście! – warknął Wielka Pięść. – Nie kumacie, o co się rozchodzi? Teraz jesteśmy jak rozpalona do czerwoności podkowa położona na kowadle. Za to, żeśmy nie ubili po cichu Dukasów, basileus każe ubić nas, bo wiemy za dużo. A Dukasy, jak

się zwiedzą, kto im na chałupę czerwonego kura puścił, też nam nie darują. Teraz chcą nas wydymać od tyłu i od przodu.

Smagnął konie ciągnące rydwan. Dwukółka aż po same brzegi wyładowana była złożonymi świecznikami, srebrnymi kielichami i talerzami, ozdobnymi mieczami i tarczami nabijanymi szmaragdami, rubinami i pokrytymi macią perłową. Wszystko to spoczywało zawinięte we wzorzyste jedwabie. Tyle udało im się wynieść.

–Głupoty gadasz! – skwitował Wodnik. – Myślisz, że rzeź Dukasów uszłaby nam na sucho? Basileus puściłby za nami swoich zbrojnych, a później dał katu. Oto mordercy mojego przyjaciela Michała Dukasa – tak by nawijał, patrząc, jak mistrz ostrzy na nas swój miecz. Poświęcili nas na żer, rzucili jak mięso lwom. Co nie zrobimy, i tak jesteśmy w rzyzi. Więc lepiej chodu stąd! Opylimy fanty, gdzie się tylko da, a potem do Konstantynopola! Tam się schowany, może przeżyjemy...

Głośnie siorbanie było znakiem, że w ostatnim dzbanie wina z piwniczki Dukasów widać już dno. Nicetas cisnął puste naczynie na trakt. Pękło z głośnym brzękiem.

–Wiesz co, ziomek? Ty masz chyba rację. Utrudziliśmy się, a dupa i tak z tyłu... Pany tylko łąją i nas motają w swoje sprawki. Więc noga stąd i tyle nas widzieli...

* * *

Czekan wypadł mu z dłoni.

–Gamoto... – mruknął, patrząc na smukłą szyję wiwerny.

Tnij! Czemu zwlekasz? Uwolnij mnie wreszcie! – usłyszał w myślach niecierpliwe nalegania skrzydlatej gadziny.

Podniósł toporek i wcisnął go za pas. Zachichotał i pokręcił z niedowierzaniem głową. To tylko rozzłościło bestię. Uniosła skrzydła i jęła nimi wachlować, wznosząc z dna jaskini chmurę szarego pyłu, aż Kalikst zatrząsał się od kaszlu i skrył głowę w ramionach.

Nie zwlekaj, bo to kres mej cierpliwości! Czego rzysz jak osioł?!
Chwytaj ostrze i tnij!

–Nie ma czego – wykrztusił, walcząc z kurzem w płucach. – Ty nie masz żadnego łańcucha. Na twojej szyi nie ma ani kawałka stali. Nie ma nic, co można przeciąć moim czekaniem.

Łżesz! Przecież czuję ucisk żelaznych pierścieni! Obcierają mnie do krwi i pętają moje ruchy! Nie mogę opuścić jaskini ani wzbić się ku niebu, by z góry patrzeć na świat, jak zawsze to czyniłam! Już!
Bierz się do roboty!

Pokręcił głową. Jak jej to wytłumaczyć? Nie chce słuchać, nie chce słyszeć.

–Czy ty masz jakieś imię? – zapytał, uświadamiając sobie, że w myślach nazywa ją jaszczurkę.

To jeszcze bardziej rozsierdziło wiwernę. Zaczęła mocniej machać skrzydłami.

Za kogo ty się masz?! – usłyszał w myślach jej ryk. – Chcesz znać moje imię? Niedoczekanie! Nie wiesz, że imię wiwerny może poznać tylko ktoś naprawdę wyjątkowy? To nie jest wiedza przeznaczona dla pierwszego z brzegu pętaczyny! To jest wiedza, którą mogę zdobyć jedynie wybrańcy! Ty, kpiąc ze mnie, tylko potwierdzasz, że jesteś ludzkim robakiem, który nie zasługuje na taki zaszczyt!

–Gamo... – stęknął. – Chciałem tylko wiedzieć, jak do ciebie gadać.

No wiesz, coby wygodniej było niż jaszczurka. Ale skoro ty wolisz jaszczurka albo gadzina, to dobrze.

Precz stąd, człowiecza gnido!

–Gnido? To wiwerny też mają problemy z gnidami? Ha, ha! Gdzie wam się lęgną?

Wyszarpnął zza pasa toporek, uniósł go znacząco nad głowę i warknął:

–A teraz posłuchaj, skrzydlata jaszczurko! Powtórzę po raz kolejny wolno, głośno i wyraźnie, żebyś dokładnie zrozumiała każde moje słowo! Na twojej szyi nie ma żadnego łańcucha! Nie widzę go, nie słyszę, ale jeżeli pozwolisz mi podejść bliżej, to powiem ci, czy czuję go pod palcami. Ale coś mi mówi, że nic z tego...

Wiwerna zamilkła i znieruchomiła. Wreszcie rzekła w myślach:

Może jest niewidzialny i niewyczuwalny?... Ale jest.

–Być może... Ale w takim razie mój czekan niewiele tutaj zdoła. Podług mnie, ten łańcuch, dusza Czarnego Mnicha, niewoli cię tylko w twoim umyśle. Nie istnieje tak naprawdę... I tyle.

Słyszając to, skrzydlata pani gór Troodos pozwoliła dokonać ostatniej próby. Belzebub przesunął ręką po jej szyi – była szorstka i sucha w dotyku – jednak nie natrafił na nic, co mogłoby krępować jej ruchy. Później usiadł na kamieniach przed wejściem do jaskini i sącząc powoli wodę z bukłaka, pozwolił wiwernie oswoić się z tą prawdą.

No cóż, jaszczurko – myślał z mściwą satysfakcją, ale też ze smutkiem. – Dałaś się omamić cwanemu szarlatanowi, jesteś w jego niewoli spętana jak baran niesiony do rzeźnika, tyle że magię. A i ja siedzę po szyję w gównie, bo jak się z tego wyplątać?!

Spojrzał przez ramię na gadzinę. Znieruchomiła, tkwiąc nieporuszenie niczym kamienna figura w cesarskim ogrodzie w

Konstantynopolu. Nie spodziewał się, by istniał jakiś sposób na jej uwolnienie – skrzydlata pani gór, mimo ciała bestii, każdym swym zdaniem i gestem ujawniała, że jest stworzeniem o kruchej konstrukcji duchowej i bynajmniej nie ma w sobie odpowiedniej siły, by stanąć przeciw Czernemu Mnichowi. Widać jego rozbita dusza odebrała drapieżnej wiwernie prawdziwą naturę, zabiła w niej dzikie zwierzę i zamieniła w wątpliwego wyznawcę chrześcijańskiej herezji.

Gdy tak patrzył na bezsilną bestię, przyszedł mu do głowy nowy pomysł.

–Te... Jaszczurka... – zaczął. – A spróbuj ty naprężyć ten swój łańcuch nie-łańcuch najmocniej jak się da. Znaczy pokaż, ile możesz przejść i kiedy cię zatrzyma.

Długo nie reagowała na te słowa, więc dodał złośliwie:

–A może ty tak wolisz? Mieć łańcuch, być w niewoli, mieć swojego pana, który wydaje rozkazy... Ludzie gadają, że wiwerny to dumne drapieżniki, a to bardziej potulne niż owca...

Nie trudź się... Nie złapiesz mnie na tak marną przynętę. Myślisz, że jak człowiek jestem próżna, głupia i oczekuję poklasku? Mylisz się. Wiem, kim jestem, znam swoją wartość i nie muszę szukać jej potwierdzenia w oczach człowieka. Wiem, że mogłabym oderwać ci łeb jednym kłapnięciem szczęki, rozedrzeć cię na pół jednym pociągnięciem pazura... Więc zamilcz, jeżeli nie masz nic do powiedzenia.

Wstał i znów pochwycił swój czekan.

–To jak mam cię zmusić? Jak mam cię zmusić do tego, żebyś ruszyła dupsko z tej sterty cuchnącego ścierwa i chociaż spróbowała wyrwać się z plugawych łap szarlatana?! Prośby, groźby, nic nie pomaga, więc widocznie to kochasz! Mam to gdzieś, nie dbam o ciebie, ale muszę uwolnić z twego ciała strzęp duszy tej kanalii, bo tylko tak mogę go pokonać! Inaczej pozostanie zbyt silny w swej nienawiści, nie ugnie się, nie zawaha, choćby na pół

oddechu. Oddając mu część jego duszy, uczynię go na nowo zbłąkanym eremitą i nikiem więcej. A ty mi w tym przeszkadzasz!

Wiwerna nie czekała, aż skończy. Rzuciła się w przód z dzikim blaskiem w oczach, z niskim gulgotem wyryczanym z głębi płuc. Rozpostarła skrzydła, rozcapierzyła palce, błyskając pazurami.

Przeleciała nad stertą kości i gnijącego mięsa. Już zdawało się, że pomknie z wiatrem między chmury, gdy nagle niewidzialny łańcuch szarpnął ją w tył. Szyja wiwerny wygięła się ku wnętrzu pieczary, za nią poleciała reszta cielska. Czarnoskóra gadzina zatoczyła wielkie koło w powietrzu, waląc łbem o sklepienie jaskini, i padła między gnijące truchła. Spazmatycznie łapała powietrze.

–Czyli jednak coś cię trzyma – mruknął Belzebub. – Ale mój czekan na to zmartwienie nie pomoże. Tu by trzeba magii albo egzorcyzmu.

Może wezwać czerwonego eremitę? – pomyślał, jednak zaraz się zreflektował. – Przecież starzec dlatego wysłał mnie, żebym to ja się z tym uporał. Jak on to gadał?»Kiedy zawiedzie cię twoje ostrze, użyj tego, czego nikt ci nie odbierze«. Czyli czego nikt mi nie odbierze? Ha, sprytu! Tak gadał stary, ale co właściwie...

–Chyba wiem, co powinienem zrobić... – mruknął. Nie czekając, aż wiwerna wyjdzie z oszołomienia, ścisnął mocniej rękojeść czekanu i skoczył w głąb jaskini.

Ciął z całej siły w koniec ogona gadziny. Odrąbany kolec zatoczył w powietrzu łuk, tryskając na boki jadem. Unoszący się w grocie smród zgnilizny przytłumiła intensywna woń siarki kręcąca w nosie i wyciskająca łzy z oczu.

Kalikst nie czekał, co będzie dalej. Pognał do wyjścia, a potem zaczął uciekać w dół zbocza. Byle dalej od okaleczonej pani gór Troodos.

Gonił go ryk wściekłości wiwerny. Jaskinia wręcz eksplodowała jej furją. Brzmiało to tak, jakby śpiąca od wieków góra ocknęła się w

bólu i zawyła basowo, strząsając ze szczytu lawinę kamieni i pyłu.

Rwał więc w dół ile sił w nogach, czując drgania spadających głazów. Wizg rozsierdzonej bestii świdrował w uszach, wkręcał się głęboko pod czaszkę. Hałas był tak dotkliwy, że na kilka chwil Kalikst stracił poczucie przestrzeni i czasu.

Padł na ziemię, trąc łokciami o kamienie. Szybko jednak skoczył na nogi i pędził dalej, nie czując bólu poharatanych przedramion. Nad głową przelatywały mu spadające odłamki skał. Gałęzie cyprysów i suche trawy chwyciły go za kolana, jakby całe góry Troodos stanęły przeciw niemu w obronie swej skrzydlatej pani.

Nagle szczyt zatrzęsł się drugi raz, a Kalikst poczuł na plecach gorący podmuch, jakby gdzieś tam w zakamarkach jaskini wybuchł tajny skład igró pyr, największy wojenny zapas ognia greckiego. Belzebub runął na ziemię, waląc twarzą w ubity piach i kamienie. Głową wyrznął w skałę.

Leżał nieprzytomny jakieś dwa kwadranse. Najpierw poczuł rozsadzający czaszkę ból głowy, później pieczenie otartej skóry. Z wysiłkiem otworzył oczy.

Światło słońca przysłoniły mu szerokie skrzydła wiwerny. Gadzina falowała w powietrzu niepewnie jak ptak, który dopiero wyfrunął z rodzinnego gniazda. Wygięła szyję ku dołowi, chroniąc oczy przed nadmiarem jasności bijącej z nieba.

Sycząc z bólu, przetoczył się na bok i uniósł w górę czekan gotów do wałki na śmierć i życie.

Czekał na cios pazurów bestii. Zamiast tego usłyszał w myślach:

Zerwałam gol Zerwałam łańcuch! To dzięki tobie!

Spojrzał na nią oszołomiony. Nie wierzył, by wszystko mogło pójść aż tak łatwo. To na pewno podstęp jaszczurki! Zaraz skoczy na niego i rozszarpie!

Jestem wolna! Dusza mego prześladowcy opuściła mnie, czuję to, czuję się jak dawniej! Koniec niewoli!

Zatrzepotała mocno skrzydłami i wzniosła się ponad szczyt góry. Kalikst patrzył, jak mknie niczym jastrzęb, rozbijając kłębki chmur na niebie. Jej ruchy nabierały coraz większej gracji, szyja wyciągnęła się ku słońcu, ogon sterczał sztywno niczym włócznia jeźdźca klibanophoroi. Na dłuższą chwilę znikła mu z oczu, więc wstał i otrzepał ubranie z kurzu. Dopiero teraz dostrzegł rozległe rany i obtarcia na swoim ciele.

Usiadł w cieniu i wysiorbał ostatnie krople wody z bukłaka. Wtedy wiwerna powróciła. Wisząc kilka stóp nad głową Belzebuba, pomyślała do niego:

Uwolniła mnie wściekłość i ból, które we mnie wzbudziłeś. Tak, moją pierwszą myślą było zabić ciebie. Rozszarpać za kłamstwo, za to, że przyszedłeś tylko po jad z mojego ogona. Ale ty przecież nawet nie spojrzales na odcięty kolec, chociaż miałeś czas, by go pochwycić. Gdy uderzyło we mnie ostre światło słońca, gdy poczułam, że nie mam już nad sobą wilgotnego sklepienia jaskini, tylko niebo i pierzaste chmury, zrozumiałam. Widzę to teraz w twojej duszy, widzę twój strach i obawy. Nie ma w tobie złych myśli, nie chcesz mnie oszukać.

–To dobrze – wychrypiał, starając się zapomnieć o bólu. – Dobrze, że widzisz. Bo inaczej... Byłaby całkowicie niepotrzebna bijatyka. Życia bym łatwo nie oddał... No a jak tam twój ogon?

Rana się zasklepi, a kolec odrośnie, jak odrastają pazury starte o kamienie. Przez najbliższe tygodnie, może miesiące, nie będę miała jadu, ale wciąż potrafię polować na inne sposoby.

Odwróciła szyję w stronę jaskini. Wpatrywała się długo w mroczne wnętrze.

Przez lata to było moje gniazdo... Później już tylko więzienie. Już tam nie wrócę. Poszukam innego miejsca. Gdzieś tu, w górach Troodos. Są jeszcze inne groty.

Kalikst przetarł resztką wody największą ranę na łokciu.

–Nie tak szybko, moja pani! – powiedział. – Potem sobie uwijesz nowe gniazdko! Teraz czeka nas ostatnie zadanie!

Ostatnie zadanie?!

–Zabić Czarnego Mnicha!

Zemsta! Ach, słodka zemsta!

Zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

–Gamoto! – zaklął. – Nie chodzi tylko o zemstę. Szarlatana trzeba powstrzymać raz na zawsze. Żeby już nigdy nikomu nie odebrał duszy.

Czego ode mnie oczekujesz w takim razie?

–Wiesz, którądy lecieć do Kapadocji?

Kraina na północy, za morzem? Wiem...

–To błatnie! A uniesiesz mnie na grzbiecie?

* * *

Uniosła, choć nie było to takie proste. Wiwerna miała dosyć siły, by lecieć z człowiekiem usadowionym między skrzydłami niczym Bellerofont na grzbiecie pegaza, jednak szybko okazało się, że potrzebna będzie uprząż. Po pierwszym, krótkim locie Kalikst padł obolały na ziemię.

–Nie utrzymam się – jęknął. – Tam w górze wieje bardziej niż na morzu podczas sztormu. Jak będę cię trzymał za szyję, to spadnę, zanim opuścimy góry. Lećmy do starca, on coś poradzi.

Eremita na ich widok nie okazał najmniejszego zdziwienia. Najpierw opatrzył rany Belzebuba, kładąc na nie ciepłą papkę z ziół. Ból szybko przeszedł.

Później samotny mnich pokazał uprząż, którą zszył z pasów baraniej skóry. Zapiął ją na szyi i grzbiecie wiwerny.

–Ejże, to mi wygląda na robotę na miarę! – zdziwił się Belzebub. – Pasuje blacie, jakbyś wcześniej wiedział, co i jak dziargać!

–Może tak było – szepnął tajemniczo eremita i były to jedyne słowa, jakie wypowiedział tego dnia.

Zabrawszy zapasy, Kalikst wskoczył na grzbiet wiwerny. Wsunął nogi w skórzane obejmy, zacisnął pas trzymający go na kłębie gadziny i oparł na nim dłonie.

–Jak to? A gdzie jakieś cugle? A jak mam prowadzić?

Ha, ha, dobrze uczynił twój stary przyjaciel! Ty jesteś ładunkiem, a nie jeźdźcem. To ja decyduję, którądy lecimy.

–Mam nadzieję, że się nie spłoszysz i nie poniesiesz – mruknął z przekąsem Belzebub, machając na pożegnanie mędrcom w czerwonej riasie.

Wkrótce mknęli już pośród chmur wysoko nad górami Troodos. W ślad za nimi w bezpiecznej odległości sunął na szeroko rozłożonych skrzydłach jastrzęb.

Rozdział 21

–Przeklęte miejsce!... – krzyknął, starając się przebić słowami przez wiatr. – To tutaj! Ląduj!

Wiwerna zatoczyła krąg nad wąwozem i zniżyła lot. Belzebub patrzył na zdobne galeryjki monasteru, na trupa bramę z zaschniętymi ciałami nieszczęśników zwiedzionych mirażem wielkich skarbów i mełł w ustach najplugawsze przekleństwa. Odruchowo ścisnął uprząż i wierzgnął piętami.

Nie jestem koniem – usłyszał w myślach. – Nie poganiaj mnie, bo cię zrzucę razem z twoim siodłem. I trzymaj się mocno, bo schodzę na dno tego jaru. Niewiele tam miejsca, więc będzie ostro.

Zaczęła pikować w dół jak drapieżny ptak polujący na mysz skrytą w polnej trawie. Kalikst odruchowo zamknął oczy i przylgnął do grzbietu wiwerny, nawet nie kryjąc swojego strachu. Żołądek podszedł mu do gardła, w uszach poczuł dudnienie. Nim zrozumiał, co się dzieje, skrzydlata gadzina z impetem osiadła na dnie wąwozu. Czując ziemię pod stopami, odetchnął.

W pustym wąwozie smętnie zawodził wiatr. Drożynę prowadzącą przez jar do monasteru pokrywała gruba warstwa pyłu naniesionego z okolicznych wzgórz. Tak jakby od wielu dni nikt tędy nie chodził.

Belzebub ostrożnie, zerkając na boki, postąpił kilka kroków w stronę wejścia do upiornej świątyni. Ścisnął mocniej rękojeść toporka, spodziewając się zasadzki truposzów.

–Nie ma ich – mruknął zdziwiony. – Nawet nie czuć ich smrodu. Jeżeli się zaczęli, to nie tu. Idę do środka. A ty?

Ja się przecież nie zmieszczę... Te krecie korytarze to nie dla mnie.

–Nie ma z ciebie żadnego pożytku, jaszczurko. Ale na szczęście mam jeszcze jednego pomocnika.

Przywołał jastrzębia dotąd spokojnie szybującego ponad kapeluszowatymi skalami Kapadocji. Ptak nadleciał z dzikim wrzaskiem. Tak jak wiwerna nie przejawiał chęci, by zagłębiać się w zakamarki monasteru.

–Wiem, wiem – szepnął do niego Kalikst. – Gdybyśmy nie musieli, nikt z nas by tam nie włąził. To przeklęte miejsce, pełne śmierci i cierpienia. Ale tylko ty możesz nas ostrzec przed pułapką.

–Kjeek-kjeek-kjeek! – odpowiedział mu skrzydlaty drapieźnik i pomknął w górę ponad fasadę monastyru. Omijając skalne występy, wzleciał nad wewnętrzny dziedziniec z czterech stron otoczony wybitymi w tufie galeryjkami.

Wewnątrz również zalegał kurz – co Belzebub widział oczami ptaka – jakby satanaelską świątynię opuścili wszyscy upiorni wyznawcy wraz ze swoim mistrzem. Jastrząb pokazał Kalikstowi kolejne zakamarki monastyru: schody prowadzące do sali modlitewnej ze świetlikiem wybitym w suficie, a także szerokie przejście do podziemi. Na widok tego miejsca Belzebub zadrżał. Wspomnienia były zbyt żywe: to przecież tam pojмали go zakonnicy-umarłacy i powlekli do klatki zawieszanej nad kamienną przepaścią. Jednak teraz korytarze plugawej świątyni ziały pustką.

–Wchodzę, widzę, że tu nikogo! – zawyrokował Kalikst. – Pochowały się satanaelskie ścierwa, muszą być niżej, w podziemiach. Tam jastrząb już nie wleci.

Skoro tak... to ja cię nie zatrzymuję. Zaczekam tutaj.

Ogarnięty półmrokiem korytarz wypełniała zawiesina kurzu. Stąpając, wzbijał kolejne kłębuszki pyłu igrające z wąskimi promieniami słońca, które przenikały przez wybite w skale otwory okienne. Z początku co chwilę zerkał na boki, oczekując niespodziewanego ataku, jednak wkrótce całe napięcie uszło zeń jak woda z dziurawego bukłaka. Kołatanie serca ustało, jakiś głos podpowiadał, że nic mu nie grozi, że to on jest panem sytuacji i kto inny powinien czuć strach.

Tak, bez wątpienia wiele zmieniło się, od czasu gdy widział to miejsce ostatnim razem.

–Gdzie jesteś, koproskilo, heretycki psie? – zapytał donośnie, lecz odpowiedziało mu jeno echo obijające się o białoszare ściany. –

Ha, ha, dałeś nogę jak ostatnia ciura, pękasz jak arbuz u Bułgara na targu. Mam cię, łajzo!

Wtedy naszła go myśl o Zoe. Jeżeli starzec z Cypru nie mylił się ani nie łągał, dziewczyna musiała być gdzieś tuż. Może w tej komnacie? Może w tamtej? Gdzie?! Tu nie! Tam? Rzucił się pędem, jak oszalały zaglądając do kolejnych pomieszczeń, jednak nie znalazł nic poza stertami zetłanych szmat, ludzkimi czaszkami, piszczelami...

–Truposzkowie... Braciszkwie-truposzkowie leżą już jak na truchła przystało – mruknął.

Narastała w nim euforia. Upiorny klasztor stracił swą diabelską aurę, był tylko cmentarzyskiem. Zniknął nawet wszechobecny dotąd smród gnijącej śmierci, rozkładu... Wszędzie jeno kurz, starość... Bagienny fetor uleciał wyprażony przez słońce, zasypany przez tufowy kurz.

Wbiegł po schodkach na pierwszą galeryjkę monastynu, później na drugą i jeszcze wyżej, aż zobaczył korytarz prowadzący w głąb opuszczonego eremu. Idąc nim, dotarł do wewnętrznego dziedzińca otoczonego z czterech stron misternie rzeźbionymi krużgankami. Pomiędzy nimi na samym środku placu ujrzął wiwernę.

–A ty tu czego, jaszczurko? – burknął zdziwiony.

Pomyślałam, że jednak nie mogę cię zostawić samego. Tyle opowiadałeś o tych strupieszalnych zakonnikach i o innych niebezpieczeństwach czyhających na ciebie w tych labiryntach... To mi przypomniało, po co tu jestem. Chcę poznać słodki smak zemsty. Nic więcej.

–Błatnie! Ale jakżeś tu wleciała? Tam na górze przecie jest wąsko, skały sterczą jak miecze tureckiej piechoty.

Wiwerna prychnęła głośno, wzbijając z kamiennych płyt dziedzińca kłęby kurzu. Zatrzepotała skrzydłami i uniosła ogon zagięty na końcu niczym harpun.

Przecież jestem jaszczurką, jak sam powiadasz! Widziałeś gdzieś jaszczurkę zaklinowaną między skałami?

–Nooo... W sumie dobrze nawijasz. Nie widziałem. No to za mną!

Gadzina złożyła skrzydła, przyciskając je płasko do grzbietu. Wyciągnęła szyję, a jej ogon wił się z tyłu niczym wąż. Zaiste, przypominała jedno z tych małych, zwinnych zwierzątek o zielonej, czarnej lub szarej skórze, które na widok człowieka umykają z kamieni.

Kalikst i jego towarzyszka dotarli do ostatniego rozwidlenia. Stąd prowadziły dwie drogi. Na górę, gdzie zapewne znajdowały się komnaty odrażających braciszków, oraz w dół, do kazamat, lochów i mrocznych jaskiń. Belzebub wspomniał słowa mnicha w czerwonej riasie. Według starca, na najwyższej kondygnacji monastynu powinna być niewielka sala modlitewna z przylegającą doń biblioteką. Tam też należało szukać plugawej Czarnej Ikony. Co znajdowało się w kazamatach, Kalikst dobrze wiedział. Nie wahał się długo – gdzieś na dole musiała być Zoe. Czy jeszcze żyła? Czy mroczny czciciel Satanaela nie uczynił jej krzywdy?

W podziemnych korytarzach panowała cisza.

–Nie podoba mi się to – mruknął. – Jaszczurko, słyszysz coś, czego nie chwytam uszami? Czujesz coś? Zapach? Czyjeś kroki?

Mrghh.

–Co?

Mrghh, nie jaszczurka. To moje imię.

–Święty Mikołaju, patronie złodziei! A cóż to za imię? Jak to wymówić?

Tak jak słyszysz: Mrghh.

–Mrghh... – spróbował.

Ooo, tak! I nie mów już do mnie jaszczurko.

–Czyli już stałem się dla ciebie kimś naprawdę wyjątkowym, jak to rzekłaś? I już ujawniłaś mi swe imię?

Nie. Dalej uważam cię za pętaka. Ale znudziło mnie to twoje»jaszczurko to, jaszczurko tamto«...

Zdało mu się, że w jej myślach słyszy wyraźną kpinę, jakby brała odwet za te jego drobne złościwostki.

–Mmm... Mrghh... – powtórzył jednak, nie okazując złości. – Co to w ogóle znaczy? W jakim to języku?

Aż tak dobrze jeszcze się nie poznaliśmy. Znaczenie imienia wiwerny mogą poznać szczególnie wyjątkowi ludzie, rzekłabym nawet: wybrańcy, którzy przychodzą na świat raz na sto lat.

Machnął tylko na to ręką.

–Niech ci będzie... Mrghh... Słyszysz jakieś głosy?

Nic. Cicho tu jak w zapomnianym grobowcu. Tylko kamienie, zetlałe kości i zatęchłe powietrze. Nic więcej.

–Jakże to? Co ty gadasz? A Zoe?

Przerywasz mi. Nie słyszę, ale czuć czuję... jeżeli pójdziemy trzecim tunelem na lewo, a później cały czas w dół, to...

Przerwała, głośno wypuszczając powietrze przez nos.

–Co? Co tam jest?

On. On tam jest.

–A Zoe? Gdzie jest Zoe?!

Nie czekając na odpowiedź, rzucił się pędem w głąb korytarza.

* * *

Drewniane drzwi zgrzytnęły cicho, z wnętrza buchnęło rozgrzanym i stęchłym powietrzem. Kalikst wkroczył do jaskini, tuż za nim, rozsadzając swym ciałem zbyt wąską futrynę, wparowała wiwerna.

Przywitało ich odległe jęczenie łańcuchów, las rozpalonych pochodni i kręcący w nosie smród. Niewiele się tu zmieniło od zeszłego lata, gdy tkwił w żelaznej klatce zawieszanej nad przepaścią. Choć wewnątrz panowało gorąco, poczuł dreszcze, a w palcach chłód. Ścisnął mocniej swój czekan i powstrzymując oddech, zaczął rozglądać się na boki.

Klatki wisiały teraz niżej, niemal tuż, na wyciągnięcie ręki. Były puste, pokrywał je delikatny nalot rdzy. A może zakrzepłej krwi? Jednak co innego przykuło uwagę Belzebuba. Na końcu skalnego języka otoczonego z trzech stron bezdenną otchłanią, nad kamiennym katafalkiem, gdzie wtedy podobne do psów, wielkie jak woły czarnowłose demony rozszarpały sobowtóra Kaliksta, wisiały trzy wyschnięte ciała. Podeszedł bliżej. Trupy wyglądały jak skórzane worki, puste i zeszywniałe. Belzebub dźgnął najbliższego końcem toporka, by spojrzeć mu w twarz.

To był Andronik Dukas!

Cofnął się zaskoczony, uderzając plecami o łeb wiwerny.

Znasz tego... tego truposza? – zapytała Mrghh. – To jakiś twój... jak ty to mówisz... ziomek?

–Znam... Tego też znam – powiedział, unosząc za włosy łeb drugiego umarlaka. – Bardzo dobrze znam, choć nigdy nie zamieniłem z nimi ani słowa. Ten tutaj to Michał Dukas, zdrajca, który nastawał na życie i tron basileusa Diogenesa. To także jego sprawka, że plugawy mnich zamienił mnie w bezrozumne narzędzie. Ten tu obok to jego młodszy brat, tylko trochę mniej nikczemny. A tamten trzeci to... Jak go tam zwali... Symeon! Symeon Złe Oko. Ciekawe...

Na wysuszonych twarzach Dukasów wciąż malowała się rozpacz i strach. Wisieli nogami do góry, zaś kamienie pod nimi upstrzone były rudymi plamami.

Czarny Mnich spuścił z nich całą krew. Umierali, patrząc, jak powoli ucieka z nich życie...

Poruszone łańcuchy zajęczały cicho, obracając dokoła zbrązowiałe ciała. Kalikst odepchnął zwłoki Michała.

–Naciał im żyły na przegubach i za uszami. Tak się wykrwawili. Wcześniej połamał im kości i powyrywał stawy, więc nie mieli jak nawiać...

Po sklepieniu jaskini rozszedł się szyderczy śmiech.

–Tylko podziwiać! – postłyszał chrapliwy głos. – Tylko podziwiać takie znanstwo i kunszt. Widać, że opryszki w Konstantynopolu posiadały wiedzę, jak finezyjnie zadawać śmierć.

Belzebub nawet nie musiał patrzeć, kto wypowiedział te słowa. Powoli odwrócił się, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Czarny Mnich krył twarz pod kapturem. Kroczył powoli od strony rozbitej futryny, jakby dopiero wszedł do jaskini.

–Gdzie jest Zoe? – wychrypiał Kalikst. – Gdzie ona jest, koproskilo?

–Zoe? Zoe...? – mruzczał w udawanym zastanowieniu Czarny Mnich. – Ach, to małe kurwiątko... Zawiesiłem ją na łańcuchu w

osobnej sali. Zdaje mi się, że jeszcze żyła trzy dni temu... Dynda sobie...

Nie mówi prawdy – pomyślała wiwerna, jednak Belzebub jej nie słuchał. Z wyciem wściekłości skoczył w przód, unosząc nad głowę czekan. Te kilkanaście kroków, jakie dzieliło go od wyznawcy Satanaela, pokonał w ciągu dwóch krótkich oddechów. W połowie trzeciego opuścił toporek w dół, mierząc w sam środek kaptura.

Chrzęstnęło, a na twarz Kaliksta bryzgnęła krew. Wziął kolejny zamach i uderzył jeszcze raz. I jeszcze. Walił tak zachlapany czerwienią, rycząc z wściekłości, aż człowiek skryty pod habitem zamienił się w cuchnącą śmiercią miazgę.

–Widzę, żeś nie wyniósł żadnej nauki od ostatniego razu – posłyszał za plecami pełne kpiny słowa. – Popełniasz te same błędy, co po raz setny dowodzi, że nie jesteś dla mnie godnym przeciwnikiem.

Drugi Czarny Mnich stał za katafalkiem. Skrzyżował ręce na ramionach i trząsł się ze śmiechu.

–Chcesz mi dorównać, łachmyto? – dodał. – Ty, byle chłystek z duszą rozbitą na szczątki? Ha, ha, ha!

Jego rechot zakończyły dwa uderzenia ogona wiwerny. Pierwsze złamało go wpół. Drugie zmiotło w przepaść.

–Sobowtór... – sapnął gniewnie Belzebub. – Więc znów te sztuczki...

–Nigdy mnie nie zabijesz – usłyszał. Tym razem apostata w czerni pojawił się na skalnym zrębie przy ścianie jaskini oddzielony bezpieczną czeluścią otchłani.

Mrghh uniosła skrzydła i ugięła nogi, by wybić się do lotu, jednak nagle poniechała tego zamiaru.

To nie on. Żaden z nich, nie jest tym, którego szukasz.

–Jak to żaden z nich? Przecież...

Spojrzał w tył, na bok i wyżej, gdzie przebiegała wąska ścieżyna przyklepiona do ścian jaskini... Wszędzie majaczyły czarne sylwetki z twarzami osłoniętymi głębokim kapturem.

–He, he, he – zarechotało kilkanaście gardeł naraz. – Nic nie powstrzyma Królestwa Satanaela. Ani człek, ani inne stworzenie nie ocali żywota... Śmierć! Śmierć dla wszystkich... Chyba że ukorzycie się przed Stwórcą!

–Gamoto...! Skąd was tylu?... – Kalikst w oszołomieniu patrzył na kolejnych Czarnych Mnichów wynurzających się z cienia. Było ich już dziesięciu, nie, dwunastu, siedemnastu... Później przestał liczyć...

–Satanael! Pan nasz! Złóż hołd swemu Stwórcy! – przekrzykiwały się sobowtóry. – Oto nadchodzi królestwo Satanaela! Pierworodny syn Boży jest Demiurgiem, imię jego Satanael! Nadchodzi! Nadchodzi! Oddaj mu pokłon!

Wiwerna prychnęła z wściekłością. Machając skrzydłami i bijąc ogonem, strąciła w mroczną czeluść pięć czy sześć zakapturzonych postaci. Niewiele to dało – na ich miejsce natychmiast nadeszły następne.

–Mnożą się szybciej niżli króliki... Który z nich to prawdziwy Czarny Mnich?

Przecież ci powtarzam: żaden! Chwyć się mojej szyi, już wiem, gdzie jego kryjówka.

Zrobił, jak radziła. Ledwie wsunął nogi w uprząż i zapiął pas, Mrghh doskoczyła do krawędzi skalnego języka. Złożywszy do tyłu skrzydła, rzuciła się w przepaść. Ogarnęła go ciemność, uszy wypełnił mu ogłuszający świst powietrza. Skalne występy mijane w locie jeszcze wzmagały szum i dezorientację. Otworzył usta, by wykrzyczeć całe swoje przerażenie, jednak miast tego zaskrzeczał

tylko:

–Choo...? Gdzie...?

Mrugał, by strząsnąć spod powiek łzy wyciśnięte przez pęd powietrza.

Nagle wiwerna rozpostarła szeroko skrzydła, tworząc z nich szeroki baldachim. Zatrzepotała kilka razy, wyrównując pozycję i wyraźnie zwalniając. Wizg rozdzieranego powietrza ustał.

–Gdzie? Dokąd? – zapytał szybko. – Tam przepaść i śmierć!

A w przepaści następny korytarz. Zobacz!

Zmieniła kierunek i poszybowała w bok, ku ścianie przepaści. Podziemny lot doprowadził ich do wąskiego komina idącego lekkim skosem ku powierzchni.

Wiwerna, zawzięcie młóćąc skrzydłami, pomknęła do góry. Nim Kalikst zdążył ochłonać, wlecieli do następnej jaskini. Nieco mniejszej i tak samo przeciętej w połowie skalnym pomostem.

Mrok rozświetlał rząd pochodni zatkniętych na drągach. Między nimi...

Między nimi, ściskając zakrzywiony nóż z oksydowanej stali, stał Czarny Mnich. Ostrze broni dźgało szyję Zoe spętanej sznurami, brudnej i półnagiej, ale żywej.

–Zoe! – krzyknął Belzbehub, nie potrafiąc skryć radości. Zalała go fala ciepła, nagle poczuł się jak po trzech wypitych duszkiem kubkach wina.

Gdy tylko Mrghh osiadła na skale, zeskoczył z jej grzbietu i pognął w stronę ukochanej.

Powstrzymał go znaczący ruch ręki upiornego zakonnika.

–Jeszcze krok, a wbiję jej ten nóż w gardło. Do końca, aż wyjdzie jej z tyłu głowy. Nie wiem, czy po takiej przygodzie będzie chciała się jeszcze z tobą całować...

To on. Czuję, to wreszcie jest on. Nie jego sobowtór... Już nas nie zwiedzie...

Dziewczyna zatrzepotała powiekami i zawyła ze strachu, jednak spod grubego knebla wydobył się tylko stłumiony jęk. Więzy ściśle oplatały jej ręce i nogi. Widać, że apostata zdążył dobrze poznać diabelski charakter młodej złodziejki – pewnie już nieraz próbowała nawiać.

–Zoe, moja Zoe... – szeptał Kalikst ogarnięty tęsknotą i niepokojem, jednakowo posłusznie przystanął. Rzucając spode łba wściekłe spojrzenia, gładził rękojeść czekana.

Czarny Mnich dostrzegł ten gest.

–Rzuć to żelastwo, pętaku, albo twojej dziewczynce urznę łeb! No rzucaj, ale już!

Wiwerna uniosła ogon. Sapała gniewnie.

–He, he, ach to ty?! – zarechotał wyznawca Satanaela. – Udało ci się przerwać łańcuch? Ale widzę, że twoja broń jest nieco stępiona. Kto ci odciął żądełko, co? Bez swojego jadu możesz tym swoim chwostem najwyżej muchy odganiać. He, he...

Słyszę w jego słowach strach i niepewność. Nie daj się zwieść pozorom. On nie bez przyczyny pozbył się części swojej duszy. Te okruchy jego jestestwa, którymi spętał mnie w jaskini, powróciły i jak dawniej nękają go lękiem i wyrzutami sumienia... Widzę to, on się boi.

–A więc strach cię obleciał... Tarazjuszu Mroczny... Tak się zwałeś, gdyś wznosił modły do innego pana – powiedział Belzebub, nie wypuszczając broni. – Ja wiem, kiedy kto ma cykora. W zaułkach mego miasta, jak podrzynałem gardła, poznałem smak strachu.

Tego strachu, gdy śmierć zagląda ci w oczy. – Kalikst teatralnie pociągnął nosem i wygiął usta w wyrazie obrzydzenia. – A fe! Czuję ten smród. Czuję go w tobie!

–Ugryzłeś rękę swego pana, kundlu! – wychrypiał Czarny Mnich, dźgając Zoe w policzek. – Ale nie licz na to, że zdołasz wyżej podskoczyć! Nawet się nie łudź, że coś zdołałeś, opowiadając bajędy ze swego nędznego życia. Ten monastyr to miejsce poświęcone Satanaelowi. On dał mi siłę, która pozwala rozrywać dusze, tworzyć golemy i przywoływać demony... Zdarzy się więc to, co zaplanował nasz pan, Demiurg, Stwórca ciebie i mnie, Satanael!

Kalikst zrobił trzy kroki w przód.

–Może niegdyś tak było... Ale dziś jesteś sam. Twój pan cię opuścił. Zbyt wiele w tobie z człowieka... Za mało jest w tobie bestii posłusznej Satanaelowi. Przerywając okowy wiwerny, uwolniliśmy także to, czego się najbardziej obawiasz. Tę część twojej duszy, która wątpi w plugawą herezję. I teraz sam znów czujesz w głębi serca, że jest w niej jeno sprzeczność, zło i nienawiść.

Apostata tylko zatrzęsł się od śmiechu.

–Cóż za naiwne słowa!... Nie sądzisz chyba, złodzieju, że moje oddanie panu naszemu Satanaelowi zależne jest od losów jakiejś skrzydlatej gadziny?! Tak, owszem, spętałem ją i uwięziłem, wyzbywając się tej części mojego ducha, która nie jest godna obcowania z Satanaelem. Każdy przyzna, że to wielkie dzieło spętać swym lękiem wiwernę żyjącą na odległej wyspie!

Jeszcze dwa kroki do przodu. Mnich w czarnym kapturze zdawał się tego nie dostrzegać.

–Powiedziałaś spętać lękiem. I zgadza się! – pokiwał głową Belzebub. – Ona była spętana. Teraz jednak ten lęk powrócił do ciebie! Siedzi w tobie! I ciebie pęta!

–Tak sądzisz, kundlu? A co powiesz, jeżeli twojej ukochanej obetnę nos? I uszy, by zachować większą symetrię? Wiesz, co to

symetria?

Zoe zgięła się wpół i próbowała wywinąć z uścisku oprawcy, ten jednak, o dziwo, trzymał ją nadzwyczaj silnie. Grzotną dziewczynę dwa razy w tył głowy, a gdy straciła przytomność, złapał za nos. Przytknął nóż.

–Rzuć toporek i całe żelastwo, jakie tam chowasz! I ani kroku więcej!

Belzebub westchnął ciężko i cisnął czekan pod nogi apostaty. Odpiął też pas, zrzucił kolczugę.

–Czy portki też mam ściągnąć? – Tej drobnej uszczypliwości nie mógł sobie odmówić. – I tyłek pokazać?

Mnich odburknął coś niezrozumiale, a później wydał rozkaz:

–A teraz cofnij się! Taaak, dobrze... Jeszcze! Pod ścianę. Znajdziesz tam łańcuchy i kajdany. Skuj nimi wiwerne...

–Jak niby mam to zrobić? Nie ma przecież rąk, a skrzydła są zbyt duże.

–Skuj jej nogi i szyję! Nuże! Nie próbuj mnie zwieść, łachmyto!

Mrghh nie stawiała oporu. Wręcz przeciwnie – posłusznie pochyliła łeb, by Kalikst mógł zarzucić jej na kark stalowe pęta, nadstawiła też łapy, na których po chwili zatrzasnęły się kleszcze kajdan.

Gdy włożył nity w otwory, apostata uniósł lewą dłoń i zacisnął palce. Sworznie ze szczękiem spłaszczyły się, jakby uderzył w nie niewidzialny młot, na dobre więżąc skrzydlata gadzinę.

–Doskonale! – pochwalił Czarny Mnich. – A teraz skuj siebie samego. Nogi, ręce... I nie myśl, że mnie oszukasz. Każda obręcz ma ściśle oplatać tve przeguby i kostki u nóg, każdy nit ma być w otworze, tam gdzie jego miejsce.

Kalikst zrobił tak, jak nakazał mu heretyk. Mnich zaraz spłaszczył łby metalowych klinów i gdy upewnił się, że wszyscy jeńcy są już w jego mocy, odepchnął Zoę.

–He, he, he – rechotał obleśnie, postępując kilka kroków do przodu.
– No to was mam! Wracamy do punktu wyjścia. Chociaż nie! Teraz mam nie tylko Kaliksta Belzebuba, drobnego opryszka z Konstantynopola, ale także jego wielką skrzydlatą jaszczurkę, na której grzbiecie przyfrunął przez morze, by ratować ukochaną. He, he, he! Wioskowe grajki mogą o tym śpiewać w tawernach!

Wywijając nożem, podszedł do Belzebuba. Przytknął mu koniec ostrza do podbródka.

–Tylko ciach i już nie żyjesz! Czy myślisz, że tak powinna zakończyć się ta historia? O czym będą śpiewać grajkowie w tawernach? Trzeba zadbać o jakieś tragiczne zakończenie! To będzie tragos ode! Tego nie wymyśliliby nawet satyrowie Dionizosa! Czy powinienem zmusić twą lubą, by zarżnęła cię tak, jak ty ją wtedy, pamiętasz?... Czy jednak inaczej: nakłonić ciebie, żebyś po raz wtóry nadział ją na szablę, wychędożył, a potem skręcił kark? Jak myślisz, opryszku, co będzie bardziej tragiczne?

Jaskinia wypełniła się mściwym rechotem apostaty.

–Jednako teraz będzie inaczej! – dodał Czarny Mnich. – Teraz będzie prawdziwy Kalikst Belzebub i prawdziwa ulicznica Zoe! Żadnych golemów, o nie!

Nagle postyszał za plecami zimne słowa:

–Nie będzie prawdziwego Belzebuba! On jest tu!

–Co?!

Nim zdążył się obrócić, dostał cios toporkiem przez łeb. Za lekki, by zabić, ale dość mocny, by powalić na kamienie. Dłoń wypuściła nóż, ostrze zazgrzytało na skałach.

Spod kaptura Czarnego Mnicha trysnęła krew.

–Choo... Khtoo tu? Coś thy... za jeden?

Belzebub oparł stopę na jego szyi i przydusił. Dalsze słowa ugrzęzły w gardle apostaty.

–To ja, Kalikst! Twój pojętny uczeń! Pamiętasz?! Pokazałeś mi, jak kryć się w mroku! Taka prosta sztuczka, którą oszukiwałem strażników w obozie basileusa! Podstęp, którego używałem, by ołgać wzrok tych, którzy na zawsze zostali tylko ludźmi. Teraz ty jesteś taki jako oni! Słaby i przepełniony lękiem.

Mnich jeszcze nie rozumiał, w czym rzecz. Zalany krwią leżał jak rozdeptany robak. Na darmo wyciągał rękę w stronę noża, plując różową śliną i niezrozumiałym bełkotem przekleństw.

–A moja przyjaciółka wiwerna – ciągnął Belzebub – ma inny dar, którego nie zawdzięcza tobie i którego ty nigdy nie mógłbyś jej odebrać: tworzenie iluzji! Tylko patrz!

Skuta kajdanami postać pod ścianą jaskini nagle znikła jak pustynny miraż, gdy powieje zimny wiatr od północy. Apostata ze zdziwieniem spostrzegł, że łańcuchy, którymi dopiero co byli skuci ten złodziejaszek i skrzydlata jaszczurka, leżały na swoim miejscu w płaskim zagłębieniu – zardzewiałe, pokryte warstwą kurzu.

Wiwerna, wachlując łagodnie skrzydłami, sfrunęła ze skalnego występu pod sklepieniem grotty i z impetem osiadła tuż przed nosem mnicha.

Ja go przypilnuję. Ty idź, uwolnij swoją ukochaną!

Kalikstowi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy.

* * *

Przydeptany łapą Mrghh Tarazjusz Mroczny całkowicie zmienił ton. Ocierając krew, skulony bełkotał:

–Przecież mnie nie zabijesz! Jestem ofiarą tak samo jak ty! Ofiarą Satanaela, który odebrał mi wolną wolę i nakazał czynić wszystkie te podłe występki. Musisz wiedzieć, że gdy przybyłem do tego monastynu, byłem zupełnie innym człowiekiem. Czcilem Logosa, syna Boga, który zszedł na ziemię głosić jedyną prawdę i wyzwolić uciśnioną ludzkość!

Kalikst łagodnie posadził wycieńczoną Zoe na skalnej posadzce i szepnął:

–Poczekaj, kochana. Póki on żyje, póki może jeszcze sączyć jad, nie będzie dla nas przyszłości. Więc odwróć wzrok i oszczędzaj siły. Zabiorę cię stąd, obiecuję!

Dziewczyna patrzyła na niego pełnym obłędu wzrokiem.

–Kalikst...? – zapytała ze ściśniętym gardłem. – Ile razy jeszcze będę cię oglądać?... Ile razy jeszcze będę widzieć, jak giniesz rozrywany na strzępy przez potwory?...

–Już nigdy! To nie byłem ja! To były moje sobowtóry, golemu pozbawione duszy...

Nie wyglądała na przekonaną.

–Precz! Znów chcesz mnie omamić! Zostaw mnie! – Osunęła się na kamienie i wyjęczała: – Chcę umrzeć... Już zabij mnie, ale nie dręcz dłużej.

Pogładził ją po zlepionych brudem kosmykach, otarł z policzków łzy zmieszane z kurzem i krwią.

–Nie, Zoe. Nie umrzesz. Nikt cię nie będzie już dręczył. Czarny Mnich zapłaci za twe cierpienia! To on będzie cierpieł, a ty będziesz patrzeć, jak umiera...

Apostata usłyszał te słowa i zawył:

–Co chcesz zrobić?! Przecież Czarny Mnich to nie ja! Nie jestem już nim! Jestem Tarazjuszem! Nie możesz mnie zabić! Odbierając mi duszę, staniesz po jego stronie! Po stronie Satanaela! On tego chce! Więc przegrasz! On opęta twoją duszę!

Nacisk cielska wiwerny odebrał mu dech i zatrzymał dalsze słowa w gardle.

–Co innego gadałeś przed chwilą! – zauważył Belzebub. – Dalej głosił swoje satanaelskie plugastwa! Pękasz, tchórze! Po co to mowa?

A później zrobił to, o czym marzył od dawna. Pochylił się nad mnichem i jednym zdecydowanym szarpnięciem zerwał mu kaptur z głowy.

Z odrazy aż go odrzuciło kilka kroków.

Apostata nie przypominał człowieka. Larwę raczej, wielkiego robaka o białej twarzy, wyłupiastych oczach i nagiej czaszce pokrytej różowymi plamami. Mały, starczy łepiek osadzony na chudej, pełnej zmarszczek szyi kręcił się na boki, wił, unikając światła. Nie tak powinien wyglądać dumny pan monasteru, który tubalnym rechotem podkreślał swoją władzę nad życiem i śmiercią.

–Aleś ty obmierzły! – mruknął Kalikst. – Tyś człek czy jakiś demon, wielki robal czy co...? O Jezu... Ohyda!

Znać, że spędził lata w mroku, bez światła, stąd ta jego bladość. Ale nawet z punktu widzenia wiwerny muszę przyznać, że ta mleczna gęba jest odrażająca...

Widząc, że wyłupiaste, zaczerwienione oczy sługi Satanaela zaraz

wyskoczą z orbit, Belzebub dał znak Mrghh, by nieco poluzowała ucisk. Wiwerna uniosła lekko łapę.

–Kchrr... Rrrr... – bełkotał mnich, z wysiłkiem łapiąc powietrze. – Tak, głosiłem plugastwa... Tak, nie mylisz się, co innego mówiłem przed chwilą... Ale to nie była prawda... Każdy na moim miejscu... zrobiłby wszystko, by się bronić. Przywracając mi część mojej duszy, przywróciliście mi człowieczeństwo. Cały ludzki strach i zagubienie. Opuściły mnie wszystkie demony. Tak! Gdy tylko powróciła słaba część mojej duszy, golem, które ulepiłem, rozpadły się w pył. Demony wezwane mocą moich modlitw z najmroczniejszych zakamarków piekieł odeszły, patrząc na mnie ze wzgardą i odrazą. Wtedy też pojąłem, że opuścił mnie Satanael, odtrącił jak bękartą...

Słowa apostaty przeszły w zduszony charkot. Wiwerna znów przygięła go do kamieni.

Miesza prawdę z kłamstwem, co wychodzi na jedno: łże. Zmienił się o tyle, że przepełniła go słabość, sparaliżował lęk. Jednak nie wyzbył się podłości. Jest taki sam jak niegdyś.

Kalikst gestem poprosił ją, by zwolniła nacisk. Syknęła gniewnie, ale zrobiła to.

–O dzięki, dzięki! – skamlał zakonnik.

Belzebub patrzył na niego z odrazą i wspominał długie tygodnie spędzone w strachu i niepewności w klatce zawieszanej nad przepaścią. Przed oczami stanął mu ten dzień, a może ta noc, gdy Czarny Mnich gotował jego sobowtóra w oleju. Gdy najohydniejsze potwory o wynaturzonych kształtach rozrywały bliźniaka na strzępy... Wreszcie gdy on sam, Kalikst Belzebub, dźgał Zoe, piękną, słodką Zoe, szablą pod serce, a później przybił jej wciąż żywe ciało do krzyża i gwałcąc, odebrał ostatnie tchnienie. To ostatnie wspomnienie zbudziło w nim dziką furję, przyspieszyło bicie serca. Gdy jednak spojrzał na skrzywioną w błagalnym grymasie bladą twarz człowieka-larwy, ogarnęło go znużenie i rezygnacja. W mgnieniu oka cała nienawiść spłynęła zeń jak

brudna woda chlapiąca w konstantynopolitańskich ściekach.

–Mrghh... nie mogę... Zabiłem w swoim życiu setki ludzi. Większość z nich po tym, gdy ten satanaelski robał odebrał mi część duszy. Ale teraz... Nie mam już siły... Nie chcę babrać się w jego krwi... Ty to zrób.

Wiwerna zatrzepotała skrzydłami. Cofnęła się, wypuszczając spod swych łap łkającego zakonnika.

Prawdę mówiąc... zabijanie ludzi nie jest moim ulubionym zajęciem... Przyznam się, że tak naprawdę... nie zabiłam nic większego niż owca. Niech będzie, raz się zdarzyło, że rozszarpałam jakiegoś wychudłego wołu, który uciekł wieśniakom i zbłądził na wyżynach... Ale do zabijania ludzi czuję jakąś odrazę. Nawet jeżeli wiem, że to plugawa bestia, a nie człowiek, to nie... Nie potrafię... Mogę mu połamać ręce i nogi... Jednakowoż, byś ty odebrał mu żywot, jeżeli tego pożądasz.

Cofnęła się pod ścianę jaskini i usiadła, zamykając oczy.

–Gamoto! – warknął gniewnie Belzebub. – Sądziłem, że będzie z ciebie jakiś pożytek! Jakże to, nie chcesz zemsty?! Przecież dla tej chwili, dla tej zemsty przyleciałaś tu ze mną! Nie chcę tego słyszeć nawet! Musisz to zrobić!

Sądziłam, że ty dokonasz zemsty za mnie i na moich oczach, a ja będę czerpać radość z twoich czynów.

Apostata najwyraźniej pojął doskonale, w czym rzecz. Z chytrym uśmieszkiem i dzikim błyskiem w oku skoczył na równe nogi i rzucił się pędem w drugi kąt jaskini. Nim Belzebub zdążył mrugnąć, Czarny Mnich wbiegł w ocieniony zakamarek na końcu skalnego pomostu i zniknął w osłoniętej mrokiem czeluści.

Zapadła cisza. Kompletnie zaskoczony Kalikst rozdziawił gębę i jęknął:

–Patrz, jaki kurwisyn... Wziął i nawiał... Tam pewno jakiś tunel...

Dał chodu i tyle go widzieli!

Wiwerna również nie kryła zdziwienia. Fuknęła gniewnie i pomyślała:

Trzeba było go przygwoździć mocniej... I nie puszczać. Ale ty sam chciałeś. Machałeś na mnie, żebym go nie dusiła.

Nagle z korytarza dobiegłyby niepokojące odgłosy szamotaniny. Jakby coś albo ktoś przeszkodził mnichowi w ucieczce.

Usłyszeli krótki wrzask, potem przeciągający się charkot, odgłosy cięcia, trzask kości. Wreszcie zapadła cisza.

Z tunelu wyszła Zoe. W prawej dłoni trzymała nóż upuszczony wcześniej przez Czarnego Mnicha.

Lewą dłonią podrzucała odcięty łeb apostaty. Krew bryzgała na boki, tworząc w powietrzu fantazyjne wzory niczym sznury koralu modnej damy na dworze basileusa.

–Chciał nawiać! – krzyknęła dziewczyna, dławiąc się od nerwowego śmiechu. – Tam chciał dać nogę! Do labiryntu, do podziemi! To go zatrzymałam! Teraz już nie zdoła wam uciec, co?

Szła, żonglując pobladłym czerepem.

–Hi, hi – zadrżała z uciechy – nie nawieje! Możecie wymierzyć mi sprawiedliwość. Tak jak chcieliście! A ja... A ja sobie odpocznę, bo bardzo chce mi się spać.

To mówiąc, cisnęła odciętą głowę w stronę Belzebuba i padła na kamienie bez sił i świadomości.

Nad słoneczną, suchą Kapadocją zaczęły zbierać się ponure chmury o barwie popiołu. W oddali narastał łoskot burzy.

* * *

Kalikst zdjął ze ściany pochodnię i zagłębił się w korytarz, do którego próbował uciec mnich. Przeszedł ledwie tuzin kroków, gdy natrafił na skręcone, stłamszone ciało apostaty. Wyglądało nędznie jak kupa starych szmat, na które ktoś wylał skwaśniałe wino.

Belzebub splunął na zabitego i powędrował dalej.

–Gdzieś ty wiał, psi odbycie? – mruczał pod nosem. – Jaką sztukę chciałeś wyciąć na koniec?

Poświecił po kamiennych ścianach. Lśniły, jakby pokrywał je śluz pozostawiony przez gigantycznego ślimaka. Dotknął dłonią mazi, powąchał palce. Gleja cuchnęła jak zaszczany zaułek za tawerną w konstantynopolitańskim porcie. Otarł palce o portki.

Szedł długo. Już kilka razy naszła go myśl, że powinien zawrócić, lecz jakiś wewnętrzny głos wciąż mu powtarzał: Dalej! Daaalej!!!

Szedł więc dalej.

W końcu w bocznej ścianie tunelu dostrzegł niewielkie drzwi z poczerniałego drewna. Pchnął je.

Tysiąc czarnych świec jaśniało blaskiem czerwonych płomieni. Belzebub poczuł ciarki wędrujące po plecach – nigdy nie widział, by ogień miał barwę krwi. Nigdy nie był w miejscu, w którym zło, ból i cierpienie byłyby tak namacalne.

–Gamoto... – wyszeptał. – Co tu...?

Zaraz zrozumiał.

Czarna Ikona. Obraz stał w kamiennej wnęcie oparty o ścianę.

Otaczał go wianuszek uciętych ludzkich rąk szerniałych ze starości i wyschniętych.

Kalikst skamieniał, patrząc jak zaklęty na szatański przedmiot, wreszcie przemógł się i wyciągnął dłoń. Myślał, że uderzy go płomień, że żar spopieli mu palce, że Satanael zagrzmie i ukarze świętokradcę, jednak nie... Nic się nie stało. Upiorny obraz był ciepły w dotyku, łagodnie pulsował ukrytą siłą.

Belzebub uniósł ikonę do twarzy. Na brudnej powierzchni, zakurzonej, zachlapanej zakrzepłą krwią nie dostrzegł najmniejszego śladu pędzla artysty. Jakby dzierżył w dłoniach kawałek zgnitego drewna wydobytego z bagien. Przetarł ręką chropowate zgrubienia i serce podskoczyło mu do gardła.

Na desce zamajaczyły niewyraźne czerwone linie. Świeciły coraz silniej, układając się w kształt ludzkiej twarzy. Nie, nie ludzkiej! Z każdym oddechem Kalikst dostrzegał na powierzchni malowidła nowe szczegóły. Szpiczaste uszy, zakrzywiony nos, cztery, nie! – sześć spiralnie skręconych rogów wyrastających niczym grzebień koguta. Pociągła szczęka, trójkątna broda i oczy. Złe oczy lekko przymknięte, pulsujące nienawiścią.

Satanael? – pomyślał Belzebub i wrzasnął przerażony.

Z obrzydzeniem cisnął obraz w kąt, cofnął się trzy kroki. Patrzył, jak światło bijące z ikony narasta, błyszcząc niczym grzbiety fal podczas zachodu słońca. Ułapił rękojeść czekana i wydobył go z pasa, by roztrzaskać deskę. Wtedy jednak blask przygasł nieco. Wizerunek widoczny na malowidle powoli zniknął, a po chwili – gdy Kalikst znów wyciągnął rękę po obraz – trzymał w ręku jeno brudną czarną deskę.

* * *

Ołowiane chmury zasłoniły księżyc, jednak z chwili na chwilę robiło się jaśniej niż w dzień. Błyskawice przecinały niebo w coraz szybszym rytmie, zalewając okolicę upiorną bielą. Burza nacierała, lecz bez deszczu – tego niebo skąpiło Kapadocji, odkąd rodzaj ludzki sięgał pamięcią. Fantazyjne skały – w kształcie wielkich grzybów, zaciśniętych pięści, stożków i czego tam jeszcze – jak nigdy przypominały rzeźby wyciosane ręką samego Satanaela.

Kalikst objął Zoe ramieniem i zaczął ją uspokajająco głaskać. Dziewczyna wciąż jeszcze nie doszła do siebie. Opartszy głowę o pierś Belzebuba, szeptała:

–Dręczył mnie... Każdego dnia pokazywał mi ciebie nie-ciebie, kogoś, kto wyglądał jak ty, i zabijał go tak okrutnie... Ja teraz wiem, że to nie byłeś ty. Żaden człowiek nie ma w sobie tyle krwi... Tyle jej utoczył. Ale co innego widzieć, a co innego czuć. Nigdy nie miałam pewności, że tym razem nie zabija ciebie. Wtedy dopiero rozumiałam w pełni, jak bardzo mi na tobie zależy. Rozumiałam, że...

Zasypał ją pocałunkami.

–Rozumiałam, że ciebie kocham i nikogo innego!

–Zoe... Proszę... Nie teraz.

Jednak dziewczyna rozgadała się na dobre.

–Karmił mnie i poił. Jego umarlacy przynosili mi chleb, mięso i piwo... Naprawdę! Nie wiem skąd, ale wiem po co. Żebym dalej cierpiała, żebym miała siłę płakać i złorzeczyć. Żebym za szybko nie umarła...

Odepchnął ją łagodnym gestem, dając znak wiwernie, by się nią zaopiekowała.

–Pilnuj jej – przykazał Mrghh i wrócił do ciemnych korytarzy

monastynu.

Oświetlając sobie drogę pochodnią, szybko dotarł do wewnętrznego dziedzińca wykutej w skale świątyni. Cisnął Czarną Ikonę na stertę drewna zebranego ze wszystkich zakamarków tego plugawego miejsca.

Na wierzch rzucił żagiew i patrzył, jak malowidło Satanaela liżą języki ognia.

* * *

W Czarnej Ikonie musiała czaić się większa moc, niż przypuszczali. Ledwie wiwerna wyniosła ich ponad kapadockie wzgórza, niewielki z początku płomień buchnął jak strumień igró pyr wystrzelony przez wojaków Charytona Scholara. Słup ognia z trzaskiem i łoskotem uderzył w burzowe chmury i rozwiął je jak puch. Pioruny ucichły, błyskawice zbladły, wkrótce zaś na czystym czarnogranatowym niebie zajaśniał blady księżyc półgębkiem uśmiechający się do podróżników zagubionych w sercu Kapadocji.

Coś ty tam podłożył, podpalaczu? Przecie nie te parę starych desek! Taki żar wali w niebo, jakby pękło piekło i wylewało całą lawę z diabelskich kotłów... – pomyślała wiwerna.

–Ból, rozpacz i krew tysięcy ofiar szarlatana... – mruknął w zamyśleniu. – Czysty ogień uwolnił cierpiące dusze uwięzione w heretyckim obrazie. Teraz znajdą spokój, a po plugawej świątyni zostanie jeno pył.

Nagle z monastynu wydobył się huk idący echem po okolicznych wzgórzach. Świątynia pękła na dwoje, a spod ziemi wylały się języki ognia tak wielkie, jakby szatani otworzyli wszystkie bramy piekła.

Ziemia zadrżała, zadrżało też powietrze, chmury, nawet księżyc.

Wiwerna z trudem utrzymywała lot, a kolejny silny powiew gorącego wichru zmusił ją do lądowania. Ukryci między skałami z bezpiecznej odległości obserwowali, jak klasztor apostatów obraca się w ruinę.

Później nastąpiła kolejna seria wybuchów – ogłuszających i oślepiających. Monastyr Czarnego Mnicha buchnął żywym ogniem jak wulkan, wypluwając ku niebu skały, żwir i pył. Ziemia zadrgała, zwiastując – zdałoby się – nadchodzący Koniec Świata i Dzień Sądu.

Epilog

W tej samej chwili, gdy Kalikst, Zoe i Mrghh patrzyli z oddali na eksplodujące lawą ruiny monastynu, Nicetas Wielka Pięść wraz ze swoimi kompanami ze Żmudzi osuszał kolejny dzban wina. Siedzieli w „Bezglowym Scycie”, swej ulubionej tawernie w konstantynopolitańskim porcie nad zatoką Złoty Róg. I chociaż o tej chwili marzyli jak o niczym innym, miny mieli nietęgą, a nastroje ponure. Niepokojące wieści z gildii złodziei zmroziły ich. Tajemnicza śmierć mistrza Atanazego, surowe rządy Eutymiusza, krwawe walki między nowymi frakcjami organizacji, zdrada, przekupstwo, układy z gadami... Nie tak wyglądała gildia w latach swej świetności.

Pięć dni później do Konstantynopola dotarł Kalikst wraz z Zoe, która powoli dochodziła już do siebie po miesiącach niewoli. Nad nimi pośród chmur spokojnym lotem sunął po niebie jastrząb, który już na zawsze miał pozostać towarzyszem Belzebuba. Radość ze spotkania starych przyjaciół mieszała się ze łzami, Nicetas długo ścisnął druha, ukradkiem trąc oczy.

–Ty żyjesz! – nie krył zdziwienia. – A myśmy myśleli, że cię spaliło, że już po tobie!

–A tyś jak skórę uratował? – pytał z niedowierzaniem Kalikst. – Toż

ja ciebie mścić chciałem, byłem pewien, żeś skręcił kark, gdy konie padły i rydwan poszedł z ogniem.

Później do świtu gadali przy białym winie z Rodos. Kalikst w milczeniu słuchał najnowszych wieści z Konstantynopola. Gdy Nicetas przytaczał zasłyszane relacje o ostatnich chwilach Atanazego, w oczach Belzebuba zaśniły złe ogniki, a usta ściągnął gniewny grymas.

Wiedział, że będzie musiał pomścić starego mistrza. Znaleźć winnych i wymierzyć sprawiedliwość.

Ale to już jest całkiem inna historia.

Po rozstaniu z Kalikstem wiwerna powróciła na Cypr, by wyszukać sobie nową jaskinię i w niej zamieszkać. Swój dom znalazła na skraju przepaści, blisko pustelni eremity w czerwonej szacie. Mnich nie mógł powstrzymać życzliwego uśmiechu, gdy szybowiała ponad chmurami. Czuł jej obecność, słyszał jej myśli.

Starcze, ty zwróciłeś mi wolność – powiedziała raz. – Ty i ten sprytny złodziejasek. Bądź więc pozdrowion i pamiętaj, że mam u ciebie dług.

–Dług nie dług... – machnął lekceważąco dłonią. – Jak chcesz się odwdzięczyć, to pomóż mi zasypać ten dół. Purrhosa diabli wzięli, gdy tylko jego pan oddał ducha. Jego szczątki gniją na dnie podziemnej jaskini. Trza by ją przysypać kamieniami, bo smród straszny idzie.

Trzy tygodnie po spotkaniu przyjaciół w Konstantynopolu basileus Roman IV Diogenes ostatecznie odbił Palestynę z rąk Seldżuków, przyłączając tę ziemię – przy aprobacie fatymidzkiego kalifa Al-Mustansira – do swojego cesarstwa. Jan Italos wypatrywał w swych wizjach, że to zwycięstwo na kilka setek lat oddali od chrześcijańskiej Europy zagrożenie ze strony tureckiego żywiołu.

Koniec tomu drugiego i ostatniego

* Ewangelia św. Jana 19, 32-35, Biblia w przekładzie ks. Jakuba Wujka.

* Święta księga Awesta, fragment egzorcyzmu Kem-Na Mazda w swobodnym tłumaczeniu autora: Chrońcie nas przed złym, Ahura Mazda i Amesza Spenta! Giń, diabelski demonie kłamstwa! Giń, potomstwo diabła! Giń, stworzenie diabła! Giń, słowo diabła! Przepadnij, demonie kłamstwa! Precz stąd, demonie kłamstwa! Przepadnij, demonie kłamstwa! Precz na północ, trzymaj się z dala od świata Prawości.

This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-11-24

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-
tools.com/ebook/